

TERESA TORAŃSKA

BYLI



Świat Książki

Projekt okładki

Anna Kłos

Redaktor prowadzący

Katarzyna Krawczyk

Redakcja, wstęp, kalendarium i indeks osób

Nina Smolar

Redakcja techniczna

Lidia Lamparska

Korekta

Elżbieta Jaroszuk

Krystyna Śliwa

Copyright © by Teresa Torąńska 2006

Copyright © by Bertelsmann Media sp. z o.o, Warszawa 2006

Świat Książki

Warszawa 2006

Bertelsmann Media sp. z o.o.

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie

Fabryka Wyobraźni sp. j.

Druk i oprawa

Białostockie Zakłady Graficzne SA

ISBN 83-247-0246-6

ISBN 978-83-247-0246-6

Nr 5533

WPROWADZENIE

W prezentowanych rozmowach Teresa Torańska próbowała się dowiedzieć nie tyle tego, jak sprawowali swe wysokie urzędy w PRL-u jej rozmówcy, ale raczej jakie były motywy ich akcesu do rządzącej partii, a potem jej czynnego wspierania. Tak jak w *Onych*, rozmawia bez agresji i podniesionego głosu. Zadając proste pytania, potrafi wydobyć z nich opis zdarzeń wzbogaconych o emocje.

W przeciwieństwie do rozmówców z *Onych*, którzy świadomie wybrali ideologię komunistyczną najczęściej jeszcze przed wojną i konsekwentnie – według zasady „cel uświęca środki” – starali się wprowadzać w życie jej założenia, wszystkich bohaterów tej książki łączy pewna przypadkowość wyboru kariery i polityki.

To przypadek sprawił, że dla generała Jaruzelskiego jedynym sposobem na wyrwanie się z ciężkiego i beznadziejnego życia na zesłaniu było wstąpienie do armii. To przypadek sprawił, że armia Andersa już nie przyjmowała nowych kandydatów na żołnierzy i że można było zaciągnąć się do oddziałów, organizowanych przez polskich komunistów w ZSRR.

To przypadek spowodował, że Józef Tejchma nie wstąpił na uniwersytet, jak chciał, tylko pojechał do Nowej Huty i rozpoczął karierę partyjną...

Gdyby Jerzy Urban, zeżłoszczony szkodliwymi dla gospodarki kraju – jego zdaniem – żądaniami NSZZ „Solidarność” oraz zatrwającą głupotą rządzących, nie napisał listu do pierwszego sekretarza PZPR-u Stanisława Kani, który zaproponował mu stanowisko rzecznika rządu, to by zapewne odszedł z redakcji „Polityki” i zaczął pracę w innym piśmie.

Gdyby Maciej Szczepański mieszkał gdzie indziej i był redaktorem gazety partyjnej, powiedzmy, w Olsztynie, to nie zostałby głównym propagandzistą czasów Gierka.

Chyba jedynie Kazimierz Kąkol świadomie pokierował swoją karierą. Wiedział, że jego dziennikarska gorliwość w kampanii antysemitkiej zostanie dostrzeżona oraz nagrodzona i mimo akowskiej przeszłości został chętnie głównym eksponentem antykościelnej polityki partii.

Oczywiście bardzo często życiem rządzi przypadek i niektórzy z rozmówców za-
tują czy to niektórych decyzji, czy tego, że tak, a nie inaczej, potoczyła się ich historia
i że w gruncie rzeczy przypadkowo dokooptowani zostali do maszyny władzy. Wpierw,
pełni młodzieńczych złudzeń o wyższości ustroju socjalistycznego, nawet w radzie-
ckim wydaniu, z zapałem pracowali na jego rzecz. Zdziwiała czasami wielka naiwność,
wiara w to, że porządny człowiek u władzy może zrobić coś dobrego, pożytecznego
dla społeczeństwa czy to w sferze kultury (Tejchma, Jagiełło), czy polityki. A potem,
gdy rzeczywistość okazywała się coraz bardziej brudna, zabrakło im determinacji
do wyjścia z aparatu władzy (mówi o tym Tejchma) albo mieli poczucie niemocy
(Jaruzelski o Grudniu 70).

W zasadzie wszyscy opisują, jak władza, poczucie władzy, jej apanaże, ułatwia-
jące życie, wciągają i jak nieprzyjemne jest wypadnięcie z jej kręgu, jak silnie oddzia-
ływa narkotyk władzy, strach przed osamotnieniem, wykluczeniem z sobie znanego
środowiska – z wyjątkiem Kąkola – wszyscy o tym mówią. I ze strachu godzą się –
z wyjątkiem Michała Jagiełły – na coraz bardziej ewidentne niegodziwości czy nawet
niekiedy zbrodnie, pokrywając to frazesami o działaniu dla „dobra” kraju, o mniej-
szym złu. Jedynie Michałowi Jagielle starczyło odwagi na rzucenie pracy w KC PZPR
i legitymacji partyjnej 13 grudnia 1981 roku.

Oczywiście taka decyzja nie jest łatwa. Dla generała wojskowa wierność ma
wielkie, nawet przemożne znaczenie, dla cywili lojalność, nie wobec partii czy idei, ale
wobec współpracowników odgrywa sporą rolę. Dlatego Michał Jagiełło męczył się,
nim oznajmił, że ma dosyć KC. Z kolei lojalność Macieja Szczepańskiego przypomina
ślepą miłość syna do ojca – Gierka – dla którego dobra należy zrobić wszystko.

Najciekawszy i najbardziej złożony psychologicznie jest casus Jerzego Urbana.
Przeszedł drogę od ostrych artykułów krytykujących system w latach pięćdziesiątych
i sześćdziesiątych minionego wieku do jego równie czynnego poparcia. Czytając jego
wypowiedzi, odnosi się wrażenie, że chodzi tu o syndrom „na złość mamie odmrozę
sobie uszy” czy publiczne wsadzanie kija w mrowisko (dwa razy powtarza w roz-
mowie, że lubi wykonać numer i patrzeć, co z tego wyjdzie). Takim numerem była
zgoda na rolę rzecznika rządzącej partii (odpuśćmy dekoracyjną rolę rządu). On,
liberał, tęskniący za demokratycznym ładem, godzi się na danie twarzy partii, której
aktywiści dwanaście lat przedtem demonstrowali zajadły antysemityzm, zamordyzm,
a dziesięć lat wcześniej nie protestowali, gdy strzelano do ludzi, i której wielu przy-
wódców – jeśli nie czynnie – biernie to akceptowało. Takim numerem, czy raczej
happeningami, były konferencje prasowe, transmitowane przez telewizję. Te seanse

pogardy i nienawiści, jak o nich mówiono, były spektaklem. I tu ma rację Urban. Były przedstawieniem, w którym biorący udział dobrze znali swe role. Ma też rację, gdy twierdzi, że przyczyniły się często do sławy i karier dziennikarzy zagranicznych, akredytowanych w Polsce. Kilku z nich przyznawało w czasie konferencji z okazji 25-lecia „Solidarności”, że dzięki relacjom z Polski wyrobili sobie nazwiska.

Można pokusić się o stwierdzenie, że Urban swoimi bezczelnymi oświadczeniami, połajankami mediów zachodnich, które nie były mu dłużne, wzmacniał rolę opozycji. Gdyż, kiedy rozsierdzeni dziennikarze relacjonowali sytuację w Polsce, pisali z taką pasją, że łatwiej im było zainteresować macierzyste redakcje doniesieniami z dalekiego kraju, co w efekcie utrzymywało zainteresowanie Polską i „Solidarnością” przez długie lata i oczywiście miało pewien wpływ na politykę rządów zachodnich. Dziwi może jedna rzecz w postawie Urbana – jego wielka naiwność i wiara w zapewnienia generałów, że fakty mu przedstawiane, które następnie podawał do wiadomości publicznej, będą prawdziwe. Chciał – jak mówi – przedstawiać prawdę, choćby jedynie prawdę PZPR-u, ale nie chciał być wykorzystywany do głoszenia oczywistego fałszu. Jednak kilka razy oszukano go boleśnie. Dlatego to wielkie wyjście z cienia, ta wielka rola, którą grał z własnego nieprzymuszonego wyboru, dziś dostarcza mu pewnych zgryzot.

Urban wykazuje zadziwiającą bezradność w szukaniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego był tym, kim był. Upatrzył sobie Teresę Torańską na akuszerkę prawdy o sobie, jednak wezwanie było chyba za wczesne. Rozwarcie (jaźni) okazało się jeszcze za małe.

Prezentowane rozmowy w sumie dają wgląd w stan świadomości bohaterów Torańskiej, mówią też dużo o Polsce, o atmosferze panującej w PZPR-ze, o życiu aparaczyka, bez koturnów, patosu czy sloganów. Dopełnieniem tych rozmów są „peesy”, zawierające opis dzisiejszego stosunku do opowiadanych przez rozmówców dziejów i do ich roli w polityce i społeczeństwie.

Nina Smolar

Rozmowa z generałem Wojciechem Jaruzelskim

PIERWSZY



Wolność. Czym jest?

Uświadomioną koniecznością. Powtórzę za znanymi filozofami.

Heglem i Marksem.

To nie jest głupie, co głosili. Oni mieli rację. Człowiek nie jest absolutnie wolny.

Pan był choć raz?

Nie byłem.

Człowiek całe życie musi liczyć się z wieloma ograniczeniami. Z prawami, które obowiązują, z otoczeniem, w jakim żyje. A pani była?

Jestem. Od 13 grudnia 1981 roku.

Ależ proszę pani, o czym pani mówi! Poczucie, że mogę, mam prawo, że mi wolno, bez określenia ram, w których mogę się poruszać, z pominięciem nadrzędnych konieczności, presji i uwarunkowań, które można określić kategorią mniejszego zła, to teoria! Człowiek od dzieciństwa słyszy: nie ruszaj tego, nie dotykaj, nie rób, nie idź tu – tam, nie wypada, nie wolno. Zakazy, nakazy, rygory.

I czerwony barszcz, którego nie lubi, zjeść musi?

Musi.

Bo pan siedział nad talerzem barszczu...

Siedziałem. Nieraz do wieczora. W naszej jadalni w Trzecinach. A potem było katolickie gimnazjum i internat, sześć lat, u ojców marianów. I podporządkowanie regułom surowszym niż w domu. Pamiętam jak przez różową mgłę.

Dlaczego różową?

Tamten czas – lata dwudzieste, trzydzieste, gdy ogląda się je z dystansu siedemdziesięciu lat, wydają się bezkonfliktowe, a przykre czy niesympatyczne zdarzenia odchodzą daleko w cień.

Kiedyś śniły mi się – jeszcze pięć, dziesięć lat po wojnie – dom, w którym mieszkaliśmy, dwór dziadków – duży, który stał obok, ogród, park. Trzeciny to była posiadłość otoczona wspaniałą przyrodą, cudownymi krajobrazami. Konie, psy, przeważnie dobermany. Kochałem konie. Pierwszego – kucyka – dostałem, gdy byłem małym chłopcem. To była klaczka, nazywałem ją Kucka. Kucka była moja.

Trzeciny spaliły się doszczętnie w czasie działań wojennych. Po wojnie objęła je reforma rolna.

Kilka lat temu pojechałem tam.

I...?

Po naszych Trzecinach została tylko rzeka Brok wpadająca do Bugu, pola, gdzie w zimie ze starą strzelbą dziadka polowałem na zające, oraz skarpa, po której kiedyś zjeżdżałem na sankach. Nie ma dworu, nie ma budynków gospodarczych, nie ma wielkiego ogrodu. Ale nie ma też i paskudnych czworaków – stwierdziłem z satysfakcją. Stoją w ich miejsce bardzo przyzwoite domy byłych pracowników majątku, a nasz dawny furman mieszka dzisiaj w większym i ładniejszym od mojego.

Dla mnie – człowieka lewicy – było to odkrycie optymistyczne. Wszystkim więc, którzy ubolewają – poniekąd słusznie – nad zniszczonymi czy zdewastowanymi, często w barbarzyński sposób, polskimi dworami i pałacami, które przez wieki były skarbnicą naszej tradycji i kultury, mówię, że równoległe z dworami znikły czworaki. Wielkim dorobkiem Polski Ludowej jest zniknięcie czworaków.

I ziemiaństwa, klasy próźniaczej.

Dlaczego próźniaczej? Ziemianami od wieków byli rodzice mojego ojca. Ziemianami byli również rodzice mojej matki. Mój ojciec miał 1/8 majątku w Rusi Starej, gdzie gospodarował jego brat. A mojej matce po śmierci jej rodziców przypadłaby połowa majątku w Trzecinach. Ojciec był wysoko kwalifikowanym rolnikiem, ukończył czeską akademię rolniczą w Taborze i zajmował się administrowaniem cudzymi majątkami. Między innymi w Kurowie, gdzie się urodziłem, a potem majątkiem rodziców mojej matki w Trzecinach. Całe życie ciężko pracował.

Pochodzenie: inteligencja pracująca – podał pan w punkcie zbornym do armii Berlinga.

To była prawda. Moja matka też była wykształconą kobietą.

Ale w gimnazjum marianów zaliczano pana rodziców nie do „inteligencji pracującej”, tylko do ziemiaństwa.

To co miałem podać według pani? Tam, na Syberii? Formalnie – synem właściciela ziemskiego nie byłem.

Tylko wnukiem. A pana córka także, choć z innych powodów, składając papiery na studia w 1983 roku, napisała w kwestionariuszu: pochodzenie rodziców – najemni pracownicy umysłowi. A w rubryce zawód ojca – minister obrony narodowej.

Nie wiedziałem... Ale formalnie było to chyba w porządku.



*Matka Wanda z domu Zaremba,
lata dwudzieste XX wieku.*



*Ojciec Władysław, rok 1920,
w oddziale zagończyków.*



*Dziadek Wojciech,
uczestnik powstania styczniowego.*

Formalnie był pan już także premierem i pierwszym sekretarzem PZPR-u.

Wiedziała jednak, że wojsko jest mi najbliższe.

Ona przeżywała bardzo trudne chwile, wiem. W 1981 roku chodziła do klasy maturalnej.

Stan wojenny był dla niej ciosem.

I co z tego?!

Proszę się nie oburzać.

Ja się nie oburzam. Ja nie rozumiem. Miałem nie podejmować decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego z uwagi na córkę?!

Dowiedziała się o nim, jak my, z pana przemówienia telewizyjnego?

Tak jest. Nigdy żony i córki nie wprowadzałem w szczegóły mojej szamotaniny. Ostatnich siedem – dziesięć dni przed praktycznie nie było mnie w domu. Jeśli przychodziłem, to na chwilę, zmienić bieliznę.

Ileż nieprzespanych nocy w Urzędzie Rady Ministrów spędziłem! Koszmarnych, pełnych udręki, kiedy borykałem się: co robić? co robić! Jak z tego wyjść?! Na zapleczu gabinetu miałem niewielki pokój z wąską kanapką i toaletką.

A w gabinecie wielką mapę świata.

Nie w gabinecie, tylko w korytarzu prowadzącym do mego gabinetu. Bardzo wielką. Powiesił ją ktoś z moich współpracowników. Codziennie na nią patrzyłem. Europa – podzielona, przecięta na pół – i Polska znajdująca się na głównej osi między Wschodem i Zachodem, w najbardziej newralgicznym miejscu tego przecięcia. Patrzyłem na nią szeroko otwartymi oczami.

Trzeba było na nią patrzeć trzeźwo, realistycznie.

Co panu wtedy powiedziała?

Córka? Nie chcę improwizować. Nie pamiętam.

Ona uciekła z domu.

Nie uciekła, tylko zamieszkała u swoich przyjaciół. Za wiedzą matki. Po maturze pauzowała. Na studia poszła rok później. Ale się nie skarżyła. Dzielnie przetrwała. Milczała. Sam fakt, że milczała, ona i moja żona, był dla mnie ogromnym wsparciem. Prawdopodobnie chciały mi oszczędzić przykrości. Moja córka zawsze była mądrą dziewczyną.

Tylko mamie któregoś razu w kuchni powiedziała: dziękuję ci, że wychowałeś mnie na wolnego człowieka.

Nie wiem, co miała na myśli. Może moje stanowisko, mój gorset, w którym tkwiłem.

Żona mogła z nią rozmawiać swobodniej, nie była w swoich reakcjach ograniczona formułami i ocenami żołnierza, zwłaszcza tak wysoko postawionego jak ja.

Moja żona zresztą w ogóle jest osobą emocjonalną, w wielu sytuacjach reagującą bardzo spontanicznie. Powiedziałbym, nawet niekonwencjonalnie. Poza tym więcej czasu spędzała w domu niż ja. Pracowała na Uniwersytecie Warszawskim jako wykładowca, jest germanistką. De facto tym domem rządziła. Mnie często w nim nie było.

A z tamtego, pana rodzinnego, coś zostało?

Dwa srebrne lichtarze, które babce udało się schować. I trochę fotografii.

A w panu, co się uratowało?

Napoleon (*uśmiech*). Mam w sobie głęboko zakorzeniony kult Napoleona.



W roku 1927.



W roku 1931.

Chciał pan być Napoleonem?

Nie, nie, moje aspiracje nigdy nie sięgały tak wysoko. Jako dziecko nie myślałem zresztą, że będę wojskowym. Ja wtedy chciałem być Lolkiem grenadierem, który mu służył. To był chłopiec, bohater książeczki *Lolek grenadier*. Otrzymałem ją od rodziców, mając pięć lat, nie umiałem jeszcze czytać. Jest jedną z nielicznych rzeczy,

jakie zachowały się z mego rodzinnego domu po wojnie. Nasza poczciwa niania ją uratowała. Z biblioteki, którą zostawiliśmy, uciekając przed Niemcami. Trzymam dla wnuka. Ma dziewięć miesięcy. Jest fantastyczny.

Też będzie generałem?

Nie, nie. Niech będzie, proszę bardzo, choć ja kocham wojsko, kocham ten zawód, ale on niech będzie lekarzem, inżynierem, dziennikarzem. Świat będzie potrzebował coraz mniej żołnierzy.

Na okładce jest rysunek małego chłopca w dużej napoleońskiej czapie, bardzo chciałem mieć wtedy taką czapę. A na tytułowej stronie jest napisane ręką mojej matki: Wojtuś Jaruzelski.

Lolek trafił do gwardii cesarza i u jego boku zwyciężał pod Austerlitz, Jeną, Wagram. A na końcu książeczki budzi się. Lolek powraca z krainy czarów i uświadamia sobie, że te wszystkie bitwy były snem.

Upokorzeń na Wyspie Świętej Heleny z cesarzem nie przeżył?

Ta jego służba dla cesarza była snem. Dobrym. Pięknym snem. Teraz myślę, że Lolek grenadier zawsze we mnie tkwił.

I cesarz?

No (*uśmiech*), trochę to irracjonalne i sprzeczne – wiem – z wyznawanym przeze mnie światopoglądem, ale trudno. Jeśli czas go nie wyplukał, nikt już ze mnie cesarza nie wykarцуje.

Próbowano?

No, wie pani, ja w wojsku ze swoją atencją dla Napoleona się nie obnosiłem. Choć, owszem, mówiło się o nim, o jego wielkim talencie. Był przecież geniuszem wojennym, dowódcą wszech czasów.

I nie bał się Rosji.

No, prawdopodobnie do czasu. Rosja go w końcu pokonała.

A pan, bał się?

Rosji?

Jak pani wie, byłem wychowywany – od niemowlęctwa niemalże – w antyrosyjskości, w antyradzieckości. Mój dziadek, po którym mam imię, brał udział w powstaniu styczniowym, zesłano go na Sybir, przesiedział tam osiem lat. Mój ojciec walczył w wojnie 1920 roku jako ochotnik. Wtedy Rosji nienawidziłem. Ale potem, gdy poznałem zwykłego Rosjanina, Sybiraka, który dzielił się z nami kawałkiem chleba, kiedy zobaczyłem go, cierpiącego jak my, ofiarnie walczącego na froncie, zweryfikowałem mój stosunek do nich. Lubię Rosję, lubię Rosjan. Choć to dziś niemodne.

Lubił pan Chruszczowa?

Nie znałem. Raz uściśnąłem mu dłoń. Na lotnisku w Goleniowie, kiedy razem z Gomutką przyjechał do Szczecina, gdzie byłem dowódcą 12 dywizji. Ciepła i pulchna, nic szczególnego.

Breżniewa?

Ja lubię, proszę pani, naród rosyjski. Prostych ludzi, serdecznych, dobrych, z którymi rąbałem drzewo w tajdze. Ja lubię moich towarzyszy broni, Rosjan, z którymi wspólnie walczyłem na froncie. Wie pani, co to jest braterstwo broni? Kiedy obok siebie w walce ma się kolegę, na którego można liczyć, który gotów jest za ciebie umrzeć. To tworzy więź. Nie da się jej opisać.

Pierwszego Rosjanina zobaczył pan kiedy?

We wrześniu 1939 roku. 10 września uciekliśmy z Trzecin przed Niemcami. My i chyba trzech mężczyzn ze służby. Trzy wozy po parę koni i tak zwany wózek krakowski, bardzo pakowny ekwipaż.

Moja siostra naszą tułaczkę po latach ze szczegółami opisała. Ona pamięta z niej prawie każdy dzień.

Miała jedenaście lat.

Ja szesnaście. Jechaliśmy na wschód. Głównie nocami, bo w dzień Niemcy bombardowali zatłoczone drogi. Pod Nowogródkiem w jednym z majątków, bo zatrzymywaliśmy się w majątkach jako ludzie z tej sfery, dowiedzieliśmy się, że w radiu podano informację, iż Sowieci przekroczyli naszą granicę. Wtedy na radzieckich mówiło się Sowieci. Ojciec zdecydował, że trzeba wracać.

Pierwszych zobaczyłem pod Grodnem. Ukryliśmy się w rzadkim lesie. Krążyli po nim czołgami, strzelali. Widziałem zabitych polskich żołnierzy.

Potem zobaczyłem ich w 1940 roku na Litwie. Nagle pojawili się na łąkach obok miasta Kalvarija, po polsku Kalwaria. Było ich mrowie. Mrowie. W szarych szynelach, w spiczastych czapkach budionnówkach z czerwonymi gwiazdami. Szok. Miałem wrażenie, że ta ogromna masa za chwilę nas zaleje. Bardzo się ich bałem.

Moja ówczesna wiedza o Związku Radzieckim, ówczesna świadomość i wychowanie spowodowały, że wydawali mi się istotami niemal diabelskimi. Trwałem w oczekiwaniu, kiedy przyniosą nam nowe nieszczęścia.

Uciekliśmy na Litwę, zamieszkaliśmy u państwa Hawrylkiewiczów w majątku Winksznupie. Litwa była wtedy niepodległa, nie przypuszczaliśmy, że Sowieci ją zajmą niecały rok później. Majątki nacjonalizowano, właścicieli wyrzucano z dworów, zaczęły się deportacje.

W czerwcu 1941 roku, o świcie, walenie kolbą w drzwi. Spałem na plebanii u księdza, Litwina. Weszło kilku żołnierzy. Z wielkimi sztykami.

Szykami?

Bagnetami. Bagnet to stara, ulubiona broń Rosjanina, żołnierza dzielnego z natury. Jest takie powiedzenie carskiego feldmarszałka Suworowa – który między innymi zdławił powstanie kościuszkowskie – często przez nich cytowane: *pula dura – sztyk motodiec*.

Nie rozumiem.

Kula – durna, trafi do celu albo nie, a bagnet to zuch, zawsze jest skuteczny. Ale trzeba mieć odwagę, żeby się nim posługiwać.

Mordować, miał pan...

Co?

...odwagę.

Na froncie nie byłem szeregowym żołnierzem, ale oficerem zwiadowcą. Posługiwałem się pistoletem. Zresztą w ogóle w drugiej wojnie światowej mało kto używał bagnetu. Walczyło się głównie bronią maszynową.

Z plebanii dowieziono mnie do rodziców. Jakiś Litwin odczytał po litewsku i po rosyjsku decyzję o deportacji, zrozumieliśmy piąte przez dziesiąte. Ojca kazano spać oddzielnie, znak, że zostaniemy rozdzieleni.

Przy towarowym wagonie stał *bojec*, żołnierz z karabinem. Ojca umieszczono w jednym wagonie, mnie, matkę i siostrę wepchnięto do innego. Było w nim kilkadziesiąt osób. Na przedmieściach Wilna staliśmy półtora dnia, wagon z ojcem został odczepiony, wywieziono go do łagrów.

Bardzo to dzisiaj wydaje mi się odległe i miałkie. Pamięć ludzka jest selektywna. Wyrzuca rzeczy, które dręczą, bołą i stara się w psychicznej samoobronie zachować wspomnienia, które życie mu ułatwiają.

Te utrudniłyby?

Na pewno. Zresztą temat deportacji w PRL-u nie istniał. Był wstydliwie pomijany przez całe dziesięciolecia. Przyjęta została formuła: w czasie wojny znalazł się na terenie ZSRR. Ja też tak pisałem w życiorysach. To była formuła zastępcza. Mówiąc szczerze, specjalnie mi jakoś nie uwierała. Nie trzeba było przecież być wielkim znawcą przedmiotu, by wiedzieć, dlaczego i jak znalazłem się w Związku Radzieckim.

Rosja to wielki kraj. Nasz ogromny sąsiad, z którym łączy nas słowiańskość, podobieństwo cech narodowych oraz wiele kart historii. Złych i dobrych. Niekiedy tragicznych. My byliśmy ciężko przez nich krzywdzeni, ale zdarzało się, że i my ich krzywdziliśmy. Wciąż pamiętają nam, że w latach 1610–12 rządaliśmy Kremlem.

Pociąg od czasu do czasu zatrzymywał się na jakichś stacjach, wywoływali *dwa* *czetowieka za kipiátkom* i biegłem po wrzątek. Po miesiącu dojechalśmy na Syberię, do Kraju Altajskiego. I wie pani, to może paradoksalne, ale nigdy potem już Rosjan się nie bałem.

Wszedł pan w mrowie?

Znaleźliśmy się w Górach Altajskich, w środku tajgi, 300 kilometrów od Bijska. Zobaczyłem, że to ludzie tacy sami jak my.

I zaczął krakać jak oni?

No, to zbyt daleko posunięte stwierdzenie, bo niekoniecznie trzeba było krakać. Ale stałem się – można powiedzieć generalnie – członkiem stada. Piłowałem z nimi wielkie syberyjskie sosny, rąbałem, układałem w pryzmy. Jak oni marzłem i głodowałem.

Nie lubię tych wspomnień. Dzisiaj niektórzy wyciągają swoje cierpienia i epatują nimi otoczenie. Ja tą drogą nie pójdę. Wszedłem na inną: drogę sojuszu i przyjaźni. Związek Radziecki był naszym sojusznikiem. Przy wszystkich ciężarach i bólach ograniczonej suwerenności. Mam satysfakcję, że potrafiłem w pewnym momencie wznieść się ponad historyczne urazy i osobiste krzywdy.

Nie mogę, oczywiście, usunąć z mego życiorysu tych ciężkich chwil i nie mogę ukrywać, że mój ojciec wkrótce po wyjściu z łagrów umarł. Był mocno zbudowanym mężczyzną, masywnym, na granicy otyłości, z ogromnym temperamentem, bardzo energiczny, a po kilku miesiącach z obozu wyszedł szkielet. Zjadł makuchy, wytłoczył ze słonecznika, które w normalnych warunkach służą jako pokarm dla bydła, a nam zastępowały nieraz chleb, dostał krwawej dyzenterii i umarł.

Ryż mógł go uratować.

Ale ryżu nie było. Lekarstw też nie było. Miał 53 lata.

W połowie lat osiemdziesiątych w rozmowie z Gorbaczowem wspomniałem, że mój ojciec jest pochowany w Bijsku, na cmentarzu prawosławnym.

W czerwcu 1942 roku jego grób obłożyliśmy darnią i postawiliśmy na nim zwykły drewniany krzyżyk.

Gorbaczow spowodował, że na mogile mego ojca postawiono nagrobek, położono płytę, wbito w nią katolicki krzyż i napisano – po rosyjsku, oczywiście – nazwisko i daty. Bardzo to było ładne z jego strony.

Ale wie pani, czym mnie naprawdę zaskoczył? Obok grobu mego ojca postawiono drugi, większy, dla „Polaków zmarłych na Syberii w latach 1939–46”. Oczywiście symboliczny. Bardzo to było mądre i taktowne z jego strony. Że oto proszę, zobaczą, szanuje się wszystkich zmarłych, a nie tylko czyni się gest dla Jaruzelskiego.

Ojciec wpisał pana na listę ochotników do armii Andersa.

Nie zdążyłem. Tysiące Polaków nie zdążyło dotrzeć do Andersa. Nie mogliśmy wy dostać się z tajgi. Miejscowe NKWD nie zezwalało na wyjazd. Prawdopodobnie nie chcieli tracić siły roboczej.

Z matką i siostrą zdecydowaliśmy się uciec. Pomógł nam jeden z wozaków. Bardzo niebezpieczna eskapada. Kiedy po tygodniu z perypetiami dotarliśmy do Bijska, gdzie urzędował tak zwany mąż zaufania, armia Andersa szykowała się już do wyjścia z Rosji. Najpierw powiedzieli mi: proszę czekać, nie wasza kolej. Powotania bowiem odbywały się regionami. A później okazało się, że jest za późno. Jedyнным ratunkiem, zbawieniem, nadzieją na powrót do Polski stała się armia Berlinga.

Pobudka o szóstej rano.

Tak jest. W szkole oficerskiej w Riazaniu.

Jak w gimnazjum u marianów (*uśmiech*). Do sali wchodził ksiądz, zapalał światło, klaskał i wołał: wstawać, wstawać! A po obudzeniu był pacierz przy łózkach.

Na kolanach?

Tak jest. I msza dwa razy w tygodniu. Po pacierzu gimnastyka, a po gimnastyce śniadanie. Przed śniadaniem wszyscy głośno na stojąco mówili: pobłogostaw, Panie Boże, nas i te dary, które będziemy spożywali z Twojej świętej Opatrzności... Po śniadaniu zaś: dzięki Ci, Boże, za te dary, któreśmy spożywali z Twojej świętej Opatrzności..., dalej nie pamiętam. Przy obiedzie i kolacji to samo.

W Riazaniu spaliśmy na piętrowych łózkach i budzono nas bardziej brutalnie, ostrzejszym tonem. Pobudka! – krzyczał dyżurny – *podjom!*

Mieliśmy mieszaną kadrę, polsko-rosyjską. Moim pierwszym batalionem piechoty, bo były dwa, dowodził Rosjanin, kapitan Kostrikow. Komendantem szkoły był Polak, przedwojenny oficer, major Łopaciński.

Po pobudce była zaprawa fizyczna, rozebrani do pasa, bez względu na pogodę biegaliśmy i skakaliśmy. Potem trening strzelecki, na sucho, ładowanie i rozładowywanie broni.

Śmieszne to było i idiotyczne, jak dzisiaj widzę, bo ćwiczyliśmy na tak zwanej łódce amunicyjnej karabinu, w którego magazynku mieściło się pięć sztuk amunicji. Po to, by uzyskać większą sprawność, musieliśmy wpychać te naboje na tempo.

Potem biegliśmy do długiego koryta z rzędem kranów. Wtedy jeszcze się nie goliłem.

Woda?

Lodowata, nic strasznego. Po Syberii byłem zahartowany. U marianów zresztą też byłem się w zimnej.

Dzisiaj myślę, że dyscyplina, której nauczyłem się u marianów, ułatwiła mi przystosowanie się do rygorów obowiązujących w Riazaniu. Chociaż były one zupełnie nieporównywalne. Tam – perswazyjna, opiekuńcza. W Riazaniu – rygorystyczna, twarda, surowa. Ona wynikała z żelaznej logiki, jaka obowiązuje w wojsku: wymusić bezwzględne posłuszeństwo, bo jest niezbędne na froncie.

Wtedy tego nie rozumiałem i gdy kazano mi czołgać się w kałuży, uważałem to za bezsens. Porucznik Konieczny, przedwojenny podoficer zawodowy, ryczał basem: padnij, czołgaj się! Jeszcze dziś te jego komendy dźwięczą mi w uszach. Był moim dowódcą w kompanii karabinów maszynowych. Ciągłe słyszałem: więcej potu na ćwiczeniach, mniej krwi w walce. Niegłupie to było. Jak przejdzie się twardą szkołę w koszarach, na poligonie, na placu ćwiczeń, na froncie rzeczywiście jest lżej.

Po myciu był apel, odliczanie, przegląd umundurowania i *Kiedy ranne wstają zorze*. Polska pieśń kościelna była dla nas ważnym patriotycznym akcentem w radzieckim otoczeniu.

Potem wymarsz na śniadanie i zajęcia, siedem godzin do obiadu, a po obiedzie kolejne trzy.

Byliśmy wszyscy straszliwie wygłodzeni. Nie pamiętam, ile dostawaliśmy chleba, ale pamiętam sposób jego dzielenia. Chodziło o to, by było sprawiedliwie. Przy

stole siedziała drużyna, czyli przeciętnie dziesięciu podchorążych, na stole leżał bochen i stało wiadro zupy. Wszyscy siedzieli odwrócenymi tyłem do stołu, a jeden kroił chleb i pytał komu. Zgłaszaliśmy swoje nazwiska. Różnice w wielkości kromek były więc kwestią przypadku, a nie braku bezstronności. Podobnie rozdzielaliśmy zupę.



W gimnazjum marianów, lata trzydzieste XX wieku. W środku – córka Romualda Traugutta, powyżej od prawej prawnuk i wnuk Traugutta, poniżej przykucnięty po prawej W. Jaruzelski.

Na koniec dnia był apel. I znowu polski akcent. Ze wzruszeniem śpiewaliśmy *Wszystkie nasze dzienne sprawy i Rotę*.

Na placu Lenina?

Nie, nie, też na korytarzu. Apele odbywały się na korytarzu szkoły. Plac Lenina znajdował się w centrum miasta. Maszerowaliśmy tam, by ćwiczyć krok defiladowy.

Kim był Lenin, już pan wiedział?

Oczywiście. Ikona. Wielki człowiek – mówiono – wspaniały przywódca, wódz.

A Stalin?

Geniusz. Dziś powiedziałbym, że to geniusz gry, manipulacji, intrygi, szatańskiej przebiegłości. Genialny potwór. Zbrodniarz.

Co było w nim genialnego?

Jego siła. Jego determinacja. On stawiał opór Hitlerowi. On poprowadził do zwycięstwa. Początkowo wydawał mi się jakąś abstrakcyjną postacią z dalekiego Kremla. Ale gdy zobaczyłem na froncie radzieckich towarzyszy, umierających z jego imieniem na ustach, gdy widziałem żołnierzy, którzy krzycząc „*za rodzinę! za Stalina!*”, rzucając się do boju i ginąc, uległem fascynacji. Najtęższe umysły ulegały podobnej fascynacji. Nie tylko my – młodzi i głupi.

On wywalał przecież uciemnione narody spod buta niemieckiego najeźdźcy. Gasił piece krematoryjne. To dzięki niemu Polska miała zagwarantowaną zachodnią granicę na Odrze i Nysie, on ją wywalczył dla nas, wchodząc w spór z Churchilllem. Takie przekonania dominowały wtedy w moim środowisku. Połączenie fascynacji i podziwu dla wielkiego wodza, następcy Lenina. Dobroczyńcy Polski, rzecznika oraz gwaranta polskich granic i polskich interesów.

Przecież was skazał na Syberię.

I co z tego? Skazał, by zapewnić bezpieczeństwo Związkowi Radzieckiemu. By opóźnić agresję hitlerowską na swój kraj.

Kto was tego uczył?

W Riazaniu Władysław Matwin, przedwojenny komunista, później między innymi sekretarz KC PZPR, człowiek niemałego formatu. Był naszym „świętym”, jak nazywaliśmy w żołnierskim żargonie oficerów oświatowych. Potem byli kolejni „święci”, także starzy KPP-owcy, nietuzinkowi ludzie, godni zaufania. W pułku kapitan Bronsztajn, czyli Michał Bron, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, po wojnie w II oddziale WP, a po 1968 roku wyemigrował do Szwecji.

Pranie mózgu.

Zamieńmy na indoktrynację.

„Mamusiu Kochana, pamiętaj – zapewnił pan matkę jesienią 1943 roku – że ja zawsze pozostanę takim, jakim byłem, i moich przekonań nikt łatwo nie zmieni”.

Trochę wstydzę się formy tych listów. Pisałem je często na kolanie, potem w okopach. Polszczyzna w nich nie podoba mi się. Po latach oderwania od kraju jest okaleczona rusycyzmami, koślawa, nie taka, jak bym sobie życzył.

Pan – jeśli chodzi o styl – jest perfekcjonistą.

Tak jest. Długo zawsze pracowałem nad swoimi wystąpieniami. Wielokrotnie je po swoich sekretarzach przerabiałem, cyzelowałem zdania, doprecyzowałem.

Pana matka część listów pisanych z frontu i wysyłanych przez pana do niej do Bijska spaliła.

Z obawy o mnie. Było w nich podobno dużo krytycznych ocen. Po prostu wiele rzeczy w wojsku i w Polsce, do której wszedłem z 1 armią w 1944 roku, nie podobało mi się. Kochana mama. Nie chciała, by mi zaszkodziły. W mojej karierze. Obawiała się, że wpadną w obce ręce.

Nie podobaty się panu „akademie, pogadanki itp. (...), które wiadoma rzecz, co mają na celu”?

Oczekiwano od nas potępienia przeszłości przedwojennej. Tłumaczono, że rządy sanacji to była czarna reakcja, a rząd londyński to bankruci polityczni. Trzeba było zacisnąć zęby. Starano się z nas wydrzeć przekonania, jakie wynieśliśmy z domu i ze szkoły.

I wydarli, prawda?

Proszę pani, ja wiem, że po latach trudno zrozumieć przeszłość. Można opisać jedynie fakty, nie da się jednak odtworzyć tamtego myślenia, tamtych emocji, tamtych psychicznych uwarunkowań. One nie były jednoznaczne.

Po wyjściu armii Andersa my, Polacy, przeżywalismy w Rosji trudne chwile. Słyszeliśmy od Rosjan: no, patrzcie, my tu walczyliśmy, bronimy świata przed faszyzmem, a wasz Anders poszedł do ciepłych krajów. Więc kiedy znaleźliśmy się w wojsku, kiedy człowiek zrzucił z siebie podarte łachy, założył polski mundur i dostał broń, był szczęśliwy. Otrzymaliśmy szansę uczestnictwa w wojnie. Patrzcie – mogliśmy powiedzieć Rosjanom – my też będziemy walczyć, Polacy nie wymigują się od walki.

W szkole w Riazaniu znaleźli się ludzie doświadczeni. Niektórzy mieli za sobą ciężkie przeżycia, cięższe niż moje. Jeden z moich kolegów, nazywał się Landa, zginał potem na Wale Pomorskim, miał wszystkie zęby wybite. Opowiadał, że podczas przesłuchań był brutalnie bity i któregoś razu nie wytrzymał, chwycił taboret, na którym siedział, i zaczął nim tłuc enkawudzistów. Za to wybili mu wszystkie zęby.

I wie pani, jak o tym teraz mówię, to ze zdziwieniem, naprawdę ze zdziwieniem, zaczynam zdawać sobie sprawę, że my wtedy, tam, w Riazaniu, o tym powiewie stalinizmu, który każdy z nas odczuł na własnej skórze, nie baliśmy się rozmawiać. Nie mieliśmy poczucia, że: o, uważaj, ktoś nas podsłuchuje. Było też – pamiętam – jakieś ćwiczenie, prowadził je młody radziecki lejtnant, i my raptem zaczęliśmy mocno krytykować coś, co widzieliśmy w Związku Radzieckim, a co nam się nie podobało, i on spokojnie starał się nam to wytłumaczyć. Nie krzyknął: co wy tutaj! *mołczat!*

Bo potem?

Potem takich rozmów nie pamiętam. Może jeszcze były na froncie, może w pierwszych latach powojennych. Wydaje mi się, że jeszcze w latach czterdziestych w wojsku było dość dużo swobody w wypowiedzianiu ocen, nie zawsze pokrywających się z obowiązującymi normami i doktryną. Pamiętam, że odbywały się jakieś dyskusje, zadawano pytania, oczekiwano wyjaśnień. I chyba nie każda wypowiedź *niebtago-nadiożna* traktowana była jako podejrzana czy wroga dla ustroju. Psychoza zaczęła narastać dopiero później, w końcu lat czterdziestych.

„Jestem – pisał pan do matki – stale zajęty ze swymi ludźmi, trzydziestu ludzi o różnych pojęciach i usposobieniu, trzeba ich wszystkich jeszcze mocno szkolić i trzymać w garści, ażeby zachować należytą dyscyplinę”.

Zostałem dowódcą plutonu w 5 pułku piechoty. W grudniu 1943 roku, po skończeniu szkoły oficerskiej w Riazaniu.

Miał pan dwadzieścia lat.

Przestałem być wyłącznie obiektem odbierania i wykonywania rozkazów. W dalszym ciągu miałem oczywiście przełożonych, ale sam też byłem już przełożonym i wydawałem rozkazy.



Czołgania się w kałuży?

Byłem bardzo wymagający. Swoich żołnierzy musiałem jak najlepiej wyszkolić, wychować, przygotować do walki. 15 procent żołnierzy w moim pułku było przecież analfabetami. Ale nie byłem sadystą, który w głupi sposób wykorzystuje swoją władzę.

Dostał pan ordynansa?

Dostałem. Wtedy na ordynansa mówiło się łącznik. Przynosił jedzenie, załatwiał sprawy.

Buty czyścić?

No, zdarzało się. Wtedy mieliśmy buty z cholewami kierzowymi, brezentowymi, pomalowanymi na czarno. Skórzane oficerki zafundowaliśmy sobie później, po wojnie.

Konia pan też dostał?

Tak jest. Trochę później. Kiedy zostałem dowódcą zwiadu konnego.

Proszę zajrzeć do listu, który napisałem do matki 21 czerwca 1945 roku. Po zakończeniu wojny, z rejonu Cottbus, na zachód od Nysy Łużyckiej. Nissa – piszę, jeszcze używając ówczesnej pisowni. Ten list jest dla mnie najważniejszy. Zawarłem w nim moje credo życiowe, któremu pozostałem wierny przez całe życie i które tłumaczy moje dalsze losy. Pisałem: „Na pewno zdajecie sobie sprawę, że teraz po skończeniu wojny wynikło bardzo wiele zagadnień i problemów trudnych do rozwiązania. I chociaż każdy przedstawia je w innym świetle, to ja pozostałem takim, jakim byłem, rozumiejąc jednak obowiązek pracy i służby względem Polski, jaką by ona nie była i jakich ofiar by od nas nie żądała”. Rozumie pani? Służyć Polsce takiej, jaką by ona nie była i jakich ofiar by od nas nie żądała.

Czyli stalinowskiej.

Wtedy Polska nie była stalinowska. Do 1948 roku na pewno nie. W wojsku mieliśmy dużo przedwojennych oficerów. Radziecy, wielu pochodzenia polskiego, masowo wyjeżdżali do ZSRR.



Potem, po 1949 roku, znowu przyjechali – wiem, proszę mi nie przypominać. W większości rdzenni Rosjanie, razem z przybyciem marszałka Rokossowskiego. Ale wtedy, od razu po wojnie, kraj się intensywnie odbudowywał, wrócił Mikołajczyk, w Polsce działały trzy partie, proponowały różne programy.

Pan wybrał PPR.

Nie od razu. Choć od początku bardzo mnie do wstąpienia do partii namawiano. Niezręcznie mi o tym mówić, ale należałem do wyróżniających się oficerów.

Z piękną wojenną kartą.

Virtuti Militari i dwa Krzyże Walecznych.

A potem udział w przeprowadzaniu referendum „trzy razy tak” i wyborów do Sejmu?

Ja z tym nie miałem nic wspólnego.

Nie? Bo żołnierze chodzili do mieszkań, agitowali do głosowania.

Nie zetknąłem się z tym. Nie byłem oficerem politycznym, ale liniowym. Nie byłem jeszcze członkiem partii. Nie uczestniczyłem więc w żadnych propagandowych akcjach.

Nie pilnował pan lokali wyborczych?

Ja nie. Ale moi koledzy zabezpieczali. Żeby nikt nie napadł, nie zlikwidował, nie przejął urn.

I o tym, że referendum i wybory zostały sfałszowane, pan nie słyszał?

Nie. No, skąd? W Polsce wtedy, proszę nie zapominać, trwała wojna domowa. Może inaczej: występowały elementy wojny domowej. Z podziemiem różnej proweniencji. Proszę nie zaprzeczać. To był nasz wielki narodowy dramat. Wojsko brało w tym udział.

Wie pan o tym z „Polski Zbrojnej”?

Nie, proszę pani, bezpośrednio od kolegów, którzy uczestniczyli w podobnych zdarzeniach. Ja kilka razy zabezpieczałem pociągi. Bo pociągi były zatrzymywane.

Przez kogo?

No, podziemie. Wygarniano z nich członków partii, milicjantów, Żydów i albo rozstrzeliwano, albo rozbijano i rozbierano.

Kursowałem więc z żołnierzami na trasie Piotrków Trybunalski – Częstochowa, tam i z powrotem, i pilnowałem pociągów. Wcześniej mój pułk brał udział w walce z UPA na Lubelszczyźnie, w powiecie hrubieszowskim. Czym wtedy była tak zwana Ukraińska Powstańcza Armia, tłumaczyć nie muszę.

O pozbawieniu polskiego obywatelstwa pięciu generałów, między innymi generała Andersa i generała Maczka, oraz 72 wysokich oficerów też pan nie wiedział?

Niestusznna decyzja.

To teraz, a wtedy?

No, wie pani, jeżeli nawet przedwojenni oficerowie, moi starsi koledzy, mówili, że słusznie, to dlaczego miałem uważać inaczej? W wojsku krytyka sanacyjnych rządów i sanacyjnego dowództwa była bardzo silna. Poza tym argumenty, jakie nam przedstawiano, przemawiały do wyobraźni.

Po pierwsze, oficerowie ci nie chcieli wrócić do Polski i włączyć się w odbudowę kraju. Po drugie, wstąpili lub patronowali jakiemuś korpusowi posiłkowemu, który miał być quasi-armią polską na Zachodzie. I po trzecie, liczyli na trzecią wojnę światową.

A najbardziej pikantnym szczegółem w tej historii jest to, na czyje zamówienie został na tę listę wpisany generał Anders. Wie pani? No, właśnie. Na posiedzeniu rządu przedstawiono listę, nie było na niej Andersa. I odezwał się wicepremier Mikołajczyk: Andersa proszę wstawić. Tak było, droga pani, jest to zaprotokołowane. Tylko tego pani, oczywiście, nie napisze.

Dlaczego?!

Nie opłaca się. Dzisiaj warto pisać, że wszystko, co działo się za komuny, było straszne, potworne, złe, głupie, podłe, zdradzieckie i zbrodnicze. I żyjemy jakoś tylko dzięki temu, że opozycja – wspaniała, cudowna, nieskazitelna – z tego gnoju nas wyciągnęła.

Bo według pana jak było?

Proszę pani, ja nie zamierzam udawać, że byłem inny, niż byłem. Owo udawanie to dzisiaj dość częsta przypadłość. Setki razy mówiłem i pisałem o zasadniczych wadach wrodzonych i ciężkich błędach realizacyjnych w funkcjonowaniu PRL-u. Już nie mówiąc o zbrodniach, zwłaszcza okresu stalinowskiego. Oddawałem też należny szacunek walczącym i cierpiącym za Polskę demokratyczną. Ale nie w kategoriach czarno-białych. Był też dorobek, były pozytywne. Była epopeja odbudowy kraju, utrwalanie polskości Ziemi Zachodnich. Zlikwidowano analfabetyzm, masom chłopskim umożliwiono przeniesienie się z przeludnionych wsi do miast, ich dzieciom dano punkty za pochodzenie, by mogły podjąć studia i awansować na drabinie społecznej. Nastąpiło zrównanie stanów. Zlikwidowano jaskrawe kontrasty społeczno-materialne.

Oraz znacjonalizowano przemysł, upaństwowiono handel i przeprowadzono reformę rolną.

Skala nacjonalizacji była przesadna. Całkowite uspołecznienie handlu idiotyczne. Ale reforma rolna była konieczna i uzasadniona. Choć bolesna. Bardzo bolesna. Widziałem.

Na Lubelszczyźnie, gdzie się urodziłem, niedaleko Kurowa, znajdowało się wiele majątków. Niektóre znałem z opowiadań rodziców. W lipcu 1944 roku przejeżdżałem obok majątku Bronice. Jego właścicielami byli Wołk-Łaniewscy. Moi rodzice bywali u nich przed wojną. Skręciłem z głównej drogi, podjechałem pod pałacyk. Zeskoczyłem z konia, wszedłem. Starsi ludzie siedzący na walizkach. Zupełnie spowinowierani. Czy państwo Wołk-Łaniewscy? Tak. – Przedstawiam się. – Ach – mówią – ceniliśmy bardzo pana rodziców, dobrze ich wspominamy.

Widzę – pałacyk splądrowany, uszkodzone meble, ktoś musiał już je patroszyć. I rozumiem – reforma rolna. A więc to miejsce, które należało do nich od pokoleń, już do nich nie należy, muszą je opuścić. Prawdopodobnie nie wiedzą, dokąd mają iść.

I wie pani, o czym wtedy pomyślałem, że gdyby moi rodzice nie zostali wywiezieni na Syberię, znaleźliby się w podobnie upokarzającej sytuacji.

Było mi przykro. Zostałem wychowany w innym duchu, w innej kulturze, w innym obyczaju i takie barbarzyńskie sytuacje mnie raziły.

Ale cel uświęca środki?

Dziejowa konieczność. Po dzień dzisiejszy tak uważam. Reforma rolna była konieczna. Moją babkę też wyrzucono z dworu, pozbawiono ziemi i musiała tułać się po znajomych.

Do partii więc wstąpił pan z przekonania. Nie dla kariery?

Tak. Ja byłem przekonany. Może inaczej – ja w 1947 roku zostałem już do nowego ustroju przekonany. Ukończyłem właśnie Centrum Wyszkozenia Piechoty, przekształcone później w Wyższą Szkołę Piechoty. Z wynikiem bardzo dobrym.

Zostałem wykładowcą taktyki i rozpoczął się jeden z najszcześniejszych okresów w moim życiu. Czułem się swobodnie, dużo czytałem, zawsze bardzo lubiłem czytać, chodziłem do teatru. Otrzymałem awans na majora, byłem kawalerem, prowadziłem beztrudne życie.

Uznałem, że socjalizm jest dobrą rzeczą.

Więc lepiej było zapisać się do PPS-u. Była to partia z ogromnymi przedwojennymi tradycjami. Właśnie socjalistycznymi.

W wojsku nie było PPS-u.

Dlaczego?

(Śmiech) Dlatego że w wojsku dominowała PPR i jasne było, że Ludowe Wojsko Polskie będzie się kierować ideologią marksistowską. Nie sądzę, by ktokolwiek mógł dłużej pozostać w wojsku, zapisując się do PPS-u. A ja w wojsku chciałem zostać. Wojsko stało się dla mnie domem. Drugą skórą. Gwarantowało dach nad głową, umundurowanie, pobory, z których część wysyłałem mamie i siostrze, dawało bezpieczeństwo.

Zresztą z PPS-em nic mnie nie łączyło.

A z PPR-em co?

Z PPR-em łączyła mnie świadomość, że moi starsi koledzy zapisali się do niej już w 1945, 1946 roku. Że zapisywali się do niej także przedwojenni polscy oficerowie, moi przełożeni. Do wielu z nich miałem zaufanie.

Partia w wojsku była nielegalna.

To prawda. W wojsku, jak przed wojną, obowiązywał wtedy zakaz prowadzenia działalności partyjnej.

A pan szczyci się wręcz, że jest legalistą, państwowcem.

Jestem. Ale PPR była już partią rządzącą.

Oficjalnie razem z PPS i PSL.

No to współrządząca. Ale dominująca. Natomiast PSL zeszła na pozycje opozycyjne i obce, a w PPS powstały podziały wewnętrzne. O tym w wojsku wiedzieliśmy. I wiedzieliśmy także, że partii zależy na tym, by z tą swoją dominującą rolą w państwie na razie ze względów taktycznych się nie afiszować. Działalność PPR-u w wojsku była więc utajniona, ale nie tajna.

To zresztą wtedy była inna partia, proszę pamiętać. Ona miała poprowadzić Polskę do socjalizmu polską drogą.

Przecież pan wiedział, czym jest ten socjalizm.

Nie wiedziałem, jaki będzie.

Pan nie wiedział?!

Proszę pani, moje doświadczenie radzieckie było doświadczeniem człowieka, którego wywieziono do tajgi i który pracował tam tak samo ciężko jak ludzie radzieccy, który dzielił z nimi ten sam los. Codzienność nie przynosiła faktów, które by nam pomogły ten system rozszyfrować. Wielu Rosjan, z którymi się zetknęliśmy, było zesańcami lub synami zesańców. Mieszkaliśmy, jeśli można to nazwać mieszkaniem, w dwuizbowej chacie. Jedną zajmowały dwie kobiety, a drugą – przejściową – my. Nie było sieni, więc jak otwierało się drzwi, to w zimie, strasznej, po 40 – 50 stopni poniżej zera,

kłęby pary buchały do środka. Mężowie tych kobiet siedzieli w łagrach i one, choć mówiły, że siedzą oczywiście niewinnie, mówiły z bólem, ale jednak nigdy ani władz radzieckich, ani tym bardziej Stalina nie przeklinały. Wręcz przeciwnie. One uważały, że Stalin jest wielki, dobry, o niczym nie wie, bo gdyby wiedział...

Ja pytam o system.

Dziś wiadomo, co było w nim złe, chore. Przyłączam się do tych ocen. U nas jednak często nie dostrzega się podstawowej różnicy, gdy porównuje się system radziecki z hitlerowskim. Że Polak wywieziony na roboty do Niemiec był czymś od Niemców gorszy, a gdy – nie daj Bóg – zadał się z Niemką, jego zabijano, a ją golono. Podczas gdy w Związku Radzieckim wszyscy traktowani byli tak samo i – przepraszam za wyrażenie – wżenić się w babę z krową było swego rodzaju awansem, dzięki czemu niektórzy Polacy nieźle się urządzali. My nie byliśmy tam obywatelami drugiej kategorii. Nie traktowano nas gorzej niż swoich obywateli. Te władze zresztą były daleko.

Powiedział pan matce?

O czym?

Że zapisał się pan do partii.

Nie. Nie powiedziałem.

Dlaczego?

Nie pytała. Moja matka, moja siostra nigdy mnie o politykę nie pytały. Nawet wtedy, gdy zostałem szefem Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego.

Wiedziały?

Oczywiście, przecież prasa o tym pisała. Myślę, że wtedy objęcie przeze mnie stanowiska politycznego musiało je szczególnie zabołeć. Moja matka musiała z tego powodu ogromnie cierpieć. Widziałem, że cierpi, czułem to. Mogłem jej co najwyżej mówić: mamusiu, to, co robię, uważam za słuszne, niech mi mamusia zaufa.

Tak pan jej mówił?

Tak.

A matka na to...?

Jestem przekonany, że ufała, iż nie popełnię rzeczy niegodziwych. Że ja osobiście ich nie popełnię.

Była niezwykłą kobietą, dobrą, delikatną, kulturalną, mądrą. Ona moje decyzje szanowała. Podobnie siostra.

Dzisiaj, jak o tym myślę, jest mi jej bardzo żal. Biednej starej matki, która wraca z Syberii i nagle widzi, że jej ukochany syn wszedł na drogę, która dla niej jest drogą obcą, na drogę, której ona nie aprobuje, nie potrafi zaakceptować. Umarła w 1966 roku.

Pamięta pan jej pogrzeb?

Tak, oczywiście. Matka z siostrą mieszkały w Lublinie. Byłem wtedy szefem Sztabu Generalnego i wiceministrem obrony narodowej. Zastanawiałem się, co zrobić.

Jechać czy nie jechać?

Nie miałem wątpliwości, że pojedę. Ale to był katolicki pogrzeb. Moja matka była osobą głęboko wierzącą. Zresztą moja siostra i szwagier też. Siostra jest absolwentką Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, szwagier był tam profesorem.

Przed wyjazdem rozmawiałem z ministrem obrony narodowej, marszałkiem Spychalskim. Poinformowałem go, że chcę jechać.

Po co?

Bo na drugi dzień i tak miałby na biurku informację, że generał Jaruzelski był na katolickim pogrzebie. Uznałem, że będzie lepiej, gdy otrzyma ją wcześniej i ode mnie.

Odpowiedział: no, cóż, to jest wasza decyzja, ale rozumiecie, że my w wojsku nie zachęcamy naszych oficerów do uczestnictwa w uroczystościach religijnych.

Stał pan pod kościołem.

Tak jest.

W mundurze?

Nie, po cywilnemu.

Zrobiłem jeden krok, że na pogrzeb pojechałem, że byłem na cmentarzu i de facto uczestniczyłem w religijnym pochówku mojej matki, ale nie zrobiłem drugiego kroku – nie wszedłem do kościoła.

Bardzo dzisiaj nad tym ubolewam. Ale wie pani, to było tchórzostwo i odwaga. Nie, powiem inaczej. To były małoduszność i przyzwoitość. Małoduszność, że uległem presji ideologii, która wtedy obowiązywała, i przyzwoitość, że choć nie w pełni, ale się jej jednak przeciwstawiłem.

A gdyby pan wszedł?

Byłoby to nielojalne wobec Spychalskiego i kierownictwa resortu. Oraz niemoralne w stosunku do podwładnych, wobec których istniały zasadnicze przeciwwskazania uczestniczenia w podobnych uroczystościach.

Nie wolno im było po katolicku pochować najbliższych?

Krytycznie oceniane były też śluby kościelne, chrzczenie dzieci, posyłanie ich na religię. Takie fakty traktowane były u członków partii jako przejaw dwulicowości.

A zakazy te były moralne?

Dla jasności – formalnych nie było. Ale na ogół starano się ich przestrzegać, licząc się z różnymi konsekwencjami, jeśli nie bezpośrednimi, to pośrednimi – nie dostawali

na przykład awansu. Takie były realia tamtego czasu. Miałem świadomość rozdrożnienia. Powtarzam, bardzo ubolewam, że były.

Pan je wydawał.

Nie dosłownie. Ale dodam z zawstyżeniem, że w tym uczestniczyłem.

Musi jednak pani zrozumieć, że w owych czasach był Kościół i była partia, która próbowała pełnić funkcję swoistego kościoła. Obie siły znajdowały się w konflikcie i trwała między nimi ostra rywalizacja także w sferze ceremonialnego uczestnictwa w partyjnych i religijnych obrzędach. To rodziło określone skutki także w wymiarze ludzkim. Mam świadomość historycznej roli Kościoła i moralnego znaczenia religii. Uważam, że państwo nie powinno być ani antykościelne, ani przykościelne. Jednym z najcięższych błędów historycznych formacji, która odeszła, był właśnie stosunek do Kościoła i religii. Było to niemądre i samobójcze. Ten błąd przyczynił się w dużej mierze do degradacji pozycji partii. On wynikał z doktryny. Uważało się, że „religia to opium dla ludu” i że my budujemy... naukowy... zaraz, zaraz, jak to się nazywało, niech mi pani przypomni.

Chodzi o materializm dialektyczny?

Nie, nie. O naukowy socjalizm. Naukowy pogląd na świat.

Światopogląd naukowy?

No, właśnie. To nie jest bzdura. Nie jest bzdurą po dzień dzisiejszy. Jestem człowiekiem niewierzącym, nie będę się upiększał, że nagle się nawróciłem. Chociaż zazdroszczę tym, którzy wierzą. Kościół daje moralną i psychologiczną przystań, wiara stwarza nadzieję, że nie wszystko kończy się na tym ziemskim padole i będzie coś jeszcze, gdy zamknie się oczy.

Zastanawiam się...

Nad czym się pani zastanawia?

Co się właściwie z panem stało? Moment, pamięta pan moment, kiedy nagle powiedział pan sobie: jestem komunistą?

Nie było takiego momentu. To był proces. Tak jak procesem było moje odchodzenie od Kościoła, które rozpoczęło się od chwili, gdy znalazłem się w wojsku. Front nie sprzyjał kontaktom z religią. Oczywiście był kapelan dywizji, ale pojawiał się sporadycznie, z okazji świąt czy jakichś oficjalnych uroczystości. Procesem również było moje zbliżenie się do ideologii – dziś z przekąsem nazywanej – komunistyczną.

Czy pani nie jest w stanie zrozumieć, że – zachowując określony system wartości – można swoje wcześniejsze poglądy zmienić? Że w ogóle poglądy można zmieniać nawet kilka razy w życiu? Że do pewnych przekonań człowiek dojrzewa,



Ślub z Barbarą Jaskólską, rok 1960.

Z córką Moniką w Abchazji.



Z żoną i córką w Zakopanem.

a z niektórych rezygnuje? Że następuje przewartościowanie postaw? Że jest to proces, któremu nie tylko ja uległem?

Do roku 1988–89 byłem przekonany, żyłem w tym przekonaniu, że w Polsce utrzyma się socjalizm, że będzie zmodernizowany, zmieniony, ulepszony, zdemokratyzowany, dostosowany do nowych czasów. Ja tego układu broniłem. I dopiero gdy zobaczyłem, że obronić się nie da, ustąpiłem. Dzisiaj można powiedzieć, że błędziłem. Ale nie zabłądziłem. Powiem więcej – nieskromnie – przyczyniłem się do zmiany ustroju.

Z tego, co próbuję sobie przypomnieć z tamtych lat – przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych – lekturą chyba przełomową był dla mnie *Wstęp do teorii marksizmu* Adama Schaffa, który wtedy przestudiowałem. Książka świetnie napisana, bardzo komunikatywnie, logicznie, przekonywająco.

W Wyższej Szkole Piechoty kupiło ją 35 osób, odnotowano w sprawozdaniu.

Ja chyba przeczytałem ją trochę później. Kiedy już byłem w Zarządzie Głównym Wyszkozenia Bojowego.

Z rekomendacji radzieckiego generała Stanisława Popławskiego?

Zdarzyły się wtedy dwie ważne rzeczy w moim życiu. Zostałem zauważony, tak to nazwę, przez generała Popławskiego oraz z gronem wyróżniających się oficerów zostałem skierowany na Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu i Leninizmu.

Słynny WUML.

Dwuletni kurs, wieczorowy, zajęcia po dwa razy w tygodniu. Zorganizowany specjalnie dla wojskowych, więc prawdopodobnie ze specjalnie dobraną kadrą.

Wie pani, kto tam wykładał? Adam Schaff, Włodzimierz Brus, Bronisław Baczko, Zygmunt Bauman, Marek Fritzhand, Maria Turlejska, Daniszewski, Pohorille, Wyrozembski i szereg innych.

Odważy się pani wpisać te nazwiska? Jest to przecież w większości późniejsza awangarda opozycji intelektualno-naukowej.

To oni zaszczepiali we mnie marksizm i leninizm, droga pani. Na tym polegają paradoksy naszych czasów. Były to zajęcia na bardzo wysokim poziomie, z żywymi, ciekawymi dyskusjami. I jeśli wcześniej intuicyjnie wyczuwałem, że przedwojenna sanacja była złem, a my w Polsce Ludowej idziemy słuszną drogą – sprawiedliwości społecznej i sojuszu ze Związkiem Radzieckim – to na WUML-u moje przekonania zostały ugruntowane, umocowane teoretycznie, podbudowane wiedzą.

WUML skończyłem z oceną bardzo dobrą. I kiedy w 1960 roku, czyli osiem lat później, marszałek Spychalski zaproponował mi funkcję szefa Głównego Zarządu Politycznego, a ja przed jej objęciem się broniłem, mówiąc, że nie jestem do niej teoretycznie przygotowany, że jestem oficerem liniowym, powiedział: no, jakże, generale, przecież wy skończyliście celująco Uniwersytet Marksizmu i Leninizmu.

A generał Poptawski?

Dużo mu zawdzięczam. Zobaczył mnie, gdy przyjechał do Wyższej Szkoły Piechoty na inspekcję. Był dowódcą wojsk lądowych. W Rembertowie prowadziłem ćwiczenia z taktyki, on obserwował je i bardzo pochwalił.

I cisza. A potem nagle dowiaduję się, że generał Poptawski powołał komisję do inspekcji dywizji stacjonującej w Gdańsku, są w niej oficerowie z Wyższej Szkoły Piechoty i jest moje nazwisko.

Po zakończeniu inspekcji znalazłem się wśród oceniających i moje nazwisko umieszczono w protokole. Ten protokół musiał do niego dotrzeć. Zostałem wezwany do kadr i poinformowany, że jest decyzja o skierowaniu mnie na szefa jednego z wydziałów Głównego Zarządu Wyszkożenia Bojowego.

W końcowej fazie pobytu generała Poptawskiego w Polsce, bo wyjechał do ZSRR w 1956 roku, byłem jego bezpośrednim podwładnym.

Teraz czytam i to gdzie?! – w encyklopedii wydanej w 1991 roku – że był przebarwionym Rosjaninem Gorochowem. Nie do wiary!

W Armii Czerwonej od 1920 roku, od siedemnastego roku życia.

Ale był Polakiem. Autentycznym! Mówił dobrze po polsku, jego żona także, miała na imię Jadwiga. Nigdy nie przypuszczałem, dla mnie to było coś szokującego, że historyk, poważny, może tak manipulować faktami.

Pan też manipuluje.

Ja nie jestem historykiem. Ja jestem politykiem. Ale przepraszam, w czym manipuluje, gdzie?

Twierdząc, na przykład, że przesadza się z tymi generałami radzieckimi w polskiej armii.

Bo się przesadza. Ich naprawdę nie było tak wielu.

Ale na kluczowych, najwyższych stanowiskach.

To prawda. Zwłaszcza po przyjściu Rokossowskiego. Ale ogólnie, ilu dokładnie ich było? Około trzech procent. A w 1954 roku już tylko niecały jeden procent. Czyli cztery, pięć razy mniej niż oficerów przedwojennych.

Radzieccy objęli stanowiska po aresztowanych: Kuropiesce, Mossorze, Paszkowskim oraz 129 oficerach, oskarżonych o konspirację w wojsku?

W sposób bardzo dobitny, wręcz namacalny wykazywano nam, że oni prowadzili działalność antypaństwową, szpiegowską...

...i dywersyjną?

Nie, to słowo chyba wtedy nie padało. Nie pamiętam go. Dużo się mówiło na pewno o ich szpiegostwie. A to, co się mówiło, brzmiało logicznie.

Wszyscy wymienieni przez panią oficerowie byli oficerami przedwojennymi, czyli wychowanymi w innym systemie wartości, więc z natury rzeczy musieli być przesiąknięci – jak wtedy mówiono – sanacyjnym, burżuazyjnym sposobem myślenia. Oskarżono ich więc, że najpierw zakamuflowali się po to, by do wojska się dostać, a potem zaczęli mu szkodzić.

Niektórych pan znał.

Znałem tylko generała Floryanowicza. Był komendantem Centrum Wyszkolenia Piechoty, kiedy tam studiowałem.

Przez rok.

Po nim nastał radziecki generał Ostap Steca, tak jest. Ale działo się to w określonym historycznym czasie. Nie tylko dlatego, że w Europie Wschodniej panował stalinizm, ale dlatego, że wystąpił ostry podział na Wschód i Zachód. Zbrojenia szły pełną parą i tu, i tam. Groziła wojna.

Czy w takiej sytuacji wyobraża sobie pani, by ktoś publicznie ogłosił, że nie zgadza się ze stwierdzeniem, iż Kuropieska jest szpiegiem? Ja sobie tego nie wyobrażam.

Więc ustalmy – bał się pan czy pan wierzył w winę tych oficerów?

Wierzyłem w ich winę. Na miły Bóg! Pani tego nie rozumie? Ludzie stokroć ode mnie mądrzejsi wierzyli w ich winę. To był czas, gdy jakże wielu wielbiło Stalina. Ody na jego cześć pisali! To było zac zadanie.

A może głupota?

Nazwijmy głupotą, proszę bardzo. Głupotą, lękiem, ukąszeniem heglowskim, zadżumieniem, wszystko jedno.

Wysłano pana na „proces generałów”.

W czasie procesu Tatara, Kirchmayera i innych w wojsku wyznaczano grupy oficerów z różnych jednostek i delegowano na posiedzenia sądu. Każdego dnia inną grupę. Zaliczyłem jeden dzień procesu.

Po co was wyznaczano?

No, żeby pokazać, że proces jest czysty, że nikt oskarżonymi nie manipuluje.

Na ławie oskarżonych siedzieliście dziewięciu waszych dowódców.

Niebezpośrednich. Ale tak, to byli nasi wysocy przełożeni, przedwojenni generałowie i oficerowie. Żadnego z nich osobiście nie znam.

Co wam o nich wcześniej mówiono?

Na pewno bardzo źle.

Imperialistyczne psy, zdrajcy, szpiegzy – to cytaty z prasy wojskowej. Pan w to wierzył?

Dlaczego miałem nie wierzyć. Przecież oni przyznawali się do winy. Ja dzisiaj więc mogę przyznać się do naiwności czy nawet głupoty, ale ja przecież nie wiedziałem, że oni dlatego przyznawali się do tych wszystkich przestępstw, bo wcześniej zostali poddani jakimś strasznym torturom. Nikt z nas nie wiedział, że w więzieniach torturuje się ludzi. To odkrycie późniejszych lat. Mój ojciec był w łagrze i nigdy mi nie mówił, że był torturowany, że Rosjanie kogokolwiek torturowali.

Co więc pan zobaczył?

Pamiętam salę, kilkudziesięciu nas, obserwatorów, sędziowie w mundurach wojskowych, prokurator Zarakowski. Oraz generał Mossor i pułkownik Kirchmayer na ławie oskarżonych. I generał Spychalski, siedzący na sali.

Doprowadzony z więzienia.

Wszyscy porządnie ubrani, a więc nie w żadnych więziennych pasiakach, tylko w garniturach, pod krawatem. Ich garnitury nadawały procesowi cywilizowaną formę. Byli tylko bardzo bladzi, co jednak wydawało się normalne, gdy siedzi się dłuższy czas w więzieniu. Przy mnie zeznawali Mossor i Kirchmayer. Oni do wszystkiego przyznawali się, śpiewali jak z nut.

Że byli szpiegami?

Jak z nut.

Generał Mossor jako jedyny się nie przyznał.

Szczegółów już nie pamiętam. My wszyscy w każdym razie byliśmy przekonani o ich winie.

My?

Moi koledzy oficerowie.

Potem, w wiele lat później, Spychalski, snując wspomnienia w jakimś szerszym gronie, powiedział w pewnej chwili: no, widzicie, ja też mam za sobą bolesną kartę, musiałem siedzieć na ławie oskarżonych.

On to rzekł na zasadzie smętnej refleksji, że tak było. Bez komentarza i chyba bez goryczy. Powiedziałem mu: no tak, towarzyszu marszałku, byłem wtedy w sądzie, widziałem was.

Ja Gomułkę, Spychalskiego i wszystkich starych komunistów, niezależnie od tego, jak kto dzisiaj może ocenić idee, w które wierzyli, i politykę, którą uprawiali, szanowałem za to, że oni do końca pozostali wierni sobie. Że niezależnie od bolesnych przeżyć, od cierpień, których doznali od swoich towarzyszy, zachowali wierność partii, wierność jej ideom.

Partii, która ludzi więzi, torturuje?

O, przepraszam, to oni byli ofiarami. Oni, jak doszli do władzy po 1956 roku, jednak ludzi bezpodstawnie ani nie więzili, ani nie torturowali.

Nie? Po 1956 roku nikt nie siedział za poglądy?

Ależ na miłość boską nie porównujemy tych represji ze zbrodniami okresu stalinowskiego. Nie porównujemy!

Ma pan rację, nie można porównywać.

W 1956 roku opadł strach i nigdy w tej skali nie powrócił. Pan został generałem.

Miałem zostać rok wcześniej. Ale wygrzebano coś w moich papierach i zaczęto sprawdzać. Później dowiedziałem się, że nawet jeżdżono do Trzecin, by się upewnić, czy moi rodzice naprawdę nie byli właścicielami ziemskimi.

Pamięta pan tę uroczystość?

W Belwederze. Ochab jako pierwszy sekretarz, Aleksander Zawadzki, marszałek Rokossowski.

Kilka dni wcześniej uszyto mi dwa mundury: jeden roboczy i drugi galowy. Galowy był piękny, biała marynarka, granatowe spodnie z czerwonymi lampasami i srebrzysty pas.

Generałem pan został w lipcu 1956 roku. Od razu po wydarzeniach poznańskich.

Nie ma to żadnego związku. Mnie w Poznaniu nie było.

Wiem. Ale co mówiło się o tym w wojsku?

Dokładnie nie pamiętam. Ale trzy uwagi. Po pierwsze: niepotrzebna gwałtowna śmierć, ciężkie zranienie nawet jednego człowieka zasługuje na głębokie ubolewanie. Po drugie: ja i jako porucznik, i jako generał armii, do prezydentury włącznie, czuję się moralnie odpowiedzialny za wszystko, co działo się w mojej ojczyźnie – Polsce Ludowej. I po trzecie: każde tragiczne wydarzenie należy rozpatrywać konkretnie, obiektywnie, nie ulegając pokusie politycznego dyskutowania.

Na poligonie w Drawsku.



*Strzelnica pułkowa,
Wesoła k. Warszawy.*



Na poligonie w Wędrzynie



i w Drawsku.

Robotników poznańskich podburzyli zachodni Niemcy rewizjoniści?

Chodziło o jakąś inspirację z zewnątrz, imperialistyczną. Mówiło się o jakichś zachodniemieckich i w ogóle o zachodnich podniętach. Nie to było jednak ważne. Najważniejsze było to, że w sposób gwałtowny został naruszony porządek wewnętrzny, podpalano budynki publiczne.

Urząd Bezpieczeństwa.

To mniej istotne które. Podpalano. Doszło do walk ulicznych, ginęli również milicjanci i żołnierze. Ja tego nie rozgrzeszam, potępiam decyzję użycia broni bez rzeczywistej konieczności. W sumie te wydarzenia to był wielki dramat i tragedia. Ubolewam, że do tych wypadków doszło.

Ale dlaczego nie mówi się, że przed wojną około 800 robotników i chłopów zginęło od strzałów wojska i policji. Pominę już około 400 ofiar wojskowego zamachu majowego. Dlaczego nie mówi się, ile razy na Zachodzie, na tym demokratycznym Zachodzie, wojsko było używane przeciwko demonstrantom. Tam też ginęli ludzie.

U nas zaś wzięto pod lupę PRL i bez przerwy walczy się, co działo się w 1956, 1970, 1981 roku. Jednostronnie, bez próby spojrzenia na te wydarzenia w szerszym wymiarze. Władza zaatakowana broni się z takich czy innych względów. Musi przeciwdziałać ekscesom, zwłaszcza gdy ich skala grozi rozprzestrzenieniem się na cały kraj. Wiadomo, co to oznaczało w naszej geostrategicznej rzeczywistości.

Zna pani epizod z maja 1968 roku w Paryżu? Kiedy wybuchły tam masowe demonstracje, rewolta, i młodzież wyległa na ulice? Wielki generał de Gaulle swoją rodzinę wywiózł wtedy helikopterem do stacjonujących w Niemczech francuskich wojsk okupacyjnych. Wezwał ich dowódcę, słynnego generała Massu, i zapytał: generale, czy jest pan w stanie podjąć stosowne działania, by zaprowadzić porządek w Paryżu? Muszę zapytać – odpowiedział generał Massu – swoich dowódców batalionów. Zapytał i odpowiedział: tak jest. Rozumie pani? On był gotów iść na Paryż.

Ale nie poszedł.

Bo nie musiał. Na szczęście nie musiał.

Ja w 1981 roku byłem w lepszej niż generał de Gaulle sytuacji, bo o nic nie musiałem pytać swoich dowódców batalionów, pułków czy dywizji. To oni, wielu z nich, pytali mnie, jak długo mamy zamiar tolerować anarchię. Czuję, że struna jest napięta i że trzeba podjąć decyzję.

Wojsko czym jest?

Zadała mi pani pytanie trudne nawet dla generała. O wojsku przecież można mówić w różnych aspektach. Wpierw należy sprecyzować, komu ono służy, jakim rygorom

jest podporządkowane. Wojsko to organizacja najbardziej sprawna, zdyscyplinowana, zhierarchizowana, jaką tworzy społeczeństwo. W organizacji tej znajdują się ludzie, dziesiątki, setki, tysiące, miliony ludzi, poddanych dyscyplinie i wypełniających rozkazy przełożonych.

Bo dobry żołnierz to...?

Świadomy swoich obowiązków wobec kraju, ojczyzny, który w sposób zdyscyplinowany i staranny spełnia swoje powinności. To ten, który stale podnosi kwalifikacje, który widzi, powinien widzieć, że w stosunku do społeczeństwa pełni funkcję spolegliwego opiekuna, w rozumieniu profesora Kotarbińskiego, bo zapewnia obywatelom pokój, a krajowi gwarantuje stabilność i nienaruszalność granic.

A jeśli dostanie rozkaz tłumienia ulicznych zamieszek, demonstracji, które są przejawem obywatelskiego nieposłuszeństwa, i dostanie rozkaz strzelania do ludzi, to go wykona?

Żołnierz, który dostanie taki rozkaz, jeśli ma poczucie, że jest on sprzeczny z jego świadomością, przekonaniaми, według niego niesłuszny, ma prawo zgodnie z regulaminem zażądać go na piśmie. I żaden dowódca nie może mu tego prawa odmówić.



Na koniu Kajfeng w Wojskowym Klubie Jeździeckim. Stara Miłosna.

Spotkał się pan z takim przypadkiem?

W 1970 i 1981 roku – nie. I co więcej, bo już wiem, do czego pani zmierza, szereg dowódców w 1981 i 1982 roku przed rozpoczęciem jakichś akcji pytało na zbiórce: kto nie chciałby uczestniczyć, wystąp! Nie znam przypadku, by ktoś wystąpił.

I powiem pani jeszcze więcej, na przykład w 1970 roku kadra wojskowa musiała nieraz powstrzymać żołnierzy od zachowań zbyt ostrych. Dlatego że gdy widzieli pobitych swoich kolegów albo milicjantów, gdy widzieli spalone czołgi, żołnierze byli oburzeni. To taki moment psychiczny, kiedy przestają działać różne formalne i nieformalne zakazy i nakazy, a zaczynają działać emocje negatywne. Pamiętam je z frontu. Ja wtedy byłem pełen nienawiści do Niemców.

Więc żołnierz, gdy rozpędza tłum – na przykład protestujących robotników – nienawidzi ich?

Może nie w sensie dosłownym. On jest poddany silnym emocjom negatywnym. Co jest zrozumiałe. Bo jeśli w pani obecności ktoś wyrządziłby krzywdę osobie pani bliskiej, pobił, uderzył, okaleczył, zabił, nie daj Boże, to co, stałaby pani i uśmiechała się? Czy byłaby pani raczej pełna niechęci, żeby nie używać słowa „nienawiść”.

Od początku. Najpierw żołnierzy trzeba na te ulice wyprowadzić.

Tak jest, to pierwsza faza. Tłumowi, który zaatakował budynki partyjne czy milicyjne, podpalał je lub rabował sklepy – należało zademonstrować siłę. Siłę wobec siły. Obecność wojska i czołgów zawsze działała na tłum mitygująco.

Proszę zauważyć, że żołnierze wychodzili na ulice miast wtedy, gdy wydarzenia się już rozwinęły, gdy były podpalane budynki i gdy życie znajdujących się w nich ludzi było zagrożone.

Wychodzili z bronią?

Ostrą.

Mimo że robotnicy broni nie mieli.

Ale mieli butelki z benzyną, łomy żelazne, które w skutkach są też bronią.

Od lat siedzę na ławie oskarżonych. Ten proces zresztą nigdy się nie skończy. Wiem, że niemal każdy oskarżony mówi, że jest niewinny. Mnie stać na to, by przyznać się do winy. Gdy ona jest. Stać mnie, by brać odpowiedzialność za siebie. Czynień to niezmiennie w sprawie stanu wojennego.

Ale w wypadku Grudnia 70 jest to prokuratorski humbug. Naciąganie, manipulowanie, fałszowanie. Stoją za nim polityczne motywacje i inspiracje. To najbardziej boli. Oskarżenie krzywdzi, godzi w dobre imię wojska. Będę go bronić, dopóki życia starczy. To był ciężki błąd Gomułki, że poszedł drogą siły.

Ale pan nie powiedział mu wtedy: nie strzelać.

Czy pani sobie wyobraża, by jakikolwiek minister obrony, otrzymując informacje, że mordują milicjantów, podpalają budynki rządowe, wstaje i mówi: mnie to nie obchodzi, niech mordują, my się do tego nie wtrącamy? Ja nie słyszałem.

Józef Tejchma poszedł do Gomułki i powiedział: towarzyszu Gomułka, musicie odejść.

Po kilku dniach. Poparłem go. Wcześniej zadzwonił do mnie. Odpowiedziałem: tak jest. Byliśmy z sobą w kontakcie. Z Kanią i Babiuchem też o tym rozmawialiśmy.

Był pan wtedy ministrem obrony narodowej. Od kwietnia 1968 roku.

Nie chciałem. Byłem szefem Sztabu Generalnego, czyli de facto pierwszym zastępcą ministra. Bardzo dobrze czułem się na tym stanowisku. Szef sztabu ma duże możliwości działania, znaczne kompetencje.

Spychalski zaprosił mnie do swego gabinetu.

Do Spychalskiego miałem wiele zastrzeżeń natury przede wszystkim wojskowej, ale nie mogłem nie docenić jego inteligencji, drogi życiowej, jego cierpienie jako więźnia stalinizmu, jego niewątpliwych po 1956 roku zasług w procesie przywracania w wojsku polskich wartości.

Nigdy nie zapomnę tej sceny.

Generale, geeneeraale – zaczął. Mówił, przeciągając samogłoski, miał głos niezbyt dźwięczny i zawsze jakby zmęczony. – Kierownictwo zdecydowało – powiedział. Wtedy używało się słowa „kierownictwo”. „Kierownictwem” był Gomułka. – Zdecydowało – ciągnął Spychalski – że powinienem objąć urząd przewodniczącego Rady Państwa, mam być głową państwa.

W miejsce Edwarda Ochaba, który złożył rezygnację, protestując przeciwko nagonce antysemitycznej, prowadzonej przez PZPR.

Gomułka ją wywołał, to prawda, swoim powiedzeniem o piątej kolumnie na Kongresie Związków Zawodowych w czerwcu 1967 roku. Że niby polscy Żydzi zachowują się jak niemiecka piąta kolumna w przedwojennej Polsce. Ale – bądźmy obiektywni – niewiele by tym powiedzeniem zrobił, gdyby nie było podatnego gruntu. Bo był. Jeszcze jak był!

W związku z tym – ciągnął Spychalski – powstaje problem ministra obrony narodowej. Dla mnie i dla kierownictwa jest oczywiste, że to wy powinniście objąć tę funkcję.

Towarzyszu marszałku – odpowiedziałem – gorąco proszę, żeby mnie nie wyznaczać. Funkcja ministra – mówiłem – łączy się z obowiązkami, które z wojskiem nie

zawsze ściśle się wiążą, a ja chcę skoncentrować się na pracy w armii. – Poza tym jest to funkcja polityczna. Sytuuje człowieka w określonym układzie politycznym.

Ten układ z Gomułką już się kończy.

Nie chodziło mi o Gomułkę, ale generalnie o politykę. Nie chciałem być czynnym politykiem.

Przecież był pan już posem.

I co z tego? Posłowanie, poseł to był wówczas dość formalny obowiązek.

Był pan członkiem KC.

No, tak. Ale wie pani, co należało do obowiązków członka KC? Uczestniczenie raz na kilka miesięcy w posiedzeniach.

Jako minister musiałbym siedzieć na naradach Rady Ministrów, przygotowywać się do zajęcia stanowiska również w kwestiach pozawojskowych. Przecież to zupełnie inny charakter pracy.

Spychalski złapał się za głowę: co ja powiem Wiesławowi?! Geeneeraale! to już postanowione, wy musicie, generale! Powinniście, generale!

Odpowiedziałem: bardzo proszę towarzysza marszałka, by mnie od tego uwolnił.

Nie, nie.

To może Korczyński – zaproponowałem.

Grzegorz? – skrzywił się Spychalski – na ministra?! Czy wy żartujecie? Przecież on się absolutnie do tego nie nadaje, on nie zna się na wojsku.

Nie znał się rzeczywiście?

W nowoczesnym rozumieniu – słabo. Był co prawda żołnierzem republikańskiej Hiszpanii, dowódcą partyzanckim. Nie był to jednak wystarczający багаż doświadczeń do kierowania wielką maszyną Ministerstwa Obrony Narodowej, dowodzenia dużym wojskiem – drugą armią Układu Warszawskiego.

Atutem Korczyńskiego było zaufanie i bliski związek z Gomułką. To wynik postawy, jaką Korczyński zachował podczas uwięzienia w latach stalinowskich. On Gomułki – mimo ciężkiego śledztwa – nie obciążał.

Dobrze świadczy o Gomułce, że te osobiste względy nie zdecydowały o nominacji.

Potem jest telefon od Gomułki. A Gomułka, wie pani, jaki był, straszliwie apodyktyczny.

Generale – huknął na mnie. – Musicie, generale.

Pamięta pani ten jego skrzekliwy głos?

Świetnie go pan naśladuje.

Co wy! Czy wy nie rozumiecie, że taka jest potrzeba – krzyczał w słuchawkę.

Promocja oficerska w Koszalinie,



w Warszawie



i na Westerplatte.

Dla mnie Gomułka był autorytetem. Było we mnie zakodowane, że nie mogę mu odmówić. W sytuacji, gdy on stawia tę sprawę na ostrzu noża.

Nie umiał mu pan powiedzieć: nie?

Nie chciałem. Poza tym uważałem, przepraszam, że zabrzmiało to być może nieskromnie, ale uważałem, że do pełnienia funkcji ministra jestem – nazwijmy tak – przygotowany. Z natury rzeczy jako szef Sztabu Generalnego, wcześniej szef Głównego Zarządu Politycznego. Na pewno lepiej niż inni.

I skapitulowałem. Uległem.

Jak wcześniej Spychalskiemu?

Tak, tak. Szefem Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego też nie chciałem być, to już chyba pani mówiłem.

A potem nie odmówił pan Kani, który w 1981 roku wysunął pana na premiera.

Bardzo się przed tą funkcją broniłem. To nie była fałszywa skromność. Nie czułem po prostu potrzeby pięcia się w górę. Byłem dostatecznie wysoko. A prawie każdy z awansów następował w sytuacjach niezwykle trudnych, dramatycznych. Miałem świadomość ich ciężaru. Do dziś go czuję. Nie jestem masochistą, dlatego się broniłem. To trwało wiele dni. Kania przyjeżdżał do mnie do ministerstwa na Klonową, zapraszał do Komitetu Centralnego, maglował, przekonywał, prosił, mówił, że to czasowe, rozwiązanie przejściowe. Byliśmy przyjaciółmi, miałem do niego zaufanie.

Potem nie odmówił pan komu? Breżniewowi? Gdy wysunięto pana na pierwszego sekretarza PZPR-u.

Trochę chyba pani przeholowała! Chce pani obrazić mnie i członków Komitetu Centralnego? W tajnym – podkreślam – tajnym głosowaniu 179 głosów było za moją kandydaturą, a czterech przeciw. Czy ta przytłaczająca większość głosowała na skinienie Breżniewa?

Stanowiska prezydenta Polski też nie chciałem, żeby mieć pełny obraz.

I gdyby nie Bush...

Nie chcę wchodzić w szczegóły. Wąteśa miał swoje kalkulacje. Publicznie więc ogłosiłem, że ja kandydować nie będę. Pojawiły się liczne prośby, zachęty, apele różnych środowisk.

I wtedy w lipcu 1989 roku do Polski przyleciał prezydent Bush. Odbyliśmy długie rozmowy. Namawiał.

Panie generale – mówił – powinien pan zostać prezydentem. To da gwarancję łagodnego przejścia przez trudny okres przemian.

To kuriozalne – napisał potem w swoich wspomnieniach – że ja namawiałem tego komunistycznego przywódcę, aby został prezydentem Polski.

Gorbaczow też mnie zachęcał. Telefonicznie.

Czyli pan nie chce, a potem przyjmuje.

Żałuję, bardzo żałuję.

Czego pan żałuje?

Prezydentury nie. Uważam, że spełniłem swój obowiązek wobec Polski. Natomiast żałuję, że w 1968 roku zgodziłem się zostać ministrem obrony narodowej.

Dzięki antysemickim czystkom.

Nie, myli się pani, ministrem zostałem w trakcie, a właściwie pod koniec tych wydarzeń. Pani nie wie, co działo się wtedy w wojsku. Rzecz polegała na tym, że wojsko rozhuštało się, rozdyktowało. Emocje wybuchły nie w 1968 roku, tylko po agresji Izraela na Egipt, prawie rok wcześniej. I Gomułka najpierw mnie osobiście, a potem w szerszym gronie nakazał, że trzeba w wojsku skończyć z wiecowaniem.

Jakim wiecowaniem?

Świat był wtedy podzielony. Wybuchła wojna między Izraelem a Egiptem. Arabowie byli nasi, a Izrael ich. Pani tego nie wie? Arabowie tę wojnę sześciodniową przegrali z kretesem, a uzbrojeni byli w taką samą broń, co my.

Trzeba było uszczelnić się lepiej obronnie.

Przed kim, Izraelem?

Przed NATO, Stanami Zjednoczonymi. Nie ma się z czego śmiać. Wtedy nikomu nie było do śmiechu.

Moja mama się śmiała.

Z czego, przepraszam, że może być wojna?

Proszę się nie obrażać.

Widocznie mama jest dobrym strategiem wojskowym. Gratuluję.

Panie generale, to naprawdę było śmieszne, że „nasi” wzięli nasze tanki.

Nie widzę w tym nic śmiesznego, nie rozumiem takich dowcipów, proszę przestać.

Izrael zbombardował i zniszczył egipskie samoloty na lotniskach. Zanim wzniosły się one w powietrze. Zawiódł system ostrzegawczy.

Podjęliśmy decyzję, by na gwałt budować betonowe schrony na lotniskach dla samolotów. Ileż to betonu się zużyło!

Wojna na Bliskim Wschodzie wykazała, że szczególnie czułym, wrażliwym miejscem są lotniska, ze stojącymi na nich samolotami bojowymi. Więc elementarnym

odruchem było przygotowanie ochrony dla naszych samolotów. Stąd pomysł ze schronami.

Ile zbudowano?

Dużo.

Okazało się na dodatek, że w armii izraelskiej niektóre wysokie funkcje pełnili oficerowie, którzy wyemigrowali z Polski w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Pojawiło się, pamiętam, nazwisko Strassera, który wcześniej był u nas wykładowcą w Akademii Sztabu Generalnego, i jeszcze kilka innych. Zwoływano zebrania partyjne, wybuchła psychoza antysemitka i pod wpływem różnych informacji i dezinformacji ogarnęła szerokie kręgi.

Ilu wyrzucono? Natychmiast generała obrony przeciwlotniczej Mankiewicza.

Dokładnych liczb pani nie przytoczę. Chyba około stu. W większości wypadków nie były to – jak pani nazywa – wyrzucenia, ale zwolnienia według różnych paragrafów. Zwolnień dyscyplinarnych było zaledwie kilkanaście. To oczywiście żadne usprawiedliwienie. Ta atmosfera, psychoza, była skandaliczna. Wyrządzono krzywdę wielu zastużonym oficerom. Najostrzej jawi mi się krzywda, jaka spotkała mojego serdecznego przyjaciela, pułkownika Michała Sadykiewicza. Do dziś odczuwam wstyd.

A najazdu na Czechosłowację się pan nie wstydz?

To istotnie jedna z najciemniejszych kart naszej najnowszej historii.

Ale ja pamiętam, czego pani nie pamięta, wejście naszych wojsk na Zaolzie w 1938 roku. Polska była suwerennym państwem, nikt nam niczego nie kazał. Rydz-Śmigły dał rozkaz. Wielki generał Bortnowski tym dowodził. Ogłoszono, że zajęcie Zaolzia jest triumfem polskiego oręża. Fanfary, plakaty, prezydent Mościcki tam jeździł i dzieci głaskał po główkach, a pani prezydentowa jadła grochówkę z żołnierzami. Hańba.

Suwerenną decyzją suwerennego państwa doprowadzono w istocie do wspólnictwa z Hitlerem w rozdrapywaniu Czechosłowacji. A potem wożono wycieczki szkolne, żeby nam, chłopcom, pokazać, cośmy tam osiągnęli.

Trzeba więc było tę hańbę powtórzyć?

To zupełnie inna sprawa. My nie weszliśmy tam, żeby te ziemie zagarnąć. My po trzech miesiącach wyszliśmy. Nie wolno abstrahować od realiów. Żywa była jeszcze pamięć o drugiej wojnie światowej, o wrześniowej katastrofie. Europa była antagonistycznie podzielona. Równowaga sił to zawór pokoju. Jej naruszenie mogło okazać się niebezpieczne. Otwarty był wciąż problem naszej granicy zachodniej.

Napływały dramatyczne informacje. Z agend Układu Warszawskiego, z polskiej ambasady w Pradze, od korespondentów zagranicznych. Sporo trafiało na moje biurko. To naprawdę wyglądało niedobrze.

Bo Czechostowacy zapragnęli trochę więcej wolności i demokracji?

Po latach widać, że wiele informacji było przesadzonych lub w ogóle kłamliwych. Chociażby te o znalezieniu w Czechostowacji jakichś ukrytych składów broni. Ale kto mógł wtedy wiedzieć?

My, studenci, wiedzieliśmy. A pan, minister, nie wiedział. Prawda, że dziwne?

Dobrze, że mi pani przypomniała. W kontekście naszych wydarzeń marcowych „miażmaty” ideologiczne z południa wzmagają obawy. Gomułka reagował nerwowo.

Spółeczeństwo nie popierało tego najazdu. Protestowali między innymi Jerzy Andrzejewski, Sławomir Mrożek, Zygmunt Mycielski.

Możemy wymienić jeszcze kolejnych sto nazwisk, tylko nic z tego nie wynika. Poglądów pisarzy nie można uogólniać na cały naród.

To, przepraszam, na kogo mam się powoływać?

Mnie, pani redaktor, bardzo nie odpowiadają sformułowania „społeczeństwo”, „wszyscy”, „cały naród”. Ludzie myślą różnie i rozumują różnie. Nie wiadomo, za czym była większość. Nikt statystycznie tego nie sprawdzał.

Przecież wtedy nie było żadnych badań opinii!

Chyba nie było. Dlatego opowiem pani, jak nasze społeczeństwo witało polskie wojsko wracające z Czechostowacji. Tłumy ludzi, kwiaty, jabłka dla żołnierzy.

Był pan?

Nie, ja byłem niedaleko Nysy Łużyckiej, kilka kilometrów od granicy, kiedy nasze wojsko szło do Czechostowacji.

27 tysięcy.

Tam było kilka kolumn. Uważałem, że jako minister powinienem je pożegnać.

Żołnierz polski zachował się godnie.

Strzelał?

Nie. Na płaszczyźnie wojskowej działania te koordynował sztab Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego.

Marszałek Jakubowski?

Ogromny, ciężki, ze 150 kilogramów wagi. W czasie wojny był dowódcą brygady czołgów, wyzwalał Sandomierz, Częstochowę, bardzo dzielnie walczył, dostał odznaczenie Bohatera Związku Radzieckiego.

Kiedy wkraczaliśmy do Czechosłowacji, był naczelnym dowódcą Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego. Koordynował działania wojsk sojusznicych. Kursował między Legnicą a Czechosłowacją, odwiedzał Warszawę. Pewnego razu zrelacjonował mi, co on tam w tej Czechosłowacji zobaczył po wkroczeniu. Tłum na ulicy jakiegoś czeskiego miasta skanduje „precz ze Związkiem Radzieckim”, a na czele tego tłumu najgłośniej krzyczy w pierwszym szeregu jakiś młodzian wysoki, kędzierzawy i ryży – zaakcentował Jakubowski.

Ja podoszoł k niemu, podniat kułak – opowiadał mi Jakubowski, a pięść miał jak bochen chleba – *i skazał: ja tiebia job... przepraszam panią, nie powtórzę, kak gwozd' w ziemlu zabiju.*

I ten kędzierzawy zaczął wtedy krzyzczeć: *da zdawstwujeł Sowietskij Sojuz.*

Śmieszne?

Nie, nie, dla Jakubowskiego ta zmiana postawy młodego Czecha nie była śmieszna. Dla niego była dowodem, czym jest siła armii.

A pan, z czego się śmieje?

Ja bardzo lubię Czechów, bardzo lubię, ale czy wyobraża sobie pani taką zmianę reakcji w Polsce?

Tak. Wyobrażam sobie.

Ja nie. A potem, pamiętam, jak oni nam dziękowali.

Kto dziękował?

Władze czechosłowackie. Mnie przede wszystkim wojskowi. Minister obrony narodowej Džur oraz inni. Spotykałem się z nimi i za każdym razem nawiązywali do tych wydarzeń. I ciągle podkreślali, że dzięki interwencji mogą normalnie żyć i pracować.

Dubczek, Smrkowski, Młynarz też dziękowali?

Akurat z Dubczkiem nie miałem kontaktu.

Rola Gomułki w sprawie Czechosłowacji była decydująca, przesądzająca.

Każdy się go bał. A najbardziej jego najbliżsi współpracownicy, którzy go kiedyś albo zdradzili, albo nie do końca zachowali się lojalnie. Ci bali się go podwójnie. Nawet taki twardy, mocny człowiek jak Moczar.

W końcu lat sześćdziesiątych, pamiętam, poszedłem do Moczara do KC, był wtedy sekretarzem, między innymi od spraw bezpieczeństwa, i powiedziałem:

Śłuchaj, Mietek, narasta niezadowolenie, do mnie również kanałami wojskowymi płyną informacje, że naród się burzy. Wiesław powinien o tym wiedzieć.

Nie, nie – odpowiedział Moczar – lepiej nie, bo się zdenerwuje.

Rozumie pani? „Wiesław się zdenerwuje” – powiedział Moczar. Ważniejsze więc

było dla niego, by Wiesława nie zdenerwować, niż poinformować go, że w kraju źle się dzieje.

A pan sam nie mógł do niego pójść?

Ja? On mnie ani razu do siebie nie wezwał. Od czasu powołania na ministra, czyli od kwietnia 1968 roku do grudnia 1970, ani razu. Przez półtora roku. Wszystkie sprawy wojskowe załatwiałem z premierem Cyrankiewiczem albo z odpowiednim wicepremierem i ministrami. Gomułki rzeczywiście unikano.

Szlachcic potem – jak już był Gierek – zażartował po jakimś posiedzeniu Biura Politycznego. Obecni byli Kania, Babiuch, ktoś jeszcze. I Szlachcic nagle: a teraz – zaśmiał się – wyobraźcie sobie taką scenkę. Wchodzi Wiesław i krzyczy: a co wy tutaj robicie, do roboty! I my wszyscy – śmiał się głośno Szlachcic – uciekamy, gdzie kto może.

On przy Gierku był pierwszym po Bogu. Najpierw nieformalnie, a potem formalnie.

Pan był Gierkiem zafascynowany.

Podobał mi się. Na początku byłem nim wręcz oczarowany. Tak jest. Jego sposobem bycia, miał w sobie coś miękkiego, ojcowskiego, dawał się lubić. Inny klimat zapanował.

Polowania?

Ja nie poluję. Czasami tylko uczestniczyłem w resortowych, kiedy przyjeżdżali ministrowie z zaprzyjaźnionych państw.

Coś pan ustrzelił?

Jakieś bażanty. Ale to, wie pani, strzelało się jak do kur w kurniku. To były bażanty hodowlane. One gdzieś siedziały, ktoś je płoszył, one zrywały się, leciały i strzelało się do nich jak do rzutków.

Przyjęcia?

Nie, nie, ja – jak chyba wiele osób wie – nie piję i nie palę. Jestem wrogiem nadużywania alkoholu. „Prezydent abstynent pijanego kraju” – napisał o mnie Jerzy Urban. Przesadnie, ale coś w tym jest.

Przyjaźnił się pan z radzieckimi sojusznikami?

Z wieloma. Już pani mówiłem, że lubię Rosjan.

Pytał pan ich na przykład o Katyń?

O Katyniu po raz pierwszy usłyszałem na Syberii. Miejscowa prasa podała. Wiadomo, w jakiej wersji. Potem w wojsku, gdy stacjonowaliśmy koło Smoleńska, to było już po ukończeniu szkoły oficerskiej, w 1944 roku, dowództwo korpusu wyznaczyło delegacje z poszczególnych pułków i wysłało je do Katynia. Mnie tam nie było, ale byli

koledzy. Wrócili i z pełnym przekonaniem opowiedzieli nam, że zbrodni na polskich oficerach dokonali Niemcy.

I pan także uwierzył?

Uwierzyłem. Odbyła się tam jakaś uroczystość, szczegółów już nie pamiętam, były przemówienia. Mówiono, że okoliczni chłopcy na własne oczy widzieli, że zabijali Niemcy.



Polowanie na bażanty w Helenowie pod Warszawą.

Z tyłu Wojciech Jaruzelski i Franciszek Szlachcic, z przodu od lewej toczy, Lajos Csinege z Węgier i Andriej Grieczko z ZSRR.

Do zbadania tej zbrodni powołana została komisja. Zasiadał w niej akademik radziecki – bardzo znany lekarz Burdienko, metropolita Nikołaj i pisarz Aleksy Tołstoj.

Bezpośrednio po wojnie temat Katynia się nie pojawiał. Nawet Mikołajczyk, jak wrócił do Polski, o nim nie wspominał.

Swojej matki pan nie pytał?

A cóż ona mogła wiedzieć?! Siedząc w jakiejś chałupince na przedmieściach Bijska.

Wiedziała na pewno.

Proszę pani, mogła wyczuwać, ale nie wiedzieć. Przeczynać a wiedzieć to dwie różne sprawy.

Chyba pod koniec lat pięćdziesiątych zaczęło bardzo wąską strużką płynąć, chyba na zasadzie przecieków z Zachodu albo z kręgów kościelnych, że z tym Katyniem jest coś nie tak. Wszelkie jednak podejrzenia były zawsze kategoriycznie odrzucane.

Nasi ówczesni przełożeni, zwłaszcza aparat polityczny, na różnego rodzaju pogadankach, propagandę zachodnią, do których zaliczana była także prawda o Katyniu, negowali. W tej ripostie było wiele elementów przekonywających. Pierwszy, jeśli Związek Radziecki, czyli Stalin, chciał zlikwidować polską kadre, to dlaczego nie zlikwidował najważniejszych, a więc najbardziej niebezpiecznych: Andersa, Tokarzewskiego, Borutę-Spiechowicza, Okulickiego.

Okulickiego zlikwidował.

No, to dużo później. I też nie zlikwidował. Okulicki umarł w więzieniu.

Wie pan?

Nie wiem.

Po drugie, na tych listach opublikowanych przez Niemców znalazły się osoby żyjące i cieszące się dobrym zdrowiem, między innymi profesor Bierzanek. Po trzecie, ja widziałem, do czego Niemcy byli zdolni. Widziałem Majdanek. Jako zwiadowca wszedłem do obozu w Sachsenhausen, brałem udział w jego wyzwaniu.

Wolnej Europy pan słuchał?

Unikałem. Najistotniejsze treści znam z nastuchów i tak zwanych „Biuletynów Specjalnych”.

„Kulturę” paryską pan czytał?

Głównie streszczenia.

W latach siedemdziesiątych moje podejrzania, że to Rosjanie, były już bardzo silne. Postanowiłem porozmawiać z marszałkiem Grieczko. On był wtedy naczelnym dowódcą Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego. Szanowałem go i lubiłem. Myślę, że z wzajemnością. Często ze sobą rozmawialiśmy. Któregoś razu powiedziałem mu, właściwie podszedłem go taktycznie – my wiemy, wierzymy wam, że Katyń zrobili Niemcy, ale widzicie, nas atakują, ciągle podają w wątpliwość tę wersję, z Zachodu płyną jakieś informacje, argumenty, pomóżcie nam, żebyśmy mogli je obalić, dajcie nam jakieś konkrety.

I on wtedy rzekł: *posmotrim*, zobaczymy. A za jakiś czas odpowiedział, że to imperialistyczne kłamstwo, goebbelsowska propaganda, że była przecież komisja, ona doszła do konkretnych wniosków i nie mamy nic więcej do dodania.

To oni – pomyślałem wtedy.

I co zrobił pan z tą informacją?

Powtórzyłem Chosze, Urbanowiczowi i Siwickiemu. Może jeszcze komuś. I załatwiłem z radzieckimi towarzyszami, żeby nasz attaché wojskowy mógł każdego roku w dniu święta Wojska Polskiego składać tam wieniec.

Pod tablicą, że zamordowali ich Niemcy. Nie było to mieszanie ludziom w głowach?

Lepsze takie „mieszanie” niż udawanie, że grobów oficerów nie ma.

W kwietniu 1985 roku doszło do spotkania z Gorbaczowem i jasno postawiłem sprawę, że musimy tę zbrodnię do końca wyjaśnić, że ona ciąży. Dotyczyło to również innych białych plam. Rozmawiałem z nim w cztery oczy. Oczywiście bez tłumaczy, pięć godzin. Choć planowana była godzina. Dla mnie po Breżniewie, po Czernience, żywych trupach, do których niewiele docierało, ta rozmowa z Gorbaczowem – otwartym, swobodnym, z poczuciem humoru – była nadzieją, że wreszcie stosunki między naszymi krajami ułożą się partnersko. Tak – powiedział – musimy coś z tym zrobić.

Posmotrim?

Nie, nie. *Budiem iskat’.*

Czego szukać?

Dowodów, wyjaśnień. I zaczęła się droga przez mękę. Ciągłe przypominanie i naciski z naszej strony. Nie będę opisywał szczegółów. Najważniejszy jest finał. 13 kwietnia 1990 roku Gorbaczow oficjalnie ogłosił, że zbrodni dokonała strona radziecka. Wręczył mi listy zamordowanych oficerów. To był akt historycznej wagi. Przeżywałem wielkie wzruszenie.

Ja też. Na listach znalazłam wreszcie nazwisko mego wujka. Zginął w Starobielsku, nie w Katyniu. Jego zdjęcie mama ukrywała w pudełku z guzikami. Był porucznikiem, miał 26 lat.

Dziękuję.

To koniec? Czekam na temat dyżurny, pytania o stan wojenny. Przecież Jaruzelski bez stanu wojennego to jak wigilia bez karpia.

Zostawiam go historykom.

Ale ja nie mogę. A więc krótko i trochę żartobliwie, chociaż w istocie poważnie. Bez stanu wojennego nasze spotkanie mogłoby odbyć się jedynie na seansie spirytystycznym. Brzmi to paradoksalnie, ale bez stanu wojennego niemożliwy byłby – przynajmniej w tym czasie i formie – Okrągły Stół. Wiele innych przełomowych wydarzeń nie mogłoby zaistnieć lub zaistniałoby znacznie później, a w każdym razie kosztowałoby znacznie więcej.

Nie zgadzam się z panem.



*Z Michaiłem
Gorbaczowem
w Sali Kongresowej
na X Zjeździe PZPR-u
w 1986 roku.*



*Z Janem Pawłem II
w 1987 roku,
Watykan.*

PS O rozmowie z generałem Jaruzelskim myślałam od kilkunastu lat. Bardzo mnie do niej namawiał Gustaw Herling-Grudziński. Podał tytuł: *Pierwszy*.

Przez wiele lat nic z moich zamierzeń nie wychodziło. Na początku z powodu niechęci generała, a potem dlatego, że porwały mnie inne tematy.

List podpułkownika Górnickiego (który trafił w moje ręce niedawno przez przypadek) wyjaśnia, dlaczego nie doszło do niej wtedy, gdy powinno było dojść.

ppłk Wiesław Górnicki

Nr AWG/307/90 Warszawa, 1990.10.02

dotyczy: Teresy Torańskiej

Ponieważ jestem z nią umówiony na 5 bm., nie sędzę, aby można się było wykręcić przy pomocy sekretarki (...)

Proponuję więc przyjęcie następujących zasad:

- 1) przełożyć rozmowę z Torańską na okres po 12 bm., tzn. po skończeniu dyktowania broszury;
- 2) przeprowadzić rozmowę z nią w uzgodnionym terminie 5 bm., co wymagałoby przerwania i przyjazdu do biura, z jednoznaczym wyjaśnieniem, że sprawa beznadziejna;



Pożegnanie z bronią, 1990 rok.

3) wręczenie Torańskiej przez moją asystentkę listu wyjaśniającego istotę sprawy, pod pozorem, że wyjechałem z Warszawy i jestem nieosiągalny przez dłuższy czas. Raz jeszcze przytaczam argumenty w tej sprawie.

ARGUMENTY „ZA”

- a) nieporównywalna wiarygodność autorki;
- b) gwarancja „uzupełnienia” innych książek o „spojrzenie z drugiej strony”.

ARGUMENTY „PRZECIW”

- a) zaciekły antykomunizm autorki;
- b) niezwykle trudna, uciążliwa, a być może napastliwa forma rozmowy;
- c) absolutna sprzeczność z interesami autorskimi w przypadku książki francuskiej;
- d) Torańska jest autorką książki *Oni* i być może zechce domagać się komentarza do wypowiedzi Bermana, Ochaba itp;
- e) należy przypuszczać, że autorka będzie bardzo „dociekliwa ideologicznie”; co prawda w pierwszej rozmowie deklarowała swój szacunek i lojalność wobec Prezydenta, nie sądzę jednak, aby się wyrzekła kolejnego dowodu na „upadek komunizmu”.

Większość argumentów przemawia więc przeciwko rozmowie z Torańską, zwłaszcza że wyraźnie powiedziała, iż nie ma na myśli jednej rozmowy, lecz książkę o objętości 350 stron, nad którą prace powinny trwać „co najmniej rok”.

Widzę tylko jedno wyjście: powiedzieć Torańskiej otwarcie, że Tow. Generał rozpoczął pisanie własnych pamiętników i nie jest zainteresowany w żadnym „wywiadzie-rzece”. Natomiast nie można jej po prostu splawić bez wiarygodnego wyjaśnienia.

Obawiam się poza tym, że Torańska, która ma niepospolitą „siłę przebicia”, tak czy inaczej napisze książkę o Tow. Generale, czego nikt jej zabronić nie może, a na wstępie zamieści informacje, że bezskutecznie ubiegała się o rozmowę z Tow. Generałem.

(...)

Proszę Tow. Generała o instrukcję.





Dopisek generała Jaruzelskiego

„Od rozmowy z p. Teresą Torańską minie wkrótce półtora roku. Był to czas wielu bulwersujących wydarzeń, ostrych politycznie konfrontacji, zaskakujących zwrotów i zmian. A w to wszystko wpleciona często «na siłę» historia, jako swoiste czarno-białe tło. Moje nazwisko przewija się gęsto.

Skłoniło mnie to, ażeby przeczytać, wrócić na nowo do treści owej rozmowy. Niczego nie zamierzam korygować, choć – być może – niektóre akcenty rozłożyłbym dziś nieco inaczej. Z drugiej jednak strony nie chcę, aby w dzisiejszej gorączkowej atmosferze czytelnik odniósł wrażenie, iż moja autokreacja nie jest wystarczająco obiektywna, za mało samokrytyczna.

Przypomnę więc, że w kilku napisanych książkach, w dziesiątkach, a może już setkach artykułów, wywiadów, wypowiedzi – nieustannie pojawia się: żałuję, ubolewam, przepraszam, nieraz wstydzę się nawet. Szczególnie odnosi się to do wszystkich tych okoliczności i przypadków, jakie niosły za sobą jakąś ludzką krzywdę i ból. Powtarzam to raz jeszcze. Ale jednocześnie nie mogłem i nie mogę pozbawić się prawa wyjaśnienia różnych obiektywnych uwarunkowań i okoliczności czasu historycznego, czynników wewnętrznych i zewnętrznych, a zwłaszcza ówczesnego stanu wiedzy i świadomości. Jednym słowem, chodzi o wyważone, zdystansowane od doraźnych politycznych interesów i koniunktur, spojrzenie na naszą najnowszą historię.

Ten komentarz – uzupełnienie rozmowy z grudnia 2004 – jestem winien wszystkim osobom i środowiskom, których życzliwość i poparcie zawsze niezwykle cenilem i cenię”.

17 luty 2006

Rozmowa z Józefem Tejchmą

**BREŻNIEW
WYCAŁOWAŁ MNIE
PRZEZ POMYŁKĘ**



Krew uderzyła mi do głowy. Bałem się, że dostanę zapalenia mózgu.

Andrzej Wajda zauważył?

Miałem wrażenie, że nie spuszcza ze mnie wzroku, siedział obok.

Coś mówił?

Nic. Czuję jego wzrok wbity w moją twarz i starałem się opanować.

Zadzwonił kilka dni wcześniej, że film *Człowiek z marmuru* jest już gotowy i prosił, bym obejrzał.

Umówiliśmy się w salce kinowej Wytwórni Filmów Dokumentalnych przy Chełmskiej. Była pusta.

„Będą z tym filmem problemy” – zapisał pan w swoim dzienniku 27 października 1976 roku.

Siedziałem jak na rozżarzonych węglach, z wypiekami na twarzy. Widziałem znane mi realia – błoto, ciężarówki tonące w błocie i między nimi umordowani ludzie, w tym błocie usiłujący zbudować nowe miasto.

Nie wiem, czy Wajda zdawał sobie sprawę, co się ze mną dzieje. To był film – mówiąc symbolicznie – o mnie. Tam na ekranie było moje życie.

Nie. To jest film o wiejskim chłopaku, który w 1950 roku przyjechał wraz z tysiącami młodych ludzi do wsi Mogiła pod Kraków budować Nową Hutę.

Ja też byłem ze wsi.

Ale pan w Nowej Hucie był agitatorom, a on murarzem, przodownikiem pracy. On uwierzył, że w socjalistycznej Polsce będzie równo, sprawiedliwie i uczciwie.

Ja też w to wierzyłem.

Ale filmowy Birkut, gdy zwątpił i nie chciał dłużej służyć idei siejącej destrukcję, poszedł do więzienia, a pan? Pan awansował, wyżej i wyżej. I znalazł się na szczytach władzy. Członek Biura Politycznego, poseł na Sejm, wicepremier, minister kultury, co jeszcze?

Emeryt. Który wystaje w kolejkach po numerek do lekarza.

To teraz. A wtedy?

Wstałem. Film był rozrachunkiem z okresem stalinowskim, przeprowadzonym na przykładzie losów jednego z przodowników pracy. Ściganego, szykanowanego i zaszczuwanego przez ubeków i partyjnych aparatczyków.

Wajda o nic nie pytał. Wyczuł prawdopodobnie, że nie chcę rozmawiać, że nie mam odwagi wysłuchać jego pytań. W *Człowieku z marmuru* negatywnymi bohaterami byli partyjni aparatczycy pozbawieni życiorysów.



W Markowej, rok 1938. Zofia Tejchma z pięcioma synami. Józef – najstarszy stoi obok niej.

Pana jest jaki?

Lato 1948 roku, właśnie zdałem maturę, mam 21 lat. Jadę na obóz, trwa akcja jednoczenia organizacji młodzieżowych. Pod przewrotnym hasłem „demokratyzacji”. Na obozie są aktywiści wszystkich ugrupowań, ja reprezentuję „Wici”, jeszcze przedwojenne. Miłe zaskoczenie – zostaję komendantem obozu. I nagle... odkrywam dlaczego. Jestem figurantem, manipulowanym przez moich zastępców, doświadczonych działaczy z komunistycznego ZWM-u i socjalistycznego OMTUR-u, organizacji podporządkowanych Polskiej Partii Robotniczej. Powstaje Związek Młodzieży Polskiej.

1951 rok. Od trzech lat pracuję w Zarządzie Głównym Związku Młodzieży Polskiej w Warszawie. Organizuję współzawodnictwo szkolne w nauce oraz młodzieżowe brygady żniwne. Wzywa mnie przewodniczący ZMP i mówi: na budowie Nowej Huty źle się dzieje, jest straszliwy brud, szerzy się pijaństwo, młodzież po pracy nie ma co robić, tłoczy się w hotelach robotniczych i chuligani. Wyznacza zadanie – masz to zmienić. Ale jak? Jak zwykłych zjadaczy chleba w anioły przemienić?! Straszliwy ciężar odpowiedzialności. W magazynie kombinatu dostają długie gumowe buty, drelichowe spodnie, kufajkę i czapkę.

Rok 1951, zebranie partyjne, na którym przyjęto mnie do partii. Dla mnie partia jest wspólnotą ludzi najwyższego zaufania, a wstąpienie do niej to wejście w lepszy świat – wtajemniczenie. Czy jestem jej godny? Czy na takie wyróżnienie zasługuję? Na sali znajdują się członkowie podstawowej organizacji partyjnej, a za stołem prezydialnym siedzą towarzysze z egzekutywy. Pytają, czy moja rodzina należy do spółdzielni produkcyjnej. Nie. A dlaczego? Odpowiadam: Bo w mojej wsi Markowa koło Łańcuta nie ma spółdzielni. Źle. Zaczynam się denerwować. Pada kolejne pytanie: a dlaczegoż to moja rodzina nie próbuje takiej spółdzielni założyć? Bo rodzina – tłumaczę się – nie ma gospodarstwa. Wasz ojciec – słyszę i brzmi to jak oskarżenie – powinien wykazać inicjatywę i spółdzielnię produkcyjną tam założyć.

Poniedziałek, 26 maja 1952 roku. Z Nowej Huty dotarłem rano do Warszawy. Pogruchotaną taksówką pojechaliśmy z Alicją do urzędu stanu cywilnego. Po ślubie skromne przyjęcie dla paru osób u jej rodziców. Wieczorem wsiałem do pociągu. Noc poślubną Alicja spędziła ze świadkami naszego małżeństwa, a ja z książeczką stanu cywilnego w wagonie trzeciej klasy pociągu do Krakowa. Rano musiałem w Nowej Hucie witać delegację Komsomołu. Śmieszne, zapamiętałem nazwisko jej szefa – Tumanow.

Alicji już nie ma. Miała 56 lat. Była wydawcą, znakomitym, po dwóch fakultetach – biologii i filozofii.

W okresie narzeczeństwa podarowałem jej na urodziny dwa grube tomy *Dzieł wybranych* Lenina w zielonej oprawie. Wpisałem dedykację.

Co w niej?

Nie pamiętam.

Sprawdźmy.

Ten Lenin gdzieś się w przeprowadzkach zagubił.

Szkoda?

Nie. Pani dzisiaj powie: wariat. Tak, my byliśmy wariatami.

Kto „my”?

Aktywiści ZMP. Mizerna płaca, rozłąka z rodziną, brak stałego mieszkania, żadnego

dorobku. Po trzech latach pracy w Nowej Hucie przywiozłem do Warszawy tapczan, jedną walizkę z ubraniem i kilka paczek książek.

Powiedział pan to Wajdzie?

Nie. Musiałem ochłonać.

W uszach brzmiał mi jeszcze refren naszego hymnu, pełnego radości, entuzjazmu i siły, że jest nas dużo, bardzo dużo. Nam, pani Tereso, wydawało się, że tworzymy najwspanialszy rozdział historii Polski. „My ZMP, my ZMP, reakcji nie boimy się” – wykrzykiwaliśmy w Krakowie pod oknami mieszczan, demonstrując swój sprzeciw i pogardę dla starego porządku oraz manifestując, że idzie nowy, postępowy. „Miliony rąk, tysiące rąk, a serce bije jedno” – wyśpiewywaliśmy w zbiorowych marszach podczas państwowych uroczystości. ZMP był otwarciem nowej epoki dla mojego pokolenia.

Niecałego.

Nie myślałem o tym.

Wasz fanatyzm budził grozę.

Nie byłem fanatykiem. Fanatyzm rodzi się zwykle z nadmiernego odczytania w literaturze ideologicznej. Moje przekonania wyrosły z doświadczeń, z ówczesnej sytuacji wsi. Miałem – oczywiście – świadomość, że kto był w ZMP, miał pewne przywileje, na przykład w dostaniu się na studia. Ale także widziałem, że ZMP dla młodzieży chłopskiej – z którą się solidaryzowałem – jest szansą na wyjście z przeludnionej wsi, na zdobycie zawodu. Dla nas ZMP niosło nadzieję.

Na co?

Że zmienimy świat. Że zbudujemy go inaczej, lepiej. Że ludzie będą dla siebie dobrzy, mili, będą z sobą zgodnie współpracować dla wspólnej sprawy, dla idei, dla odrodzonej Polski.

I zobaczyłem film bezlitośnie obnażający głupotę i obłudę stalinowskiej propagandy. Demaskujący legendę ZMP, bo zderzający wiarę w socjalizm tysięcy młodych ludzi z cynizmem aparatu przemocy.

Nie było tak?

Musiałem się zastanowić. Co dalej.

Co?

Czy wyrazić zgodę na rozpowszechnianie tego filmu. Bo od tego, czy wyrażę – wiedziałem już – będą zależać moje partyjne losy, nie tylko ministerialne.

Umówiłem się z Wajdą na rozmowę. Bałem się jej. Wajda przyszedł z Bolesławem Michałkiem, kierownikiem literackim zespołu filmowego, i ze Ściborem-Rylskim, autorem scenariusza.



Zofia Tejchma.

*Zofia i Ludwik
Tejchmowie.*



Ścibor-Rylski się spóźnił.

Możliwe. Tego szczegółu nie pamiętam.

Wszedł do pana gabinetu i na wstępie zawołał: panie premierze, biją...

Gdzie biją?

Biją w więzieniach opozycję – odpowiedział panu. Wajda i Michatek byli przerażeni.

Ścibor był podпиты i zaczął dość obcesowo: ten film się panu podoba, no, niech się pan przyzna! Zapytałem: czy nie uważają panowie, że budowa Nowej Huty jest przedstawiona w *Człowieku z marmuru* jako oszukańcza gra? Wajda milczał.

Czy możemy – pytałem dalej – zaakceptować tę ironiczną prezentację historii? Przecież początek lat pięćdziesiątych – tłumaczyłem – był okresem także spontanicznych, nie tylko wyreżyserowanych inicjatyw. Jednak idea przodownictwa pracy, tak wyraźnie zanegowana w filmie, nie sprowadzała się tylko do manipulacji, była jakąś próbą wyrwania się – dosłownie i metaforycznie – z dna Europy, na którym znajdowaliśmy się po wojnie, była próbą stworzenia symbolu polskiego awansu. My chcemy – mówiłem dalej – na tamte pomyłki patrzeć jak na dramat, a nie jak na głupotę.

Wajda milczał, wykazywał więcej dyplomacji. A Ścibor-Rylski nacierał: no, niech pan powie, że to wybitny film. Był agresywny.

No, niech pan powie jak człowiek, a nie polityk, który boi się kłopotów.

Ścibor był niecierpliwy i momentami wręcz nachalny.

On z Wajdą na zrealizowanie tego filmu czekał czternaście lat, nie rozumie pan tego?

Rozumiałem.

I czułem, że ten scenariusz to dzieło jego życia.

Wyraziłem zgodę na sfilmowanie, przecież wie pani o tym. Żaden z moich poprzedników nie chciał podjąć tej decyzji. Wydałem ją sam, na własną odpowiedzialność, bez konsultowania się z Komitetem Centralnym.

Członek Biura Politycznego musiał się konsultować? Z kim?

No, ten system decyzyjny był zawiły jak labirynt. Sekretarz propagandy powinien był się wypowiedzieć, sekretarz od ideologii, kierownik wydziału kultury. Wielu towarzyszy z KC rzuciłoby się z ochotą, by zademonstrować swoją partyjną czujność. Oni przecież kochali zachłannymi łapami grzebać w kulturze oraz strofować i ustawiać artystów.

Żałuje pan?

Nie, nie. Nie o to chodzi.

A o co? O co?!

(Milczenie) W 1990 roku, kiedy rozwiązała się PZPR, wydobyłem z archiwów moją teczkę personalną. Odnalazłem w niej kilka wersji swojego życiorysu składanych w różnych latach PRL-u. Czytałem je z wypiekami na twarzy. Nigdy nie podejrzewałem siebie o takie zdolności manipulacyjne. W pierwszym życiorysie, kiedy miałem 19 lat i należałem do „Wici”, napisałem normalnie i prawdziwie, że pochodzę z rodziny chłopskiej.

Potem, już będąc w ZMP, w kilkunastostronicowej ankiecie na pytanie – jedno z sześćdziesięciu – czy gdzieś kiedyś pracowałem, odpowiedziałem, że tak, „u gospodarza rolnego (kułak) jako parobek”, oraz podałem, że pochodzę z rodziny chłopa matorolnego.

„Kułak” – napisałem w nawiasie o gospodarzu, który miał z pięć czy dziesięć hektarów, zauważyła pani?

Później, będąc w PZPR-ze, pisałem w swoim życiorysie, że jestem synem robotnika rolnego. Czyli zmieniałem pozycję społeczną ojca, by zwiększyć swoje szanse uczestnictwa w przemianach, jakie się w Polsce dokonywały, i dostosować je do wymogów epoki. Widać, jak bardzo nie chciałem pozostać na marginesie historii – jak się wtedy mówiło.

Bo naprawdę?

Mój ojciec w 1936 roku wyemigrował do Francji. Ukryłem to. Ojciec był najlepszym kosiarzem we wsi, ale brakowało pracy. Mieliśmy do niego dojechać. Mama i nas czwórka. Nie zdążyliśmy, wybuchła wojna. To też ukryłem.

Ale wrócił.

I co z tego?! Kontakty z Zachodem budziły w strażnikach rewolucyjnej czystości najwyższe podejrzania.

W swojej tezcze personalnej znalazłem jeszcze jedną ciekawostkę – sprawdzano mnie. Dwukrotnie: w 1952 i w 1968 roku. W 1952 roku Zarząd Główny ZMP zwrócił się do Komitetu Powiatowego PZPR w Łąncucie o opinię o mojej rodzinie. Nie wiem po co. W wydanej opinii końcowe zdanie brzmiało: „ojciec pracuje jako woźny w szkole, bezpartyjny, do obecnego ustroju i ZSRR ustosunkowany pozytywnie”. O jego pobycie we Francji w opinii nie było ani słowa.

Oszukali?

Nie wykazali gorliwości.

A w 1968 roku co sprawdzano?

Moje pochodzenie. Czy jest aryjskie, mówiąc brutalnie. W Rzeszowskim – słyszałem od Kruczka, pierwszego sekretarza KW – rozpuszczono plotki, że albo ja jestem

Żydem, albo moja żona Żydówką. W swojej teczce personalnej wyczytałem, że wysłano esbeków do mojej wsi, żeby się zorientowali, jak jest. Widocznie pan Moczar przed moim awansem do Biura Politycznego postanowił upewnić się, czy na miejsce jednego Żyda nie przyjdzie drugi Żyd. Esbecy przepytывali znajomych i urzędników powiatowych. Niewiele to pomogło. Niektórzy towarzysze w KC i tak mówili o mnie Tajchman.

Co, co?

Kiedyś miałem „n” na końcu, nazywałem się Tejchman. A niektórzy z rodziny pisali się Teichman. Nie wiem, skąd to nazwisko się wzięło.

Tam w sypialni na ścianie – widzi pani? – jest obrazek z mojej pierwszej komunii podpisany „Józef Tejchman”. Nazwisko zmienił nam ksiądz, kiedy poszedłem do niego po metrykę. Potrzebna mi była, by zapisać się do liceum. Powiedział, że czasy niemieckie się skończyły, lepiej to „n” skreślić. I skreślił.

Tylko panu?

Nie, nie, całej rodzinie. Ojcu także, jak wrócił z Francji.

Ojciec przyjechał do Polski po dziesięciu latach, bez grosza. Byłem już w liceum. Mój chrzestny, który był piekarzem, dawał mi rano dwie butki. Często musiały



Zespół ludowy z Markowej, 1945 rok. Józef – siedzi w drugim rzędzie czwarty od lewej.

wystarczyć na cały dzień. Ale wie pani, głód, poniewierka po stacjach czy bieganie siedem kilometrów z Markowej do Łańcuta nie były dla mnie ważne. Ja się uczyłem! W najlepszym liceum w Łańcutie – im. Henryka Sienkiewicza. I chciałem studiować polonistykę.

Po maturze jednak – zamiast do Krakowa na Uniwersytet Jagielloński – pojechałem do Warszawy. Zostałem etatowym pracownikiem Zarządu Głównego ZMP.

Tego pan żąda? Tego?!

Tego.

Bo pana koledzy z liceum?

Kilku zostało profesorami, dwóch wybitnymi. Czesław Hernas od literatury polskiej i Tadeusz Korzon od medycyny.

A pan... Łunaczarskim.

(Uśmiech) To Ścibor-Ryński. Niech pan zostanie – zakrzykną do mnie w pewnym momencie – polskim Łunaczarskim. Co miało znaczyć, że jak wykażę odwagę i *Człowieka z marmuru* skieruję do kin, to przejdę do historii. Popatrzyłem na Wajdę. Chyba nie myślał jeszcze o konkurowaniu z Eisensteinem.

Anatolij Łunaczarski w porewolucyjnej Rosji był komisarzem oświaty i dzięki niemu Eisenstein nakręcił film *Pancernik Potiomkin*.

Ścibor chciał od razu, natychmiast, już! uzyskać ode mnie zapewnienie, że *Człowiek z marmuru* pójdzie na ekrany. I wykombinował, że pobudzi w ten sposób moją ambicję *(śmiech)*.

Powiedziałem Wajdzie: wolę mieć kłopoty z pana filmem niż spokój z innymi. Chciałem mu – zdawkowo – dać sygnał, że mnie jako ministrowi kultury zależy, by takie szokujące opinie publiczną dzieła powstawały, bo to one wzbogacą kulturę narodową, a nie jakieś przeciętne, niewywołujące intelektualnego poruszenia.

Wprost powiedzieć pan nie mógł?

Nie mogłem. To były okropne czasy, pani Tereso. Te półśłówka, niedopowiedzenia, aluzje. Ale Wajda zrozumiał, co chciałem mu przekazać. To mi wystarczy jako ocena – rzekł.

Przedstawiłem mu swoje uwagi. Złagodzić scenę z demonstracji pod Urzędem Bezpieczeństwa, kiedy robotnicy rzucają cegłami w okno i wybijają szyby, bo zbyt drastyczna. Stonować słownictwo dotyczące oceny działania milicji i wyrzucić przymiotnik „koszmarna”, odnoszący się do architektury Nowej Huty, ponieważ Nowa Huta jest świętym miastem socjalizmu i może u widza wywołać skojarzenie z pomnikiem Lenina.

Oraz wyciąć zakończenie.

To dwa tygodnie później. Bo film kończył się śmiercią bohatera w protestach grudniowych w 1970 roku, a tymczasem obejrzał go Jerzy Łukaszewicz, sekretarz od propagandy, i szalał z wściekłości, że coś takiego powstało.

Bo on wątpliwości – że nie powinno – nie miał żadnych?

Jeśli miał, nie ujawniał.

Gierek, Jaroszewicz?

Oni, jak Łukaszewicz, nie chodzili do teatru, niewiele co czytali, nie odróżniali kultury od propagandy, ale musieli pokazać, kto tu rządzi.

Jaroszewicz pouczył mnie: zamów krytyczne recenzje do gazet. Zamówiłem.

Premier był człowiekiem inteligentnym, wykształconym, ale równocześnie urzędnikiem, który chciał mieć święty spokój.

Film Wajdy – oświadczył mi i była to jedna z mądrzejszych jego wypowiedzi – jest zły politycznie, ale atrakcyjny artystycznie i ludzie będą go masowo oglądać. A Bohdana Poręby – dorzucił o filmie *Gdzie woda czysta i trawa zielona*, który wszedł wtedy na ekrany – jest dobry politycznie, ale słaby artystycznie i nie będzie miał frekwencji.

Poręba – reżyser, Ryszard Filipiński – aktor i Ryszard Gontarz – publicysta z ambicjami scenarzysty, to była doborowa trójka partyjna tamtych lat.

A Gierek?

Wycisz tę dyskuszję – nakazał. – Ona szkodzi partii.

Nie potrafiłem wyciszyć. Rozgorzała pod hasłem: „Oni swoją ZMP-owską przeszłość opluwają”.

Mieli rację?

Nie.

Pan to wiedział?

Wiedziałem. Coraz lepiej.

Od kiedy?

Uderzenie – straszliwe, bo pierwsze – spadło na mnie z Moskwy. Byłem jeszcze w Nowej Hucie. Nagle po śmierci Stalina usłyszałem, że aresztowano i zabito Berię. Czyli tam, w wyidealizowanym przeze mnie kraju, dla władzy jeden zdolny jest ukatrupić drugiego! Przeżyłem załamanie.

Zabito zbrodniarza.

Ale ja o tym nie wiedziałem! Ja wyobrażałem sobie, że w Związku Radzieckim jest fantastyczny porządek, że oni wszyscy zgodnie z sobą współpracują dla dobra socjalizmu, że tam buduje się nowe socjalistyczne społeczeństwo. Wtedy – chyba po raz pierwszy – zacząłem się przyglądać, jak to w Nowej Hucie jest naprawdę. Bo praca niby trwała, wysiłek był olbrzymi, wielkie piece niedługo miały być ukończone, ale ludzie – na przykład przyjętym przez nas założeniom – się nie zmieniali. Po pracy walili się na piętrowe

prycze w brudnych roboczych ubraniach, bez mycia. Albo szli w miasto rozrabiać. Pijatyki, bójki, chuligaństwo.

Adam Ważyk, pani Tereso, w *Poemacie dla dorosłych* napisał prawdę. Ironicznie, gorzko, ale prawdę. On w niczyje biografie nie uderzył – o co go oskarżono. On je tylko krytycznie ocenił. Patrząc z boku, zobaczył więcej. On zakwestionował nasz urzędowy optymizm. „Wielka migracja przemysł budująca / ...karmiona pustką wielkich słów, żyjąca / dziko, z dnia na dzień i wbrew kaznodziejom – / z niej się wytapia robotnicza klasa. / Dużo odpadów. A na razie kasza”.

Wróciłem z Nowej Huty do Warszawy.



Lata pięćdziesiąte XX wieku.

Robić karierę polityczną?

Nie, nie. To nie było z góry przyjęte założenie, to nie był cel sam w sobie. Mnie niosła fala.

Ujawniono popełnione zbrodnie, napiętnowano je. Milczącego, ponurego Stalina zastąpił gadatliwy, rubaszny Chruszczow. Przeczytałem tajny referat – egzemplarz numer 16 735. Na marginesie jednej ze stron zanotowałem: „nie wystarczy krytykować okrutne cechy osobiste Stalina, trzeba je zanalizować i zdemaskować system, który Stalina stworzył”. Ciekawe. W 1956 roku myślałem o systemie.



Na obozie ZMW.

Rozwiązano ZMP.

W jego miejsce powstały dwie organizacje: Związek Młodzieży Wiejskiej i Związek Młodzieży Socjalistycznej. Zakładałem ZMW, byłem jego pierwszym przewodniczącym.

Płynąłem z falą. Ta fala wciągała w wir jakichś spraw, działań, zadań do wykonania. I wynosiła – na coraz wyższy szczebel.

Władzy.

Tak, władzy.

Dlaczego wyniosta pana?

Gomułka. Lubił mnie. Prawdopodobnie za skromność, bo nie próbowałem wysuwać się do pierwszego szeregu. I chyba za Związek Młodzieży Wiejskiej.

Gomułce Związek Młodzieży Wiejskiej w formie, jaką proponowaliśmy, bardzo się podobał. Cenił nas za pragmatyzm i pozytywistyczne myślenie. Sam był ideologiem, nawet dogmatykiem tej ideologii, ale nie kochał, gdy organizacje młodzieżowe zajmowały się polityką. Dlatego nie lubił ZMS-u.

ZMS według niego za bardzo politykował, chciał być kuźnią kadr dla aparatu partyjnego i usilnie starał się naśladować PZPR, nawet w nazewnictwie. Szef ZMS-u nazywał się więc sekretarzem, działacze – nie jak w ZMW kolegami – ale towarzyszami, i nie było zarządów, tylko komitety. Gomułka uważał, że jest to pchanie młodzieży na siłę do wielkiej polityki. I chyba miał rację, bo młodzież ta zamiast zdobywać normalne uniwersyteckie wykształcenie, uprawiać sport, uczyć się zawodu i rozwijać w sobie umiejętność funkcjonowania w codziennym życiu, zajmowała się organizowaniem jakichś akcji lub kampanii politycznych i przygotowywała się do przejęcia władzy.

I przejęta.

Rzeczywiście dużo działaczy ZMS-owskich widziało się jeszcze niedawno na różnych stanowiskach.

My zaś w ZMW nie wdawaliśmy się w ideologiczne spory. I zajmowaliśmy się przyjemnymi sprawami, czyli pracą organiczną – oświatą na wsi, sportem, turystyką oraz nawożeniem i produkcją zwierzęcą. Moim konikiem było szerzenie kultury wśród młodzieży wiejskiej. Świetlice, klubokawiarnie, zespoły amatorskie.

Nie wszystkim się to podobało.

Nazwisko Romana Zambrowskiego coś pani mówi?

Od 1944 do 1963 roku był członkiem Biura Politycznego, najpierw w PPR, potem w PZPR.

Sztandarowa postać. Z ramienia Biura Politycznego odpowiadał za młodzież. Jemu – na przykład – się nie podobało. Pchał nas w kierunku sekciarstwa politycznego,

próbował włączyć w jakieś gry partyjne. Dalekie od naszych zamierzeń, kompletnie dla nas niejasne.

I dlatego dziesięć lat później... pamięta pan?

Nieładnie zrobiłem.

W kwietniu 1968 roku przypomniał pan to na posiedzeniu Biura Politycznego.

Nie wiem, po co to powiedziałem.

Nie był pan jeszcze członkiem Biura Politycznego, tylko sekretarzem.

Było nagrywane. Jedyne nagrywane, z tego, co pamiętam jak przez mgłę. Trepczyński widocznie miał przecucie, że będzie ważne, przyniósł magnetofon i Gomułka, choć niechętnie, zgodził się na nagrywanie.



Na Zambrowskiego trwała wtedy nagonka, zakończona wyrzuceniem go z partii i ja – przypominając to – w jakiś sposób do tej nagonki się przyłączyłem.

O pochodzeniu Zambrowskiego – zapewniam panią – w ogóle nie myślałem. Choć w kontekście wydarzeń marcowych i atmosfery, jaka wtedy zaistniała, można przypuszczać, że ten antysemicki nurt też mnie porwał. Ale chyba nie.

O Zambrowskim zawsze miałem złe zdanie, uważałem, że jest dwulicowy. I to, czy jest, czy nie jest Żydem, u nas, w ZMW, nie miało żadnego znaczenia. Było takie zebranie, pamiętam, pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy któryś z działaczy zaczął atakować Zambrowskiego za jego politykę rolną i stosunek do chtëpów. Rzeczywiście było za co, bo w czasach stalinowskich Zambrowski odpowiadał za rolnictwo i centralnie sterował wsadzaniem chtëpów do więzień z powodu niewywiązywania się z dostaw

obowiązkowych. Ten działacz jednak dał do zrozumienia, że Zambrowski zachowywał się tak nie z powodów ideologicznych, ale rasowych. I wtedy Barcikowski, który siedział obok w prezydium, kopnął mnie w kostkę, że trzeba go przywołać do porządku, że takie wypowiedzi nie będą u nas tolerowane. I nie były.

W 1968 roku Biuro Polityczne przeprowadzało akcję rozrydzania.

Padły takie słowa?

Nie, Gierek użył sformułowania „akcja rozrzedzania”. Że ją prowadzi na Śląsku od dawna.

Może. Pamiętam inne, Zenona Nowaka z 1956 roku. Mówił, że potrzebna jest regulacja kadrowa, bo za dużo jest Żydów na stanowiskach.

Było?

Nie zastanawiałem się.

Zwalniały się stanowiska.

Nie myślałem o tym.

Nie chciał pan żadnego?

Chciałem, ale... Trudno to będzie wytłumaczyć.

Spróbujmy.

Ze stanowiskami jest tak, że kiedy na człowieka spadają awanse, kiedy człowiek poczuje, że ma na coś wpływ, że uczestniczy w podejmowaniu jakichś decyzji dotyczących ogółu, zaczyna myśleć, że jest ważniejszy od innych.

Lepszy?

Nie – ważniejszy. Bo więcej może. Ma prestiż, wszyscy mu się kłaniają. I wtedy człowiek zaczyna się zachowywać jak pod wpływem narkotyków. Potrzebuje codziennego potwierdzenia, że jest, że istnieje. W prasie, na trybunie pierwszomajowej, na kongresach partyjnych.

Nie ma ludzi odpornych na władzę, proszę w to nie wierzyć. Każdy człowiek ma potrzebę bycia znanym, cenionym, dostrzeganym. I każdy przy awansie przeżywa zawrót głowy, popada w euforię i tkwi w tym podnieceniu, ulegając gorączce sukcesu.

Taki moment. Dokładnie go pamiętam. Jestem sekretarzem rolnym w KC, mam 41 lat i nagle dowiaduję się, że zostanę członkiem Biura Politycznego.

Na czyje miejsce?

Nie zastanawiałem się.

W pół roku po Marcu?

Że w miejsce kogoś wyrzuconego, dotarło do mnie dopiero po kilkunastu latach.

Trwała kampania antysemitka.

Nie uczestniczyłem w niej.

Ale i nie stanął pan w obronie wyrzucanych.

Nie. Awans przyjąłem bez pytania. Przynależność do partii oznaczała, że jestem do jej dyspozycji. Przyjmę awans, gdy partia postanowi wynieść mnie w górę, i nie stawię oporu, gdy uzna, że trzeba mnie zepchnąć w dół. W listopadzie 1968 roku myślałem tylko o tym, że mnie wyniosła. I że z dnia na dzień znalazłem się w gronie dziesięciu lub dwunastu najważniejszych osób w Polsce. Ja, chłopak z Markowej.

A tam, na szczycie, jak?

Grudzień 1970.

13 grudnia została ogłoszona podwyżka cen żywności. Wydrukowano listę towarów, które podrożeją. Ta lista była bardzo długa.

W przeddzień byłem w Olsztynie na posiedzeniu egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Wszyscy ważniejsi działacze rozjechali się po kraju, tłumaczyć dlaczego. W Olsztynie na sali siedzieli sekretarze z większych zakładów pracy. Moje wyjaśnienia – oficjalne, że podwyżka potrzebna jest dla zracjonalizowania cen żywności, bo utrzymują się od lat na tym samym poziomie i są absurdalne w sensie ekonomicznym, oraz że nikt na podwyżce nie straci, przyjęto w milczeniu. Wszyscy milczeli.

Bo naprawdę?

Tracili.

To po co?

Żeby ograniczyć popyt. Brakowało żywności.

Świń?

Wszystkiego. U nas zresztą cykl świński zawsze był cyklem politycznym. Wtedy objawiał się nie w świńskiej górcie, jak teraz, tylko w świńskim dołku, wywołując kryzysy. I polegał na tym, że duże pogłowie macior powodowało spadek cen prosiąt, co pociągało za sobą wyprzedaż macior i brak prosiąt, a to z kolei – wzrost ich cen i ponowny przyrost pogłowia macior. W 1970 roku znowu nastąpił spadek pogłowia wieprzowego, walił się budżet i trzeba było podnieść ceny.

Nagle, przed świętami Bożego Narodzenia.

Brak wyobraźni.

14 grudnia obradowało plenum KC. To był poniedziałek. Do Urzędu Rady Ministrów, gdzie się odbywało, zjechało ze sto kilkadziesiąt osób z całej Polski. Siedziałem za stołem prezydyjnym. Gomułka, Cyrankiewicz, Kliszko, Loga-Sowiński,

Gierek, całe Biuro Polityczne. Bolesław Jaszczuk, sekretarz ekonomiczny, omówił założenia planu gospodarczego na przyszły rok, rozpoczęła się dyskusja. O podwyżkach cen, które właśnie tego dnia weszły w życie, nikt nie wspominał. Jak w surrealistycznym filmie.

Podwyżki były pomysłem Gomułki i nikt nie odważyłby się ich skrytykować. Gierka zresztą sześć lat później – też nie. Tak rozumiało się dyscyplinę partyjną.

W południe ogłoszono przerwę i pojechaliśmy do gmachu KC na obiad. Członkowie Biura Politycznego i sekretariatu KC jedli w osobnej sali. Gomułka usiadł za stołem i powiedział, że w Gdańsku robotnicy wyszli na ulice, są manifestacje i w Stoczni im. Lenina wybuchł strajk.

Powiedział „strajk”?

Tak. Robił wrażenie człowieka zaskoczonego.

Bo słowo „strajk” w PRL-owskiej polszczyźnie nie istniało.

Oficjalnie mówiło się przestoje lub przerwy w pracy.

Tydzień wcześniej Gomułka przeżył swój triumf – podpisał z kanclerzem Brandtem układ pokojowy, gwarantujący Polsce granicę na Odrze i Nysie. Ta granica, niepotwierdzona w traktatach międzynarodowych, była jego obsesją. Bał się, że ZSRR dogada się z NRF-em ponad naszymi głowami i zostaniemy Księstwem Warszawskim, bez Ziem Zachodnich. Pierwsze sygnały mieliśmy już wcześniej. Z Niemcami flirt zaczął zięć Chruszczowa – najpotężniejszy zięć świata. Jeździł w jego imieniu do Niemiec, do papieża i zapowiadał zmiany polityczne, dotyczące także Polski, o których Polska nic nie wiedziała.

Przy obiedzie Gomułka powiedział: teraz manifestują na ulicach, a wieczorem zaczną rabować sklepy. Uderzyło mnie, że od razu przewidział i ocenił przebieg zdarzeń – eskalacyjny.

Rozumiał dlaczego?

Nie rozumiał. I do końca upierał się, że robotnicy na podwyżce nie stracą, bo staniało trochę towarów przemysłowych i przewidziane zostały rekompensaty. Procentowe od zarobków. Czyli ten, kto zarabiał mało, dostawał niewiele, a kto zarabiał lepiej, ten dostawał więcej.

Kto tak wymyślił?

Ekonomiści. Wyliczyli, ile kto z budżetu domowego wydaje na żywność, i wyszło im, że zarabiający mniej – wydają mniej, a zarabiający więcej – więcej. No to trzeba im proporcjonalnie do wydatków wyrównać.

Co tu dużo mówić? Tępa technokratyczna manipulacja, może ekonomicznie uzasadniona, ale społecznie prowokacyjna. Którą my – co mam pani jeszcze tłumaczyć?

– my ją na Biurze Politycznym kilka dni wcześniej przyjęliśmy. W milczeniu! Gomułce się podobała, więc nikt nie próbował z nim dyskutować.

Zjedliśmy obiad, wróciliśmy do URM-u i na plenum dalej – jak gdyby nigdy nic – toczyła się dyskusja o przyszłorocznym planie gospodarczym. Tylko przy stole prezydialnymi kręcili się oficerowie Bezpieczeństwa, donosząc meldunki Gomułce i Cyrankiewiczowi. Ja chyba też je dostawałem, sży z rozdzielnika.

Członkowie KC siedzący na sali o niczym nie wiedzieli?

Oczywiście, że wiedzieli. Informacje rozeszły się bardzo szybko – kularowo, ale oficjalnie na sali obrad wszyscy udawali, że nic się nie stało, w myśl zasady, o czym się nie mówi, nie istnieje. A myślami byli zapewne gdzie indziej.

Kazimierz Barcikowski, pierwszy sekretarz Poznania, wspominał po latach, że myślał, co zdarzy się w zakładach Cegielskiego. A pan?

Ja? Że historia zatoczyła koło. I że dla mnie to koło zamknęło się. Partia robotnicza, władza robotnicza znowu strzela do robotników.

Ja to już wcześniej widziałem! W Poznaniu, w 1956 roku. Ja widziałem czołgi, widziałem spalony gmach Urzędu Bezpieczeństwa. Do Poznania pojechałem z Centralną Szkołą Partyjną, w której studiowałem. Dostaliśmy polecenie chodzić po ulicach.

Po ulicach?

Żeby pozorować normalizację. Udawać, że nic złego się nie dzieje. Że wszystko w porządku.

W grudniu 1970 roku w gabinecie Gomułki znajdował się sztab akcji. Decydowano, dokąd skierować siły wojskowe i milicyjne, które miasta obstawić i jakimi siłami. Gomułka tą akcją kierował osobiście. Do fizycznego załamania. Gomułka wzywał potrzebne mu osoby, komunikował decyzje, wydawał dyrektywy.

Jakie panu?

Mnie nie. Jemu byli potrzebni ludzie od wojska, milicji i Bezpieczeństwa, a ja zajmowałem się oświatą, kulturą, młodzieżą.

Ja tego nie mogłem pomieścić w swojej głowie. Człowiek wyniesiony na szczyty władzy dzięki – uzasadnionemu, jak sam wtedy określił – protestowi robotników z Poznania, teraz bunt robotników z Wybrzeża nazywa – jak poprzednicy – kontrrewolucją. I mobilizuje cały aparat państwowy, by go zdusić siłą. Co to jest?

Pycha.

Nie, nie, Gomułka był człowiekiem skromnym, surowych zasad, do przesady uczciwym, wręcz ascetycznym. Oszczędny w słowach, oschły w kontaktach, samotnik. Jemu naprawdę nie zależało na władzy dla władzy.



Z żoną Alicją w lokalu wyborczym.



Żona z córką Asią



i z Władysławem Gomułką na balu sylwestrowym w KC PZPR.

Tylko na tym, żeby postawić na swoim.

Nie, nie.

Bo partii nikt na kolana nie rzuci, prawda?

On uważał, że jeśli go zabraknie, wszystko się zawali. Wszystko. Że Polska się zawali, socjalizm. Jego trwanie na stanowisku wynikało z poczucia odpowiedzialności. Tak ją rozumiał.

Ja byłem – może to śmiesznie teraz zabrzmie – ale ja byłem pod jego urokiem. On inicjował moje awanse, darzył życzliwością. Wie pani, jaki był?

Raz go widziałam. Na balu sylwestrowym. Tańczył. Nie z żoną.

Na pewno ze swoją sekretarką. Ale proszę nie doszukiwać się w tym żadnych podtekstów. Gomułka lubił tańczyć, lubił rozerwać się raz w roku. Bigos, kieliszek wódki.

Żona?

Po północy szła do domu.

Nie była zazdrosna?

Nie sądzę.

„Ciotka” rewolucji?

Nie lubię takich określeń. Była przedwojenną komunistką i dla niej Wiesław był świętą figurą, tak ważną dla Polski, socjalizmu i partii, że zgodziłaby się na wszystko, co pozwoliłoby mu odetchnąć, odpocząć, oderwać się od pracy.

„Z Nowym Rokiem zepsuta się nam aparatura” – powiedział w pierwszych minutach 1 stycznia 1970 roku i stuknął zniecierpliwiony w mikrofon.

Rzeczywiście nie działały. Ale szybko naprawiono. I potem: „witamy nowego przybysza”. Każdy Nowy Rok tak zaczynał. „Wiemy, jaki był ten, co odchodzi, nie wiemy, jaki przyjdzie”.

Teraz wiele scen mi się przypomina. Ja byłem Gomułką zafascynowany!

Wróciłem na przykład z Czechosłowacji, to było już po inwazji. Przeszedłem do niego zafatwić jakieś sprawy, zapytał o Husaka. Powtórzyłem, co usłyszałem, że pije, coraz więcej. Gomułka się zmartwił. Uważał, że napić się można, gdy jest dobrze, ale gdy zaczyna się pić, kiedy jest źle – wtedy robi się jeszcze gorzej.

I nagle – nie wiem skąd mi to przyszło do głowy – zapytałem: towarzyszu Gomułka, powiedzcie, kto zrobił Katyń. I on mi zupełnie spokojnie odpowiedział: zdolni byli do tego i jedni, i drudzy.

Wyszedłem i dopiero za drzwiami dotarło do mnie, co zrobiłem.

Coś złego?

Wtedy? Zapytać o Katyń? Obowiązywała święta zasada, że o nic, co mogłoby naruścić dobre stosunki polsko-radzieckie, nie wolno było nawet pytać.

Proszę nie wierzyć, że Chruszczow proponował Gomułce, by ujawnił prawdę o Katyniu, i Gomułka mu odmówił, bojąc się wybuchu nastrojów antyradzieckich. Gomułka liczył, że pamięć o Katyniu przygaśnie i upływ czasu ją zmaże. Wielu towarzyszy prawdopodobnie na to liczyło.

Ale wie pani, co było zastanawiające, że moje pytanie nie wywołało normalnej u niego odruchowej złości i że nie wyrzucił mnie za drzwi. Bo wyrzucił. Mnie nie, ale innych często. On przemówił do mnie tonem starszego towarzysza, który wie, że młodszego nie powinien okłamywać, ale też nie może mu powiedzieć za dużo, bo go wystraszy.

Szykował pana na swego następcę.

Nie mówił mi tego. Nie chwalił. Tylko raz – po wyborach do Sejmu, kiedy w Olsztynie, skąd startowałem, otrzymałem jakieś skreślenia – powiedział: czego oni od Tejchmy chcą, dostali takiego dobrego kandydata na posła.

Skreślenia były, bo ktoś prawdopodobnie przy tych wyborach majstrował. Jakieś służby. Wtedy to było łatwe. Wystarczyło w jednym powiecie zorganizować szeptaną akcję propagandową, że można skreślać, to skreślano.

I drugi raz – Kliszko na jakiejś naradzie w Rzeszowie wyraził się o mnie „nasz beniaminek”. Kliszko sam tego by nie wymyślił, musiał coś dobrego o mnie usłyszeć od szefa. Było mi przyjemnie, tak, bardzo przyjemnie.

Pan był jego pupilem.

Miał kilku.

Dwóch – pana i Stanisława Kociotka.

Kociotek był bardziej ideologiczny w swojej postawie, ja bardziej praktyczny.

W grudniu 1970 roku Kociotek wyjechał do Gdańska. Pierwszy zareagował. Odważnie. Sam zgłosił się do Gomułki. Powiedział, że chce jechać, że opanuje sytuację. Był pewny, że opanuje. Znał ludzi, przez prawie trzy lata był tam wcześniej pierwszym sekretarzem KW i wydawało mu się, że jak przemówi, przywoła argumenty uzasadniające podwyżkę i obieca robotnikom, że choć dzisiaj stracili, to jutro się im te straty jakoś wyrówna, to robotnicy zarzucą protest i wrócą do pracy.

Jak wyrówna?

On wierzył w swoje zdolności przekonywania, w siłę swojej perswazji.

Gierek też, pamiętam, sześć lat później, w trakcie wydarzeń radomskich był tak pewny siły swego autorytetu, tak wierzył we wszechmoc swego posłannictwa, że jak

się dowiedział o strajkach, to palnął do nas: zaraz tam pójde i powiem ludziom, żeby się uspokoili i wrócili do pracy. I był przekonany, że go postuchają i wrócą.

Nie wiem, co to jest. Może pewność siebie, wynikająca z jakiegoś zezadzenia władzą albo niewzruszona wiara, że system, któremu się służy, jest najlepszy na świecie.



Dla pana nie był?

Już nie.

Nerwowo przyśpieszony stukot obuwia. Słyszę. Dochodzący z korytarzy KC. Jeden chodził do drugiego, żeby się czegoś dowiedzieć, nie mógł wysiedzieć w gabinecie. Ja też nie mogłem. Chodziłem do Kani, nadzorował sprawy bezpieczeństwa. I do Moczara, który choć nie był już ministrem spraw wewnętrznych, siedział w sekretariacie KC, miał bezpośrednią łączność telefoniczną z Gdańskiem i na bieżąco wystuchiwał meldunków.

Szedłem do nich z nadzieją, że wreszcie koniec, a wychodziłem z przeświadczeniem, że to bankructwo systemu. Milicja i wojsko strzelało do ludzi. W Gdańsku, Szczecinie, Elblągu, Słupsku. I zabijało.

A w nocy zabitych wywożono w workach na cmentarz, wiedział pan?

Nie. Dopiero potem. Długo potem.

Gomułkę zobaczyłem w środę. To było 16 grudnia. Zwołał kilka osób, żeby omówić treść przemówienia Cyrankiewicza. W czwartek wieczorem premier miał je wygłosić w telewizji.

Chciał?

Dostał polecenie.

Mógł nie wykonać.

Gdyby nie wykonał, przestałby być premierem.

I tak przestał.

Ale jeszcze był. Jeszcze był.



Ktoś w ogóle wodzowi czegoś odmawia?

Nie słyszałem. Gierkowi też nie.

Nie optała się?

Gierek Cyrankiewicza potraktował łagodnie. Dał mu stanowisko przewodniczącego Rady Państwa.

Dlaczego?

Postuszerstwo i lojalność wobec pierwszego sekretarza zawsze w partii były wartościami cenionymi najwyżej. Cenionymi i nagradzanymi.

Kolejnym stanowiskiem?

Postuszerstwo budowane było na zasadzie uzależniania. Jak będziesz grzeczny – nie pozwolimy ci zginąć, nie zostaniesz na kompletnym lodzie, bez pracy, bez środków do życia. I każdy, nawet pierwszy sekretarz, miał zakodowane w tyle głowy pytanie: a co będzie ze mną potem? Lepiej więc zapewnić innym miękkie lądowanie, by i mnie potem ochroniono. Był to ludzki element w nieludzkich decyzjach kadrowych. Sam tej ochrony doświadczyłem, gdy usunięto mnie z rządu i wystano na ambasadora.

Gomułka przemówienie Cyrankiewicza poprawiał, przerabiał, coś dopisywał ołówkiem. Zaproponowałem, by może pominąć argument, że robotnicy na podwyżce nie stracą, bo oni mają poczucie, że stracili, więc lepiej ich nie drażnić. Gomułka się zachnął: nic nie stracili!

On nie znosił słowa „poczucie”. Dla niego odczucia społeczne były irracjonalnym pojęciem, wymyślonym przez intelektualistów. Do oceny, jak jest – wściekał się – wystarczy rocznik statystyczny.

Cyrankiewicz wysłuchał uwag, wziął tekst – niedobry, pełen frazesów bez znaczenia, w stylu, że Polsce Ludowej potrzebna jedność i dyscyplina, i odczytał go w telewizji.

„Siły wrogie usiłują stwarzać nowe ogniska anarchii, zakłócić normalny rytm pracy w zakładach, zdeorganizować życie kraju”. A te siły według Cyrankiewicza to: „elementy anarchistyczne, chuligańskie i kryminalne” oraz „wrogowie socjalizmu, wrogowie Polski Ludowej”.

On jednak był (*uśmiech*) geniuszem kompromisu.

Ale złagodniał. Kiedyś mówił: „Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie...”. Pamięta pan?

To z jego przemówienia w Poznaniu w 1956 roku. Słuchałem go wtedy przez radio. Cyrankiewicz nigdy tego przemówienia nie zapomniał.

Jest pan pewien?

Tak.

A Gomułka?

Zapomniał. Swojego z VIII Plenum 1956 roku na pewno.

Zadzwońtem do Jaruzelskiego.

Nie był członkiem Biura Politycznego.

Ale był ministrem obrony narodowej, trzymał wojsko. To wojsko strzelało na ulicach. I gdyby oświadczył, że będzie bronił aktualnej linii partii, Gomułki, legalizmu – zmiana pierwszego sekretarza nie nastąpiłaby tak łatwo.

Rzekłem: Gomułka musi odejść i rozwiązanie musi być śląskie.

Że chodzi o Gierka, wprost pan nie powiedział.

Prawdopodobnie z nawyku, a może z podświadomej naiwnej ostrożności. Przez telefon nie rozmawiało się wtedy swobodnie.

Nawet rządowy?

Tym bardziej rządowy. One były technicznie łatwiejsze do podsłuchiwania niż miejskie. Ale ja, dzwoniąc do Jaruzelskiego, o podsłuchu absolutnie nie myślałem. We mnie była szalona determinacja, że muszę, po prostu muszę znaleźć jakieś rozwiązanie. W takim stanie psychicznym kalkulacje nie istnieją, o podsłuchach się nie myśli.

Były?

Na pewno.

Kto?

Podstuchiwać mogli ludzie Moczara. Oni trzymali wszystkie klucze w MSW i pilnowali techniki operacyjnej – podsłuchów, donosów, kontroli korespondencji.

Donieśli Gomutce?

Nie, raczej nie. Moczar panicznie bał się Gomutki. W ogóle ci starzy towarzysze – Kliszko, Ryszard Strzelecki, Loga-Sowiński – ważni i odważni czuli się tylko wtedy, gdy nie było Gomutki. Przy nim kładli uszy po sobie.

Jaruzelski zgodził się na Gierka. Jedyne rozwiązanie – powiedział do mnie – innego nie ma. I poinformował o swojej rozmowie z marszałkiem Grieczko, w której ten bardzo ostro ocenił fakt, że druga co do wielkości armia Układu Warszawskiego strzela do robotników, co osłabia siłę Układu. Zapytał, kto powie to Wiesławowi. Ja – odpowiedziałem.

Później zadzwoniłem do Józefa Kępy, pierwszego sekretarza Warszawy, oraz do Kani, Olszowskiego, Edwarda Babiucha. Działalem jak w transie. Ogarnięty jedną myślą: przerwać ten krwawy konflikt.

Kociotek wrócił z Gdańska, był kompletnie zmaltretowany. Porwały się struktury partyjne – opowiadał.

Zadzwoniłem do Gierka. Powiedział: Józiu, oczywiście, zgadzam się być pierwszym sekretarzem, mamy historyczną misję do spełnienia.

W tym czasie, o czym chyba nie wiedziałem, jechali do niego samochodem Kania ze Szlachcicem. Po rozmowie ze mną.

Nie było żadnego spisku, zapewniam panią. Ja do Gomutki zdecydowałem się pójść sam, z własnej inicjatywy i nie po władzę dla siebie. Powodowany interesem ogólnym – partii czy Polski, niech każdy nazywa, jak chce. Nikt mnie do tego nie zachęcał. Nikogo nie prosiłem o radę.

Późnym wieczorem zaszedłem tylko do swego przyjaciela Zenona Wróblewskiego. Był kierownikiem wydziału w KC. Chciałem się upewnić, czy podjąłem słuszną decyzję. Zapytał, czy ktoś mnie poprze. Opowiedziałem, z kim rozmawiałem. Zapytał, czy jestem pewny ich poparcia: Tak. To idź – powiedział.

Skąd Gierek?

Z oceny sytuacji. Kto jest możliwy do przyjęcia przez aparat partyjny w kraju i kogo zaakceptuje Moskwa. Jego nazwisko już padło w 1968 roku i nie utopiło się. Po słynnym przemówieniu Gomutki w Sali Kongresowej, oceniającym wydarzenia marcowe, rozległo się skandowanie: „Wiesław-Gierek”. To było wydarzenie bez precedensu. Odebrałem je jako wyraz niezadowolenia z mowy Gomutki i promowanie Gierka na przywódcę.

I nie przeszkadzało panu, że na wiecu w Katowicach groził, iż tym, którzy „będą nadal próbowali zawracać nurt naszego życia z obranej przez naród drogi, to śląska woda pogruchocze im kości”?

No, wie pani, Gierek był facetem o dość zawężonych horyzontach i kochał komunistyczno-partyjne frazesy. Ale rosta w kraju jego legenda jako dobrego gospodarza. Nie bardzo w nią wierzyłem, bo poziom intelektualny Gierka wydawał mi się zawsze trochę miatki, partyjno-aparatowy. Gierek jednak ładniej od Gomułki przemawiał, bo Gomułka miał głos ciężki, skrzeczący. Trochę krócej, bo Gomułka jak zaczynał o dziewiątej rano, to kończył o trzeciej po południu. Oraz ładniej wyglądał. Gierek nosił gustowne krawaty, był dobrze ostrzyżony, wysoki, majestatyczny. Przy Gomułce prezentował się imponująco. W sam raz do telewizji.

W piątek 18 grudnia poszedłem do Gomułki. Zażądałem, by opuścił stanowisko pierwszego sekretarza.

Sam?

Sam. Ktoś musiał.

Inni się bali?

Bali. Wszyscy. Do końca. Na korytarzach szeptali, komentowali, krytykowali, ale żeby pójść do niego, powiedzieć mu w oczy – żaden się nie odważył. Czekali widocznie na jakieś skryte manipulacje MSW i ubeków, którzy gdzieś tam w piwnicach po cichu coś kombinowali. Jak później gdzieś przeczytałem.

Ja do Gomułki poszedłem z moralnego musu, z wewnętrznego nakazu, z niezrozumiałej dla mnie – nawet dzisiaj – determinacji. Nie byłem nigdy człowiekiem podejmującym radykalne kroki. Koledzy uważali nawet, że jestem zbyt ostrożny, za łatwo przystaję na kompromisy.

Powiedziałem Gomułce, że siłą niczego się nie załatwi, użycie siły prowadzi do tragedii.

Gomułka robił wrażenie człowieka ciężko chorego, niezdolnego do myślenia, w fizycznej ruinie. Twarz bardzo czerwona, oczy przekrwione, półleżał rozciągnięty na dwóch fotelach. Nie spał od kilku dni.

Powiedziałem: towarzyszu Gomułka (zawsze zwracałem się do niego w tej formie), musicie odejść. Rozmowa trwała ze 40 minut. Ja mówiłem swoje i Gomułka mówił swoje. Przytomnie, logicznie. Byłem zdziwiony, że nie krzyczy. Spokojnie przekonywał mnie, że jego odejście nie doprowadzi do uspokojenia sytuacji. Mówił: dzisiaj wy żądacie mojego odejścia, jutro oni zażądają odejścia sekretarzy wojewódzkich, a pojutrze będą żądać odejścia całej partii.

„Oni”, czyli – my?

Gomułka nie miał złudzeń. Wiedział, że Polacy partii nie lubią i nie polubią. Miał jednak naturę rewolucjonisty i uważał, że jak się ma rację – a on miał ją zawsze i opinii odmiennych do siebie nie dopuszczał – trzeba ją udowodniać tak długo, aż zwycięży.

Nie ustępowałem: musicie zwołać Biuro Polityczne i złożyć rezygnację – powtórzałem. Zapytał, w czym imieniu występuję. Odpowiedziałem, że we własnym.

Nie uwierzył mi. Szkoda. Pomyślał zapewne: nawet Tejchma jest przeciwko mnie. Trudno. Zapytał, kto ma być następcą? Gierek – odpowiedziałem.

W sobotę odbyło się posiedzenie Biura Politycznego. Gomułka wszedł na salę posiedzeń, na chwiejnych nogach, podtrzymywany przez lekarza, profesora Askanasa. Szara twarz. Jedną ręką zastaniał lewe oko. Stracił w nim widzenie, jakaś żyłka pękła. Przeszedł przez salę, rzucił: ja muszę iść, lekarz kazał mi iść do szpitala, Cyrankiewicz będzie prowadził posiedzenie, będzie przewodniczył.

I wyszedł z sali drugimi drzwiami.

Czułem się jak Brutus. I ty, Brutusie, przeciwko mnie? Myślałem o odejściu.

Z partii?

Nie. Z polityki.

Gierek zjawił się w Warszawie. Józiu – powitał mnie, wyściskał, pierwszy raz tak kordialnie, po bratersku – będziesz moim zastępcą, a w przyszłości następcą.

Poczułem się nieswojo. Nie był jeszcze formalnie wybrany na pierwszego sekretarza, choćgi stały wciąż na ulicach Gdańska i Szczecina, a on już się kreował na ojca narodu.

Powiem Piotrowi (chodziło mu o Jaroszewicza) i Szydłakowi – dorzucić – by cię uznawali.

Śmieszne. Uznanie, nie potrzebowałem. Z niczyjego nadania. Byłem już innym człowiekiem. Taką sytuację miałem... gdzieś.

Powiedziałem to nawet komuś, już nie pamiętam komu. Oczywiście doniesiono do Moskwy. Towarzysze radzieccy – wedle jakiejś szyfrówki, związanej ze spekulacjami personalnymi – ocenili, że Tejchma na stanowiska się nie nadaje, bo jest za młody i twierdzi, że władzę ma w d...

Nie chciał pan być zastępcą?

Nie.

Ani następcą?

Nie.

Nikt panu nie uwierzy.

To nieważne.

Cyrankiewicz wystąpił z pomysłem, żebyśmy poszedł do Gomułki do szpitala i wymusił na nim zrzeczenie się funkcji pierwszego sekretarza. Bo jak Tejchma sprawę zaczął, niech ją skończy. Złośliwy był ten Cyrankiewicz, gigantycznie.

Przywoicie zachował się Gierek. Zdecydował, że do Gomułki do szpitala pójdzie Cyrankiewicz z Logą-Sowińskim.

Zacząłem pisać dziennik.

Pierwsze jego zdanie, proszę.

9 styczeń 1971 roku. „Nastąpiło we mnie po Wydarzeniach Grudniowych jakieś pęknięcie. Coś się we mnie złamało i załamało. Utraciłem wolę trwania na szczycie władzy”.

Następne?

(Przerzuca kartki) „Z tekstu przemówienia na akademię – to śmieszne, przykład, z kim miałem do czynienia – z okazji 30-lecia Socjalistycznej Republiki Rumunii przygotowanego przez wydział propagandy KC wykreśliłem co najmniej 5 Związków Radzieckich i 50 socjalizmów (w jednym zdaniu naliczyłem 5 określeń socjalistycznych)”.

(Przerzuca kartki) „Dziś w czynie partyjnym układałem chodnik przy Wistostradzie, naprzeciw warszawskiej Syrenki. Nie jest wykluczone, że płyty, które ułożyłem, będą jednym z trwalszych śladów mego życia”.

Autoironia (*uśmiecha się*). Samoobrona przed zgłupieniem.

Miałem rację. Kolega, który swoją płytę chodnikową wtedy podpisał inicjałami, niedawno mi ją pokazał.

A pan?

Nie odnalazłem. Ślad mojej obecności został prawdopodobnie tylko w telewizji. Bo przyjechały ekipy telewizyjne filmować, jak Gierek przerzuca ziemię łopata, ja stałem obok, więc też się załapałem.

Nie wiem, o co pytać.

Po dwóch latach poszedłem do Gierka. Musiałem wreszcie uwolnić się od presji bycia następcą. Gierek był już wtedy – jak mawiał Łukaszewicz, nasz spec od propagandy – naczelnym architektem narodowych sukcesów, budowniczym drugiej Polski, Kazimierzem Wielkim, podziwianym przez cały świat.

Powiedziałem Gierkowi, że zamierzam odejść z sekretariatu KC.

Z Biura Politycznego też?

Nie, w Biurze chciałem zostać.

W sekretariacie KC pracowałem osiem lat – wytłumaczyłem Gierkowi – człowiek się zużywa i dlatego chciałbym wypróbować się w nowej roli, ministra kultury.

Był zdumiony, nawet zszokowany, że tak nisko chcę się usadowić. Minister wtedy



Z Mieczysławem Foggim (1),
Anną Chodakowską (2),
Aleksandrem Bardinim (3),
Janem Józefem Szczepańskim
i Andrzejem Szczypiorskim (4),
Tadeuszem Hołujem (5) oraz
Janem Machulskim, Gustawem
Hołoubkiem, Karolem Matcużyńskim
i Edwardem Gierkiem (6).



był urzędnikiem od wykonywania poleceń odpowiedniego wydziału KC, czyli nikim. A pójście do Ministerstwa Kultury było w partii traktowane jako absolutna degradacja. Ja też zresztą w tamtym porządku uważałem, że jest to usunięcie się na boczny tor i że stanę się człowiekiem mniej ważnym. Dorzucimy ci wicepremierostwo – oświadczył Gierek, żeby osłodzić mi ten upadek.

Odbyło się plenum KC, odwołano mnie z sekretariatu i dalej było tak: przycho- dzę na posiedzenie Biura Politycznego i widzę, że przy stole prezydialnym karteczka z moim nazwiskiem przesunęła się o kilka miejsc dalej i znajduje się przy końcu stołu. Wcześniej siedziałem obok Gierka z lewej strony, a podczas jego nieobecności pro- wadziłem posiedzenia Biura.

Bardzo mnie to dotknęło. A może i trochę rozbawiło. No, nie jest tak źle – pocie- szyłem się – mam miejsce jeszcze nie na samym końcu stołu, jeszcze jest ktoś gorszy ode mnie.

Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że partyjna biurokracja działa tak precy- zyjnie i że gdy ktoś zmieniał pozycję polityczną, to od razu zaczynali działać specjaliści do rozsadzania towarzyszy. A ci, siedzący na sali, tylko wachali, gdzie on usiądzie, kogo wyciągną na jego miejsce, z jakiego zapleczka.

Za Gierka trochę się poprawiło.

Wiem. Samochód dla Kowalskiego, lepsze radia, magnetofony, fabryki domów, za- kupy nowych technologii. A więc pożyczki zagraniczne, kredyty, licencje, możliwość podróżowania na Zachód.

Mnie też było lepiej. Jeździłem służbowym mercedesem i bywałem we Francji, Szwajcarii, we Włoszech. Służbowo i turystycznie.

I jak?

Wracałem chory. Widziałem tam kolorowe sklepy, kafejki na ulicach, blask neonów. Nie tego bogactwa i blichtru zazdrościłem jednak najbardziej, ale klimatu życia co- dziennego, atmosfery luzu.

Przedwczoraj wracając z mojej Markowej, zatrzymałem się w Lublinie, poszed-łem na Starówkę, usiadłem pod parasolem, zamówiłem piwo, pięknie. Jak w latach siedemdziesiątych na Zachodzie.

Dużo ruder jeszcze.

Nie szkodzi. Odbuduje się.

Pytałem naszych ekonomistów, dlaczego u nas nie może być tak jak na Zachodzie, o co właściwie chodzi. Wolny rynek – odpowiadali.

A u nas się nie da?

Nie – mówili – bo nasza gospodarka jest gospodarką planową, centralnie sterowaną i w całości upaństwowioną.

Czyli partyjny bunkier, z którego nie ma wyjścia. Nie do zreformowania. To go zracjonalizujemy! Nie można. System jest jak mur. Wyrwie się z muru jedną cegłę, to cały się zawali i przygniecie wszystkich.

A w bunkrze?

Wielogodzinne posiedzenia, jakieś ponure zebrania Biura Politycznego.

Protokołowane?

Nie. Robione były tylko krótkie notatki: porządek dzienny, podjęte decyzje i wnioski oraz podpisy uczestników. Za Gomułki posiedzenia Biura były zresztą wydarzeniem, bo Gomułka zwoływał je rzadko i trwały zwykle od 10 rano do 22 wieczorem. Z przerwami co dwie godziny. Gomułka wygłaszał monologi, że jest źle, będzie gorzej, że ludzie źle pracują. Oraz bez przerwy zarzucał Jędrzychowskiemu, który był przewodniczącym Komisji Planowania, że swoją nieudolnością doprowadzi gospodarkę do katastrofy.

Za Gierka posiedzeń Biura było bardzo dużo i omawiało się na nich wszystko, co popadło, na przykład produkcję konopi albo budowę publicznych szaletów. Bo Gierek nagle odkrył, że brakuje, i rzucił liczbami. Jest w całym kraju – informował nas – około 1300, rocznie buduje się jedenaście i na dwieście obiadów wydawanych w restauracjach przypadają dwa oczka.

Nudno?

Niech mnie pani (*uśmiech*) nie namawia do zbyt daleko idących ocen, bo czytać to będą moi znajomi, którzy być może nie nudzili się tak jak ja.

Nudził się pan, naprawdę?

Nudziłem. Te zjazdy – wyreżyserowane, te przemówienia – wyczelowane pod sznurki. Moje córki, jak oglądały w telewizji obrazki z Sejmu, tata – pytały – dlaczego ty zawsze w tym Sejmie śpisz?

Cyrankiewicz czytał kryminały.

Lucjan Motyka, mój poprzednik na stanowisku ministra, rysował karykatury. A ja głowę chowałem w dłoniach i się wyłączałem (*śmiech*).

I myślał pan o czym?

Kiedy nastąpi kolejny kryzys.

Rysiek Frelek ostrzegął, że potrzebne reformy, bo partia nie może być radą nadzorczą dla przemysłu i zajmować się produkcją śrub i majtek, niezbędny jest rozdział.

Powstało hasło: rząd rządzi, partia kieruje.

Aparat Gierka próbował hasłami oszukać rzeczywistość.

Zbudujemy milion mieszkań, wydłużymy urlopy macierzyńskie, podniesiemy najniższe pensje, emerytury i renty.

Niech mnie pani nie prowokuje do oceny rzeczywistości.

Nie, nie. To są hasła z exposé premiera Jaroszewicza.

Stefan Olszowski powiedział mi w którymś momencie: najbardziej niepokoję się o los własnych dzieci. Nie będą chciały zaakceptować rzeczywistości, którą stworzyliśmy i z którą się pogodziliśmy.

Ciekawe, bo wchodził na trybunę i udawał partyjny beton.

Normalne. W myśl zasady, że co innego się mówi i co innego robi.

A co innego myśli?

Tak też było.

O rolę partii w Polsce pokłóciłem się z kimś z aparatu. Partia – powiedziałem – nie powinna funkcjonować na starych zasadach i dłużej nie może być tak, by aparat partyjny de facto decydował o wszystkim, a nie odpowiadał za nic. Podobnie zresztą jak pierwszy sekretarz. Ale o pierwszym sekretarzu nie wspomniałem, bo byłaby to herezja dla mojego interlokutora nie do przełknięcia.

Partia rządziła w Polsce nielegalnie. Na zasadzie doktryny, a nie prawa. W konstytucji nie było żadnej delegacji dla PZPR-u, że ma w Polsce rządzić.

I dlatego postanowiliście zmienić konstytucję?

Nie, nie, z konstytucją było zupełnie inaczej.

Najpierw zrodził się pomysł zrjonalizowania zasad wyborczych. Wybory do Sejmu stawały się żenującą sprawą. Odwiedził nas ktoś z Komunistycznej Partii Włoch, akurat przed wyborami. Powiedział: skończcie wreszcie z tymi 90 procentami poparcia, bo my dłużej tłumaczenia, dlaczego tak jest, nie wytrzymamy. Odpowiedziałem mu, śmiejąc się, że poparcie niedługo się skończy i zaczniemy martwić się o wynik.

Ale coś jednak z tymi wyborami rzeczywiście trzeba było zrobić. Wymyślono więc, by wprowadzić na przykład pluralizm personalny w wyborach do gromadzkich rad narodowych.

Wtedy były gromady, nie gminy. Czyli wyznaczać dwóch kandydatów na jedno miejsce i niech ludzie wybierają między jednym z PZPR-u a drugim z PZPR-u. Nic z tego nie wyszło. Pojawiły się głosy, że jak pluralizm zacznie działać w gromadach, to ludzie zaczną się domagać, by działał również w powiatach, potem w województwach i skończy się, niestety, na górze. Zadziałała więc logika muru. Bezpieczniej będzie dla partii zostawić, jak jest. Czyli jedna lista wyborcza oraz kotarka w lokalach wyborczych i jeżeli ktoś chce, niech wchodzi i skreśla.

Ale lepiej, żeby nie wchodził?

(Uśmiech) I nie wchodził, bał się.

Było czego?

Myślę, że tak. Służby specjalne działały jak dawniej. Bo ze służbami jest tak, że zawsze lubią coś w tajemnicy majstrować. Taka ich natura. I nawet jeśli na chwilę przycichną, po jakimś czasie znowu się odrodzą i znowu będą spiskować. Podstuchiwać, kontrolować, zbierać haki i gromadzić teczki. Teczki funkcjonują w każdym systemie.

W wiele lat później Szlachcic, szef MSW z wczesnego Gierka, opowiadał mi – niby w formie dowcipu – że kazał zniszczyć jakieś archiwa i kiedy potem zapytał, czy polecenie zostało wykonane, otrzymał odpowiedź: tak, tak, kończymy już robić mikrofilmy i zaraz zniszczymy *(śmiech)*.

Nic nie ginie?

Jak coś jest zapisane, ginie rzadko. I w odpowiednim czasie wypytywa.

Ze służbami nie miałem codziennego kontaktu, ale często interweniowałem. A to w sprawie jakiegoś artysty, któremu odmówiono paszportu, a to w sprawie zatrzymanych jakimś pisarzowi książek na granicy, wydrukowanych na Zachodzie. Tych odmów i zatrzymań było bardzo dużo. Ale kolejny paradoks! Dzięki tym konfiskatom ja i moi koledzy mogliśmy czytać na bieżąco wszystkie wydawnictwa paryskiej „Kultury”. Giedroyc mógł być zadowolony, odniosły skutek. MSW mi dostarczało.

Wszystkim z KC?

Kto chciał.

Gierkowi też?

Na pewno. A jeśli nie czytał, to z lenistwa.

Czyli...?

Nie czytał.

A wie pani, jaka lektura wywarła na mnie największe wrażenie? *Czarna księga cenzury*. Coś niesamowitego. Cenzor z Krakowa wywiózł do Szwecji księgi cenzorskich zapisów. Czytałem je razem z Ryśkiem Frelkiem. Byliśmy zbulwersowani.

Nie wiedział pan, że były?

Co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć w jednej książce. Zapis po zapisie. Ich było, nie pamiętam ile – tysiące, bardzo szczegółowych, co pisać, czego nie pisać, co fotografować, jak. Dla nas to był szok!

A konstytucja?

Chodziło o ustanowienie w Polsce systemu prezydenckiego. Zaczęło już bowiem dochodzić do świadomości naszej i Gierka, że pierwszy sekretarz musi posiadać jakiś

narodowy tytuł, upoważniający do reprezentowania państwa. Jego brak powodował znaczne komplikacje w stosunkach z Zachodem i trzeba było uprawiać gimnastyki protokolarne, by Gierek mógł się na przykład spotkać z Giscardem d'Estaing w Wersalu. Dla mnie więc potrzeba wprowadzenia instytucji prezydenta, a więc zmiana konstytucji, była oczywista. I oczywiste było, że tym prezydentem powinien być pierwszy sekretarz, czyli osoba faktycznie ponosząca „pierwszą odpowiedzialność”, której konstytucyjnie nada się odpowiedzialność zinstytucjonalizowaną.

To był pierwszy – w moim przekonaniu – motyw zmiany konstytucji. Gierek jednak uznał, że te zmiany należy w coś ubrać, czymś obudować, by nie wyglądało, że chodzi tylko o jego osobę. On lubił krygować się. No i po długich dyskusjach wymyślono, że przy okazji zalegalizuje się w konstytucji rolę partii w naszym systemie oraz sojusz ze Związkiem Radzieckim.

Wszyscy byli za?

Wszyscy. Podjęto prace i nagle po dwóch latach Gierek przyszedł na posiedzenie Biura Politycznego i oświadczył, że zdejmuje z porządku dziennego sprawę prezydentury. Ktoś mu widocznie uświadomił, że ten kij ma dwa końce. Zostanie prezydentem Polski i będzie wspaniale, ale może utracić stanowisko pierwszego sekretarza, czyli realną władzę. Bo znajdzie się wówczas w partii jakaś grupa, która podejmie próbę rozdzielenia tych funkcji.

Zaproponowałem wtedy – przyznaję, że nieśmiało, półgębkiem – że w takim razie może w ogóle niepotrzebna jest nam zmiana konstytucji i należy z niej zrezygnować. Usłyszałem, że maszyna propagandowa i informacyjna jest już uruchomiona i wycofanie się ze zmian byłoby podejrzane oraz oznaczałoby kapitulację.



Nie byłem Rejtanem, zgodziłem się z tym. Głośno powiedzieć społeczeństwu, że wycofujemy się z kierowniczej roli partii? Z sojuszu ze Związkiem Radzieckim? Rzeczywiście byłoby to trudne do wytłumaczenia.

Winne społeczeństwo?

Strach przed nim, tak bym powiedział. Czuliśmy się jego zakładnikami.

A my waszymi więźniami.

Zmiana konstytucji miała być wpisana w tezy VII Zjazdu, a na zjazd w grudniu 1975 roku przyjazd zapowiedział Leonid Breżniew. Ciężkie przeżycie.

Na Dworzec Centralny poszło go witać całe Biuro Polityczne. Stałem blisko Giereka i Jaroszewicza. Breżniew wysiadł z pociągu i (*śmiech*) przez pomyłkę mnie wycatował.

Dlaczego przez pomyłkę?

Bo nie wszyscy byli catowani. Więc albo uznał mnie za trzecią osobę w państwie – żartowałem potem do kolegów – albo był na tyle podпиты, że mu było wszystko jedno, kogo catuje.

Usta-usta?

Usiłował (*śmiech*), ale usta obroniłem.

A Gierek?

Nawet nie próbował. Gierek zawsze był gotów poświęcić się dla ojczyzny.

Gomułka też.

Gomułka tego nie znosił. Ale musiał. No, pani Tereso, ktoś przecież w imieniu narodu musiał tę przyjaźń polsko-radziecką manifestować. Ja teraz się śmieję, ale to nie było śmieszne.



Następnego dnia Breźniew przyjechał do Sali Kongresowej, udał, że nie widzi ręki Gierka wyciągniętej na powitanie, odwrócił od niego głowę i marszowym krokiem poszedł się całować z delegacjami bratnich partii, czyli między innymi z Żiwkowem, Husakiem i Honeckerem. Potem wrócił do Gierka.

Teraz przywitam się z wami – zakomenderował i obcałował wszystkich jak leci, nie wyłączając członków sekretariatu KC, oraz zarządził robienie zdjęć. Fotografów nie było, bo żadnych zdjęć w holu nie planowaliśmy, więc ustawił Jaroszewicza twarzą do pierwszych sekretarzy, sam nogi zsunął na baczność, podciągnął swoją marynarkę i jakby z za zasłony starych aparatów fotograficznych zrobił palcami pstryk.

Zdjęcie gotowe – oświadczył.

Jaroszewicz uciekł do kąta, Jaruzelski schował się za filar.

Myśmy wcześniej nie zdawali sobie sprawy, co się w ZSRR dzieje. Widziałem Breźniewa kilka razy wcześniej i robił niezłe wrażenie. Nie był satrapą, lecz sybarytą. Kochał życie. Stąd jego zamiętanie do dobrych samochodów, polowań, dobrych sztucerków.

Kobiet?

Nie wiem. Tam sprawy damsko-męskie były trzymane w najściślejszej tajemnicy. O córce tylko mówiono, że hojnie ją wyposażał.

Byliśmy przerażeni. Olszowski szepnął mi: dziś mogą się zdarzyć różne rzeczy.

Pijany?

Chyba nie, raczej na środkach podniecających, bo wódki od niego nie czułem. Wódkę i papierosy mu zresztą wydzielano. Ochrona wydzielala. I doradcy. Był potrzebny, więc pilnowali jego zdrowia i podtrzymywali przy życiu, dzięki czemu i sami utrzymywali się na stanowiskach.

Wchodzimy na salę. Sala Kongresowa pełna, jak trzeba. Burza oklasków. Okrzyki: niech żyje PZPR! Niech żyje Gierek! Niech żyje Breźniew! – zgodnie z rytuałem. I nagle Breźniew łapie Gierka w ramiona. Gierek prosi go do stołu prezydiального i chce otworzyć zjazd, ale Breźniew siadać nie chce i wchodzi na trybunę. Sprawdza mikrofony, na szczęście nie działają, stuka, pyta Gierka, dlaczego nie działają. Ktoś przytomny intonuje *Międzynarodówkę*. Sala śpiewa, Gierek śpiewa, a Breźniew z trybuny macha rękami, dyrygując.

Bałem się myśleć, co dalej. Wreszcie usiadł i podczas przemówienia Gierka albo rozmawiał głośno z Żiwkowem i Husakiem, wymieniając z innymi sąsiadami jakieś kartki, prawdopodobnie z dowcipami, albo bawił się z Honeckerem złotym zegarkiem, wyrwali go sobie nawzajem, jak dzieci.

Kto kieruje Związkiem Radzieckim? – myślałem. – Kto tam trzyma klucze do

atomowych sejfów? Jak zachowałby się w tej sytuacji Gomułka? Kogo ogłaszamy największym przyjacielem Polski?

I odznaczamy Virtuti Militari z Gwiazdą.

To rok wcześniej.

Ale po co?

Gierek chciał się przypodobać Breżniewowi.

Było warto?

Błąd. Partia sama sobie zmontowała opozycję.

Podczas jednej z przerw podszedłem do Gierka.

Nie powinniśmy w uchwale zjazdu zamieszczać formuł dotyczących zmiany konstytucji – powiedziałem. – Zwłaszcza artykułu, że „kierowniczą siłą narodu jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza”.

Można wykreślić – zgodził się – bo mnie osobiście nie jest on potrzebny. A tobą – zapytał podejrzliwie – jakie motywy kierują?

Czyli schizofrenia.

Zacząłem tłumaczyć, ale zgasił mnie stwierdzeniem, że nie będziemy ulegać rewizjonistom. I wymienił nazwisko Władysława Bieńkowskiego, który kilka dni przed zjazdem nadesłał mu protestacyjny memoriał. Oraz wspominał o liście pisarzy, pod którym podpisali się między innymi Zbigniew Herbert i Andrzej Szczypiorski.

Oraz 57 artystów i intelektualistów.

Próbowałem coś powiedzieć, ale Gierek oświadczył, że gdyby propozycje zmiany konstytucji poddać ocenie narodu, to na pewno 95 procent, no, może 85 procent byłoby za.

Bo kierownicza rola partii jest faktem – stwierdził – i leży w interesie narodu.

Po latach przyznał, że popełnił błąd. Ale nie on, tylko jego partyjni koledzy, którym uległ.

Cały Gierek. Chodził stropiony, martwił się zamieszaniem, jakie powstało, i proponował na Biurze Politycznym zwoływanie wielkich wieców dla poparcia zmian w konstytucji. Grudzień wymyślił, że powinno się zmobilizować organizacje partyjne, by robotnicy nadsyłać listy. Grzmiał: dziesięć, dwanaście milionów listów jak wpłynie, to uciszy się intelektualistów. Głupota, czysta głupota.

Prawie codziennie dostawałem jakieś listy protestacyjne, pisane przez najważniejszych przedstawicieli środowisk artystycznych. Jeden był szczególnie dla mnie ważny. Od pisarza Tadeusza Hołujy, starego komunisty z Krakowa, człowieka niezwykle rygorystycznie formułującego zasady moralne, które powinny obowiązywać w życiu politycznym. Napisał: przy pomocy robotników stłumimy niesfornych twórców

jak w 1968 roku studentów. A potem robotnicy nas zmiotą przy poparciu inteligencji. Prorocze słowa.

Przy zmianie konstytucji pierwsza cegła w murze zaczęła się chwiać.

A wypadła?

W czasie pierwszej pielgrzymki papieża do Polski. On tę cegłę z muru wyszarpnął.

Powołano sztab, by wymyślił, jak te dwie formuły w konstytucji – partyjną i radziecką – złagodzić.

Sojusz ze Związkiem Radzieckim zmieniono na przyjaźń.

No tak, ale istota rzeczy pozostała. Zmiany w konstytucji powędrowały do Sejmu i w Sejmie, przy jednym głósie wstrzymującym się Stanisława Stommy, konstytucja została uchwalona.

Pan był za?

Jak wszyscy. Edmund Osmańczyk też był za, rozumie to pani?

A po miesiącu mieliśmy podwyżkę cen i protesty w Radomiu i Ursusie. Najlepsza propaganda nie zastąpi mięsa.

A potem Człowiek z marmuru.

Byłem na wylocie. Posiedzenie Frontu Jedności Narodu w Urzędzie Rady Ministrów, tłum ludzi na sali, siedzę w prezydium. I nagle wstaje jakaś robotnica z Łodzi i agresywnym tonem odczytuje z kartki pytanie: dlaczego towarzysz Tejchma, który w Nowej Hucie był bohaterem, wypuścić na ekrany film szkalujący jej budowniczych, opluwający socjalistyczne świętości i zniesławiający etos robotniczej pracy?

Dostaje gromkie oklaski, a ja – nieprzygotowany psychicznie na publiczny lincz – siedziałem kompletnie skamieniały.

Kto ją wystął?

Nieważne. Zawsze się jakieś robotnice wysyłało na trybunę, gdy chciało się powiedzieć, co jeden odłam władzy myśli o drugim. Bo partia nie była przecież monolitem.

Ale pan też był jeszcze władzą i mógł przygotować wystąpienie innej robotnicy.

Nigdy tego nie robiłem. Dzisiaj tylko mogę sobie wyrzucać, że nie wstałem i nie odpowiedziałem na zarzuty. Bo przecież mogłem. Nikt mi nie zabraniał wejść na trybunę i odpowiedzieć. Nawet ostro. Ale nie! Ja tego nie zrobiłem. Każdy z nas przyjmował krytykę w milczeniu, traktując takie wystąpienia jako zapowiedź rozgrywki personalnej, która toczyć się będzie dalej, bez udziału delikwenta, często podskórnie.

Byłem w partii od 1951 roku. Widziałem Jakuba Bermana, jak w 1955 roku z opuszczoną głową wychodził z sali posiedzeń KC.



*Z Czesławem Miłoszem,
rok 1981.*



Nie rozumiejąc za co.

Nikt nie rozumie.

Potem był 1968 rok i odeszła cała grupa starych komunistów. Wielu z nich w niebyt. Gomułka jednak okazał wobec nich wspaniałomyślność. O wyrzuceniu z Biura Politycznego uprzedził dzień wcześniej. Dał im dobę dla oswojenia się i pogodzenia z własnym losem.

W 1970 roku odszedł Gomułka, Kliszko, Strzelecki, Jaszczuk, Spychalski.

Ja sam zrezygnowałem w 1977 roku.

Jak?

Normalnie. Premier oświadczył, że zabiera z mego resortu wiceministra Wojtczaka i na jego miejsce daje mi Janusza Wilhelmiego. O Wilhelmim miałem jak najgorsze zdanie.

Wykształcony obskurant?

Tak o nim myślałem. Publicznie twierdził, że telewizja potrafi zaspokoić 90 procent duchowych potrzeb narodu. Uważał, że twórców należy kupować pieniędzmi, samochodami, mieszkaniami, działkami pod dachy i zezwoleniami na upolowanie głuszca. I Jaroszewiczowi obiecał, że z filmowcami będzie już spokój, bo takich filmów, jakie robili Wajda, Zanussi i Kieślowski, nie będzie. Nie chciałem, by taki człowiek był w Ministerstwie Kultury.

Ale się pan zgodził.

Tak. Zrozumiałem, że przyszedł czas mego odejścia.

Mógł pan odejść, protestując.

Nie przyszło mi to do głowy.

Napisałem do premiera, że proszę o dymisję ze stanowiska ministra kultury, bez słowa uzasadnienia, i premier dymisję przyjął.

A potem był VIII Zjazd Partii.

Wiosną, 1980 roku.

Od razu zauważyłem, że odbywają się jakieś manipulacje. Funkcjonowała już (*uśmiech*) demokracja kierowana. Polegało to na tym, że delegacje wojewódzkie dostawały numer kandydata, którego należy skreślać. Nie nazwisko, ale numer. Prawdopodobnie dla kamuflażu. Każdy kandydat do KC miał swój numer na liście. Wystarczyło więc, żeby jedna delegacja (dwustu- czy trzystuosobowa spośród dwóch tysięcy delegatów) skreśliła kogoś, by zdecydować o wyniku wyborów.

Te numery od kogo dostawali?

Od sekretarza wojewódzkiego, który kierował delegacją. One miały swoje stałe miej-

sca w sali, towarzysze się gdzieś w trakcie zjazdu zbierali i dostawali od swego sekretarza instrukcje, kogo skreślać.

A sekretarz od kogo?

Dostawał z KC, jestem pewien. Ale dokładnie od kogo – nie dochodziłem.

Nie, Gierka z tego wyłączam. Z jego strony mogło być przyzwolenie, ale nie polecenie. A czy jest przyzwolenie na takie lub inne działanie, poznawało się po minie. Gierek miny miał dość czytelne (*śmiech*).

Na przykład?

Jak się nie oburzył, gdy mówiło się o potrzebie zmiany czy wyłączeniu kogoś z kierownictwa, znaczyło, że można. Dopóki o Jaroszewiczu mówił „Piotr”, to Piotr był nietykalny i obaj wysocy panowie chodzili noga w nogę. Kiedy jednak pod koniec lat siedemdziesiątych „Piotr” zamienił się w „towarzysza premiera”, wszyscy odczytali tę zmianę jako sygnał, że Jaroszewicza można już krytykować i obarczać odpowiedzialnością za stan gospodarki i rosnące zadłużenie. Więc obarczono.

Na VIII Zjeździe zaczęto z sali, więc niby-demokratycznie, bo od dołu, wygłaszać krytyczne wobec premiera przemówienia. W tradycji zjazdów nigdy tego wcześniej nie było. Jacyś towarzysze wytykali Jaroszewiczowi postępowanie jego syna Andrzeja, że czerwony książę, że źle został wychowany i że rodzina powinna być wartością moralną, ale na przykładzie premiera nie możemy tego powiedzieć i ludzie są zaniepokojeni, niezadowoleni, ot, takie dyrdymały, niby-moralne. Istotne oczywiście w sensie ogólnym, ale tu służące wyłącznie jako instrument do walki z premierem. Mnie to brzydziło. Nie lubiłem szmatławych sytuacji.

Odbyły się wybory członków KC. Olszowski, Kępa i oczywiście Jaroszewicz dostali mniej głosów niż inni. Czego się spodziewałem. Ale co dziwne – ja też. Trochę mnie to zastanowiło. A potem po zakończeniu zjazdu członkowie KC udali się na pierwsze piętro do Sali Warszawskiej w Pałacu Kultury. Gierek wyjął ze spodni zmięty papier i odczytał skład nowego Biura Politycznego. Mnie w nim nie było. Bez żadnej rozmowy czy jakiegoś uprzedzającego znaku zniknąłem, znalazłem się w próżni.

Dla każdego rozstanie z władzą jest psychicznym wstrząsem. Oznacza totalne bankructwo, osobisty upadek, skazanie na życie bez sensu, pozbawione motywacji działania.

Najpierw zlikwidowano mi w mieszkaniu telefony, miałem trzy. Przyszło kilku panów, pogrzebali w gniazdkach i wymontowali rządowy oraz do łączności z terenem, zostawiając miejski. Ale ten miejski, który kiedyś dzwonił bez przerwy od rana do wieczora, nagle zamilkł. Teoretycznie wiedziałem, że zamilknie. Pytałem wcześniej

Szlachcica, po jego wyrzuceniu, jak to jest, czy ktoś do niego dzwoni. Odpowiedział: dzwonią tylko ci, do których ja dzwoniłem, gdy byli w trudnej sytuacji.

Czyli wybiła godzina prawdy. W domu zrobiło się cicho.

Pozbawiono mnie też służbowego mercedesa. Na szczęście dano talon na malucha. Kupiłem, wsiałem – dziwny samochód – i omal nie zabiłem się pod Kazimierzem.

Po roku został pan ambasadorem w Szwajcarii.

Na krótko, bo wybuchła „Solidarność”, zaproponowano mi, bym znowu objął stanowisko ministra kultury, porzuciłem więc znakomitą synekurę i wróciłem naprawiać socjalizm. Jak głupi.

Dopiero potem, już po stanie wojennym, wyjechałem na dłużej do Grecji.

A w 1989 roku zagłosował pan na kogo?

Pani wie na kogo. I wie pani, że nie ma we mnie żadnej nostalgii za PRL-em. Jest jednak może metafizyczna potrzeba lojalności wobec środowiska, z którym przeżyłem dziesięciolecia, i chęć dzielenia z nim wspólnego losu. Oraz jest ostrożność w zanegowaniu własnego życiorysu.

Oderwać się nagle od swojej biografii jest bardzo trudno. Może w ogóle niemożliwe. Rozumie to pani?

[2002]



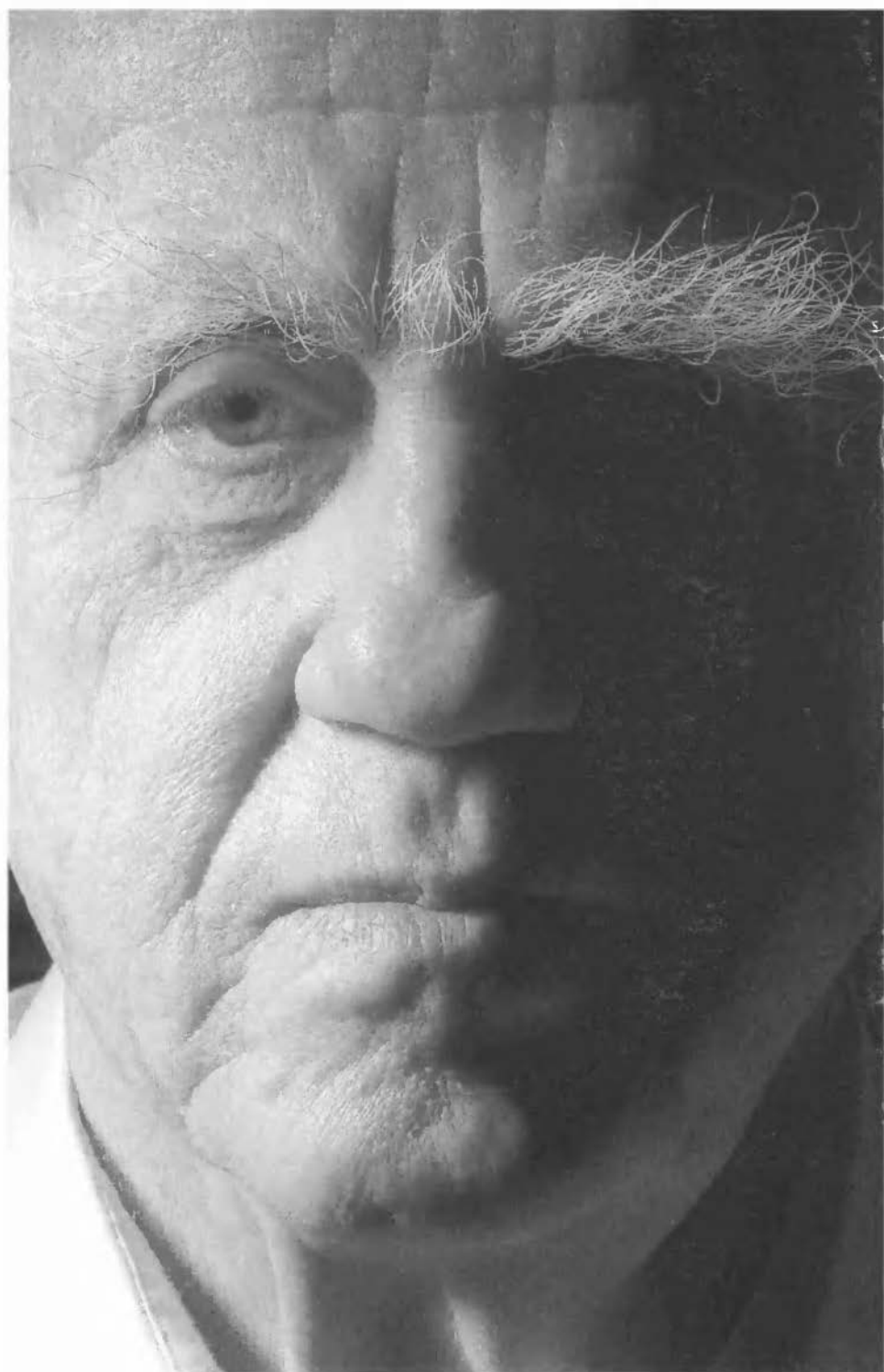
Dopisek Józefa Teichmy

„Zreflektowałem się, że treść rozmowy z Panią wypełniona jest rozczarowaniami, jak zwykle w życiu, ostrą demaskacją każdej – w istocie – władzy, gorzką ironią i smutną autoironią. Być może jest to jedyny język, jaki pozwala dużo odrzucić i trochę zachować. Odrzucić bezdroża i pomyłki, a zachować pewne minimum wartości w budowaniu losu polskiego i ludzkiego.

Teraz na emeryturze powracam do przeszłości, której już zmienić nie mogę. Powroty do przeszłości nie są jednak dla mnie «poszukiwaniem straconego czasu»”.

Rozmowa z Kazimierzem Kąkolem

**NIE WYRZUCAJCIĘ MNIE
Z BIBLI**



Nikomemu się w Polsce nie przyśniło, że Karol Wojtyła zostanie papieżem. Oprócz...
(śmiech) No, nie zgadnie pani.

Tam (pokazuje), w sąsiednim pokoju popijaliśmy sobie z Romkiem Kukołowiczem...
...doradcą prymasa Wyszyńskiego.

To był czwartek, zapisałem w kalendarzu, 12 października 1978 roku.

Z Romkiem przyjaźniłem się na studiach w Łodzi pod koniec lat czterdziestych i kiedy Józio Czyrek, nasz wiceminister spraw zagranicznych, spytał mnie, kto zostanie papieżem, obiecałem mu, że się dowiem, i zadzwoniłem do Romka. Przyszedł, wystawiłem trunki na stół i on: Kaziu – rzekł – a jak by tak Wojtyła? Wybuchnąłem śmiechem: Romek, chyba zwariowałeś!

Największe szanse – on na to – mają Wyszyński i Wojtyła. Wyszyński ze względu na wiek i stan zdrowia odmówi, więc zostaje Wojtyła.

Pomyślałem, ciekawe, co ten Romek ze mną kombinuje: nie, nie, Romek, nie zwracaj mi głowy!

Coś kombinował?

Pojawił się u mnie w Urzędzie do spraw Wyznań natychmiast po mojej nominacji na ministra w 1974 roku, oświadczył, że przychodzi od księdza prymasa porozmawiać, i od tego czasu regularnie mnie odwiedzał.

Zdrowo popiliśmy i w nocy po pijaku przyśniło mi się, że papieżem został Wojtyła (śmiech).

A rano, na trzeźwo?

Bzdura jakaś! Papieżem mógł zostać wyłącznie Włoch. Jak w poprzednich 455 latach.

Mało brakowało. Bo kilka dni wcześniej, kiedy kardynał Wojtyła wyjeżdżał na konklawe, nie chcieliście mu dać paszportu.

Jak to nie chcieliśmy? Dostał!

A ciut wcześniej?

Bo taki był idiotyczny rozkaz Kania. Stanisław Kania był członkiem Biura Politycznego i w sekretariacie KC PZPR odpowiadał za stosunki z Kościołem.

Oraz MSW.

No, bo u nas Kościół był przypisany nie do pionu ideologicznego, jak w innych demoludach, ale do resortów siłowych i traktowano go jak instytucję zagrażającą bezpieczeństwu państwa.

Formalnie Kościołem zajmował się Urząd do spraw Wyznań, powołany w 1950 roku jako centralny organ administracji państwowej, podległy premierowi. A nieformalnie, za to arbitralnie, bo bez możliwości weryfikacji decyzji – Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego, przekształconemu później w Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Tym ministerstwem po linii partyjnej – razem z prokuraturą, sądami, obroną narodową, czyli wywiadem i kontrwywiadem, organizacjami społecznymi, pożarnictwem i służbą zdrowia – zarządzał Kania. Sprawny był. I sprytny.

Sprytniejszy od pana?

Tak mu się wydawało. Jemu w ogóle się wydawało, że zjadł wszystkie rozumy. A z paszportem Wojtyły chodziło mu zresztą nie o to, by go w ogóle nie dać, ale żeby kardynała potraktować jak normalnego obywatela.

Wyżsi duchowni otrzymywali bowiem – w wyniku zawartych porozumień między państwem a Kościołem – paszporty dyplomatyczne i wszystkie formalności załatwiali w biurach paszportowych ich sekretarze. A normalny obywatel, jak pani pamięta, żeby dostać paszport, musiał do biura pofatygować się sam. Najpierw, żeby złożyć kwestionariusz, a potem – jeśli decyzja była pozytywna – by ten paszport odebrać.

Dostałem polecenie od Kani przypilnować, aby kardynał Wojtyła stawił się po paszport osobiście.

Za co?

Jak to za co! Za karę! Żeby go poniżyć! Bo co nam tu będzie podskakiwał!

W czym podskoczył?

On bez przerwy jakiś numer wycinał.

Poszedł na przykład do mieszkania Bohdana Cywińskiego. To był katolicki publicysta, redaktor naczelny miesięcznika „Znak”...

...zdjęty na wasze żądanie.

No, dobrze, ale działał dalej, w Klubie Inteligencji Katolickiej.

Wojtyła przyjechał do Warszawy i spotkał się w mieszkaniu Cywińskiego z KOR-em. Był tam Kuroń, Michnik, Jan Józef Lipski, Piotr Naimski i Antoni Macierewicz. A Wojtyła – z tego, co mi doniesiono – wystąpił po cywilnemu. Czyli bez sutanny.

Nie, w sutannie. Była jesień, lat deszcz i on ją tylko – wysiadając z syrenki pod blokiem Cywińskiego – podwinął.

Przekazałem biskupowi Bronisławowi Dąbrowskiemu, sekretarzowi Konferencji Episkopatu, który zatatwiał ze mną różne kościelne sprawy, że Wołyta psuje nasze dobre kontakty z Kościołem.

Psut?

Wziął udział w zebraniu KOR-u, mało? A biskup Dąbrowski, zamiast się wytłumaczyć, obruszył się, że tajna policja gwałci podstawowe – jego zdaniem – prawo człowieka, jakim jest swoboda poruszania się.

Pogwałcenie było, nie zaprzeczałem, ale i dowód uczestnictwa w zebraniu bezsporny. Bo Służba Bezpieczeństwa tę imprezę sfilmowała.

Jak? Ze śmietnika?

A ja skąd mogę to wiedzieć!

Pytam, bo na podwórku przed domem Cywińskiego stał tylko śmietnik.

Technicznych szczegółów nie znam, bo ich ze mną nie omawiali. I w ogóle przez sześć lat mego urzędowania ani razu nie zaprosili mnie do siebie na odprawę, choć w Urzędzie bywali na każdej.

Oni podsłuchiwali i śledzili wszystkich ważniejszych duchownych. W MSW działał IV departament zajmujący się inwigilacją księży oraz organizowaniem różnych akcji i prowokacji przeciw Kościołowi. Zwerbowali, z tego, co pamiętam, około czterech tysięcy kościelnych kolaborantów (ilu poważnych – nie wiem, bo nie wszyscy do pracy się przykładali). Mieli też listę kościołów, gdzie podsłuchiwali niedzielne kazania.



Łomżyńska 19 na Szmulkach w Warszawie, gdzie mieszkał przed wojną.

Nagrywali je na magnetofon, a potem przepisywali na maszynie. Boże, cóż to była za straszna praca! A jakie marnotrawstwo! Tysiące kaset i tony papieru tylko po to, by z jednego kazania wyłowić dwa lub trzy ciekawsze fragmenty, których wierni w kościele najczęściej w ogóle nie zauważali, bo przysypiali i zanim się przebudzili, one już się kończyły.

Więc po co?

Żeby oceniać stosunek poszczególnych księży i biskupów do władzy ludowej, kontrolować ich lojalność i zbierać dowody winy, gdy próbowali z ambony agitować przeciwko socjalizmowi. Co poniedziałek te kazania dostawałem na biurko do analizy i oceniałem stopień ich politycznej opozycyjności i agresywności. Kompletny bezsens.

A sens?

Przydawały się w rozmowach z episkopatem o obsadzaniu stanowisk kościelnych, akceptowaniu wniosków o budowę lub rozbudowę jakiegoś kościoła, przydziale papieru na wydawnictwa religijne, wydawaniu paszportów oraz powoływaniu alumnów do służby wojskowej.

I kto wypadat najgorzej?

No, biskup Ignacy Tokarczuk, oczywiście! On w ogóle nie powinien być dostać diecezji w Przemyślu. I nie dostałby, gdyby nie bałaganiarstwo premiera Cyrankiewicza.

Tryb powoływania ordynariuszy opierał się na tacińskiej zasadzie „kto milczy, ten przez milczenie wyraża zgodę”, czyli był taki, że episkopat na każde stanowisko kościelne zgłaszał po trzy kandydatury i władze państwowe w ciągu trzech miesięcy mogły wносить swoje zastrzeżenia. I ochoczo wносиły. Więc episkopat przedstawiał następne nazwiska, i jeszcze następne.

A z Tokarczukiem było tak, że pismo episkopatu z jego nazwiskiem, wymienionym na pierwszym miejscu, gdzie się na biurku Cyrankiewicza zawieruszyło (to był rok 1965, ja jeszcze w Urzędzie nie pracowałem), władze w terminie nie dały odpowiedzi negatywnej i klamka zapadła.

A z nominacją Wojtyły kto nawalił?

Chyba Kliszko. Też nie moje czasy. Ja w ogóle długo biskupa Wojtyły osobiście nie znałem, tylko z teczki personalnej. Była gruba, bardzo. A jego kazań, prawdę powiedziawszy, nie czytałem. Prosiłem tylko o wyciąg, nie chciało mi się czytać wszystkiego.

Chyba było warto?

No to zapewne gdzieś są, bośmy je gromadzili. A kto je czytał dokładnie? Nie wiem. Może Kania. W każdym razie na Wojtyłę był wściekły.

Pojechałem do Krakowa i odbyłem rozmowę z pułkownikiem Gołębiowskim, tamtejszym szefem Bezpieczeństwa. Głupia sprawa – powiedziałem mu. – Kania chce

rzucić Wojtyłę na kolana i chce, by kardynał osobiście poprosił was o paszport, ale ja proponuję, Stefan, udawaj, że tego rozkazu nie znasz, że ci go nie przekazałem, i rób, co uważasz za stosowne.

Stefan więc nie dał Wojtyłce paszportu dyplomatycznego, ale jak zgłosił się do niego ksiądz Dziwisz, osobisty sekretarz kardynała, to mu pozwolił załatwić dla Wojtyły paszport turystyczny zaocznie. I na tym paszporcie kardynał po śmierci Jana Pawła I polecał na następne konklawe.

By dalej psuć dobre kontakty z Kościołem, prawda?

Jego wybór na papieża, pamięta pani? Boże! To był grom z jasnego nieba!

Dla nas – cud.

No, dobrze już, dobrze, trzymajmy się chronologii.

Więc jeszcze o kontaktach z Kościołem, jakie były?

Podam na przykładzie. Po pijaństwie z Romkiem Kukołowiczem, w piątek 13 października...

... 1978 roku...

...tak, tak, czyli na trzy dni przed wyborem, jadę rano do siebie do Urzędu i dostaję na biurko tajne, specjalnego znaczenia materiały od naszego ambasadora z RFN-u. Był nim wtedy Jan Chyliński, syn Bieruta. Ambasador pisał, że do RFN-u za kilka dni ma przyjechać arcybiskup Gulbinowicz i odwetowcy niemieccy przygotowują dla niego antypolską prowokację.

Henryk Gulbinowicz, arcybiskup wrocławski.

A wie pani, jak dostał nominację na to stanowisko? Też humorystyczna historia. Po wcześniejszym odrzuceniu przez nas kilkunastu innych kandydatur Kania zapewnił, że episkopat dał nam wreszcie dobre nazwisko i że Gulbinowicz żadnych kłopotów sprawiać nie będzie, bo SB ma na niego haka. To spokojny – przekonywał Kania z zapalem – życzliwie do nas nastawiony ksiądz.

Ech, te jego informacje! Gówno były warte, jak się okazało.

A hak?

Też do kitu. Naciągany.

I co? Wyciął wam numer?

Niejeden. I to szybko.

Dzwonię do biskupa Dąbrowskiego.

Księżę biskupie – mówię – muszę się z wami zobaczyć, natychmiast.

Odpowiada, że nie może: panie ministrze, zaczyna się konklawe, o pierwszej lecę do Rzymu.

Naciskam: to sprawa najwyższej wagi państwowej, dla błahostki księdza biskupa bym nie fatygował.

Przychodzi. Z Kanonii miał do mnie niedaleko, Urząd do spraw Wyznań mieścił się na Krakowskim Przedmieściu. Daję mu do przeczytania raport Chylińskiego. Spojrzał na górę pierwszej strony.

Nie mogę tego czytać – mówi, palcem pokazując pieczętkę – to jest tajne, specjalnego znaczenia.

Niech ksiądz biskup nie zawraca głowy i czyta – mówię.

Nie – odpowiada. – Tutaj w rozdzielniku – pokazuje – są wymienione tylko trzy osoby uprawnione do czytania.

Biskup Dąbrowski był straszliwie skrupulatny. Żadnej sprawy nie chciał załatwiać na gębę i po każdej rozmowie robił notatkę pro memoria.

Bał się was po prostu.

Mnie? Ja z nim byłem w znakomitej komitywie. Wie pani, ile rozmów przeprowadziliśmy? Mam zanotowane – 437. Każda co najmniej po półtorej godzinie.

No, to ksiądz biskup będzie czwarty – powiedziałem. – Wpiszę księdza do rozdzielnika.

Jeśli tak, to w porządku – rzekł i zaczął czytać.

Chyliński pisał, że niemieccy odwetowcy razem z niemieckimi biskupami zaplanowali biskupa Gulbinowicza wmontować w celebrację nabożeństwa dla tak zwanych wypędzonych z naszych Ziemi Zachodnich, połączonego ze zjazdem ziomkostwa. Czyli w skandaliczną imprezę bijącą w polską rację stanu, bo podważającą nasze prawa do Ziemi Odzyskanych.

Dąbrowski skończył czytać i pyta, czy może skorzystać z telefonu, bo musi natychmiast dotrzeć do Gulbinowicza.

Oczywiście, że może. Dzwoni.

Nie wolno ci jechać do Niemiec – mówi Gulbinowiczowi – bez rozmowy z ministrem Kąkolem, on ci wszystko wytłumaczy. Jest to nie tylko moje stanowisko, ale także episkopatu – dodaje.

A potem zwracając się do mnie: no, widzi pan, panie ministrze, możemy skakać sobie do oczu, ale w sprawach dla Polski istotnych potrafimy się porozumieć.

Księżę biskupie – odpowiadam żartem – dla mnie staje się to nawet niebezpieczne. Bo jeżeli – mówię – śni mi się kardynał Wojtyła, że zostaje papieżem, to chyba moje kontakty z Kościołem wchodzą w fazę zbyt już daleko posuniętej zażyłości (*śmiech*).



W 1923 roku.

*Pyzdry n. Wartą, 1939 rok,
na obozie junackim, pierwszy z lewej.*



*Wrzesień 1944, powstanie
warszawskie, w szpitalu polowym,
czwarty od lewej.*



Lubił pan żarty.

Bardzo. Dzięki nim Polska była najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym, nie pamięta pani?

Pamiętam, że w PRL-u budził pan grozę.

Córcia! O czym pani mówi?

O pana związkach ze Służbą Bezpieczeństwa, przyjaźni z Mieczysławem Moczarem, wieloletnim szefem MSW, i o kampanii antysemitkiej, którą prowadził pan w 1968 roku w dwutygodniku „Prawo i Życie”. „Prawo i Pięść” – mówiono, niech się pani nie krępuje.



Na ćwiczeniach wojskowych, 1965 rok.

Pan zniszczył życie dziesiątkom ludzi.

A co? Dostałaś, córca, pałką?

Zmusił ich do emigracji.

No, nie! Nazwiska proszę!

I kto to mówi?! Moja studentka!

Schowaj, proszę, miła, te cytaty. One nas do niczego nie doprowadzą. My się – widzę – nie zrozumiemy. Jedźmy dalej.

Patrzę tutaj do kalendarzyka, co zdarzyło się w sobotę 14 października. Jakieś spotkanie z... E, nic ważnego.



Zastanawia mnie...

Zaraz, zaraz, niech pani chwilę posłucha. To będzie o historii tego kraju.

Czy pani wie, że byłem w Armii Krajowej i walcząc w powstaniu warszawskim w baonie Wigry, otrzymałem Krzyż Walecznych? A czy wie pani, kim zostałem w 1945 roku, gdy wróciłem z niewoli niemieckiej? „Zaplutym kartem reakcji”!

My – o czym pani dokładnie wie – zostaliśmy wykiwani po wojnie przez naszych sojuszników. Pięknie wykiwani! Nam się wydawało, głupawo, że wrócimy do dawnych granic, a oni cacy-cacy i za udział Stalina w wojnie zapłacili Polskę. Komunizm wyglądałby u nas zupełnie inaczej, gdyby nie przyszedł z Rosji.

Chiński byłby lepszy?

Chiński (*śmiech*) to zupełnie specjalna historia. Inna mentalność.

Lepszy od kambodżańskiego?

Kambodżański był wydaniem chińskiego.

To od czeskiego? Węgierskiego?

Nie, nie (*chichot*). Podstawowym mankamentem komunizmu było to, że Ruscy, niestety, gładko przeszli od caratu białego do caratu czerwonego, ustanowili monopol na interpretację marksizmu-leninizmu, zacisnęli nam obcęgi na głowie i kazali się podporządkować.

Jest pan komunistą?

No, byłem. Ale rozsądnym. Byłem za społecznym programem komunizmu. Zwartym, rozumnym, dającym szansę rozwoju i likwidującym wiele konfliktów społecznych.

A pani? Socjalizmu się chyba, córca, nie wyrzekłaś?

Dyktatura proletariatu, panie profesorze, co to?

Kamuflaż (*śmiech*).



Demokracja socjalistyczna?

Szydł. Dlaczego pani pyta?

Bo takie pytania na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zadawał pan studentom podyplomowego studium dziennikarskiego.

I coście odpowiadali?

Ja stchórzyłam i na egzamin dyplomowy do pana nie poszłam.

No, nie! To ja się chwalam, że Terenia, perła moja, wychowanka, a ona nie zrobiła dyplomu! Gdybyś odpowiedziała, że dyktatorzy partyjni z proletariatem liczyli się tylko przy okazji wystąpień publicznych, a w praktyce go lekceważyli, dałbym ci piątkę. Bo co wam mówiłem na wykładach?

Że dobry dziennikarz jakąś tezę potrafi jednego dnia poprzeć, a drugiego dnia ją skrytykować.

Powinien być elastyczny, zgadza się. I mówiłem wam jeszcze: uczcie się autentycznego świata, rozstrzygajcie konkretne problemy oraz używajcie do czytania nasłuch polskojęzycznych rozgłośni zagranicznych i „Biuletyny Specjalne”, przeznaczone tylko dla ścisłego aparatu partyjnego.

Nie pamiętam.

Szkoda. Kto prosił, ten dostawał.

Wy nie możecie w propagandzie – uczyłem was – działać w ciemno, wy musicie dobrze wiedzieć, co głosi przeciwnik.

Mówiło się: wróg.

Tak jest. Człowiek lepiej się czuje, gdy ma wrogów i podejmuje z nimi walkę. Zdrowiej. Bo jak żyje w cieplarnianej atmosferze, jak jest przez otoczenie akceptowany, wszystko jedno szczerze czy nieszczerze, nie czuje się zmobilizowany do działania. Wróg jest potrzebny do wewnętrznego sprężania się, do stawiania sobie większych wymagań intelektualnych, do zmuszania się, by poznać argumenty przeciwnika i znaleźć takie, by go pokonać.



Czyli w PRL-u kogo?

A co, córca, uważasz, że nie było wtedy wrogów? Uważasz, że sprawa była czyściutka, intencje protestujących jak najbardziej chwalebne i że w ogóle w życiu jest tak, że sitwy nie ma, sporów nie ma i swój swego nie popiera, by sięgnąć po cudze?

Wyliczmy ich.

Dywersantów z Wolnej Europy.

Żydów...

Jakich tam Żydów! Pani ma jakąś obsesję.

Więc syjonistów.

Rozrabiaków! To były rozrabiaki!

Jeśli szanowna pani redaktor myśli inaczej, to się myli.

W czasach stalinizmu byli oni nosicielami najbardziej czerwonej, krwawej, haniebnej wersji komunizmu w Polsce. Potem ucieszyli się, jak Izrael pokonał Egipt w wojnie sześciodniowej i w kilka miesięcy później pod nieprawdziwymi hasłami, że niszczy się polską kulturę, usuwając *Dziady* ze sceny, zmontowali rozróbę polityczną i wyprowadzili gromadę dzieciaków na ulice.

Tak nie było, panie profesorze.

Było, było. Posłużono się haniebnym kłamstwem. Dzieło Mickiewicza nigdy w Polsce nie było tak eksponowane jak w czasach Gomułki i nikt żadnych klasyków w Polsce nie prześladował. *Dziady* zostały wystawione w Teatrze Narodowym dla uczczenia 50. rocznicy rewolucji październikowej, a zdjęto je z afisza dlatego, że publiczność robiła burdy w czasie przedstawienia.

Biła brawo.

Ale w jakich momentach?! Wtedy, gdy aktorzy mówili o zniewoleniu Polaków przez Rosjan.

Zniewolenia nie było?

Przecież nie o to chodzi! Z panią trudno się rozmawia. Bo pani nie słucha i chce we mnie wmówić, że jestem antysemitą. A ja nie jestem, no, skąd! Ni cholery.

Zostawmy więc ten Marzec. Został pan członkiem KC.

Zastępcą członka. Ale nie od razu. O nie! Dwa razy kandydowałem. Za pierwszym razem – z Poznania. Towarzysze z Warszawy obserwowali moje spotkania z tamtejszym aktywnym partyjnym i któryś powiedział mi: dobrze nie będzie, Kaziu, za duże brawa dostałeś. I rzeczywiście, po pierwszej przymiarce odwalono siedmiu czy ośmiu, a wśród nich mnie.

Olszowski doniósł: Kaziu, już po tobie, na twoje miejsce wysyłają Witaszewskiego.

Generała „gazurkę” – dodam. Wiceministra obrony narodowej, który w 1956 roku powiedział: weźcie gazurkę i przepędźcie tego Żyda Stonimskiego.

Tak, tak, pamiętam.

Telefonuję z głupia frant do Poznania, do Szydłaka: chcę, Jasiu, przyjechać i zamówicie mi hotel.

A Szydłak do mnie: nic nie wiesz?

Co mam wiedzieć – udaję.

Już nie jesteś kandydatem, już cię skreślono. Ale Kaziu – zaczął się tłumaczyć – Poznań nie ma z tym nic wspólnego, stawiam ci wódkę, jak przyjadę do Warszawy.

Ty, mądralo – odrzekłem – w Warszawie to ja stawiam.

Na zastępcę członka KC dostałem się w końcu z Rzeszowa. Dzięki towarzyszewi Kruczkowi, tamtejszemu pierwszemu sekretarzowi. Bardzo mnie lubił. Krucz-kowa też.

I teraz niech pani słucha. Dowie się pani, jak ta partia wewnątrz wyglądała.

Zaczyna się plenum Komitetu Centralnego.

Towarzysze – mówię – zbliżają się wybory do Sejmu i słyszę, że ordynacja nie zostanie zmieniona i wybory będą takie, jak poprzednio, choć obiecywaliśmy, że zrobimy autentyczne. Na dodatek – mówię – towarzysze z wydziału organizacyjnego zapewniają nas, że będzie tak dlatego, bo społeczeństwo nie chce żadnych zmian. To nieprawda. Bo moi czytelnicy z „Prawa i Życia” są tym oburzeni i piszą do redakcji druzgocące listy, że czują się oszukani.

Chciał pan wolnych wyborów?

No, skąd! Ale ta nasza ordynacja wyborcza nie była najlepsza.

Dajmy ludziom – powiedziałem – odrobinę satysfakcji, przynajmniej jakiś pozór wyborów. I zaproponowałem, by listy kandydatów z Frontu Jedności Narodu ułożyć na kartkach wyborczych alfabetycznie. Żeby, nie jak dotąd, nasi kandydaci, umieszczeni na pierwszych miejscach list, przechodzili automatycznie przy głosowaniu bez skreśleń, ale żeby się nie lenili i na swój wynik trochę popracowali.

Chodziło o oszukanie?

Zaraz, zaraz. Pani strasznie szybka.

Z tobą tylko, Zdzisiu – zwróciłem się do Żandarowskiego, sekretarza KC – byłby kłopot, bo jesteś na końcu alfabetu. Ale coś się wymyśli – dodałem – żebyś przeszedł.

Cała sala zaczęła się śmiać i wszyscy byli przekonani, że treść mego wystąpienia została uzgodniona z Kruczkim. Bo procedura zabierania głosu na plenach KC była taka, że tekst wystąpienia najpierw przekazywało się pierwszemu sekretarzowi KW z województwa, z którego się zostało wybranym, on je akceptował i dawał pozwolenie na zgłoszenie się do dyskusji.

Ja zaś praktykowałem inną taktykę. Przeważnie nie miałem żadnego zatwierdzonego tekstu i gdy ogłaszano dyskusję, podnosiłem się z miejsca i maszerowałem przez całą salę zapisać się do głosu. I wtedy – będzie to może wyglądało na samochwalstwo, ale trudno – gdy zapowiadano, że następny w dyskusji „głos zabierze towarzysz Kąkol”, wszyscy z korytarzy wracali na salę mnie słuchać.

Ministrem od wyznań został pan więc za karę czy w nagrodę?

Staszek Kania mi zaproponował. No, no – pomyślałem – przeżyję coś ciekawego.

Jechałem na cykl wykładów z prawa pracy do Mongolii, więc rzekłem im: dobrze, o szczegółach porozmawiamy za miesiąc, jak wrócę. I wie pani, jak było dalej?

O propozycji nikomu oprócz żony nie wspomniałem, a w Mongolii spotykam się z tamtejszym hierarchą, siedzimy w kucki, pijemy herbatę i on nagle mówi: zostaje pan szefem od wyznań. Zatkalo mnie.

Franek Nowak, nasz ambasador w Mongolii też wiedział.

Ktoś doniósł?

Oczywiście! Tylko kto?! I dlaczego do niego?! Do dzisiaj mnie to zastanawia. Próbowiałem się dowiedzieć, ale bez skutku.

Wracając z Mongolii, wylądowałem w Moskwie, na lotnisku dorwał mnie nasz ambasador i oznajmił: Kaziu, nie mogliśmy czekać z ogłoszeniem twojej nominacji, zostałeś wiceministrem, a po tygodniu zrobimy cię ministrem.

Mój poprzednik był tylko wiceministrem. Moje więc wyniesienie na ministra oznaczało, że podjęto decyzję o nawiązaniu stałych kontaktów z Watykanem i że polski rząd chce dyplomacji watykańskiej pokazać, jak ważne są dla niego dobre stosunki z Kościołem.

Zastanawia mnie, co to była za partyjna gra, żeby właśnie pana zrobić szefem Urzędu do spraw Wyznań.

Prymas Wyszyński żartował, że dzięki niemu. Bo gdyby nie kłopoty, jakich Kościół przysparzał władzy, ten urząd w Polsce w ogóle nie byłby potrzebny. Mówił to w czasie jakiejś inauguracji roku akademickiego na KUL-u.

Pytam na serio.

Kopniak w górę. A wie pani dlaczego? Żeby mnie sprzątnąć z „Prawa i Życia”. Pismo

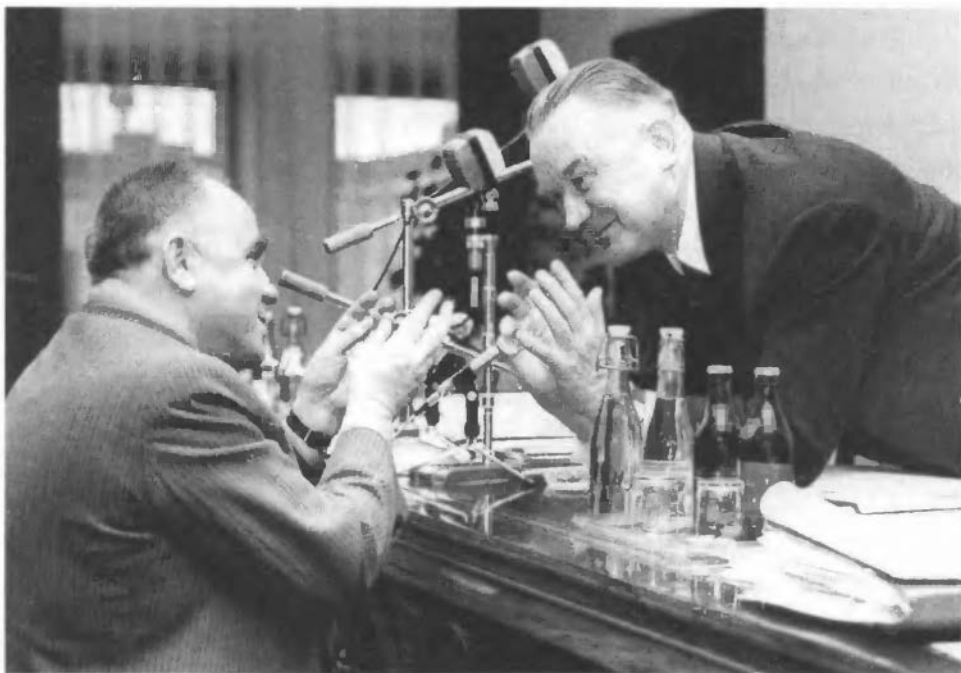
miało duże wpływy w środowiskach prawniczych – sędowniczych oraz prokuratorskich – i mogłem wielu osobom utrudniać życie lub szkodzić.

Jako minister skuteczniej.

Od kiedy nim zostałem, Józio Cyrankiewicz na mój widok mówił: *laudetur Jesus Christus* (śmiech).

No to jaki był plan niszczenia Kościoła, panie profesorze?

Planu nie było.



Z Piotrem Jaroszewiczem.

Nie?

Jeśli coś, to chęć nękania. Ze świadomością mizernych skutków.

Premier Jaroszewicz powiedział mi przed nominacją: nasza polityka wobec Kościoła powinna się zmienić. I – dodał – to nie są gorsi Polacy niż my, komuniści.

Niemożliwe.

Ależ tak! Jaroszewicz nie był jak Kania antyklerykałem, dlatego żarli się bez przerwy. Jaroszewicz przed wojną pracował na wsi jako wiejski nauczyciel, z konieczności funkcjonował tam według kościelnego kalendarza i doskonale znał obrzędowość katolicką.

Wie pani, jak mnie raz zaskoczył? Nagle w rozmowie z jednym z watykańskich dyplomatów zaczął wyliczać wszystkie dni poświęcone kultowi Matki Boskiej, operu-

jąc konkretnymi datami. Królowej Korony Polskiej, Gromniczej, Siewnej, Zielnej... wyliczył 16. Ten wybałuszyl oczy. Ja też.

Jaroszewicz wcale nie chciał otwartej walki z Kościołem. Burzenie kaplic – mówił do mnie – za pomocą buldożerów nie jest żadną polityką. Z wrogami lepiej prowadzić walkę w zwarciu niż na dystans i ty idziesz do Urzędu, żeby z nimi gadać, gadać, gadać, bo musimy z Kościołem się porozumieć.

Zagadując?

Nie. On uważał, że musimy się z Watykanem dogadać.

Podpisać konkordat?

Nie, nie. Żartowałem, że kankordat. Prowadzić grę w trójkącie: rząd polski – Watykan – episkopat. Nawiązać oficjalne kontakty ze Stolicą Apostolską, wymienić przedstawicieli i o sytuacji Kościoła w Polsce rozmawiać bezpośrednio z Watykanem. Pozbawiając w ten sposób episkopat monopolu na ocenę tej sytuacji, dając nam szansę na wygrywanie różnic w tej ocenie oraz w Watykanie próbując znaleźć zrozumienie dla naszych decyzji.

A mówiąc prościej?

Dogadać się z Watykanem ponad głowami naszych biskupów i w rezultacie polski episkopat usadzić, a hetmana Wyszyńskiego – jak o nim mówiono w KC, bo miał opinię zatwardziałego antykomunisty, nieidącego z nami na żadne kompromisy – zepchnąć z wysokiej pozycji, jaką cieszył się w Polsce i w Watykanie, na plan dalszy.

Pozbawić funkcji prymasa?

Nie, nie, tak daleko nie planowano. Zwłaszcza że pierwsza próba, którą podjął Kliszko kilka lat wcześniej, nie wyszła. Zenon, prawdopodobnie w porozumieniu z Gomułką, bo był jego najbliższym współpracownikiem, wymyślił, że na prymasa Polski należy wykreować Wojtyłę.

Jak? Przecież wybiera episkopat.

Ale można zamieszać. Kliszko więc osobiście pojechał do Krakowa i przeprowadził z Wojtyłą długą rozmowę, łudzając go perspektywą awansu. W KC mówiono, że Wojtyła będzie lepszy, bo kosmopolita i intelektualista, chętnie obcujący ze światem zachodnim.

A Wojtyła – jak słyszałem – noc przeleżał krzyżem w kościele i rano zjawił się w Warszawie u Wyszyńskiego. Opowiedział mu o propozycjach, jakie mu Kliszko poczynił, i wszystko się ryło.

Liczono, że nie rypnie?

Każdy liczył tak, jak mu mentalność pozwala. I Kliszko widocznie uważał, starając się

wcielić w skórę swego rozmówcy, że współpraca z władzą to dobry interes i on by na taką współpracę poszedł. To byli specjaliści – ech! – jak z koziej dupy trąbka.

Bo trzeba było jak?

Spokojnie, bez nerwów. Pokażę na przykładzie moich rozmów z arcybiskupem Luigim Poggim. To był nuncjusz apostolski do specjalnych poruczeń, z którym w latach siedemdziesiątych mieliśmy robocze kontakty. On niewiele z tego, co się u nas działo, rozumiał. Podobnie zresztą jak Agostino Casaroli, sekretarz Rady do spraw Publicznych Kościoła, który o stosunkach Polska – Watykan rozmawiał z nami wcześniej. Poggi mówił na przykład do mnie: panie ministrze, w Polsce istnieje jedność katolicyzmu i polskości, bo Polak to katolik, więc co partia komunistyczna ma tu do roboty?

Jego ekscelencja się myli – odpowiedziałem – bo ja na przykład uważam się za Polaka, a katolikiem byłem tylko do 21 roku życia.

Nie zrozumiał. Więc mnie coś w tym momencie do łba strzeliło i zwróciłem się do jego tłumacza: księżę doktorze, czy ksiądz ma rodzeństwo?

Tłumaczem Poggiego był wtedy Juliusz Paetz. Ten sławny arcybiskup z Poznania.

Tak – odpowiada Paetz. – Mam dwóch braci, jeden jest inżynierem, a drugi lekarzem.

A który z nich – pytam dalej – jest członkiem partii?

Paetz robi się czerwony. Inżynier – mówi.

A lekarz? – naciskam – to jak, nie należy do partii?

Należy – odpowiada – do Stronnictwa Demokratycznego.

No, proszę! – mówię do Poggiego – w rodzinie Paetzów jeden z braci jest komunistą, drugi pachołkiem komuny, a prawdziwym Polakiem według teorii jego ekscelencji – pokazuję na Paetza – byłby tylko on.

Poggi nic nie odpowiedział.

Miał rację.

W czym?!

Że partia komunistyczna naprawdę nie miała w Polsce nic do roboty.

Miła pani, ta partia tutaj rządziła, niech pani nie zapomina.

Albo inna sytuacja. Poggi był w Polsce pięć razy. Jedna z wizyt wypadła przed 1 Maja. Mówię do Olszowskiego, wtedy szefa od naszej propagandy: Stefan, proponuję zaprosić Poggiego na trybunę dyplomatyczną w czasie manifestacji pierwszomajowej.

Ty wiesz, ty wiesz – zachwycił się – dobry pomysł. I posłał do niego umyślnego z oficjalnym zaproszeniem.

Dla zabawy?

A niech zobaczy, ilu katolików popiera program partii. Ja tam różne zabawy z nimi wyczyślałem.

Stało się, jak przewidzieliśmy. Poggi zadzwonił do Watykanu i... zniknął. Szybko się jednak wydało, bo był przecież obserwowany przez SB, że pojechał do ambasady włoskiej. Porozmawiać widocznie z Watykanem przez niekontrolowany telefon.

Czekamy, co robi dalej. Poggi prosi o wyznaczenie mu spotkania z ministrem spraw zagranicznych. Zaznacza – przed 1 Maja. I tłumaczy, że chce złożyć gratulacje polskim władzom oraz przekazać pozdrowienia dla narodu polskiego w związku ze świętem państwowym.

I na trybunę pierwszomajową nie przyszedł?

Wiadomo było, że nie przyjdzie.

Więc te zabawy czemu służyły?

Ubarwieniu poważnych rozmów, jakie prowadziliśmy z Watykanem.

Ale o czym?!

Och, było tego z piętnaście punktów. Towarzyszący Poggiemu asystenci chodzili za nim z ciężkimi torbami pełnymi ekspertyz.

Poggi upierał się, żeby najpierw omówić ze mną status prawny Kościoła w Polsce. Nie byłem przygotowany, bo nie znałem uzgodnień, jakie zapadły w Watykanie podczas wizyty Gierka u papieża Pawła VI.

W 1976 roku.

Mnie – pani to sobie wyobraża! – odpowiedzialnego za stosunki z Kościołem nie włączono w skład delegacji.

Mówię do Poggiego: ekscelencjo, status proponuję zostawić na koniec, bo jak zaczniemy od niego, pięć dni będziemy rozmawiać i tych piętnastu punktów w końcu nie rozpatrzymy. A ekscelencja ma przecież – próbuję sposobem – ograniczony czas, kalendarz innych spotkań.

Nie, nie.

Więc przerwa w rozmowach. Dzwonię do Kani: słuchaj, Poggi domaga się rozmów o statusie prawnym Kościoła, proponuję się zgodzić, nic złego się nie stanie.

A Kania na to: nie będziesz z nim na ten temat rozmawiać i żadnych materiałów z wizyty Gierka w Watykanie ci nie dam. Dlaczego? Bo nie!

Wie pani, o co chodziło?



*Arcybiskup Agostino Casaroli
i Piotr Jaroszewicz.*



Z Luigim Poggi.

Z biskupem Bronisławem Dąbrowskim.



Nie.

Ta wizyta Gierka została u nas przedstawiona jako sukces i materiały z niej całkowicie utajniono.

To ja trzask słuchawkę na widełki i dzwonię do Jaroszewicza.

Towarzyszu premierze, jako urzędnik państwowy muszę was poinformować o kłopotach, jakie mi sprawiają funkcjonariusze partyjni. Oni spowodują, że moje rozmowy z Poggim będą się przedłużać w nieskończoność i nie przyniosą żadnych pozytywnych efektów.

I dalej na jednym oddechu: nie może być tak, żeby z gęby cholewę robić, bo nie ma żadnych przeszkód, by rozmawiać z Poggim na temat statusu prawnego Kościoła. Ale towarzyszu Kania uważa inaczej i powiedział mi, że o statusie mam nie rozmawiać. Co wy na to, towarzyszu premierze? – zapytałem.

Róbcie swoje i rozmawiajcie – oświadczył Jaroszewicz.

A Kania nie godził się dlaczego?

Prawdopodobnie chciał przede mną ukryć, że papież Paweł VI zamiast błogosławieństwa dał Gierkowi memoriał, zawierający krytyczną ocenę położenia Kościoła w Polsce i wysunął pod naszym adresem szereg postulatów, których nie mogliśmy spełnić.

Kania był wściekły i przez trzy tygodnie ze mną nie rozmawiał. Dostałem u niego grubą krechę i jestem przekonany, że wybór Wojtyły na papieża uratował mnie przed utratą stanowiska.

I przekreślił szansę na grę w trójkąt: Watykan – episkopat – rząd?

Zgadza się.

Więc poniedziałek, 16 października 1978 roku. W Watykanie rozpoczął się trzeci dzień konklawe.

Cały dzień zajęty byłem międzynarodową konferencją o roli środków przekazu w ich pracy wychowawczej i walce ideologicznej. Przyjechali dziennikarze z całego świata. Zapisalem w kalendarzu – było ich dokładnie 47. A na godzinę 17 zorganizowałem z nimi wielkie spotkanie w Stowarzyszeniu Dziennikarzy przy ulicy Foksal. Zaplanowaliśmy zreferować im sprawy gospodarcze, społeczne, wewnętrzne.

I klops! Od gospodarczych nie przyszedł ani wicepremier Tadeusz Wrzaszczyk, ani zapowiedziany profesor Pajestka, tylko wicedyrektor z Komisji Planowania, a w MSW konferencję zlekceważono i nie przystano nam nikogo. Dziennikarze czepiają się mnie: jakie są przyczyny strajków chłopskich na Lubelszczyźnie, za co represjonowany jest ksiądz Sadłowski ze Zbroszy Dużej, dlaczego paszportu nie dostają Mazowiecki i Bartoszewski?

Dlaczego?

Co dlaczego?

Dlaczego Tadeusz Mazowiecki nie dostawał paszportu?

Widocznie coś nabroił, już nie pamiętam.

Władysław Bartoszewski?

Za gadanie! Mówiłem: dajcie i niech tam gada. Per saldo nam się opłaci, że wypuszczamy faceta o odmiennym sposobie myślenia. Przecież na jego polskość możemy liczyć – tłumaczyłem.

A ksiądz Czesław Sadłowski?

Pani Tereniu, minęło 30 lat!

Bo chciał w Zbroszy Dużej wybudować kościół. Co w tym złego?

Od kościoła się zaczęło, a na zakładaniu rolniczych związków zawodowych skończyło, niech pani da spokój.

Bo powiedział pan, że dziennikarze się czepiali.

Bo się czepiali! Za Gierka biskupi dostali dwa razy więcej pozwoleń na budowę kościołów niż za Gomułki. A oni! rany boskie, wte i wewte, pomagali mi Czyrek.

I raptem Jean Schwoebel z „Le Monde” pyta, co zrobię, jeśli Wyszyński zostanie dzisiaj wybrany papieżem.

Oddycham z ulgą, bo wiem, że nie zostanie, i na złośliwość postanawiam odpowiedzieć dowcipem. Patrząc mu prosto w oczy, mówię, cedząc słowa: wszystkich państwa – gdyby się tak stało – zapraszam na szampana.

Śmiechy, gwar i nagle podchodzi do mnie sekretarka, podaje karteczkę, żebym natychmiast dzwonił do Urzędu, i szepcze mi do ucha: Wojtyła!

E, tam, zwracanie głowy!

Przepraszam zebranych i biegnę sprawdzić. Dzwonię na jedną rządówkę – linia zajęta, na drugą – zajęta, na trzecią, czwartą, do Polskiej Agencji Prasowej, „Trybuny Ludu”, wszystkie linie zajęte. Tylko telefon agencji TASS jest wolny. Siedział tam zaprzyjaźniony ze mną dziennikarz.

Mówię: *Walerij, zdies' Kąkol goworit.*

A on od razu: *pozdrawlaju s papoj.*

No, nie szuti – mówię – nie kłam, *czto ty!*

Toczno, toczno – woła.

Wracam na salę, pytają: kto? kto? A ja wyjmuję portfel i na oczach wszystkich zaczynam liczyć pieniądze. Sprawdzam – mówię głośno – czy starczy na szampana, bo jest rewelacja, papieżem został wprowadzie nie Wyszyński, ale też Polak, Wojtyła!

Teatr?

Jasne. Schwoebel prosi o komentarz. Wskazuję na Czyrka – to sprawy zagraniczne. A Czyrek, że nie, że to wyznaniowe. Gadam więc, ciągle jeszcze oszołomiony, o stosunkach państwa z Kościołem, że dobre i że wybór kardynała Wojtyły jest sukcesem narodu polskiego.

Czyrek dyplomatycznie uzupełnia: narodu, który dzielnie walczył z okupantem hitlerowskim w czasie drugiej wojny światowej i od ponad 30 lat prowadzi pokojową politykę z sąsiadami.

Sekretarka nam przerywa, że dzwoniło KC i że nas wołają.

A co z szampanem?

Nie musiałem stawiać (*śmiech*), wszyscy polecili do telefonów i faksów.

Z ulicy Foksal do KC blisko, kilkaset metrów, maszerujemy.

Józek – pytam po drodze Czyrka – czy my czasem o tym wyborze nie wypowiedzieliśmy się zbyt pozytywnie? Bo jak się okaże – mówię mu – że przekroczyliśmy kompetencje i należało ten wybór skrytykować, to dwie posady, bracie, wolne.

Wymyślamy więc hasło: lepszy Wojtyła jako papież w Watykanie niż jako prymas w Warszawie.

Znowu teatr?

A co, zły? Przecież trzeba się było jakoś w tej sytuacji ratować.

W KC panika. Gromada naszych partyjnych luminarzy potraciła głowy. Stefan Olszowski był tak poruszony, że wylał sobie kawę na jasne spodnie. Widzę: siedzą w fotelach i rozsyłają na prawo i lewo ciężkie westchnienia. Kania, Stanisław Kowalczyk z MSW, Andrzej Werblan od ideologii i Jerzy Łukaszewicz od prasy.

Nikt się nie cieszył?

Z meczu w Watykanie, że wygrany przez naszych, tak. Ale poza tym cieszyć się nie było z czego.

Łukaszewicz mógł z tego, że zamiast propagandy sukcesu, miał wreszcie sukces.

Wolałby inne.

Bo wystanie Hermaszewskiego w kosmos naród wyśmiał. Z Hutą Katowice – klęska. „Regulacja” cen wypaliła zamieszkami i kartkami na cukier. I tylko w wyborach odnosiliście sukcesy. 98,9 procent poparcia przy frekwencji 99 procent.

Zaskoczę panią. Duchowieństwo także na nas głosowało. 95 procent księży i mniej więcej 75 procent biskupów. Z czego zdecydowana większość głosowała bez skreśleń.

A pan skąd to wie?

Mieliśmy dokładne informacje, kto z nich chodził za kotarkę, a kto nie.

Prymas Wyszyński chodził?

Wyszyński głosował tylko raz, w 1957 roku.

Wojtyła?

Nie pamiętam. A Glemp chyba dopiero w 1980 roku nie poszedł na wybory.

Powiedziałem Kani: Kościół możemy sobie odpuścić. Na jego politykę nasz wpływ się skończył.

No, ale musimy jeszcze zachować twarz. Trzeba wystać do Watykanu depezę gratulacyjną. Piszemy z Czyrkiem pięć wersji. Krótką i oficjalną. Oficjalną, ale rozbudowaną. Z odrobiną życzliwości. Z odrobiną serdeczności. Wylewną. I zostawiamy je Kani do wyboru, do koloru.

Staszek – przypominam mu jeszcze – ten mój raport o Wojtyle trzeba postać Ruskim, natychmiast.

Nie pamięta, który. Zapewne nie czytał. Nasza władza, niestety, na ogół nie miała skłonności do czytania. To mu przypominam.

Dwa tygodnie wcześniej wracałem samolotem z Wojtyłą z Rzymu po pogrzebie Jana Pawła I. Wyszyński został, a Wojtyła wracał. I my przez dwie i pół godziny rozmawialiśmy o ZSRR, Chinach, Stanach Zjednoczonych. Kardynał miał dobre rozeznanie w problemach międzynarodowych i sprawiał wrażenie człowieka, który ma poczucie odpowiedzialności za losy świata. Była to bardzo mądra, sympatyczna i szczerza rozmowa. Zrobiłem z niej raport, chyba na 12 stron.



*Kardynał Stefan Wyszyński i kardynał Karol Wojtyła,
za nimi Kazimierz Kąkol z żoną Ireną.*

Ruskim trzeba to dać, Staszek! Tam jest przecież ocena światowej polityki widziana oczami nowo wybranego papieża.

Po co Ruskim?

No, jak to, Tereniu?! Wódz obozu ma nie wiedzieć, co myśli nowy papież? No, nie! Takie rzeczy zawsze się wysyła. Ale nie jakimś tam patałachom z aparatu od wyznań, tylko generalnemu sekretarzowi.

Leonidowi Breżniewowi?

Jasne. Wystali, fajno.

Wracam do domu, kilka godzin snu i następnego dnia, we wtorek, od wczesnego rana młyn.

Mam spisane. Telefony do Wadowic – przecież tam lada chwila zwali się horda dziennikarzy zagranicznych, penetrująca każdy kąt. Musimy ich wpuścić. Ustalamy, że wizy dla nich będziemy wydawać na granicy.

Wszystkim?

No, nie. Jakaś czarna lista musiała przecież być.

Naczelnik Wadowic jest przerażony. Trzeba go wesprzeć jakimś dyrektorem z Urzędu. Jedzie niezawodny Oleś Merker, mój zastępca.

Urywa się telefon. Dziesiątki ludzi związanych z Kościołem dzwonią z prośbami o wydanie paszportów, chcą jechać do Rzymu na intronizację. Zastanawiamy się z Kanią i ludźmi z MSW, kogo wypuścić. Niech jada – decydujemy – Jerzy Turowicz i Stanisław Stomma z „Tygodnika Powszechnego”. Ale co zrobić z Mazowieckim, Cywińskim i Woźniakowskim, którzy też są przyjaciółmi papieża i otrzymali od niego imienne zaproszenia? Czy pójść na ustępstwa i paszporty im odblokować, czy zakaz niewydawania utrzymać?

Nie wypuściliście.

Niech czekają. Najważniejsza jest depesza gratulacyjna. Dzwonię do Moskwy, Budapesztu, Berlina, Pragi, pytam, co postanowili. Nic, trwają dyskusje. Nasz ambasador w Rzymie donosi, że do Watykanu spłynęły już depesze od przywódców najważniejszych państw zachodnich. Znowu dzwonię do Moskwy, nic nowego, mamy czekać.

Wpada prezes Interpressu, agencji obsługującej dziennikarzy zagranicznych, akredytowanych w Polsce. Trzeba zorganizować dla nich jakąś konferencję prasową, bo się dopytują. Wydział prasy KC nie chce podjąć decyzji, odsyła go do Kani, Kania nieuchwytny. Prezes błaga o pomoc.

Jedziemy razem do KC. Konferencja prasowa? – pyta Kania – a po co?! Było oświadczenie rzecznika rządu i starczy.

Pięć zdań. Że „papieżem wybrany został Polak, współrodak narodu, który przeszedł piekło wojny... i idzie drogą wszechstronnego rozwoju”.

Ten „współrodak” rzeczywiście był niefortunny.

Naciskamy na Kanię, że konferencja jednak potrzebna. W końcu jest zgoda.

W KC też bez przerwy ktoś dzwoni. Z rana dzwonił do Kani Piotr Kostikow z KC KPZR, kierujący sprawami polskimi w Moskwie. Narzekał na wybór, że straszny. Nie ma co narzekać – Kania próbował go uspokoić.

Nie pomogło – opowiada nam – to mu odparowałem: a co, lepiej by było, gdyby wybrali Chińczyka?

Nikt się nie śmieje.

Mamy relacje z Krakowa. Kiedy kończyło się konklawe, Kazio Barcikowski, pierwszy sekretarz KW, i pułkownik Gołębiowski z SB odbywali właśnie rutynowe spotkanie z organizacją partyjną krakowskich literatów, informując ich o wyczynach naszych dysydentów, których wspiera kardynał Wojtyła. I nagle do Władka Machejka, naczelnego „Życia Literackiego”, cichutko podeszła pani Józia, bufetowa, i szepnęła mu do ucha: nasz kardynał. A Władek, stary komunista, zaryczał na całą salę: Wojtyła! Dwa litry na mój koszt, pani Józiu. Gołębiowski zaniemówił, a Barcikowski zerwał się od stołu. Dossier, proszę – rzucił do Gołębiowskiego i wybiegł.

W Krakowie zaczęło się pełne szaleństwo. Rozkołysano dzwon Zygmunta, nocne pochody, śpiewy i setki depeesz gratulacyjnych wysyłanych do kardynała Wojtyły.

A co z naszą? – naciskam na Kanię. Dzwoni do Gierka. Przez jego sekretarza zostaje poinformowany, że Pierwszy spożywa śniadanie.

No to co? – pytam z głupia frant, wywołując konsternację.

Jak to co! Trzeba poczekać, aż skończy. – Mija kolejna godzina. Przesuwamy konferencję prasową na godzinę 14. Mam ją prowadzić.

Gadaj, co chcesz – instruuje mnie Kania – byle dobrze.

Pojawia się nowy problem – kto depeeszę ma podpisać! Czy tylko Jabłoński jako przewodniczący Rady Państwa, czy cała święta trójca z Gierkiem i premierem Jaroszewiczem? Blefuję, powołując się na moje rzekome wcześniejsze konsultacje, że w Moskwie podpisze Breżniew, a na Węgrzech Kadar. Może już podpisali? A my wysłemy jako ostatni?! Świat zinterpretuje to jednoznacznie – wściekam się – jako wyraz naszego zakłopotania.

Gierek podejmuje decyzję: o depeeszy zdecyduje Biuro Polityczne. Kania łapie się za głowę. Po co?!

Jadę do siebie do Urzędu przygotować się do konferencji prasowej. Biografia

Wojtyły już gotowa. Przerzucam, szukam, co w niej warte szerszego omówienia. Wojna, walka z hitlerowskim okupantem, niewolnicza praca w zakładach Solvay. I Teatr Rapsodyczny, w którym był aktorem.

Depeszy nie ma, Biuro Polityczne obraduje, wychodzę na konferencję. Jest za pięć druga. Dopada mnie informacja, że był telefon z KC, iż depesza zatwierdzona. Mój kierowca pędzi do KC po tekst, a ja idę pieszo do Interpressu.

Musimy rozpocząć. Prezes Interpressu długo mnie przedstawia, odwołując czas mego wystąpienia. Czekamy na kierowcę. Jest! Mogę zaczynać. Kierowca pokazuje mi z daleka skoroszyt z tekstem depeszy.

Z którą wersją?

Tą z odrobiną życzliwości. Podpisali: Gierek, Jabłoński i Jaroszewicz.

„Współrodak” zmienić się więc w „syna polskiego narodu, budującego w jedności i współdziałaniu wszystkich obywateli wielkość i pomyślność swej socjalistycznej Ojczyzny”.

A co się w niej pani nie podoba?

Socjalistyczna ojczyzna.

Pani jest przeciwko socjalizmowi? Oj, córca, niedobrze. Prymas Wyszyński nie był. Mówił mi: to Niemcy, panie ministrze, są największym zagrożeniem dla polskiej egzystencji i zagrażać nam będą zawsze, dlatego nie mamy wyjścia i musimy mocno plecami oprzeć się o mur Słowiańszczyzny. A że jest on czerwony? – mówił – trudno, taka jest rzeczywistość. To był wielki mąż stanu!

Przecież hetman.

Wymyślił aparatczyków, na które ja też na początku dałem się zwieść. Dlatego prymasa poznałem osobiście dopiero w 1976 roku.

W dwa lata po nominacji?

Bo wcześniej, jak zostałem ministrem i zapytałem naszą władzę, czy mogę Wyszyńskiemu zgłosić chęć złożenia wizyty, żadnych wizyt – usłyszałem. Dlaczego?

Nie ma potrzeby – odpowiedzieli. – To Wyszyński niech zabiega u ciebie o audiencję, a nie ty u niego. Ty jesteś członkiem rządu, o!

Jak nie, to nie.

A pytał pan po co?

Pani uważa, że miałem nie pytać?! Przecież ja nie byłem prywatnym człowiekiem.

Za to dwa lata później, kiedy od profesora Mariana Śliwińskiego, naszego ministra zdrowia i specja od onkologii, dowiedziałem się, że prymas Wyszyński jest ciężko chory i ma przed sobą w najgorszym wypadku trzy miesiące życia, a w najlepszym

pięć lat (było dokładnie pięć), to już nikogo nie pytając, kupiłem kwiatki i pojechałem do niego do Choszczówki pod Warszawą. Wypoczywał tam po wyjściu ze szpitala.

Piękna scena, niemal balkonowa. Prymas schodził po schodach, a ja w holu padłem w objęcia z Marysią Okońską.

Marysiu kochana, bój się Boga! Tyle lat się nie widzieliśmy. Taka introdukcja, bardzo wylewna.

Ona była szefową urzędu prymasowskiego i bezpieki kościelnej, czyli kościelnej służby wywiadowczej, złożonej z samych bab. Mówiono o nich „ósemki” i ona nimi dyrygowała. Z Marysią i całą jej rodziną przyjaźniliśmy się w czasie okupacji.

Prymas zaprosił mnie do saloniku i za każdym razem, gdy nalewał mi jakiś trunek, podnosił się z miejsca. Mówiłem: Jego Eminencja mnie zawstydza, a on dowcipkował. Z ogromnym poczuciem humoru opowiadając mi na przykład o swoim spotkaniu z Gomułką.

Gomułka miał na biurku stos papierów przygotowanych na Kościół, co chwila wyciągał jakiś, cytował i pokrzykiwał na Wyszyńskiego, a Cyrankiewicz, który też brał udział w tym spotkaniu, nie mówił ani słowa.



Z kardynałem Stefanem Wyszyńskim i księdzem profesorem Mieczysławem Krąpecm.

W pewnym momencie Gomułka zmitygował się, że jednak wypada czymś prymasa poczęstować, bo siedzieli już dłuższy czas. I Wyszyński ten poczęstunek zrelacjonował mi tak: ja piłem tylko herbatę, Gomułka nie tknął ani napitku, ani jedzenia, a Cyrankiewicz opchnął dwa półmiski kanapek.

Fantastyczny gość był z tego Wyszyńskiego!

To dlaczego nie pozwalaliście Kościołowi wydać Biblii?

No, jak to, wydali! Kilka lat przed moim pontyfikatem. Przy okazji słowo „kąkol”, czyli nasienie, które w jednej z przypowieści biblijnych zasiał zły człowiek między pszenicę, zmienili na „chwast”. Wniosłem votum separatum do biskupa Dąbrowskiego (*śmiech*).

Czy to po chrześcijańsku – zapytałem go – pozbawiać mnie pozycji, do której przywykłem?

Wasz cenzor kłócił się z wydawnictwem katolickim o słowo „bezbożnik”, bo chciał „niezbożnik”.

Idiota. A mało to bałwanów tam było!

Z wydawnictwami zdarzały się gorsze rzeczy. Biskup Dąbrowski któregoś razu przyniósł mi dwie identycznie wydrukowane książeczki z *Kazaniami świętokrzyskimi*, wygłoszonymi przez prymasa Wyszyńskiego w kościele św. Krzyża w Warszawie. Jedna była oryginalna, a druga falsyfikatem, w którym sfalszowano całe fragmenty wypowiedzi prymasa. A wie pani, co było w tej aferze najbardziej intrygujące, że paczki z falsyfikatami przysłano z Włoch i rozsyłano do różnych ludzi z Krakowa. Nie wiem, kto to zrobił.

Nie pytał pan Moczara?

A ten skąd pani przyszedł do głowy? Nie pytałem.

Wpadam na pomysł, że warto też wysłać depezę gratulacyjną do prymasa Wyszyńskiego.

Nie – mówi Kania – a po co?

Awansował – przekonuję go – jeden z pasterzy owczarni Wyszyńskiego.

To wysyłaj – mówi – ale od siebie.

Do cholery, z Kanią co chwilę dochodziło do spięcia. Był to facet, który w ogóle nie umiał pracować w kolektywie. Ambicjonął, zazdrosny o swoją pozycję. Tylko kpić potrafił.

Z pana?

Oczywiście. Że moje zdjęcie z samolotu, gdzie siedzę z Wojtyłą, wracając z Rzymu po pogrzebie Jana Pawła I, sprzedawane jest na bazarach po 80 zł i powinienem otwo-



Z Mieczysławem Moczarem.

rzyć kiosk z dewocjonaliami pod Pałacem Kultury. Śmiał się też z naszego z Czyrkiem wytłumaczenia, że „lepszy Wojtyła w Rzymie niż w Warszawie”. Albo ironizował. Jak Żyd – mówił – się wychrzci, to liczba chrześcijan na pewno zwiększy się o jednego, ale też na pewno nie zmniejszy się liczba Żydów w świecie.

Nie rozumiąłem.

Nie? No to tłumaczyć nie będę.

Wreszcie lecimy do Rzymu na intronizację.

A co z jej transmisją telewizyjną dla nas?

Włosi wzięli nas szantażem, rozgłaszając, że jeśli puścimy, zrezygnują z opłat.



Z kardynałem Karolem Wojtyłą.

Lądujemy w Rzymie. Tym razem nie na Fiumicino, ale elegancko na Ciampino, rzymskim lotnisku wojskowym. O! – widzę – nas już zaczynają traktować inaczej. Cholera, myślę, trzeba ten mój sen jakoś sprzedać.

O wyborze Wojtyły?

Tak, tak, na lotnisku jest gala powitalna – kompania honorowa, stukanie obcasami, dygnitarze włoscy i watykańscy oraz biskup Dąbrowski. Mówi:

O pańskim śnie powiedziałem papieżowi tuż przed konklawe.

I co? – pytam.

Roześmiał się.

O rany, to rewelacja! Ksiądz biskup musi – proszę go – doprowadzić do tego, by papież ten mój sen potwierdził, najlepiej publicznie.

Dobrze panu mówić! Ale jak to zrobić, panie ministrze? – pyta biskup Dąbrowski.

W ręce księdza biskupa oddaję moją sprawę – mówię.

I nic z tego nie wychodzi. Widzimy się z biskupem Dąbrowskim codziennie, a on, że nic. Papież zapracowany po uszy, tłum ludzi, żadnych możliwości osobistej rozmowy. Razem z polską delegacją czekam więc na audiencję. Wreszcie jest! Do Watykanu przyjeżdżamy w komplecie. Sześć osób z przewodniczącym Rady Państwa Henrykiem Jabłońskim na czele. Elegancko wiozą nas windami na górę do sali tronowej. Chwilę czekamy i otwierają się drzwi. Papież – jak się potem dowiedziałem – sam nacisnął klamkę. Sam! Rozumie pani? Historyczne wydarzenie. Po raz pierwszy od 450 lat.

Widzę: zmęczony, spocony, wymięty, o rany, w tych ciężkich strojach. Zaprasza: chodźcie, panowie.

Zaczynamy gadać.

Wybiła moja godzina – myślę. Ale jak ją wykorzystać?!

Wtrącam inteligentne uwagi, robię *zwischenrufy*. Henio Jabłoński mrozi mnie wzrokiem, że za dużo gadam. I nic, nic, nie ma wejścia!

Po 35 minutach papież mówi: panowie, musimy kończyć, następni goście czekają, proponowałbym zrobienie wspólnego zdjęcia na pamiątkę.

Czyli ostatnia szansa! Strzelam z grubej rury: nam się to zdjęcie należy, Wasza Świątobliwość, bo myśmy ten pontyfikat Waszej Świątobliwości wysprzjali.

Pan myśli o swoim śnie? – I uśmiechając się, mówi: jak mi ksiądz biskup Dąbrowski powiedział, że panu ministrowi się przyśniło, iż zostałem papieżem, to zachodziłem w głowę, skąd taki dar jasnowidzenia w tym człowieku?

To nie dar jasnowidzenia Wasza Świątobliwość – wtrąca Jabłoński – to nasza *razwietka* działa.

Co, co?

Po polsku – rozpoznanie.

A papież na to z uśmiechem: Bardzo wysoko cenię waszą Służbę Bezpieczeństwa, ale żeby miała ona ekspozyturę w Watykanie, to chyba jeszcze za wcześnie.

Wychodzimy. Przy drzwiach Wojtyła zwraca się do mnie: panie ministrze, a co z ważnością mojego polskiego paszportu. Co mam z nim zrobić – pyta. – Czy muszę go zdać, bo wolałbym zachować.

Oświadczam mu uroczyście: Wasza Świątobliwość, wasz paszport zachowuje ważność bez potrzeby przedłużania.

Odpowiedział: no, to się ksiądz Dziwisz ucieszy.

Wróciliśmy do Warszawy. Powtórzyłem Jaroszewiczowi i Kani, że obiecałem papieżowi zachowanie ważności paszportu, a Kania na to złośliwie: to twoja pierwsza mądra decyzja.

Odgrzyłem się: a wiesz, Staszek, dlaczego? Bo ciebie nie pytałem o radę.

Czyli ironii też nie wyczuł?

Jakiej ironii?! Nie rozumiem.

Papieża. Przecież wypomniał wam, żeście chcieli go upokorzyć.

Niemożliwe.

Ależ tak.

Nie, nie, to pani nadinterpretacja.

Więc co ze zdjęciem?

Wycyganilem dwa. Jedno dla żony, a dla babci – zacząłem się targować – to co, nie dacie? Dawać drugie dla babci! Dostałem.

A potem papież przyjechał, w czerwcu 1979 roku.

Zaraz, zaraz, jeszcze zima stulecia. Pamięta pani? Polska stanęła na kilka dni. Tadzio Grabski, był pierwszym sekretarzem w Koninie, na plenum KC wygłosił ostre przemówienie, uderzające w kierownictwo, że nieudolne, dużo obiecuje, a nie daje sobie rady ze śniegiem i mrozem.

Siedziałem w swoim gronie, obok profesora Pajestki, i mówię mu: słuchaj, weź go w obronę, bo zaraz go skrzywdzą. – Pajestka był zapisany do głosu po Grabskim. – Spróbuj – mówię – jakoś spacyfikować to całe towarzystwo.

Dobra – Pajestka na to – kartki przerzucę, coś tam poprawię.

E – myślę – za mało. Trzeba uruchomić inną akcję ratunkową. Chłopcy – mobilizują towarzyszy, siedzących koło mnie – zrobmy coś!

I jak Grabski skończył wystąpienie, zacynam bić brawo, ostentacyjnie, o tak! (*pokazuje*). Za mną koledzy obok i po chwili huraganowe brawa biła cała sala. Funkcyjni za stołem prezydiąlnym także. Tylko dyskretnie pod stołem. Ogłoszono więc przerwę i zwołano naradę Biura Politycznego. Na naradzie awantura, że trzeba jakoś zdecydowanie zareagować, bo niedopuszczalne są antypartyjne wystąpienia, takie jak Grabskiego, i że tym oklaskom trzeba dać odpór. Kruczek wtedy zapytał Jaroszewicza: ale kto te brawa bił, towarzyszu Jaroszewicz? Wasz pupill! On je zaczął.

Był pan pupilem Jaroszewicza?

On się żart z Kanią. Więc na tej zasadzie.

I potem wizyta papieża. Szczerze?

Te jego wizyty to dla władzy był dopust boży. Niektórzy przewidywali najgorsze. Jasio Szczepański na przykład wprost napisał, że wizyta papieska zmieni Polskę. Ale poza paroma idiotami, którzy się sadzili na to, by pokazać swoją pryncypialność i papieża do Polski nie wpuścić, reszta uznała, że musimy to wyzwanie podjąć i tylko był problem, jak mu sprostać.

Dwa dni przed wizytą zaprosiliśmy prymasa Wyszyńskiego, by przeleciał się z nami papieskim helikopterem. Polską, oglądaną z góry, był zachwycony.

Słuchajcie – mówił do mnie i do Majewskiego, przewodniczącego Stolecznej Rady Narodowej – zaczątki są pierwsza klasa, tylko ducha w tę ziemię należy tchnąć.

I stało się.

Wystąpienie papieża na placu Zwycięstwa oceniliśmy jako bardzo dla nas kłopotliwe.

Nagle tłum w środku papieskiej homilii zaśpiewał: „My chcemy Boga w książce, w szkole”. Słyszał pan?

Pamiętam, co powiedział. Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze tej ziemi. Cholera, co robić?

Następnego dnia rano spotkanie papieża z młodzieżą pod kościołem św. Anny. Demonstracyjne. Stałem w oknie Urzędu i obserwowałem. Dla mnie to była rewelacyjna historia. Dzieciarnia zbierała się pod kościołem całą noc, przez ulice Warszawy przewalały się tłumy i nie było żadnych awantur, żadnego zakłócania snu okolicznym mieszkańcom, żadnych wrzasków. Jakiś ewenement – powiedziałem do swoich pracowników.

Nigdy nie przypuszczałem, że nasza młodzież potrafi być tak zdyscyplinowana i tak wewnętrznie dojrzała.

Zawsze była, w 1968 roku też.

Była, nie była, chce pani o tym podyskutować?

Już nie.

Po tym spotkaniu papież przejechał ulicą Miodową odkrytym samochodem na plac Zwycięstwa, dzisiaj Piłsudskiego, bo odlatywał stamtąd helikopterem do Gniezna. Wokół placu stał tłum ludzi.

Nie ludzi, a „wiernych” – mówiliście, by ich odróżnić od społeczeństwa.

Możliwe. Już nie pamiętam tych wszystkich zapisów cenzuralnych.

I wtedy pana zobaczyłam.

Mnie?

Tak. Wysiadł pan z samochodu z Jerzym Majewskim i usiłował od ulicy Niecałej, gdzie stałam, przecisnąć się na plac. Tłum was rozpoznał i zaszemrał...

Nie było takiej sytuacji.

Żebyście się z nami nie próbowali mieszać. Bo my to my, a wy – to oni i macie swoje przejścia.

Pani mnie chyba z kimś pomyliła.

I wy się cofnęliście.

Pamiętam inną scenę z placu Zwycięstwa.

Nagle zobaczyłem Włodka Okońskiego, szarpiącego się z milicją. Puszczajcie go! – podbiegłem do nich. Włodek był bratem Marysi, tej od prymasa Wyszyńskiego, chodziłem z nim do gimnazjum, po wojnie wykształcił się na lekarza, ale w końcu został księdzem, pracował w polskiej parafii w Londynie. Milicja zatrzymała go, bo próbował filmować wjazd papieża na plac.

Zrobił coś złego?

Oni uważali, że filmować niczego nie wolno.

Na placu żegnałem papieża u schodków helikoptera.

Panie ministrze – zagadnął mnie żartobliwie – jak wypadła ocena mojej wczorajszej homilii? Mam nadzieję, że pały nie dostałem.

Pały nie – odpowiedziałem – ale grubą krechę.

Ooo! – zdziwił się – za co?

To mu wyliczyłem: za Ruskich, co stali po drugiej stronie Wisły w czasie powstania warszawskiego i nie chcieli udzielić pomocy, i za sprawiedliwą Europę, która nie może istnieć bez Polski niepodległej.

Uśmiechnął się: widzę, że nabroiłem.

Prymas Wyszyński w tym czasie żartował z załogą helikoptera, czyli z naszymi oficerami Służby Bezpieczeństwa.

Panowie dwa dni temu – dowcipkował – byliście chyba ubrani w mundury wojskowe, a dzisiaj przebraliście się w lotowskie.

Powiedziałem papieżowi: jesteśmy ludźmi porozumienia, więc liczymy na to, że Jego Świątobliwość się poprawi i będzie w swoich kazaniach uwzględniać interesy państwa polskiego.

Och – westchnął – postaram się.



Z prymasem Stefanem Wyszyńskim w drodze na pogrzeb Jana Pawła I.

Na Okęciu, 2 czerwca 1979 roku. Pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski.



Treści homilii wcześniej wam nie pokazał?

Nie. Były przymiarki, by go do tego skłonić, ale nie bardzo wiedzieliśmy, jak to zrobić? Bezpośrednio nikt się do niego nie zwrócił.

Obiecał – powtórzyłem Kani swoją rozmowę z papieżem – postarać się. Staszek – zaproponowałem – no to trzeba mu w tym pomóc, spróbujemy jakoś zadziałać.

Ale jak?!

Wyszyński schorowany – mówię – więc gadanie z nim odpada, a co myślisz, żeby spróbować przez Macharskiego? To przecież kamraty.

Dobra. Tylko jak do niego dotrzeć?

Dzwonimy do generała Straszewskiego, szefa IV departamentu. Co robią w tej chwili dostojnicy kościelni, wiecie? Wiemy. I Konrad wylicza, który gdzie jest.

A co z Macharskim, wiecie? Dlaczego nie? – odpowiedział pytaniem.

Oni w MSW strasznie ambitnie podchodzili do swoich zadań i byli wyczuleni na to, by nikt ich nie posądził o niekompetencję czy nierzetelność.

Macharski jest w Krakowie – odpowiedział – i wybiera się samochodem do Oświęcimia.

Wiesz, kiedy? – Wiedział.

No, to, Kaziu – decyduje Kania – leć.

Dzwonię do Bronka: lecimy.

Jakiego Bronka?

Do mego syna dzwonię, miał czternaście lat.

Przylatujemy do Krakowa, jadę do Barcikowskiego do Komitetu Wojewódzkiego, dowiaduję się, że papież w Gnieźnie wygłosił jeszcze bardziej kłopotliwe dla nas przemówienie niż w Warszawie. Powiedział tam o sobie jako o stowiańskim papieżu, czyli wystąpiły koneksje międzynarodowe, dotyczące obozu socjalistycznego.

No to żarty się skończyły! Dzwonię do Macharskiego.

A! pan minister, proszę, bardzo proszę.

Dwie godziny gadki, ostra wymiana zdań. Wypiliśmy butelkę znakomitego wina i Macharski na koniec powiedział: uwagi pana ministra przekazę Ojcu Świętemu.

Jakie konkretnie?

Żeby dalsze wystąpienia papieskie bardziej wychodziły naprzeciw interesom państwa polskiego jako ostoji socjalizmu.

I z tego, co wiem, przekazał, bo jak mi zameldowano, papież upoważnił Casarolego do weryfikacji swoich tekstów. No, to lepiej nie trzeba.

Skończyła się wizyta papieska i postanowiliście Kościół ukarać.

Nie rozumiem.

Trzy miesiące później zaczęliście kopać tunele wokół Jasnej Góry w Częstochowie.

Co znaczy „wy”?

A kto?

Miejscowe władze.

Same z siebie?

Tak.

Nigdy w to nie uwierzę.

Męczysz mnie, córca.

No to „w uzgodnieniu i z porozumieniem”. Ja z tym nic nie miałem wspólnego. Jeździłem tam tylko, by zebrać informacje. I pytałem ich dyskretnie, po co się w to tądają?

Miejscowe władze opracowały plan, że wokół Jasnej Góry zrobi się drogę szybkiego ruchu, a dla pielgrzymów pod tą drogą wybuduje dwa specjalne tunele. Jedni będą grzecznie szli w jedną stronę, drudzy w drugą. Piknie.

Zaczęto je kopać.

No i co z tego?! W końcu nie wykopano. Chodziło o to, żeby zagwarantować w mieście bezkolizyjny ruch, bo pielgrzymki go tamowały. I żeby zapewnić ludziom bezpieczne przejście na Jasną Górę.

A naprawdę?

Żeby ludziom przejście na Jasną Górę utrudnić. Żeby nie było zbiegowisk. Podobna sytuacja powstała też w Gnieźnie, w pobliżu katedry. Z kardynałem Wyszyńskim tam jeździłem i oglądaliśmy. Po drugiej stronie rzeki chcieli bezpośrednio przy nabrzeżu zrobić autostradę. Z tych planów też potem zrezygnowano.

Bo świat zaczął protestować?

Nie, nie. Mogli protestować, to bez znaczenia. Chce pani wiedzieć dlaczego? To proste. Bo Jasna Góra by się zawaliła, o! A w Polsce nie było ani jednego człowieka, który odważyłby się pozbyć Jasnej Góry.

Ale co tam jakieś tunele, córca. W rządzie! W rządzie zaczęły się dziać cuda.

Jest dyskusja nad budżetem. Wrzaszczyk, wicepremier, omawia budżet i mówi: jest najwyższy czas, żeby zbilansować budżet i przerwać zaciąganie pożyczek zagranicznych. Zaciąganie pożyczek – oświadcza – grozi destabilizacją budżetu.

Premier Jaroszewicz otwiera dyskusję. Podnoszę rękę i maszeruję na trybunę.

Towarzyszu Kąkol – pyta Jaroszewicz – a wy, w jakiej sprawie, to nie sprawy kościelne.

Ja w charakterze członka rządu, towarzyszu premierze, a nie kościelnego. I o jakich pożyczkach on mówi, my nic nie wiemy.

Nie wiedział pan?

Wiedziałem, ale z zagranicznych stacji, a nie z posiedzeń rządu. I kto je brał? Wrzaszczyk.

Siedzę tu – mówię – na posiedzeniach rządu od pięciu lat i nikt ani razu nie informował nas o stanie zadłużenia kraju, ani nikt nie pytał, czy można się zadłużać dalej, czy nie można. Mnie więc interesuje, dlaczego to towarzysz Wrzaszczyk akurat dzisiaj z tym występuje i dlaczego nic konkretnie nie mówi, a tylko daje hasło. To wymaga obszernej interpretacji i ja taki wniosek wysuwam. Cisza.

Profesor Kaliski mówi: popieram stanowisko towarzysza Kąkola. Znowu cisza.

Odzywa się Wrzaszczyk: towarzysz Kąkol przejechał się tutaj po tych problemach bez znajomości rzeczy.

Słuchaj, kochany – odparowuję – wiedziałem, że za durnia zostanę przedstawiony. Tylko tobie, widzisz, mądrości nie przybędzie od tego, że się w ten sposób do sprawy ustosunkowujesz.

Zabiera głos Szydłak: towarzysz Kąkol ma, oczywiście, rację, ale tego nie można już dzisiaj rozpatrywać. Proponuję, żeby jedno z najbliższych posiedzeń Rady Ministrów poświęcić tej sprawie.

Tamto, owamto. Przerwa na konsumpcję.

Jaroszewicz zaprasza: towarzyszu Kąkol, siądźcie przy naszym stole, żeby nikt nie pomyślał, że się gniewamy. Siadam. Wicepremier Kępa dowcipkuje: Kaziu, a może ty byś rzucił te wyznania i po mnie przejął administrację?

Odpowiadam: Józek, czułem, że właśnie tak się skończy – na zbieraniu śmieci.

Przychodzi następny wicepremier Maciej Wirowski. O – mówi – widzę, że Kąkol blatuje.

Blatuje?

Inaczej „korumpuje”, „układa się”. W żargonie złodziejskim.

Odpowiadam mu: żeby nie było nieporozumień, to oni mnie blatują, a nie ja ich. I do Jaroszewicza: towarzyszu premierze, przesiądę się na swoje stare miejsce.

Idę. Przy posiłkach siedziałem zawsze z Kuberskim i Śliwińskim. Na moim talerzu leży siedem kromek chleba. Co jest? – pytam. A Śliwiński na to: zrobiliśmy zrzutkę, bo może ci tego chlebka wkrótce zabraknąć (*śmiech*). Niby pół żartem, pół serio.

Więc odchodzę. Otarto mi łzy, dając Sztandar Pracy I klasy. Oraz na moją cześć wydano obiad. Był Babiuch, już w roli premiera, a towarzysz Kania wygłosił mowę pożegnalną.

Co chcecie ze mną teraz zrobić? – zapytałem. – Ale merytorycznie mówcie, chłopcy.

Placówka zagraniczna do Iranu. Podziękowałem. Zaległa cisza.

To powiedziałem: z Kościołem katolickim możemy sobie dać spokój, wpływu na jego historię już mieć nie będziemy, ale są jeszcze dziesiątki innych problemów. Na przykład problem żydowski.

W 1980 roku?

A tak. I zaproponowałem, że mogę się przydać w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Trzeba – powiedziałem – tym sprawom wyjść naprzeciw, one nie są jeszcze rozwiązane.

Zostałem więc dyrektorem Komisji i razem z Yad Vashem – o Boże! – jakie cuda myśmy wyprawiali, by tych hitlerowców pogonić! Z generałem Icchakiem Aradem, partyzantem z Wileńszczyzny, współpracowało się nam znakomicie. Mam od nich kupę listów dziękczynnych.

A wie pani, że tego kata z Treblinki, Iwana Demianiuka, to właśnie my wysłedziliśmy?

Gratuluję. Szkoda tylko, że także nie zbrodni w Jedwabnem.

Gdzieś tu dla pani odłożyłem gazetę z życiorysem poety (*szuka na biurku*).

Miłosza?

Nie, nie.

Mickiewicza, Słowackiego?

Mam!

Tu napisano, że matka Krzysztofa Kamila Baczyńskiego była Żydówką.

O! o! I przestał być polskim poetą?

Nie w tym rzecz. Ale po co to ukrywacie?

Kto ukrywa?

No, jak to kto? Wy. Ja widzę, córca, że my się nie rozumiemy.

Bo pan mówi jak ojciec Rydzyk.

(*Śmiech*) Oj, to chyba za wielki dla mnie splendor.



W 1968 roku w okienku telewizyjnym podczas wygłaszania słynnych pogadarek „antysyjonistycznych”.



W latach osiemdziesiątych z Milesem Lermanem z Komitetu Żydów Amerykańskich.

Dopisek Kazimierza Kąkola

„To jest knot straszliwy!!

Uragający renomie T.T., która pozwoliła świnić swojemu rozmówcy.

Obnażający starcze gadulstwo i lekkomyślność władz PRL, które uznały za możliwe dopuścić gadułkę do spraw poważnych.

Ewentualny czytelnik poczułby się wykiwany, zawiedziony, skazany na lekturę nieodpowiedzialnych pogaduszek...

Zafalszowanie podstawowe:

mój stosunek do Kościoła i ludzi Kościoła

«za pan brat świnia z pastuchem»

nie prymas Wyszyński

nie kardynał Wojtyła

nie biskup Dąbrowski

a z należnym dystansem i szacunkiem.

Mój antysemityzm, istniejący w przekonaniu «masonów» –

pomawianie o antysemityzm jest metodą «masonierii» w walce politycznej

mój rzekomy antysemityzm – forma osłony przed obnażaniem manewrów politycznych”.

Rozmowa z Maciejem Szczepańskim

KRWAWY MACIEK NIE BOLI



15 października 1980 roku.

Środa. Dobrze pani zaczyna.

Więc...?

Na dziesiątą rano poszedłem na kolejną rozmowę do Prokuratury Generalnej. Trzecią czy czwartą, nie pamiętam.

Te rozmowy nie miały charakteru przesłuchań.

Oni nie pytali mnie o jakieś konkretne sprawy, świadczące o naruszeniu kodeksu karnego, tylko o błahostki związane z zarządzaniem Radiokomittem oraz o różne plotki i pomówienia, które krążyły.

Że miał pan jacht ze stajnią dla konia, na którym usługiwały Murzynki, rezydencję „Safari” w Nairobi, willę na Wyspie Róż, czyli Rodos, oraz że za pieniądze Radiokomitetu jeździł pan na polowania do Kenii.

Rozpętana została cała kampania oszczerstw, to standard. Jeśli kogoś zamierza się eliminować politycznie, trzeba wokół niego zrobić atmosferę skandalu.

Plotki o pana bogactwie i luksusowym życiu kursowały już dużo wcześniej.

Bzdury!

Spisek?

A co, nie?!

Komitet warszawski PZPR-u tym kierował. Zaczęli drukować ulotki o moich zbrodniach i przestępstwach, rozsyłali je dalekopisami po całym kraju. W kampanię włączyła się także Wolna Europa, straszne rzeczy o mnie wygadywała. Więc kiedy we wrześniu prokuratura zapytała, czy chciałbym z nimi o tym porozmawiać, to ja się zgodziłem. Od razu. Mimo że byłem człowiekiem chronionym immunitetem poselskim. Posłem z długim stażem, od 1969 roku. Chciałem tę sprawę jak najszybciej przeciąć.

W środę dosyć długo czekałem na korytarzu.

Kilka dni wcześniej Sejm uchylił mi immunitet poselski. Wniosek przesłał prokurator generalny, przedstawił zarzuty.

„Maciej Szczepański (...) ulokował na koncie spółki Poltex w banku szwajcarskim kwotę co najmniej 1,5 miliona dolarów USA, stanowiącą własność Komitetu oraz zlecił niedopuszczalne manipulowanie tą kwotą (...). Doprowadził do podpisania niekorzystnej dla Komitetu umowy z zagranicznym kontrahentem na produkcję serialu Sherlock Holmes”...

Bzdury. Może ich mi pani nie czytać.

„Przy dokonywaniu zakupów z importu różnych urządzeń na użytek Komitetu polecił korzystać ze zbędnego pośrednictwa (...). Przydzielał nieuprawnionym osobom nagrody z funduszu popierania twórczości radiowej i telewizyjnej, polecał dokonywanie z funduszy Komitetu zakupu cennych przedmiotów przeznaczonych na upominki. Oraz bezprawnie zatrudniał pracowników Komitetu przy robotach budowlanych i remontowych we własnej willi w Szczyrku i w mieszkaniu w Warszawie”.

Żaden z tych zarzutów nie znalazł się potem w akcie oskarżenia. Nie mogłem się przed nimi bronić.

Leżałem w szpitalu na badaniach, kancelaria Sejmu nie powiadomiła mnie o posiedzeniu.

Wszyscy głosowali za?

To normalne.



Na Mazurach.

W PRL-u!

Zawsze jak człowieka zdejmuje się ze stanowiska, a mnie zdjęli już prawie dwa miesiące wcześniej, nie ma się żadnych przyjaciół.

Wreszcie zjawił się prokurator, pan Andrzej Korzeniewski. Oznajmił, że jestem aresztowany. Była godzina 11.30. Wsadzono mnie do karetki więziennej i zawieziono na Rakowiecką do III pawilonu.

W kajdankach?

Jeszcze nie. W kajdankach będą mnie prowadzać do sali sądowej na rozprawę.

Wstyd?

Wstrząs. Trudno ten stan wewnętrzny opisać.

Strach?

Nie, nie, ja nie jestem facetem, którego łatwo zastraszyć. Popadłem tylko w psychiczne odrętwienie. Jak pacjent na stole operacyjnym, któremu wstrzyknięto znieczulenie. Wieziono mnie w suce więziennej, patrzyłem na ulice i widziałem je – pamiętam – jak przez mgłę. Potem na Rakowieckiej wydawano mi koc, poduszkę, miskę, tyżkę, kurtkę, czapkę więzienną, koszulę, długie gacie z trokami, i ja te rzeczy odbierałem mechanicznie, jak manekin.

Wprowadzono mnie do celi nr 1, czteroosobowej. Siedzieli w niej dwóch. O! – powiedzieli – czekaliśmy na pana.

Oni już wiedzieli, że przyjdę, uprzedzono ich. Jeden był dyrektorem w jakimś urzędzie wojewódzkim, drugi dyrektorem w wielkiej firmie budowlanej.

W III pawilonie zamykano wtedy nie pospolitych kryminalistów, ale prominentów ancien régime'u, którymi interesowała się Służba Bezpieczeństwa. W stanie wojennym wsadzono tam również działaczy KOR-u i „Solidarności”.

Po wieczornym apelu położyłem się na więziennej pryczy i pomyślałem sobie: dno, Maciek, osiągnąłeś dno. I wie pani, odetchnąłem. Naprawdę. No, Maciek – powiedziałem sobie – gorzej już nie będzie. I poczułem ulgę.

Kto pana zrzucił na dno, nie zastanawiał się pan?

(Śmiech) Nie musiałem, ja wiedziałem!

Kto?

Zaraz, zaraz, nie tak szybko.

Nie chciał pan zadzwonić do Gierka?

Gierka już przecież nie było.

Fizycznie był.

Ale nie pierwszym sekretarzem, więc co by to dało? Nic. Też był na celowniku.

To do Kani. Miesiąc wcześniej został po Gierku pierwszym sekretarzem PZPR-u.

Do Kani? Po ratunek?! Pani chyba żartuje. Przecież to Kania mnie tam zesał! Przed samym sobą bym się ośmieszył. Nie, nie, ja już wiedziałem, że z tego dna wygrzebać się muszę sam.

Cela nr 1 na Rakowieckiej miała jedną zaletę – widać z niej było niebo. Okazała się najlepsza, w jakiej siedziałem przez cztery lata. Potem zaczęto mnie przerzucać. Panowie prokuratorzy Andrzej Korzeniewski i Ryszard Rychlik co rusz wyrwali mnie z cel, do których zdążyłem się przyzwyczaić, i przerzucali do innych, coraz gorszych i brudniejszych. Oni zostali do mojej sprawy specjalnie sprowadzeni z prokuratur terenowych, ponieważ nikt z Prokuratury Generalnej nie chciał się nią zajmować. Sprowadził ich zastępca prokuratora generalnego, pan Starszak, posłany tam z Bezpieczeństwa przez Kanię. Ci „młodzi, zdolni” przenosili mnie z celi do celi w ramach tak zwanej polityki resocjalizacyjnej.

Kolejna cela znajdowała się przy kuchni. W niepodpiwniczonym pawilonie, w którym woda w czasie odwilży podpływała pod tóżko i kaloryfery grały tylko teoretycznie. Śmierdziało w niej kapustą, wentylatory hałasowały od czwartej rano i okno wychodziło na ścianę budynku.



Na obozie harcerskim, pierwszy od lewej.

Najgorzej jednak potraktowano mnie w wigilię Bożego Narodzenia 1982 roku. Przenosząc do celi tak brudnej, że byłem bliski załamania.

Musimy coś zrobić – powiedziałem do współosadzonego – musimy tę celę doprowadzić do porządku. Bo jeśli – wytłumaczyłem mu – będziemy spędzać Boże Narodzenie w takim brudzie, to zwariujemy. Poprosiłem strażników o ciepłą wodę, proszek, mydło. Okazali życzliwość. Cały dzień szorowaliśmy ściany i podłogi.

Zna pani Ryśka Frelka?

Znam. W latach siedemdziesiątych był kierownikiem wydziału zagranicznego KC.

No więc Ryszard Frelek, kiedy dziesięć lat wcześniej, w październiku 1972 roku, obejmowałem funkcję prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji, powiedział mi: obejmujesz, pamiętaj, najbardziej niebezpieczną posadę w tym kraju.

Pana poprzednik, Włodzimierz Sokorski, uważał, że zabawową.

Sokorski nie był jak ja zawodowym dziennikarzem. Sokorski, wybitna indywidualność, ma trwałe miejsce w historii tego kraju. Żołnierz, pisarz.

Konfabulator.

Nic złego o Sokorskim powiedzieć nie pozwolę, więc zostawmy ten wątek. Za czasów Sokorskiego zresztą telewizja nie zajmowała w układzie politycznym tak ważnego miejsca jak później.

Bo to pan zrobił z niej tubę propagandową.

Telewizja, jeśli ma duży zasięg, może być bardzo skutecznym instrumentem sprawowania władzy.

Ja jestem zawodowym propagandystą, nigdy tego nie ukrywałem. Ja wiem, jak się robi propagandę.

Jak?

No, to niech pani popatrzy na efekty. Niech pani popatrzy, jak dzisiaj Polacy oceniają politykę Gierka. Po dwudziestu pięciu latach opluwania oni go dalej kochają. Wyczytałem niedawno, że 46 procent społeczeństwa chwali Gierka i uważa, że lata siedemdziesiąte były najlepszym czasem dla Polski. To moja zasługa.

Oraz pana teorii „krytyki spiralnej”, prawda?

Sprawdziła się. Dziękuję za przypomnienie.

A polegała na tym, że o dziurze w moście można było powiedzieć w telewizji dopiero po jej załamaniu, prawda?

Zgadza się. Miałem rację. Bo po co ją pokazywać, jeśli nie można załatać? A często nie można było dlatego, że odpowiedzialni za załamanie – w obawie o własny fotel

– znajdowali zawsze milion usprawiedliwień, dlaczego tego nie zrobili. Że zabrakło betonu, ludzi do pracy, mocy przerobowych, asfaltu. Samo więc pokazanie dziury żadnej sprawy nie załatwiało. To po co – niech pani pomyśli racjonalnie – mieliśmy mówić o dziurach?

Jasne. Miała być przecież „godzina dobrobytu”.

Jaka znowu godzina?

Dziennika telewizyjnego, który trwał godzinę.

Nie dziennika, tylko „Wieczoru z Dziennikiem”. Nieudany pomysł, myśmy z niego zrezygnowali, wróciliśmy do półgodzinnego.

O którym mówiło się z kolei: nie chwal dnia przed dziennikiem telewizyjnym.

Nie słyszałem. Kto mówił?

My mówiliśmy – ludzie, ulica. Ale zostawmy te szczegóły. W latach siedemdziesiątych po Gomułce miała być „druga Polska”...

...a co, nie była?

...oraz „Polak potrafi” i „naród z partią, a partia z narodem”.

Dobre hasła. Niech się pani nie czepia.

Gierek znał mnie od lat sześćdziesiątych, kiedy zostałem członkiem egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego w Katowicach. I wiedział, że ja, po pierwsze, jestem fachowiec, a po drugie, jestem mu szczerze oddany i mojej absolutnej lojalności wobec niego nikt i za nic nie może naruszyć. Na prezesa przyszedłem, by wspierać politykę Gierka. Jestem z tego dumny.

Z czego konkretnie?

Że byłem członkiem jego ekipy.

Wiedziałem, że od jakości mojej pracy w telewizji i w radiu w dużej mierze zależy będzie pozycja polityczna Gierka w kraju i za granicą oraz odbiór jego osoby w społeczeństwie.

Kształtował pan image Gierka?

Wtedy mówiło się „wizerunek”.

To co w tym według Frelka było niebezpiecznego?

Trwały podskórne boje wewnątrz partii, żeby Gierka usunąć. Określone siły starały się podkopać jego pozycję. I Frelk o tym wiedział. To był przecież bystry facet, ten Frelk.

Pan nie?

Sekundę. Ja nie znałem układów warszawskich, Gierek chyba też nie. Jeśli więc – po-



*Jako reporter
Polskiego Radia Katowice.*

wtarzam – Gierek stał się przedmiotem wieloletniej obróbki, o czym dowiedziałem się później, to ja, człowiek Gierka, postawiony przez niego w telewizji, też musiałem być obrabiany.

Dowcip ze stycznia 1971 roku. Na Dworzec Główny w Warszawie wjeżdża pociąg z Katowic. Spikerka obwieszcza: proszę odsunąć się od stanowisk.

Mit! Jest to jeden z mitów, który służył podważeniu i wręcz ośmieszeniu pozycji politycznej Gierka. Tak, tak, niech pani nie zaprzecza! Żadnego pociągu politycznego nie było. Taki pociąg, owszem, przyjechał, ale dwadzieścia lat później z Gdańska, razem z Wałęsą.

Bo wtedy, kto w nim był, no proszę?

Jan Szydłak, nowy członek Biura Politycznego.

Od 1968 roku pracował w KC w Warszawie, ale niech będzie, pochodził ze Śląska. Dorzucam Tadeusza Pykę, który w rządzie Jaroszewicza został wicepremierem, oraz siebie, rodem z Sosnowca, jak Gierek. To koniec.

I jeszcze Tadeusz Wrzaszczyk, minister, potem wicepremier.

Był z Częstochowy i od dwudziestu chyba lat pracował w Warszawie, między innymi jako dyrektor fabryki samochodów na Żeraniu.

Więc Babiuch, czyli mały Edek, w odróżnieniu od dużego, Gierka, oraz Franciszek Szlachcic, Andrzej Żabiński.

Szlachcic był zaprzyjaźniony z Gierkiem, ale pochodził z Chrzanowa, czyli z Krakowskiego, Babiuch – z Dąbrowy Górniczej, zgadza się, ale w aparacie partyjnym w Warszawie tkwił od czasów Bieruta, a Żabiński był wynalazkiem Jaruzelskiego.

To Zdzisław Grudzień, członek gierkowskiego Biura Politycznego.

On został w Katowicach. On nie pełnił żadnego urzędu w Warszawie. Gierek Grudnia mianował na swoje miejsce. Zrobił go pierwszym sekretarzem w Katowicach. Na własne nieszczęście, bo Grudzień przez swoją głupotę pozbawił Gierka poparcia na Śląsku. Tak, tak! Bo gdyby w 1980 roku Gierek je miał, tam na Śląsku, poparcie takie jak przed dziesięcioma laty, nic by mu nie zrobili. Nic!

Pasażerów pociągu z Katowic, gwoli historycznej prawdy, było więc trzech, proszę pani.

Oraz Krystyna Loska, czołowa spikerka telewizji lat siedemdziesiątych, notabene żona wpływowego działacza piłkarskiego ze Śląska.

Była, owszem, z Katowic, ale nie ja ściągnąłem ją do Warszawy, tylko Sokorski. Może pani do niej zadzwonić i sprawdzić. Ona zresztą nie była żadną prominentką.

Tylko wizytówką PRL-owskiego gustu.

Zgadzam się, spikerki były i są fatalnie ubrane i uczesane. Ileśmy się z Xymeną Zaniewską, głównym scenografem telewizji, znakomitym fachowcem, z nimi nawalczyli, żeby je unormalnić. Bezskutecznie. Zaniewska przychodziła do mnie i mówiła: kurwa – bo ona lubiła postugiwać się mocnymi słowami. Ja też je lubiłem i często ich nadużywałem. Zaniewska mówiła: nie, nie mogę sobie poradzić z tymi tłumokami, tłumaczę im, jak się mają ubrać, instruuję, jak czesać, a gdy spuszczę na chwilę z oczu, to wałą sobie lakier na głowę.

Gorzej, na tapir.

A wie pani dlaczego? Bo one gust mają nie najlepszy, a chcą być piękne! Nieważne, co mówią, co robią, co mają w rozumie, muszą być piękne.



W kolejce do mauzoleum Lenina, 1958 rok. Drugi od lewej.

Do Radiokomitetu wprowadzali mnie Szydłak i Łukaszewicz. Jan Szydłak jako członek Biura Politycznego, a Jerzy Łukaszewicz, sekretarz propagandy KC, dlatego, że jemu bezpośrednio podlegałem.

Wiedziałem, że w firmie jest bajzel, a program straszny. Pamięta pani?

Nie miałam telewizora.

Program był trochę tylko lepszy od tego, co jest teraz. Bo teraz nastąpiła macdonaldyzacja telewizji. Nie znoszę tych talk-showów, big brotherów i mydlanych oper, które nie forsują pozytywnych wzorów zachowań i intelektualnie zubożają społeczeństwo.



Wygłosiłem do ludzi mowę tronową. Powiedziałem im mniej więcej tak: przychodzę do was bez żadnych uprzedzeń, a moim głównym zadaniem będzie stworzenie wam jak najlepszych warunków do robienia dobrych programów radiowych i telewizyjnych. I zrobiłem to!

Wyrzucić pan wszystkich wiceprezesów i dyrektorów?

Chwileczkę.

Nie wyrzuciłem, ale zmieniłem. I nie od razu. Od razu wywaliłem tylko wiceprezesa Władysława Loranca, któremu obiecywali, że zostanie prezesem, i nie mogłem być pewny jego lojalności. Oraz odwołałem w drugiej kolejności szefa redakcji filmowej, który odpowiadał za repertuar filmowy w telewizji, był nim inżynier leśnik. Przesunąłem go do redakcji oświatowej, a w jego miejsce postawiłem Jacka Fuksiewicza. Mówi coś pani to nazwisko?

Krytyk filmowy, bardzo wówczas znany.

Dobrze. I teraz dlaczego? Bo telewizja jest także kinem i repertuar filmowy serwowany „na szybie” decyduje o jakości programu i oglądalności.

A potem chodziłem po radiu i telewizji, przyglądałem się, co kto robi i jak, zbierałem informacje. Telewizja to był kombinat, w którym pracowało 12 tysięcy osób w dwustu zawodach.

Po pół roku obserwowania doszedłem do wniosku, że w telewizji i w radiu pracuje olbrzymia liczba ludzi bez kwalifikacji, wepchniętych tam jako krewni i znajomi królika. Moczar tam miał swoich popieczników, Gomutka miał, Józef Kępa – pierwszy sekretarz komitetu warszawskiego, panienki jakieś tam były, nie bardzo wiadomo od kogo.

Więc oświadczyłem, że trzeba zrobić porządek. I zarządziłem reorganizację.



Moja reorganizacja polegała na tym, że uznałem, iż podmiotami tworzącymi program będą naczelne redakcje.

Powiedziałem tak: panowie...

...chyba towarzysze.

Niech będzie, towarzysze. Telewizja jest wielką fabryką, podzielić ją trzeba na działy, tymi działami będą naczelne redakcje. Każda wyprodukuje programy, które spłyną do naczelnej dyrekcji programowej. Naczelna dyrekcja złoży je do kupy i wpakuje „na szybę”. Proste? Powołałem więc naczelników redakcji i powiedziałem im: nie ja za was będę kadry ustawiał. Ja wam będę tylko dupę prać za wyniki, a wy sami sobie dobierzcie ludzi, jakich potrzebujecie. Zrobiono więc akcję, która doprowadziła do usunięcia z telewizji 1 200 osób, 10 procent zatrudnionych.

Ale żeby było jasne, to nie ja tych ludzi osobiście wyrzucałem, tylko nowe kierownictwa redakcji. Ja tylko ten proces wyrzucania uruchomiłem. I kiedy on się zaczął, poprosiłem do siebie dyrektora kadr, pierwszego sekretarza komitetu zakładowego PZPR oraz przewodniczącego związków zawodowych i powiedziałem: ci ludzie mają żony, dzieci, kochanki i nie jest ich winą, że się do telewizji nie nadają. Niech biuro kadr każdemu zwolnionemu proponuje co najmniej dwie posady do wyboru, aby żaden nie został na lodzie.

Ale wie pan, Sokorski też w któryś momencie zaczął zwalniać ludzi, masowo...

Mnie nie interesuje, co wcześniej robił Sokorski.

Zarządził nawet akcję walki z „kominiarzami”, nakazując wyrzucić najlepiej zarabiających, czyli między innymi najznakomitszych autorów radiowych, twórców Matysiaków i Jezioran...

Mnie nie interesowało, pani Tereniu, ile ludzie zarabiali u Sokorskiego.

Proszę postuchać. I mimo to Włodzimierza Sokorskiego, czyli Włodka, przewano wtedy niepoważnym „Wujaszkiem-Chtodkiem”. „Wujek-Chtodek” był modną wówczas grą słów, jak bój w hucie. A pana obwołano „Krwawym Maćkiem”.

Nie budziło to we mnie żadnych emocji.

Nie wierzę.

W określeniu „Krwawy Maciek” czy „Krwawy Maciuś” krył się element uznania, a nie lekceważenia, jak w „Wujku-Chtodku”.

Przed wszystkim strachu.

I dobrze. Zna pani środowisko telewizyjne?

Nie.

Widzę. To ja pani powiem. Rok wcześniej, w 1971, na zjeździe Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich dostałem największą liczbę głosów w wyborach do Zarządu Głównego. Ja wtedy byłem dla nich Maciuś. Siedziałem w Katowicach, prowadziłem największą gazetę w Polsce – „Trybunę Robotniczą”, i jak przyjeżdżałem do Warszawy, byłem duszą towarzystwa, ulubieńcem środowiska dziennikarskiego. Każdy chciał się ze mną spotkać i napić. Dopiero jak przyszedłem do telewizji, jak wziętem wszystkich za twarz, jak się ludzie zorientowali, że czasy, kiedy w telewizji rządził, kto chciał, i robił, co chciał – jak teraz! – się skończyły, wtedy zaczęli krzy-
czeć: Krwawy Maciek.

A może dlatego, że lubił pan ludzi straszyć i trzymać w niepewności.

Bzdury.

A może dlatego, że lubił pan im pokazać, kto tu ważny. Na przykład nie wiadomo dlaczego zwolnił pan Kazimierza Korda – szefa katowickiej orkiestry symfonicznej i bardzo popularnego Wicherka od zapowiadania pogody. Ale także wartownika, który wpuścił pana do telewizji, nie żądając pokazania legitymacji.

(Śmiech) Legendy, kochana, legendy.

Bo wcześniej wydał pan zarządzenie, że każdy wchodzący ma pokazywać służbową przepustkę, a pan nie pokazał.

Nieprawda. Było inaczej. Ja kazałem wyrzucić wszystkich wartowników. A wie pani dlaczego? Bo telewizja jest instytucją, która musi być dobrze kontrolowana. Kto wchodzi, z czym wchodzi i co wynosi.

Wiedziałem, jak telewizji pilnowali w Szwecji. Był hol, w środku okrągła ambon-

ka, a na ambonce stał żołnierz z rozpylaczem. Pistoletem automatycznym, wyjaśniam. Albo Ostankino w Moskwie, gdzie na korytarzach aż gęsto było od milicji. A u nas w telewizji generalnie panował burdel. W straży przemysłowej pracowali chtëporobotnicy, którzy przychodzili na służbę, żeby się uchlać i wyspać. A wódkę kupowali obok w zajezdni tramwajowej, gdzie była melina. Kazałem zwolnić wszystkich i wprowadziłem hostessy. Każda musiała mieć maturę i znać co najmniej jeden obcy język.

Znały? Naprawdę?

Tak było. Xymena Zaniewska zaprojektowała dla nich służbowe mundurki.

Czyli pan, w państwie robotniczo-chtopskim, wymienił chtëporobotnika na hostesę?

Niech się pani nie śmieje, a słucha. Wymyśliłem tak: jeżeli ładna dziewczyna zatrzyma faceta, poprosi o pokazanie wejściówki i zechce sprawdzić, co on wnosi lub wynosi, to z ładną dziewczyną nikt się nie będzie handryczył. Natomiast z tyłu na zapleczu ma siedzieć zawsze trzech, czterech ludzi, dobrze wyszkolonych, dobrze opłacanych i jeżeli będzie jakaś draka, to oni wkroczą. Racjonalne?

I nie chciał pan wyrzucić Ireny Dziedzic za niepokazanie strażnikowi przepustki?

Legendy! Ireny wyrzucić, nawet gdybym chciał, to bym nie mógł. Musiałem połykać wszelkie jej fochy i zagrania.

Miała?

Też legendy.

O swoich młodszych koleżankach mówiła: myśli, że raz da i już gwiazda.

No, mówiła. I co z tego! Irena Dziedzic była jedną z najwybitniejszych dziennikarek i publicystek telewizji. Nikt jak ona nie umiał poprowadzić wywiadu, nikt! I do dziś nie umie. Ona miała talent, była bardzo pracowita i profesjonalnie przygotowana.

I redaktora Tomasza Hopfera, gwiazdę programów sportowych, ulubieńca publiczności, też nie chciał pan wyrzucić?

Za co?!

Za to, że informacji sportowych nie czytał z kartki, jak mu pan nakazywał, a wyrzucał swobodnie z głowy.

Bzdury. Losce tylko, pamiętam, zwracałem uwagę. Bo teleprompterów do czytania wtedy nie było i ona wszystkich zapowiedzi programowych uczyła się na pamięć.

Powiedziałem jej: pani Krystyno, pani mnie stresuje, bo jak widzę panią „na

szybie” deklamującą, to cały jestem spięty, czy się pani nie zatnie. I w ogóle to nie-naturalne. Niech pani chociaż kartkę jakąś położy przed sobą.

Tego żądał pan też od Hopfera.

Ja? A co mnie Hopfer obchodził?

No właśnie, panie prezesie, problem w tym, że pana obchodziło absolutnie wszystko i do każdego programu się pan wtrącał.

Bajki, pani Tereniu!

Nie, nie. Bajki to były w programach publicystycznych i informacyjnych.

Nieprawda. My nie wymyślaliśmy potiomkinowskich wiosek. My nie wymyślaliśmy faktów. Niech pani takimi twierdzeniami nie ubliża swojej i mojej inteligencji. My do zdarzeń czy to z dziedziny gospodarki, czy polityki podchodziliśmy rzetelnie. I jeśli pokazywaliśmy, że w fabryce wyprodukowano sto telewizorów, nie kłamaliśmy. My co najwyżej nie eksponowaliśmy braków.

Reprezentowałem pogląd, że uczestnicząc w procesach rozwoju kraju, wspomagając te procesy, swoją działalnością mamy służyć doskonaleniu rzeczywistości. My, poprzez eksponowanie pozytywnych faktów oraz ludzi, którzy je kreowali, chcieliśmy wpływać na poprawienie nastrojów w społeczeństwie. I to się udawało.

Do czasu.

Za moich czasów aktorzy nie bojkotowali telewizji. Za moich czasów artyści bardzo chętnie z telewizją współpracowali. U mnie mieli dobrze. Mogli zarobić. Płaciłem najwyższe stawki.

Żadnego więc świństwa nikomu pan nie zrobił?

Nie.

I nie budzi się pan w nocy zawstydzony lub przerażony?

Nie, nie budzę się. Jeżeli nawet kogoś wyrzucę, to w moim przekonaniu zasłużenie.

Czyli pracownicy radia i telewizji bali się pana niestusznie? Bo się bali.

Wszyscy wiedzieli, że jestem bardzo wymagający, surowy w ocenach i nienawidzę bałaganu. Że lubię dobrą organizację pracy i porządek.

Jak Gierek. Z hasta – tad i porządek.

Wszyscy wiedzieli, że nie toleruję głupoty, lenistwa i lekceważenia obowiązków.

Owszem, czasem krzyczałem. Praca w telewizji jest bardzo stresująca i człowiek musi niekiedy wrzasnąć, by się rozładować.

Drze się, ryczy? – pytał jeden z drugim, gdy doczołgał się do mego sekretariatu



*Od lewej: Edward Gierek,
Stanisław Czeźnin, Maciej
Szczepański i Zbigniew Liszyk.*

*Z Edwardem Gierkiem i jego żoną
Stanisławą.*



*Z Edwardem Gierkiem, Jerzym
Hańbowskiem, tyłem siedzą Jerzy
Górecki (szef ochrony) i Stanisław
Czeźnin.*



na tak zwany ochrzan. I kiedy sekretarka odpowiadała mu: wrzeszczy, wchodził do mnie bez strachu.

Wszyscy wiedzieli, że kiedy jestem wściekły, to krzyczę, ale za chwilę uspokoję się i opieprzanemu włos z głowy nie spadnie. Gorzej, gdy delikwenta prosiłem na rozmowę bardzo elegancko, grzecznie, po dżentelmeńsku. Taki wychodził ode mnie bez legitymacji służbowej.

Zwolniony?

Wywalony, tak jest. Ale na spokojnie. Ja nie podejmowałem decyzji personalnych w zdenerwowaniu. Dlatego każda była sprawiedliwa. Nie mam sobie nic do zarzucenia. Wszyscy wiedzieli, że jestem w swoich decyzjach sprawiedliwy. Bardzo sprawiedliwy. Chce pani przykładów? Dam trzy.

W czasie urlopów żeglowałem często po Bałtyku. Bardzo lubię morze i choć raz w roku urywałem się na dziesięć dni, by popływać jako kapitan jachtu...

...„Pogoria”, wtrączę.

„Pogorie” zbudowałem dopiero w 1980 roku, więc nie zdążyłem się nią nacieszyć. Telewizja zafundowała ją bractwu Żelaznej Szekli, młodzieżowej organizacji, którą założyłem. Miała w dzieciakach kształtować hart ducha i szlifować umiejętności przywódcze. „Pogoria” była pięknym jachtem. Pływałem nim chyba ze dwa razy. No, może trzy. Niestety.

Wtedy wracałem z rejsu jachtem marynarki wojennej „Hetman”, też ślicznym, słuchałem radia. Radiowa Jedynka miała wówczas zasięg od Narwiku po Algierię, nie tak jak dziś. I co słyszę? W wiadomościach sportowych facet podaje wynik jakiegoś meczu: zero - zero. I dodaje: do przerwy zero - zero.

Zapisałem dzień i godzinę i po powrocie do Warszawy kazałem go wyrzucić.

Nie wystarczyło obśmiać?

Nie. Głupek nie może pracować przy mikrofonie. Oświadczyłem Jasiowi Mietkowskiemu, wiceprezesowi do spraw radia: to, co ten facet zrobił, jest równoznaczne z niechlujstwem chirurga, który w brzuchu pacjenta zostawił gumowe rękawiczki.

Bo wy – powtarzał pan swoim podwładnym – tworzycie pułk saperów.

A co, nie? Dziennikarz – mówiłem – jest jak saper (*śmiech*), myli się raz. Więc go wyrzucono, a potem po cichu do pracy przywrócono, a ja udawałem, że nie wiem. I wie pani, co było najśmieszniejsze? Ten facet na moim procesie zeznawał jako świadek oskarżenia i przed sądem przyznał mi rację.

Podam drugi przykład mego stosunku do ludzi. Jadę windą z dziewiątego piętra. Ze mną jedzie facet, kudłaty, kontestator widocznie. Pali papierosa.



*Jastarnia, 1977 rok.
Rejs z Wadimem Nikołajewem i Janem
Zelenką (szefem czechosłowackiej telewizji).*



Bo kudłatych pan nie lubił, prawda? Strasznie nie lubił.

Nie lubiłem. Reprezentowałem pogląd, i nadal go reprezentuję, że pracownik telewizji, który za pośrednictwem kamery odwiedza miliony widzów w domu, musi być przyzwoicie i schludnie ubrany. Musi być ogolony, ostrzyżony i wyglądać jak dżentelmen, w garniturze, pod krawatem. Nienawidziłem wiatrówceczek, koszuleczek i kiedy zobaczyłem jakiegoś z kudłami na głowie, mówiłem: taką fryzurę może pan nosić w domu po pracy, a nie u mnie.

Ale nie o kudły w tym wypadku chodziło. Ten facet palił w windzie papierosa! Wie pani, co to oznaczało?

Nie.

Pożar! Ja wcześniej wprowadziłem drakońskie przepisy przeciwpożarowe, bo budynki przy ulicy Woronicza były zaprojektowane i wybudowane fatalnie, na produkcję 12–13 godzin programu na dobę, a my wyciągaliśmy po 22 godziny. Urządzenia były więc przegrzane i w każdej chwili groziły zapaleniem. Pracownicy podpisali cyrograf, że złapani na używaniu ognia w miejscach niedozwolonych, zostaną wyrzuceni dyscyplinarnie.

A ten patrzy na mnie lekceważąco. Jakby mówił: no, co mi zrobisz! I pali.

To był już początek 1980 roku. Zjechaliśmy na dół. Powiedziałem grzecznie do strażnika: proszę tego pana wylegitymować. Strażnik go zatrzymał i poprosił o legitymację. Odebrałem ją od strażnika i powiedziałem gówniarzowi: proszę pana, pan już nie jest pracownikiem Komitetu do spraw Radia i Telewizji, bo palił pan papierosa w miejscu niedozwolonym.

I co?! Pani uważa, że nie miałem racji? Pani wie, co by znaczyło zaproszenie tam ognia? Te chałupy poszłyby z dymem jak zapałki w ciągu kilkunastu minut.

Pan nie palił?

Ja rzuciłem palenie dwa lata wcześniej. A paliłem po trzy paczki dziennie, carmenów! Ale nie w windzie, tylko u siebie w gabinecie.

Brzydkim i siermiężnym, jak skonstatował po latach Jerzy Urban, gdy zasiadł w pana fotelu.

Nie był brzydki. Drewniane meble, proste, duże biurko. Lubię meble z prawdziwego drewna. W domu też mam takie. Na jednej ścianie wisiała morska mapa Zatoki Gdańskiej, a na pozostałych orzeł oraz dwa portrety: Kopernika, którego uważam na najwybitniejszego Polaka, bo „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię, polskie wydało go plemię” i dzięki temu podsycał moją narodową dumę. Oraz portret Gierka, ale nie taki banalny, jakie wisiały we wszystkich urzędach, to była naprawdę bardzo piękna fotografia.

Pod Gierkiem zaś stała brązowa skórzana kanapa.

O! ciekawe. Była tam pani?

Nie, to od prezenterek. Cuda opowiadały. Obok kanapy – mówiły – stał barek.

Żle mówiły. Nie było kanapy, a tylko stolik z czterema fotelami. Nie było też barku. Koniak trzymałem w regale.

I trzeci przykład mego złego stosunku do ludzi. Jak ich kopałem! Mam to na piśmie.

Co na piśmie?

No, że kopałem podwładnych, fizycznie kopałem. Tak napisała mi do więzienia rzeczniczka dyscyplinarna Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, pani Krystyna Chrupek, kiedy chciała mnie wyrzucić ze Stowarzyszenia. Mnie! Wieloletniego członka Zarządu Głównego i laureata najważniejszej nagrody dziennikarskiej w Polsce Ludowej – im. Bolesława Prusa, przyznanej mi, gdy byłem jeszcze naczelnym redaktorem „Trybuny Robotniczej” w Katowicach. Henryk Korotyński ją miał, Edmund Osmańczyk, Karol Małcużyński, same tuzy polskiego dziennikarstwa. Mój portret wisiał na ścianie w reprezentacyjnej sali SDP-u na Foksal.

Pamiętam. To co, kopał pan?

Ja? No, właśnie chcę pani podać przykład tego kopania.

Spotykam w windzie na Woronicza jakąś bidotę w zaawansowanej ciąży. Młoda dziewczyna, nawet może nie tyle nędzna, co okropnie wystraszona. Czy pani u nas pracuje? – pytam. – Tak. – I trzęsie się ze strachu. – A jak się pani nazywa? – Tak i tak. Żal mi się jej zrobiło.

Wróciłem do siebie do gabinetu, zawołałem Patyka, swego zastępcę, i mówię: Gieniuś, jakaś dziewczynina jechała ze mną windą, zobacz, kto to i jak jej możemy pomóc.

A słuchaj – pytam go jeszcze – ile wynosi zasiłek porodowy na dziecko?

Trzy tysiące złotych.

To przygotuj, Gieniuś, zarządzenie, że u nas, w Komitecie do spraw Radia i Telewizji, zasiłek będzie wynosić pięć tysięcy zł. I damy jeszcze – nakazałem mu – wyprawkę po 1800 zł dla naszych dzieciaków, idących po raz pierwszy do szkoły.

Okazało się, że źle zrobiłem. Policzone mi to w akcie oskarżenia jako dowód marnotrawienia państwowych pieniędzy.

Konkretnie nieprzestrzegania przepisów, obowiązujących w państwowym przedsiębiorstwie.

Głupich. Bo ja miałem ambicje, żeby w mojej firmie było lepiej niż w innych. I było.

Jak przyszedłem do Radiokomitetu, mieli oni 600 miejsc wczasowych w tekturowych budkach w Jachrance nad Zalewem Żegrzyńskim. Kiedy odchodziłem, było ich 12,5 tysiąca w kraju i za granicą, a wszystkie dzieci pracowników jeździły za darmo na wakacje. Głównie dzięki energii i przedsiębiorczości wiceprezesa od spraw finansowych Eugeniusza Patyka. Też miał potem proces i dostał siedem lat.

W telewizji uruchomiłem również poliklinikę zakładową. Świadczyła 30 tysięcy usług rocznie. Pracownik miał na miejscu prześwietlenia, analizy, leczenie zębów.

I mięso z sześciuset telewizyjnych świń.

(Głośny śmiech) Hodowaliśmy świnię, zgadza się, na Mazurach i pod Warszawą.

Czy to normalne?

Co nienormalne?

Żeby telewizja hodowała świnię.

Mnie interesowało, by moim ludziom nie brakowało jedzenia. Bo brakowało, w całej Polsce brakowało mięsa i jak rząd wydał rozporządzenie, by przedsiębiorstwa państwowe uruchomiły produkcję żywności, ja natychmiast wcieliłem je w życie. Z naszej hodowli mieliśmy rocznie dwa i pół tysiąca ton mięsa i przetworów do zakładowych stołówek.

I jeszcze dziczyznę upolowaną przez pana osobiście, prawda?

Było tak *(śmiech)*. Po każdym polowaniu część urobku ładowano na samochody i wieziono do telewizji. A wie pani dlaczego? Bo Józef Kępa, ówczesny pierwszy sekretarz w Warszawie, mnie nie lubił i nie dostawałem dla Radiokomitetu żadnych dodatkowych przydziałów mięsa na lewo.

Jak „na lewo”?

Były przydziały oficjalne, planowane odgórnie i jakaś pula, którą sekretarze rozdawali zaprzyjaźnionym przedsiębiorstwom – po uważaniu.

To byłby dobry temat na telewizyjny reportaż, nie uważa pan?

Znowu pani zaczyna? Nie uważam! Mięsa od żadnego reportażu by nie przybyło.

To kto jeszcze pana nie lubił? Oprócz Kępy.

Długo by wyliczać.

Stefan Olszowski z Biura Politycznego za co?

Stefek? Bzdura. Lubił.

Generał Jaruzelski?

Z Jaruzelskim to my wtedy byliśmy przyjaciółmi. Zapraszał mnie do swego gabinetu od czasu do czasu, chwalił program telewizyjny oraz częstował białym winkiem i suchymi ciasteczkami.

Mieczysław Moczar, były minister spraw wewnętrznych, prezes Najwyższej Izby Kontroli?

Moczar specjalizował się w zbieraniu donosów i przygotowywał zarzuty przeciwko ludziom Gierka, a Gierka obsesyjnie nie znosił. Uprzedzałem Edwarda, kiedy mianował go prezesem Najwyższej Izby Kontroli, że to głęboko amoralny karierowicz i zrobi wszystko, by umocnić swoją pozycję. Ale Gierek mnie nie posłuchał.



Z Wojciechem Jaruzelskim.

Myślę, że za nominacją Moczara stały jakieś układy antygierkowskie, które mu go podsunęły, a Gierek, nieświadom tych manipulacji, zgodził się.

Coś trzeba mu było dać – powiedział do mnie – bo to jeden z ostatnich żyjących, człowiek z okupacyjnego Komitetu Centralnego PPR.

Ja Moczarowi podpadłem, bo go skompromitowałem jako prezesa NIK-u, nie wpuszczając do telewizji jego inspektorów, którzy chcieli w trakcie produkcji – rozumie to pani! – skontrolować 24-odcinkowy serial *Przygody Sherlocka Holmesa*. Robiłem go w koprodukcji z amerykańskim reżyserem i producentem Sheldonem Reynoldsem. To był dla nas świetny interes! Pierwsze tego rodzaju przedsięwzięcie w skali całej historii PRL-u.

Poleciałem do Łukaszewicza i oświadczyłem: towarzyszu sekretarzu, ta kontrola wymyślona została po to, by sparaliżować ostatnią fazę produkcji. Grozi to poważnymi stratami finansowymi dla telewizji, bo będziemy musieli płacić kary za niedotrzymanie terminów, dlatego uprzedzam: przed zakończeniem serialu inspektorów NIK-u nie wpuszczę.

Zrobił się skandal. Wiceministrem kultury, odpowiedzialnym za kinematografię, był wtedy Janusz Wilhelmi, człowiek blisko związany z Moczarem i z aparatem mo-

czarowskim. On też wystąpił przeciwko mnie. Ale postawiłem na swoim. Kontrola się nie odbyła i Moczar nigdy mi tego nie darował.

Kto jeszcze pana nienawidził?

Niech pani zgadnie.

Na przykład Kania, prawda?

No, no, słucham.

To ja chętnie postucham.

Więc niech pani zgadnie, czym naraziłem się Kani? No, czym?

Papieżem.

O! Pani w UOP-ie powinna pracować.

Dziękuję.

A wie pani – to na marginesie – gdzie dowiedziałem się o wyborze papieża? W Sali Kolumnowej w Sejmie na naradzie sekretarzy komitetów centralnych bratnich partii, odpowiedzialnych za ideologię. Miał być Łukaszewicz, ale coś mu wypadło, do prowadzenia narady posłał więc Rokoszewskiego, kierownika wydziału prasy KC, a do mnie powiedział: idź tam i przypilnuj go, żeby się za bardzo nie wygłupił.

Przemawiają towarzysze, nudno jak jasny gwint, siedzę za stołem prezydialnym i nagle jakiś facet podaje mi kartkę. Od Czeźnina. Stasio pisze: „przed chwilą agencja podały, że kardynał Wojtyła został papieżem, Olek już dał to w programie Polskiego Radia, podejdź do telefonu”.

Jaki Olek?

Tarnawski, dyrektor I programu. Ten, który wymyślił „Sygnały Dnia”.

Rokoszewski pyta: co jest? Mówię. Zzieleniał. Tak, tak, nie przesadzam.

Co robimy? – pyta.

Tarnawski – mówię – przerwał program i dał już na antenę.

Jak to dał?

No dał, a dlaczego miał nie dać?

Rozmawiał – pyta Rokoszewski – z kimś z wydziału?

Kaziu – tłumaczę mu – radio to nie wydział prasy, musiał dać.

A ty co zrobisz? – pyta. – Dasz w telewizji?!

Dam, na pierwszym miejscu w dzienniku telewizyjnym, niedługo się zacznie.

Rozmawialiśmy po cichu, ale ci faceci...

...sekretarze bratnich partii...

Tak, tak, sekretarze. Oni zorientowali się, że coś się dzieje, Rokoszewski na tyle okazał się rozsądny, że przekazał im wiadomość, szmer poszedł po sali, szmer, pani Tereso.

I wtedy wstał jakiś Węgier, i powiedział: swojego człowieka macie już w Waszyngtonie, teraz macie w Watykanie, to potrzebny wam tylko jeszcze człowiek w Moskwie.

Nie wytrzymałem i odparowałem: w Moskwie już mieliśmy, nazywał się Dzierżyński, ale już nie mamy i mieć nie będziemy.

Plułem sobie potem w brodę, że to powiedziałem. Od razu się naraziłem.

Stanisławowi Kani?

Od razu. A potem po wyborze papieża umieściłem nazwisko Wojtyły na liście najwybitniejszych Polaków obok Kołłątaja, Kościuszki i Paderewskiego. Przygotowaliśmy taką w telewizji. A jeszcze potem zdecydowałem, że z ingresu papieża pójdzie w telewizji bezpośrednia transmisja.

Sam?

A z kim miałem to uzgadniać!

No, choćby z Gierkiem?

Ale co uzgadniać?!

Rzecz wagi państwowej.

Przecież dla zawodowego dziennikarza było oczywiste, że jak jest msza intronizacyjna pierwszego papieża Polaka, to polskie radio i polska telewizja nie mogą tego nie transmitować. Zamówiłem łącza, wyznaczyłem ludzi do obsługi. Jerzy Ambroziewicz, nasz korespondent we Włoszech, miał w Rzymie pilnować transmisji dla telewizji, a z warszawskiego radia wysłałem Sławomira Szofa.

I zaczęła się awantura. W KC się dowiedzieli i zaczęli krzyżeć, że co ten Szczepański sobie wyobraża, rządzi telewizją, jakby była jego własnością.

Folwarkiem.

Folwark Szczepańskiego, tak dokładnie krzyżeli.

Nieprawdę?

Prawdę. Oni wiedzieli, że ja Radiokomitetem rządę niepodzielnie.

Kto oni?

No, Kania, Moczar, Rokoszewski, same orły. Nie tłumaczyłem się im, bo i tak by nie zrozumieli. Tylko Łukaszewiczowi powiedziałem: Juruś, uspokój się, niezrobienie tej transmisji byłoby ciężkim błędem politycznym, który przede wszystkim zaszkodziłby Gierkowi.

Tym go przekonałem, bo on tak w ogóle był rozsądnym i inteligentnym facetem. Doszło do Gierka.

Nie był przerażony?

Nie. On był zbulwersowany samym wyborem Wojtyły na papieża, bo była to sensacja najwyższego kalibru. Ale mniej więcej wiedział, czego się można po nim spodziewać.

Kardynał Wojtyła nie był przecież w KC postacią nieznaną i wszyscy mieli świadomość, że to mąż stanu, który oczywiście nie sprzyja socjalizmowi, ale nie będzie wykonywał żadnych politycznych ruchów, kompromitujących Stolicę Apostolską.

Gierek w każdym razie moją decyzję o transmisji zaaprobował. Gierek zawsze brał moją stronę w konfliktach. On dokładnie wiedział, co dla niego robię, i doceniał to. Przedstawiał mnie zagranicznym gościom: to jest mój szef propagandy. Nikt nie mógł mi podskoczyć, dopóki Gierek był pierwszym sekretarzem.

Prawdziwa zabawa zaczęła się jednak dopiero w dniu ingresu. Słyszała pani?

Nie.

Ambroziewicz przysłał nam teleksem homilię papieską. Dostali ją też towarzysze z Polskiej Agencji Prasowej i oczywiście polecili z tym ciepłym jajeczkiem do Kania. Kania z ramienia KC odpowiadał za kontakty z Kościołem.

Siedzimy w studio ze Staszkiem Cześninem, dyrektorem generalnym telewizji, szefem od dzienników. Za chwilę ma się rozpocząć transmisja, ja jeszcze instruuję sprawozdawców, że jak kardynałowie niemieccy uklęką przed papieżem, to mają oni powiedzieć „kardynał niemiecki klęczy przed polskim papieżem”. Nigdy nie lubiłem Niemców.

Dzwoni rządówka. Kto? Kania. Pyta: czytałeś kazanie Wojtyły?

Czytałem.

I co o tym sądzisz?

Dobra literatura, świetnie napisany tekst – odpowiadam – bardzo piękną polszczyzną, a ideologicznie nie mam zamiaru tego oceniać.

A zwróciłeś uwagę – pyta Kania – na tę „Matkę Boską co w Ostrej świeci Bramie”?

To Mickiewicza, z inwokacji do *Pana Tadeusza* – mówię.

Trzeba to usunąć – słyszę.

Jak to usunąć?

Zniekształcić, żeby nie poszło na antenę.

Staszek – mówię spokojnie – ja straszne pieniądze zapłaciłem, żeby zabezpieczyć się przed technicznymi usterkami, ja z Rzymem mam łączność trzema kanałami, jeden idzie nawet przez Sztokholm, i ty chcesz, żeby to teraz zniekształcał?

I wtedy Kania powiedział: towarzyszu Szczepański, to jest polecenie partyjne.

Dlaczego?

Dlatego, żeby towarzysze radzieccy nie pomyśleli, iż mamy ciągotki do Wilna.

Odłożyłem słuchawkę. Cześnin, cały zielony, pyta, co robimy.

Nic – mówię – przecież nie będę się wygłupiał.

Poszto. Wracam do domu na obiad, dzwoni Stasio Cześnin: przed chwilą Agence France Press nadała informację, że polska telewizja zniekształciła wystąpienie papieża.

O! Robi się ciekawie. W samochód i do telewizji.

Ściągnąłem wiceprezesa od techniki, świetnego fachowca, Wadim Nikołajew się nazywał, i zaczynamy sprawdzać. W telewizji jest tak zwany szpieg, zamontowany w nadajniku, rejestrujący wszystko, co idzie w eter. Czysto. Obdzwaniamy wszystkie ośrodki, sprawdzają, czysto.

Kazałem się połączyć z centralą AFP w Paryżu, to była niedziela. Dyrektorowi dyżurnemu powiedziałem, że od swego korespondenta z Warszawy dostali nieprawdziwą informację, to ciężki błąd, który może rzutować na stosunki polsko-francuskie, niech go naprawią. Potem zadzwoniłem do naszego ambasadora. Dzwon, Tadeusz – powiedziałem Olechowskiemu – natychmiast na Quai d’Orsay, żeby wywarli na nich presję, bo śmierdzi mi to prowokacją.

Aż tak?

A jak! Myślę, że ludzie Kani zrobili celowy przeciek, a ten palant, mówię o francuskim dziennikarzu, go kupił. Dla niego to była przecież gratka. I wie pani co dalej? AFP, po raz pierwszy podobno w swojej historii, nadała wieczorem sprostowanie. Że polska telewizja nie zakłócała wystąpienia Jana Pawła II, a trzaski, które słyszał ich korespondent, wystąpiły prawdopodobnie tylko lokalnie, w jego domu.

Z czego się pan śmieje?

Do pani się śmieję. Lubię panią.

I...?

I potem Łukaszewicz, jak mu to zrelacjonowałem: ja tego skurwysyna – zdenerwował się na francuskiego korespondenta – wyrzucił z Warszawy.

Juruś – przekonywałem go – nie rób tego, bo zrobisz z niego bohatera, a centrala AFP sama go wkrótce odwoła, bo ją skompromitował i dał się przyłapać na prostym numerze.

Wyrzucił?

Nie, centrala wysłała go na urlop i już do Warszawy nie wrócił.

Kania nigdy mi nie darował, że go nie posłuchałem. I tylko czyhał, żeby się na mnie odegrać.

A nie uważa pan, że często sam go pan prowokował?

Ja? A czym?!

Bo jak pan na niego mówił?

Kmiotek.

I jeszcze „podwarsiański” chłopek.

Niemożliwe. On był rzeszowski.

I jeszcze mówił pan, że mu stoma z butów wyfazi.

Jeśli był zwykłym kmiotkiem, to jak miałem mówić?! O nim wszyscy tak mówili, był powszechnie lekceważony i o tym dokładnie wiedział. Tylko, wie pani, na czym polegała różnica między tymi wszystkimi a mną? Że ci wszyscy się jego bali, a ja nie.

A bali się dlaczego?

Proste. On miał wielką władzę. On przecież nie tylko odpowiadał za stosunki z Kościołem. On przede wszystkim kontrolował z ramienia sekretariatu KC Służbę Bezpieczeństwa, kontrolował wojsko. Ale ja się go nie bałem, i to był mój błąd.

Bo pan bał się kogo?

Wie pani, ja w bezmiarze swojej głupoty nie bałem się nikogo. No, żony się bałem. Czasami. Ale dlatego, że ją kocham.

Dlaczego głupoty?

Bo opierałem swoje poczucie bezpieczeństwa na skrajnie głupich pod względem politycznym założeniach, że jak nie robię świństw, nie kradnę, nikogo nie rozrabiam, dobrze pracuję, to kto mi co k... może zrobić. Nikt!

Nie chcę być zarozumiały, ale to ja zawarłem umowę o współpracy z BBC w 1974 roku, co było polityczną sensacją. To ja telewizję wzbogaciłem o drugi kanał, ja zorganizowałem całodobową emisję radiowej Jedyinki i uruchomiłem czwarty program radiowy. Oraz polską telewizję przestawiłem z białą-czarnej na kolorową. Bez mego poparcia i wsparcia nie powstałby także wydział telewizyjno-filmowy na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach.

Gdzie bił pan w pulpit i krzyczał na studentów: musicie oddać dług, który zaciągnęliście wobec klasy robotniczej.

A co, nie? Przecież to klasa robotnicza zapewniała materialne warunki funkcjonowania tego systemu, przecież to robotnicy wypracowywali dochód narodowy, z którego część przeznaczana była na kształcenie studentów. Tym robotnikom, ciężko pracującym, należał się od nich szacunek. Od całego społeczeństwa należał się im szacunek. Bo społeczeństwo nie wiedziało, jak robotnicy ciężko pracują. Takiemu listonoszowi z Białegostoku do głowy nie przychodziło, jak trudne warunki pracy ma górnik z Rybnika czy z Sosnowca, nie znał skali zagrożenia zdrowia i życia tego górnika. Dlatego trzeba im to było uzmysłowić. Poprzez programy telewizyjne, filmy, czyli za pośrednictwem twórców.

Ja na Uniwersytecie Śląskim byłem kontraktowym docentem i dyrektorem Instytutu Polityki Informacyjnej. Przyszłych twórców uczyłem, jak się robi propagandę. Bezpłatnie, droga pani, nie brałem za to ani grosza.

Pani wie w ogóle, jakie miałem plany? Wymyśliłem, że w Katowicach z tego wydziału telewizyjno-filmowego zrobię bazę szkoleniową nie tylko dla pracowników naszej telewizji, ale dla pracowników telewizji krajów Trzeciego Świata, o! Podpisałem umowy o współpracy z telewizją libijską, kenijską, etiopską, w Tanzanii złożyłem list intencyjny na budowę telewizji w Dar es-Salaam, pod klucz. I to nie na kredyt, ale za prawdziwe pieniądze – dolary! Pani wie, co to byłby za interes?!

Śmiali się ze mnie, że mam ciągotki kolonialne. A ja im mówiłem: panowie, tam są surowce, tam jest kawa, owoce cytrusowe, a w Tanzanii także ropa naftowa.

Niech się pani nie śmieje. Pani wie, jaka dobra kawa jest w Tanzanii?

Pił pan?

Oczywiście, nieraz. Najlepsza w świecie.

Ja nie chcę się chwalić. Ale ja mam żyłkę do interesów. Ja umiem robić pieniądze.

Telewizja jest od robienia interesów, nie programów?

Ależ proszę pani, tam Polska mogła zarobić! Tam mogliśmy wejść z naszym eksportem, a nie ma lepszego sposobu jak poprzez telewizję.

Ja za te pieniądze, jakie chciałem zarobić w Afryce, wybudowałbym w Domu Kultury Huty Kościuszko, w Chorzowie, telewizyjny teatr z wielkim lodowiskiem dla rewii na lodzie i z akwariem do pokazów na wodzie. Pani sobie wyobraża, jakie wspinałe programy byśmy tam kręcili?

Ja nie chcę się chwalić, ale ja dla Radiokomiteu zrobiłem naprawdę więcej niż ktokolwiek przede mną i po mnie. Nie wymawiając, oni do dzisiaj wykorzystują sprzęt przeze mnie kupiony.

Ale w tym kraju, pani Tereniu, nie idzie się do pierdla za to, że się coś ukradło, czy za to, że się coś zmalwersowało, o nie! Do pierdla się idzie wyłącznie za to, że się komuś politycznie naraziło.

Praworządność – powiedziałem na swojej rozprawie przed Sądem Wojewódzkim – to bardzo delikatna roślina, kwitnie wtedy, kiedy w kraju jest spokój i nie ma politycznych konfliktów.

Bo z Kanią, przerwę panu, już koniec?

Nie, nie, jeszcze nie koniec, bo potem była papieska wizyta. A ja, przez zupełny przypadek, stałem się pierwszą osobą w Polsce, która wiedziała, że papież wybiera się do Polski.

Jerzy Ambroziewicz, który był wtedy korespondentem radia i telewizji w Rzymie, napisał w swoich wspomnieniach, że od niego.

No skąd! Od szefa włoskiej telewizji!

Ambroziewicz zadzwonił do pana na początku stycznia 1979 roku z informacją, że ksiądz Dziwisz zaprosił go do Watykanu i przekazał, iż władze polskie nie zgodziły się na przyjazd papieża do Polski i prosit o interwencję.

No, skąd, wtedy jeszcze nie było żadnej odmowy.

On pana o tym powiadomił, a pan kazał mu natychmiast zjawić się w Warszawie.

Nie pamiętam.

A kiedy przyjechał, pan umknął z Warszawy i Ambroziewicza przekazał w ręce Babiucha, który odesłał go z kolei do Kani.

Pamiętam inaczej. W styczniu 1979 roku przyjechał do Warszawy szef włoskiego radia i telewizji, wozilem go po Polsce, on był trunkowy, ja też nigdy nie stroniłem i jakoś tak tui, tui, zaprzyjaźniliśmy się. On mnie nawet zapraszał do siebie na urlop do Włoch, ale nie skorzystałem, wolałem jechać do Afryki. Bardzo lubiłem Afrykę.

A potem nagle, gdzieś w końcu marca, dzwoni do mnie i mówi: będę ci wdzięczny, jak pożyczycie nam wozy transmisyjne i stanowiska reporterskie, nie będę musiał pchać swoich.

A one ci na co? – pytam.

No, przecież papież do was przyjeżdża.

Zatkało mnie. Oczywiście, że pożyczę – powiedziałem, ukrywając zaskoczenie – później się rozliczymy.

Poleciałem do Łukaszewicza, nie wiedział. Poszliśmy razem do Gierka. No i zaczęto się. Nie chcieli się zgodzić na przyjazd Wojtyły.

Gierek?

Nie, Kania i Łukaszewicz.

Wbrew Gierkowi?

Gierek działał pod naciskiem Kani, a ten razem z Łukaszewiczem wytłumaczyli mu, że papież chce być w Warszawie, Częstochowie i Krakowie, trzy dni, koniecznie w maju, bo w Krakowie odbędą się wtedy obchody którejś rocznicy skazania na śmierć biskupa Stanisława Szczepanowskiego. I na to zgodzić się absolutnie nie można, bo biskup Szczepanowski walczył z królewską władzą i przez to król Bolesław Śmiały skazał go na poćwiartowanie.



Akademia z okazji 50 rocznicy rewolucji październikowej.



Z synową Edwarda Gierka – Ariadną – w Indiach.

Jurek – perswadowałem Łukaszewiczowi – Szczepanowski już od dziewięciu wieków nie żyje, dajmy sobie spokój z nim i z tymi naprawdę dalekimi skojarzeniami. Nie można – gardłowałem – po prostu nie można nie wpuścić do Polski papieża Polaka, bez względu na to, w jakim celu przyjeżdża.

Wtedy wszystko mogliście.

Ale wie pani, co by było! Cały świat by krzyczał, że Gierek nie wpuścił Wojtyły do Polski. Przecież to rzutowałoby na jego pozycję w kraju i za granicą!

Ale może zachowałby władzę.

Rozmawiamy jak profesjonalści. Nie przez wizytę papieża zdjęto Gierka z pierwszego sekretarza. Ta wizyta była ważna, ale nie miała żadnego znaczenia w obaleniu ustroju.

Miała.

Nie miała. Ten ustrój kto inny i przy innej okazji obalił.

Kto?

Reagan świadomie, a Gorbaczow przez pomyłkę.

To potem.

Pani nie rozumie, że w świecie zawsze liczyły się tylko dwa państwa! Że Polska, Niemcy, Francja czy Ukraina to pionki, które nie decydują o swojej przyszłości i bez zgody supermocarstw nie podskoczą?!

Pani, w jakiej była wtedy parafii?

W żadnej. I strasznie się cieszyłam, że na was taki grom spadł z nieba.

Zrobiła się afera, że Szczepański z Ambroziewiczem prowadzą niezależną politykę watykańską w Polsce i załatwiają przyjazd papieża.

Po tej pierwszej odmowie z marszu jednak podjęto negocjacje z Watykanem i uzgodniono, że papież przyjedzie nie w maju, a w czerwcu i nie na trzy, ale na dziesięć dni.

Towarzysz Kania zaczął mi dawać dyrektywy, jak i co mam pokazywać w telewizji. Że będą dwie msze transmitowane na żywo z Krakowa i z Oświęcimia.

Oraz spotkanie w Belwederze.

Zgadza się. A w dzienniku telewizyjnym mam dawać po dziesięć minut na niemo, czyli bez dźwięku, z jakimś komentarzem.

Kania chciał tę wizytę zminimalizować.

Juruś – polecałem do Łukaszewicza, bo przecież był, do cholery, moim bezpośrednim przełożonym i powinien był coś zadziałać. – Stasiowi całkiem odbiło, ale

ja, uprzedzam cię, nie mam zamiaru kompromitować mojej firmy i pośrednio Gierka, przekazując relację z pobytu papieża jak rajd harcerski w Bieszczadach.

I wbrew instrukcjom Kani robiłem codziennie po dwadzieścia minut sprawozdania, oczywiście „setką”, czyli z dźwiękiem.

Opowiadano później, już po moim odejściu, że Szczepański nie pokazywał tłumów wiwatujących na cześć papieża. To jest nieprawda. W tych 20-minutowych relacjach, zamieszczanych codziennie w DTV, główną postacią w kadrze był papież, co oczywiste, bo to on był bohaterem uroczystości i na nim należało skoncentrować uwagę, ale masy też były.

Nie było.

Ależ pani Tereniu, nam nie udałooby się, nawet gdybyśmy bardzo chcieli, wyciąć ich z kadru.

Bardzo się staraliście.

Bezsens.

Wtedy naraziłem się też prawdopodobnie Jaruzelskiemu. Koło Gniezna odbywało się wielkie spotkanie z papieżem na błoniach, były kłopoty z zasilaniem, zadzwoniłem do Głównego Zarządu Politycznego WP, żeby pożyczili mi agregaty prądotwórcze, bo telewizyjne były za słabe. Oni nie chcieli, to im coś nawymyślałem od zupaków. Na pewno donieśli o tym natychmiast Jaruzelskiemu.

Pamięta pan scenę przylotu papieża do Warszawy?

Chyba pamiętam. Powołaliśmy sztab w gabinecie Cześnina na placu Powstańców, cały czas siedziałem przed monitorem, obserwując, co się dzieje. A co?

Ulice Warszawy były kompletnie puste.

To oczywiste, wszyscy patrzyli w telewizor, nic w tym dziwnego.

No właśnie, bo pana towarzysze ze sztabu głównego KC, był taki do pilnowania wizyty, na zapas się ucieszyli. I z tą radosną informacją, że ulice puste, a wizyta papieża Polaków nie interesuje, zadzwonili do pana. A pan co im wtedy powiedział?

Nie pamiętam.

Przedrzeźniając ich, a więc podwarszawską gwarą rzekł im pan: „chwyci- leczkę”, towarzysze. Z ocenami, że papież ludzi nie interesuje, wstrzymajcie się do czasu, „kedy” papież opuści lotnisko i wyjedzie na „ulyce”.

Pan bardzo lubił używać tej gwary w rozmowach z ludźmi nie ze Śląska, prawda?

A kto to pani naopowiadał?

Było tak?

Było. Pani się marnuje. Pani powinna być nie pracownikiem, ale szefem UOP-u.

Nie umiem strzelać.

Nie szkodzi, nauczę. Miałem klasę wicemistrzowską w strzelaniu.

A potem (*głośny śmiech*), kiedy tłumy wyległy na ulice, zadzwoniłem jeszcze do nich, żeby zapytać, jak ich prognozy się sprawdzają.

Ma pan pistolet?

A co?

Nic. Wiele osób w pańskiej telewizji miało pistolety. Na przykład Cześnin trzymał swój w biurku. Wracamy do papieża?

Chwileczkę. Cześnin był nieroztropny. Ja swój trzymałem w szafie pancерnej, a teraz w sejfie.

To broń ma pan dalej? Z pozwoleniem?

A pani jak myśli, że przy panach Macierewiczach bym ryzykował?

Więc papież. Pamięta pan jego przejazd z Pałacu Prymasowskiego do Belwederu?

Bardzo dobrze. Rozstawiliśmy kamery w Belwederze, gdzie czekał Gierek z partyjno-rządowymi osobistościami i miał być zrobiony na żywo podjazd papieża i transmisja ze spotkania w Belwederze.

Papież nie mógł dojechać. Na trasie bez przerwy zatrzymywały go jakieś grupy warszawiaków.

To było straszne. Kto tam wtedy prowadził transmisję?

Witold Stefanowicz. Niech pan opowie.

My nie wiedzieliśmy, co jest. Bo wie pani, każda niezaplanowana dziura w transmisji na żywo to zawał serca. Siedzieliśmy z Cześninem na placu Powstańców i przeżywaliliśmy chwile grozy.

Powiedział pan do Cześnina: nu rabbi, zobaczymy teraz, co jest wart twój człowiek.

Tak? Możliwe.

A do Stefanowicza, który już dwa razy odczytał przygotowany tekst i zamilkł, powiedział pan przez wewnętrzny telefon: kolego Stefanowicz, niech pan przypomni sobie coś z siódmej klasy szkoły podstawowej, może o tym historycznym budynku, w którym pan się znajduje, ułoży to w gładkie zdania i przekaże telewidzom.

I co (*głośny śmiech*)? Przypomniał sobie?

Nie. Odczytał przygotowany tekst po raz trzeci i czwarty, przestawiając zdania.

Telewizja, nie da się ukryć, była w tamtych czasach nieco sztywna. Pod względem programowym bardzo urzędowa, a prezenterzy czy dziennikarze nie improwizowali.

Bo każde słowo musiało przejść przez cenzurę?

Nie, to w ogóle nie chodziło o cenzurę. Myśmy mieli naprawdę dobrze wyszkolonych ludzi i oni nie musieli pytać cenzora, co wolno, a czego nie wolno. Sami wiedzieli.

Wiedzieli, że nigdy nie można wymienić nazwisk na przykład Czesława Miłosza, Jerzego Giedroycia czy Andrzeja Panufnika?

Oczywiście, że wiedzieli.

I wiedzieli, kiedy nie wolno podać nazwiska Konwickiego, Mrożka czy Andrzejewskiego?

To byli profesjonalści, pani Tereso, nie tacy, jak teraz, którzy plotą bez sensu.

I może dlatego wyszło na koniec, że telewizja kłamie, a propaganda sukcesu, którą pan uprawiał, poniosła klęskę.

A co pani chce od propagandy sukcesu? Sam ją wymyśliłem, na wzór amerykański. Miała być odreagowaniem na marazm i niemożność okresu gomułkowskiego. Demagogiczne? W każdej propagandzie jest trochę demagogii, ale zapewniam panią, że u nas było jej mniej niż u sąsiadów. Wiem jedno – okres gierkowski, proszę pani, był najlepszym okresem rozwoju w powojennej historii Polski. Pod względem gospodarczym znaleźliśmy się w pierwszej dziesiątce najbardziej rozwiniętych krajów Europy.

Nie mówmy o tych absurdach, proszę.

Jakich absurdach?

To o idiotyzmach.

Coś pani powiem. Niech pani słucha. To był początek 1980 roku. Przed VIII Zjazdem partii Gierk poprosił mnie do siebie.

Przekaż swoim chłopakom – powiedziat – żeby pojeździli po Polsce i zrobili jakieś materiały, świadczące o różnych idiotyzmach, które dzieją się w naszej gospodarce.

Przekazałem to Stasiowi Cześninowi, Stasio uruchomił ekipę i przywieźli.

Oglądałem z nim te materiały w swoim gabinecie. Ursynów w budowie, wysokościanowiec mieszkalny w stanie surowym, otoczony płotem, kamera zagląda za płot. A za płotem robotnik odwiją z kartonów wielkie szyby okienne i tłucze je ogromnym młotem. Towarzyszu prezesie – pyta mnie Cześnin – jak się wam wydaje, co on robi?

Jak to co, rozbija! Więc albo pijany, albo... – Byłem tak oburzony, że nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa.

Sabotażysta.

Nie użyłem go.

Ten robotnik – wyjaśnił mi Cześnin – troszczy się o wzrost wydajności pracy w budownictwie.

Jak to?!

To proste – wytłumaczył mi. – Wzrost wydajności jest liczony stosunkiem liczby zatrudnionych osób do wartości domu, który się buduje. Im wyższy więc kosztorys, tym większa wartość tego budynku. Oraz wyższy fundusz płac, bo liczyło się go po dwadzieścia procent od wartości gotowego produktu. Oddać tych szyb do magazynu nie mogli, bo wartość budynku by spadła, co oznaczałoby pomniejszenie ich zarobków, to co mieli zrobić? Tłukli.

Stasio pokazał mi drugi materiał. O jakichś inżynierach z Łodzi, entuzjastach postępu technicznego, którzy z odpadów włókienniczych wyprodukowali matę do krycia dachów, niepalną i bardzo trwałą. Te maty mogłyby zastąpić papę, która była strasznie droga, bo używano do niej komponentów sprowadzanych z zagranicy za dolary. Okazało się jednak, że produkcji tej maty nie chciała się podjąć żadna fabryka.

Jeden z dyrektorów wytłumaczył reporterom dlaczego. Powiedział mniej więcej tak: proszę panów, ja nie mogę, bo ta mata jest za tania i jak pójdę do wojewódzkiej komisji cen, i jak oni mi podliczą, ile wynosi koszt jej produkcji, to dadzą mi taką cenę, że ja nie zarobię nawet na fundusz płac.

Byłem zaskoczony.

Wziąłem te materiały i jeszcze kilka innych kwiatków i razem ze Stasiem poszliśmy do Gierka. Gierek obejrzał i powiedział: słuchajcie, chłopcy, nie puszczajcie tego, nie można tego puścić, bo gdybyśmy ludziom pokazali te idiotyzmy, to ja musiałbym natychmiast odwołać Jaroszewicza.

On myślał, że ludzie nie wiedzą?!

Co innego wiedzieć, a co innego widzieć.

Spróbujemy się tym zająć – powiedział nam Gierek – po zjeździe.

Miał się odbyć za dwa miesiące. No, a po zjeździe, nie udało się.

Nie zdążył?

Ażeby pani wiedziała.

Nie mogliście więc takiego pokazu zrobić mu cztery, pięć lat wcześniej?

No, dobrze, ale my przecież o tych nonsensach nie wiedzieliśmy.

Dziennikarze wiedzieli...

Jacy dziennikarze, pani Tereniu, jacy dziennikarze?

Telewizyjni, oni przywieźliby panu te absurdy wcześniej.

Ach, pani Tereniu, myśmy się uczyli. My wiedzę o niedoskonałościach tego systemu zdobywaliśmy stopniowo. Mnie na przykład do głowy by wtedy nie przyszło, że rok później zostanę oskarżony o marnotrawstwo państwowych pieniędzy. Wie pani jakich? Z funduszu popierania twórczości artystycznej. Bo wziąłem, jasne, że wziąłem, by zapłacić straży pożarnej za zrzućcie śniegu z dachów. A co? Miałem czekać, żeby się zawaliły?! Przecież to była zima stulecia.

Ale wtedy, nie wiedząc, co mnie czeka, wie pani, do jakich wniosków doszedłem? Że nasz tak zwany realny socjalizm nie ma nic wspólnego z marksizmem-leninizmem.

O!

Niech pani słucha. Doktryna ekonomiczna realnego socjalizmu nie miała nic wspólnego z *Kapitałem* Marksa. Ona została opracowana na początku dwudziestego wieku



Ze Stanisławem Cześninem i Edwardem Gierkiem.

przez innego genialnego niemieckiego Żyda, Rathenaua, który był doradcą ekonomicznym szefa sztabu niemieckiego w pierwszej wojnie światowej, Ludendorffa. Ta doktryna, nazwana Kriegs-Sozialismus, była gospodarką nakazowo-rozdzielczą i w latach siedemdziesiątych wyczerpała swoje możliwości. Z tej sytuacji nie było wyjścia. Bo wrócić do *Kapitału* Marksa było już za późno, a przeprowadzenie generalnego remontu naszej gospodarki zachwiałoby równowagę w świecie. Gwarancją bowiem

nienaruszalności naszego systemu był układ sił między Wschodem i Zachodem. On sprawiał, że strefa wpływów Związku Radzieckiego kończyła się na Łabie.

O biciu szyb zdecydowano w Moskwie?

Nie. Ale w Moskwie postanowiono, że ten system gospodarczy, który sprawiał, iż bito szyby na Ursynowie, musi trwać.

To po co wmawialiście nam, że to najlepszy ustrój na świecie?

Niech pani nie robi teraz propagandy antykomunistycznej, dobrze? My tego ludziom wcale nie wmawialiśmy.

A kto wmawiał?

Czego pani chce?! Żebyśmy krzyknęli „precz z socjalizmem”? Żebyśmy mobilizowali społeczeństwo do wyprawy na Kreml, wzorem Chodkiewicza? Przecież my mieliśmy bardzo ograniczone możliwości działania. My nie mogliśmy otwarcie walczyć z socjalizmem. Ale – widzi pani – mimo niedoskonałości systemu, mimo ciężkiej sytuacji geopolitycznej, ten kraj się jakoś rozwijał, ten kraj szedł do przodu.

Kiedy do pana dotarło, że to koniec.

Z czym koniec?

No, z panem, Gierkiem, Łukaszewiczem i z całą propagandą sukcesu, którą uprawialiście.

W sierpniu 1980 było duże napięcie. Trwały strajki. W telewizji wygłosiłem komentarz. Powiedziałem, że trudno się dziwić oburzeniu i niezadowoleniu społeczeństwa, bo one wynikają z trudności gospodarczych, jakie przeżywamy, a strajk nie jest metodą na ich rozwiązanie.

Strajk? Powiedział pan strajk?

Nie pamiętam. Prawdopodobnie użyłem określenia „przerwa w pracy”. I tak wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Nie miało to żadnego znaczenia.

Miało. Robotnicy krzyknęli: telewizja kłamie.

Nie słyszałem.

Proszę pani, czy powiedziałbym „strajk”, czy „przerwa w pracy”, sytuacji w konkretnej fabryce w żaden sposób by to nie zmieniło.

Ale byłoby zgodne z prawdą.

Pani jest śmieszna.

Wcześniej, kiedy w lipcu strajkowały zakłady w Świdniku i kolejarze w Lublinie, w telewizji też nie było o tym żadnej informacji.

A co by pani chciała, żebyśmy podgrzewali atmosferę? Gadaniem w telewizji nie usunęłoby się przyczyn strajków.

Byłaby jednak informacja.

A komu potrzebna taka informacja! Nie, nie! Może mi pani wierzyć albo nie wierzyć, ale nie przez telewizję Gierek stracił władzę. Tę klęskę zgotowali mu inni.

Spisek?

A co, nie?! Według pani nikt przeciwko Gierkowi nie wystąpił, nikt?!

Człowiekiem numer jeden tej kampanii politycznej był Jaruzelski. Od początku. Najpierw jej celem było obalenie Gierka, potem obalenie Kani i na końcu przejęcie przez Jaruzelskiego całej władzy.

Na placu Powstańców zarządzono zebranie. Nie pamiętam, czy partyjne, czy zespołu.

Redakcji informacyjnych. Kto pana powiadomił?

Ambroziewicz. Po odwołaniu z Rzymu został szefem programów informacyjnych. Zaprosił mnie, żebym przedstawił swoją ocenę sytuacji. No i powiedziałem, zupełnie szczerze, że jestem zadowolony z pracy zespołu.

Powiedział pan – dumny z was jestem.

Zgadza się.

I wtedy wystąpiła Halina Miroszowa, znana dziennikarka, między innymi z programu „Telewizja nocą”.

Tak jest. Wstała pani Miroszowa i powiedziała: ale my nie jesteśmy dumni z pana prezesa i zaczęła krytykować moją linię programową. No, tego się po niej nie spodziewałem. Ona zaatakowała mnie bezpośrednio. Zastanawiałem się, kto ją podpuścił.

Kto?

Próbowałem się dowiedzieć, ale się nie dowiedziałem.

Może nikt?

Nigdy w to nie uwierzę. Pani jest naiwna. Nie ma, proszę pani, żadnych politycznych spontanicznych wystąpień. Nigdy i nigdzie. Teraz też nie ma. Spontanicznie to można poprosić o szklankę wody albo zapytać, gdzie się robi siusiu.

Potem atakował pana Mieczysław Kurek – dziennikarz od rolnictwa, mocno partyjny, i Andrzej Bilik – telewizyjny korespondent z Paryża, podając krytyce neomieszczanie, które się – według niego – w Polsce rozpanoszyło.

Nie, nie miałem żalu, że tak się zachowywali, ale trochę się za nich wstydzilem.

Na koniec zabrałem głos i powiedziałem, że jak na razie jesteśmy na siebie skazani i bez względu na takie czy inne osobiste sympatie lub antypatie musimy wykonywać swoje zadania.

Nikt pana nie bronit?

Nikt. Wszyscy mieli ciężkiego pietra.

Przed kim?

Przed nową sytuacją. Niech pani nie udaje, że tego nie rozumie. Ja w telewizji nie miałem ludzi z ulicy, ale dziennikarzy obznajomionych z polityką. I oni już wiedzieli, że zbliża się jakiś przełom, że ja tego przełomu jako prezes prawdopodobnie nie przeżyję, nastąpi więc nowe rozdanie kart, a wtedy co z nimi?

Oni myśleli do przodu – dzisiaj też tak myślą, zawsze o tym myślą – jak suchą nogą przejść przez zawieruchę i z kim się ustawić w nowym rozdaniu. Oni to mają w genach zakodowane.

W niepewności czekali niedługo. Dzień później zadzwonił do mnie z rana Pińkowski. Znałem go jako sekretarza KC, odpowiedzialnego za sprawy rolne. Poprosił, bym przyszedł do niego do KC o ósmej wieczorem. Pojechałem.

Maciek – rzekł – jest decyzja o odwołaniu ciebie z funkcji prezesa Radiokomitetu.

Dobrze – odpowiedziałem – ale dlaczego ty mi o tym mówisz, przecież ty jesteś rolnik.

Nie – rzekł Pińkowski – jutro się dowiesz, że obejmuję funkcję premiera.

Zawiadomiłem kierownictwo radia i telewizji. Dyrektorzy: Patyk, Nikołajew, Rolicki, Hańbowski i Cześnin oświadczyli natychmiast, że w dowód lojalności też złożą rezygnację. Poprosiłem, by tego nie robili.

Poszedłem do Łukaszewicza.

Dlaczego nie do Gierka?

A po co? Ja już przecież wiedziałem, o co chodzi. Że sprawa przegrana i on zostanie wykończony jak ja.

Ale to Gierek zdecydował o zwolnieniu pana. Na posiedzeniu Biura Politycznego.

Został do tego przymuszony. Przekonałem się o tym, proszę słuchać, jak poszedłem do Łukaszewicza.

Juruś, jestem odwołany – powiedziałem.

A Łukaszewicz z kieliszkiem koniaku w ręku uśmiechnął się: w dobrym towarzystwie. I wymienił kolejne nazwiska wyrzuconych – siebie, Babiucha, Wrzaszczyka, Żandarowskiego.

Jak to usłyszałem, miałem jasność. Gierek stracił kontrolę nad aparatem partyjnym i będzie tylko figurantem.



Z księciem Eustachym Sapiehą (z prawej) w Kenii.

W Etiopii z Jerzym Teplim i Kwirynem Grelą.



W Kenii.



W Etiopii na polowaniu.

Z tego towarzystwa aresztowano tylko pana.

Oraz Glazura, ministra budownictwa, którego skazano potem na siedem lat. A wie pani dlaczego?

Bo najpierw Kania, a potem Jaruzelski, obejmując władzę, wiedzieli, że mają bardzo słabą pozycję polityczną w kraju, za to dwóch poważnych przeciwników, których trzeba zniszczyć: „Solidarność” i ekipę Gierka. Podjęli więc walkę na dwa fronty. To, że najpierw Kania, po Gierku, został pierwszym sekretarzem, nie miało żadnego znaczenia. Lejce w tej operacji trzymał Jaruzelski, a Kania przez pewien czas był chłopkiem na posyłki, bo Wojtuś – ze względu na polityczne rytuały – nie mógł od razu z ministra obrony narodowej przeskoczyć na fotel pierwszego sekretarza.

Nie mam do nich pretensji. Znam reguły gry i rozumiem tę potrzebę polityczną. Najpierw musieli podporządkować sobie telewizję i odizolować Gierka od wiernych mu ludzi. Instrumentem tej wojny stał się wymiar sprawiedliwości. Wsadzili mnie więc do pierdła, by mniej się bać o swoje pozycje polityczne oraz zadziałać wychowawczo – urządzić lekcję pokory i posłuszeństwa dla aparatu partyjnego. W ramach prewencji ogólnej. No, podskoczcie, zacznijcie robić swoją politykę, niezgodną z moimi wytycznymi, to też popłyniecie. Według stalinowskiej metody: człowiek jest, wyrok się znajdzie.

Paragraf.

Wszystko jedno. Moczar i jego ludzie w NIK-u przygotowywali doniesienie o przestępstwie, doniesienie to brała w ręce prokuratura, konstruowała akt oskarżenia i prominenta gierkowskiego wsadzano do kryminału. Tak to się odbywało.

Wiem, że Moczar chciał się także dobrać do Cioska i do Barcikowskiego. Ale ponieważ byli przez Jaruzelskiego traktowani jako najbliżsi współpracownicy, nic mu z tego nie wyszło. Wiem, że przymierzano się również do procesu wicepremiera Wrzaszczyka. I faktem jest, że dwaj ministrowie: handlu zagranicznego, Jerzy Olszewski, i budownictwa, Edward Barszcz, przeciwko którym wszczęto dochodzenie, popełnili samobójstwo.

To potem. Po wprowadzeniu stanu wojennego i internowaniu Gierka i jego towarzyszy.

Mój proces zaczął się 8 lutego 1982, a skończył 13 stycznia, w piątek, 1984 r. Ja i moich trzech współpracowników z Radiokomitetu dostaliśmy wyroki, trzech dyrektorów zmarło na zawał serca w czasie przesłuchań, a dyrektorka kadr popełniła samobójstwo. Taki był bilans tego procesu. Jaki wpływ na te tragiczne fakty miały metody śledcze stosowane przez panów prokuratorów Rychlika Ryszarda i Korzeniewskiego Andrzeja, nie mnie wyrokować.

Z początkowych zarzutów o zdefraudowaniu miliarda dwustu milionów złotych do aktu oskarżenia trafiło ze 200 milionów, a po około 280 rozprawach sądowych skazano mnie za dziesięć milionów zł.

Ale wie pani, wszystkim to mówię, gdy chcą mi okazać współczucie. Ja i tak miałem szczęście. Przecież po obaleniu Gierka nie postawiono mnie pod ścianą i nie rozstrzelano. Jak na przykład w Iranie, kiedy po wypędzeniu szachinszacha przez Chomeiniego jednym z pierwszych rozstrzelanych był szef telewizji. Poznałem go kiedyś, bardzo inteligentny, kulturalny, młody człowiek, wykształcony na uniwersytetach amerykańskich.

A mnie co zrobiono? Urządzono tylko proces, na który dowożono z Rakowieckiej do sądu i w tak zwanej sieczkarni – suterenie, wielkiej izbie, gdzie trzyma się podsądnych – skuwano po dwóch, mnie z Patykiem, i prowadzono na salę rozpraw.

Żeby upokorzyć?

Żebyśmy (*śmiech*) nie uciekli albo nie zaatakowali milicjantów.

Skazano mnie na osiem lat.

Wypuszczając po czterech ze względu na zły stan zdrowia i w wyniku interwencji wicepremiera Rakowskiego.

Rakowskiego?! Nie słyszałem.

Nigdy bym wtedy nie przypuszczał, że dwadzieścia lat później w tej samej sali będzie się odbywał proces w sprawie wydarzeń grudniowych 1970 roku na Wybrzeżu i moje miejsce na ławie oskarżonych, dokładnie to samo w tej samej sali, zajmie generał Jaruzelski. Nie jestem mściwy i fakt, że go sądzą, wcale nie sprawia mi satysfakcji, bo chęć zemsty uważam za beznadziejne zajęcie. Ale myślę tak czasem, jak go oglądam w telewizji, że historia, pani Tereso, to jest taka dama, która miewa czasem poczucie humoru.

Niech się pan nie cieszy, ona się nie powtarza.

Za to kołem się toczy.

Skończyła pani? To pokażę, co teraz cieszy mnie naprawdę. Mam tu mnóstwo różnych odznaczeń i medali, bardzo wysokich. Wśród nich są, proszę, książka *100 osób, które wywarły wpływ na historię Polski* i na zapasowej liście pięćdziesięciu osób jest „Maciej Szczepański, dziennikarz, autor gierkowskiej «propagandy sukcesu» i twórca najlepszego programu w historii TV”.

Oraz cieszą mnie dwie pochwały od naczelnika więzienia. Za co? Za wyróżniające się utrzymywanie porządku i czystości w celi. Były one warte dwa talony na paczki owocowe, dwukilogramowe, które żona mogła mi przysłać. Włożyła do nich jabłka, gruszki, śliwki, a do jednej nawet pomarańcze.



Z Jarosławem Iwaszkiewiczem. Na zjeździe literatów w Katowicach, 1978 rok.

Dopisek Macieja Szczepańskiego

„1. Zima stulecia 1978 roku pokryła dwa hektary dachów na Woronicza grubą warstwą śniegu. Trzeba było zapłacić straży pożarnej za oczyszczenie. Wzięliśmy pieniądze z pozycji budżetowej wspieranie twórczości artystycznej, bo innych w ostatnich dniach roku w budżecie już nie było. Pan prokurator Ryszard Rychlik uznał to jako kolejne moje przestępstwo i zażądał 12 lat więzienia dla mnie.

2. Jaruzelski wprowadził stan wojenny, aby utrzymać się przy władzy, której – według niego – zagrażała nie tylko «Solidarność», ale w znacznej mierze wewnątrzpartyjna opozycja (jakie szkody państwu, gospodarce, społeczeństwu przyniosła ta decyzja – to inna sprawa). Mój proces, i podobne panów Glazura, Makomaskiego i wielu innych czołowych przedstawicieli ekipy Gierka, miał być lekcją pokazową dla podwładnych Jaruzelskiego w aparacie politycznym, administracji, w służbach mundurowych. Wspomniane procesy miały przypominać tym ludziom o bezwzględnych

postulacie w obliczu generała i wąskiej grupy jego najbliższych pomocników, a to, że te procesy nie miały nic wspólnego z prawem, nie miało znaczenia. Chodziło także o kompromitację i izolację Gierka oraz jego ludzi.

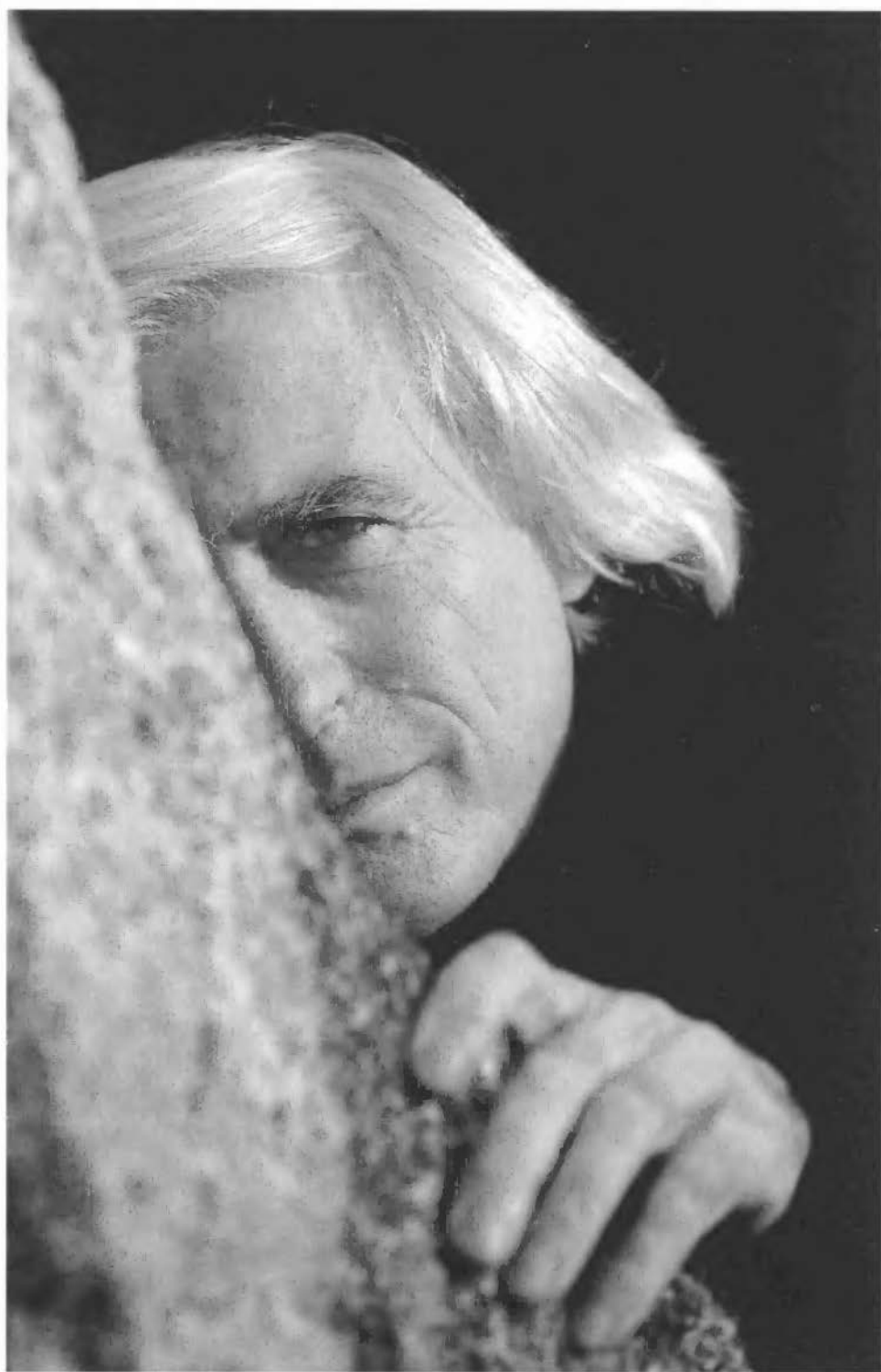
3. Piszę to w 2006 roku i podkreślam, że po raz pierwszy od ćwierćwiecza trzech polskich mężów stanu, panowie: Jarosław i Lech Kaczyńscy i Kazimierz Marcinkiewicz pozytywnie i sprawiedliwie wypowiedzieli się o E. Gierku i dekadzie lat siedemdziesiątych. Pan Marcinkiewicz – cytuję z pamięci – powiedział: gospodarka w latach siedemdziesiątych jako tako sobie radziła i przyszli wojskowi i doprowadzili ją do ruiny. Natomiast niejaki p. Orłowski, profesor, doradca ekonomiczny byłego prezydenta A. Kwaśniewskiego, mówił o «hańbie długów Gierka». W tym stylu i duchu wypowiadali się przeważnie inni działacze «byłego» SLD.

Jestem optymistą, jeśli chodzi o przyszłość Polski w rękach «Kaczorów».

13 luty 2006

Rozmowa z Michałem Jagiełłą

W GMACHU



W KC PZPR pracowałeś...

Rok. Od 13 grudnia 1980 do 13 grudnia 1981. Dziś brzmi to wręcz symbolicznie.

Wchodzisz.

Kilka dni wcześniej. Załatwić formalności. Jakiś facet zaczepia mnie na dziedzińcu: do pracy podobno pan tu zamierza przyjść, panie naczelniku.

Powiedział „naczelniku”. Trochę mnie to zdziwiło. Naczelnikiem Pogotowia Górskiego byłem pięć lat wcześniej.

Przytaknąłem. A on: nie wiadomo, czy pan zdąży.

Bo co? Coś się dzieje?

No, wie pan – machnął ręką – Radzianie.

Podobno ciężarówki stały w nocy pod KC, przygotowane na ewakuację. W Moskwie, jak wiesz, odbywała się wtedy narada pierwszych sekretarzy partii bloku socjalistycznego i interwencja wisiła na włosku.

To był pułkownik z MSW.

Znałeś go?

Nie. Ale ponoć jego przyjaciela, który złamał nogę, znosiłem z gór. I widocznie w MSW o moim przyjściu do KC rozmawiano.

Miałeś teczkę, to proste.

Wiem, że zainteresowano się mną w 1966 roku, gdy byłem w Pogotowiu Górskim. A potem, gdy zacząłem pracować w Państwowym Instytucie Wydawniczym, dano mi spokój. Widocznie uznano – niech tam sobie siedzi i pisze te swoje górskie książki. I dopiero jak przeszedłem do telewizji, do redakcji filmowej, znów zaczęto mi się przyglądać.

Potrafisz to wytłumaczyć?

Nie.

W telewizji z Januszem Rolickim, który był wtedy dyrektorem artystycznym, tworzyłem Studio Faktu i Sensacji. Na początku miałem obawy, czy warto. Pamiętałem wypowiedź prezesa Szczepańskiego, który na pytanie, czym dla niego jest telewizja, odpowiedział, że jest to wbijanie gwoździ w deskę i że trzeba je wbijać sprawnie.

I wbijał.

Ktoś mu widocznie doniósł o moich oporach. Doszło do rozmowy. Był oburzony. Albo udawał oburzenie.

Pan mnie obraża – powiedział – ja nie oczekuję od pana kremlofskich kuranłów, od tego na placu Powstańców mam innych. A tu, na Woronicza, musicie robić wysoką sztukę i przyzwoitą rozrywkę. Widzi pan przecież, co się z ludźmi dzieje, w sklepach biją się o żółty ser. Ja im muszę dać dobre teksty, znanych aktorów, wybitnych reżyserów.

I miał.

Do Sierpnia, do powstania „Solidarności”.

Janusz Rolicki był przejęty, bardzo. Przyjdzie Iwan i wyrówna – mówił – czołgami. Bał się. Autentycznie.

Jest z Wilna.

A we mnie walczyły bardzo silne uczucia. Z jednej strony absolutnie widziałem, że to nie jest ruchawka o kawałek kiełbasy i pół litra. A z drugiej strony bałem się dwóch tonów, które zaczęły się już pojawiać.

Antyradzieckiego?

Nie, nie, to była retoryka. Ja bałem się nurtu katolicko-narodowego.

Różańców?

Polskiej hysterii w wydaniu „prawdziwych” Polaków, mówiąc najogólniej. Oraz bałem się populizmu, na który jestem uczulony.

I przyjeżdża z Gdańska do mnie do telewizji Jurek Milewski, docent od laserów.

Też alpinista.

Siedem dni umieraliśmy razem w kaukaskich górach z mrozu i braku jedzenia. Szóstego straciliśmy nadzieję... przeżycia na inne opowiadanie. Jurek został moim przyjacielem. W Gdańsku brał udział w strajkach.

Usiedliśmy w telewizyjnej kawiarni, nazywanej „Kaprys Prezesa”. Dla Jurka telewizja była jaskinią zła. Szeptem zaczął mi opowiadać, ogromnie podekscytowany, Wałęsa to, Wałęsa tamto. A ja mówiłem do niego: powariowaliście, nigdy nie uwierzę, że prosty elektryk wie lepiej niż profesura.

Jurek był Wałęsą zauroczony. Michał – szeptał – trzeba tworzyć wolne związki zawodowe. Michał – pytał – a co byś powiedział o założeniu jakiejś polskiej partii pracy, łączącej elementy dawnego Stronnictwa Pracy i PPS-u? – I prosił: – Co powinienem przeczytać, doradź.

Jurek był na etapie nawracania się na socjalizm wspólnotowy, a ja demonstrowałem sceptycyzm.

Nagle otrzymuję propozycję pracy w wydziale kultury KC.

Jak otrzymujesz?

W KC i w ogóle na stanowiskach partyjnych pojawiły się wtedy nowe twarze. Zbyszek Regucki został właśnie szefem gabinetu Stanisława Kani, Maciek Szumowski przejął „Gazetę Krakowską” – znaliśmy się z działalności w ZSP na Uniwersytecie Jagiellońskim. A Józka Klasę dano na kierownika wydziału prasy, radia i telewizji. Pamiętasz Klasę?

Od 1971 roku był pierwszym sekretarzem KW w Krakowie. Po Czesławie Domagale, o którym Mieczysław F. Rakowski, ówczesny redaktor naczelny „Polityki”, napisał w swoich dziennikach – kompletny idiota. W Krakowie mówiło się więc „odeszła rasa, przyszła klasa”.

Klasa to był człowiek kompletnie z innego świata.

Nie przesadzaj. Całe życie spędził w aparacie.

Znałaś go?

Nie.

No, widzisz! On nie używał słowa partia, nie mówił o żadnym komunizmie, do ludzi zwracał się nie per towarzyszu, tylko panie i panowie. I cały był jakoś inny antropologicznie. Wiesz, o czym mówię?

Wiem. Sekretarzy poznawano się po wyglądzie.

Aż strach to tak nazywać. Rasizmem niemal pachnie. Ale na korytarzach KC z daleka było widać, kto jest partyjnym liberałem, a kto betonem. Coś nieprawdopodobnego.

Których było więcej?

Liberałów – zdeklarowanych – była, niestety, garsteczka. Większość siedziała cicho.

Czyli jak zwykle.

Klasa kochał góry i dlatego w latach siedemdziesiątych dość często się z nim spotykałem. On był w rozmowie ze mną otwarty, zdumiewająco otwarty. Mówił rzeczy – dla mnie wtedy – straszne. Na przykład, że system Gierka się zawali, że jest on ekonomicznie bez sensu.

Przez niego poznałem Wincentego Kraškę, z tej samej podrasy antropologicznej.

Sekretarza kultury w KC.

Wtedy już mało ważnego. Był jednak także prezesem PTTK, któremu podlegało Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe.

Przez trzy dni kiedyś oprowadzałem panów Wincentego i Józefa po Tatrach. Byłem „towarzysz”, więc byli ze mną szczerzy. Proсили, bym opowiedział precyzyjnie – na przykładzie Pogotowia Górskiego – jakie są w Polsce absurdy finansowe i organizacyjne. Ja im opowiadałem, a oni stawali, niemal co chwilę, wznosili oczy do nieba. Kto to wszystko wymyśla?! – mówili. Na początku podejrzewałem, że ze mnie kpią i nawet obruszyłem się w którymś momencie jako ten młody-ostry. Ale oni te oczy wznosili do nieba autentycznie i pan Wincenty, żegnając się ze mną czule, westchnął: co oni z tym krajem zrobili!

Byłem oszołomiony. Jak Boga Kocham!

Jacy oni?

Też chciałem wiedzieć. Kilka tygodni później odwiedziłem go w KC i zrozumiałem, że on ze mnie nie kpił, tylko że system naprawdę się rozsypuje i „onych” trzeba szukać jeszcze wyżej. Moje rozmowy z panem Wincentym przełożyły się zresztą na działania rządu i obniżono wiek emerytalny ratowników z 65 lat, co było ludobójstwem, najpierw o pięć, a potem o następnych pięć lat. I ci zawodowi ratownicy, górale – zażarci antykomuniści, ci Gąsienice z dziada pradziada – byli mi wdzięczni. Jak wypili jeden kieliszek, przychodzili do mnie i mówili: Misiu, dobrze, że tu jesteś, że jesteś naszym naczelnikiem. A jak wypili drugi kieliszek, to mnie obłapiali i mówili: Misiu, kurna, co ty w tej partyjnej bandzie robisz?! Przy trzecim współczuli mi: ile to musi cię kosztować. A przy czwartym: trwaj – prosili – nie pozwól, żeby nami rządziła ta pieprzona plebania. Oni plebanią nazywali lokal Komitetu Miejskiego PZPR w Zakopanem.

Dzięki Klasie zostałem naczelnikiem Grupy Tatrzańskiej GOPR-u, bo stanowisko było w nomenklaturze PZPR-owskiej i zakopiańskie władze nie chciały mnie wcześniej zaakceptować. A dzięki Kraśce pogotowie otrzymało ekstradotacje i po raz pierwszy dostaliśmy szwajcarskie liny atestowane, a nie liny z Fabryki Lin i Pasów z Bielska-Białej, które niekiedy były tak wytrzymałe, że mogłaś dwa byki na nich powiesić, a kiedy indziej rwały się przy 60 kilogramach.

Klasę odwołano.

Szurnięto go w 1975 roku i poszedł na wygnanie na ambasadora do Meksyku.

Spotkałem go na korytarzu KC.

W 1980 roku.

Pilnuj się – powiedział – żeby nic na ciebie nie mieli. Nie bierz – poinstruował – żadnych pożyczek, które będą ci oferować, zlikwiduj natychmiast wszystkie romanse, jeśli masz, i w biurku trzymaj spakowany plecak, żebyś w każdej chwili był gotowy do wyjścia.

Kierownikiem wydziału kultury KC był Mieczysław Wojtczak, porządny facet. W 1977 roku wyrzucono go z szefa kinematografii, jeszcze przed Tejchmą, za puszczenie na ekrany *Człowieka z marmuru* Wajdy i *Barw ochronnych* Zanussiego. Gwałtownie poszukiwał zastępców. Ja? Straszne zaskoczenie.

Mama już nie żyła, ale żył tato. Pojechałem do Janikowic, skąd pochodzę. To mała wioska koło Miechowa i Ractawic kościuszkowskich. Musiałem go zawiadomić o propozycji.

Ojca?

Uważałem, że powinien wiedzieć. No, jakoś wklepałem tym rodzinę, nie? Podzwoniłem też do moich stryjów w Krakowie. Jeden był inżynierem po AGH, drugi inżynierem po Politechnice Krakowskiej. Studia skończyli przed wojną.

A co zamierzasz tam robić? – zapytali.

Nie da się – powiedziałem im – rządzić w Polsce bez udziału PZPR-u. – Oni to rozumieli.

Należeli do partii?

No, skąd?! Ja byłem jedyny, w całej rodzinie! Nigdy też mojej decyzji wstąpienia do partii do końca nie zaakceptowali.

Ta moja rodzina była polsko-katolicka, ale nie endecka, broń Boże. Ogromny sentyment do Witosa, szacunek dla tradycji, dla prawa, porządku państwowego i cienia wątpliwości, kim był Stalin, kto zrobił Katyń, a równocześnie radość, że to jednak nasze państwo, że jest hymn, że można poczytać Sienkiewicza i *Pana Tadeusza*. Przedziwne splątanie. My byliśmy nie chłopami, ale kmięciami. Rozumiesz, w czym różnica? W szkole recytowałem, że mamy trzy hektary 64 arów, co było bzdurą, bo wiedziałem, że jest 15 hektarów i że gospodarstwo dziadka zostało sztucznie podzielone, by ochronić ojca przed mianem kułaka. Za łapówki. Pół wieprzka temu, pół tamtemu, do tego bimber. A z drugiej strony w domu była akceptacja reformy rolnej, bo coś z bezrolnością chłopów należało po wojnie zrobić, i duma, że my z nadziału nic nie wzięliśmy, ani centymetra kwadratowego.

Trzeba – przedstawiłem stryjom swoją koncepcję – zmieniać PZPR od środka i w partii wzmacniać nurt liberalny. Żeby pałkarze mieli mniej do powiedzenia.

Próbuj – powiedzieli.

To idę. Wchodzę do windy w KC. W windzie stoi czterech towarzyszy, wśród nich pan Kazimierz Barcikowski, wszyscy w garniturach, a ja w czerwonym sweterku. Właśnie wróciłem z gór, z planu filmowego, gdzie w serialu Andrzeja Kostenki *Przyjaciele* grałem rolę sekretarza PPR-u, który ginie szybko, w drugim odcinku.

Dzień dobry! Dzień dobry! Wsiadam na czwartym piętrze i słyszę: różnych tu, kuhwa, widziałem, ale tatechników jeszcze nie było. Barcikowski nie wymawiał „r”.

Idę do gabinetu. Meble wielkie, ciężkie, pseudogdańskie, na ścianach obrazy olejne – średnie. Na oko – z drugiej połowy XIX wieku. Czyje to? – pytam sekretarkę. – Depozyt z Muzeum Narodowego – słyszę.

Na biurku czekają na mnie informacyjne „Biuletyny Specjalne” PAP-u w różnych kolorach i wariantach, o treściach węższych i rozszerzonych. Oraz stoi kilka telefonów. Jest „wucze” i jest książeczka – żartowano – gotajska. Z numerami rządowymi, traktowana przez towarzyszy jak znak herbowy.

Niesamowite. Telefonujesz po całej Polsce – do sekretarzy, wojewodów, ministrów i oni telefonują do ciebie. Wiesz, jak to wciąga? Ta łatwość porozumiewania się i możliwość zadzwonienia do każdego.

Do Kani, wtedy pierwszego sekretarza, zadzwoniłeś?

Nie, nie. Obowiązywała feudalna hierarchia. Natychmiast jednak zacząłem powielać „Biuletyny Specjalne” i przekazywać je Jurkowi Milewskiemu do Gdańska. Żeby mieli świadomość, co się o nich pisze.

Ale wiesz, co zrobiło na mnie największe wrażenie? Raporty MSW, które dostarczano nam raz, a zdarzało się, że i dwa razy dziennie. Zawierały informacje, ile pożarów, morderstw i gwałtów było poprzedniego dnia oraz ile strajków wybuchło i ilu dyrektorów lub kierowników wywieziono na taczkach. Co można by uznać za normalną statystykę, jaką prowadzi się w każdym normalnym państwie, gdyby nie to, że informacje te były dziwnie podkręcone. Jakby masochista je jakiś pisał. Nasładzający się tym, że jest źle, i z lubością donoszący, ile razy i gdzie krzyczano „precz ze Związkiem Radzieckim” oraz precyzyjnie cytujący wyzwiska, jakie padały pod adresem rządu i partii. Te donosy na dodatek konstruowane były tak sugestywnie, że ze dwa lub trzy razy zdarzyło mi się w nie uwierzyć.

W domu jakaś kolacja z przyjaciółmi, normalnymi, spoza aparatu partyjnego, bo obracałem się głównie w środowisku filmowo-dziennikarsko-pisarskim, sympatyzującym z „Solidarnością”. Ja na nich oburzam się, że tu strajk, tam strajk, że denerwuje mnie, iż strajkuje się prawie o wszystko, deprecjonując przy okazji biało-czerwone flagi. I mówię do nich, że no, koledzy solidarnościowcy, to jest coś nie tak. A oni: ależ człowieku, to było zupełnie inaczej, byliśmy, widzieliśmy. W pierwszym wypadku nie było strajku, tylko godzinny wiec, a w drugim – strajk ogłoszono, ale pracę podjęto.

Czyli ja – rozumiesz! – człowiek pilnujący się, by nie ulec propagandzie, raporty MSW czytający z najwyższą czujnością, bo teoretycznie wiedziałem, że to znakomita metoda urabiania ludzi, też w pewnym momencie zostałem zainfekowany.

O to chodziło?

O to. Żeby towarzyszom sączyć każdego dnia, że w kraju narasta anarchia i państwo przestaje działać. I że winna jest temu oczywiście „Solidarność”, wspierana przez partyjnych liberałów. Czyli o to, żeby towarzysze się bali.

Wiesz, jak łatwo zaszczepić w człowieku strach?

Przed Bożym Narodzeniem pojechałem do Przemysła. Moi znajomi zawieźli mnie pod granicę, żebym posłuchał, jak po stronie ukraińskiej Rosjanie grzeją czołgi. Dudniła ziemia. Słyszałem to, naprawdę.

Straszenie?

Robienie atmosfery, oczywiście. Przed interwencją w Czechosłowacji nie grzano przeciw czołgów, były za to pocałunki Breżniewa z Dubczekiem. Moi znajomi też mieli tego świadomość. Oni chcą nas prawdopodobnie rozmiękczyć – komentowali.

Równocześnie miałem informacje z Kotliny Kłodzkiej od ludzi z aparatu w Wałbrzychu, że do wejścia do Polski szykują się Czechosłowacy. Im Czesi mówili wprost: a my wam teraz pokażemy! My się na was za Zaolzie i bratnią pomoc w 1968 roku odegramy. Czesi do naszych towarzyszy mówili odkrytym tekstem: dopieprzymy wam. A ci dzwoniли do gmachu i powtarzali.

Gmachu?

Towarzysze mówili tak na KC. Mówiło się „być w gmachu”, „iść do gmachu”.

A w gmachu jak?

Jeśli pytasz mnie o atmosferę, jaka w nim panowała, to pamiętaj, że ja tego prawdziwego gmachu, z czasów stabilnych nie znałem. Ja Komitet Centralny i aparat partyjny zobaczyłem w chwilach przerażenia i całkowitego rozprężenia. Kiedy w towarzyszach narastał strach. Kiedy towarzysze nie wiedzieli, co z nimi za chwilę będzie, czy tego KC zaraz nie rozwiążą.

Bo oni w te raporty wierzyli?

Absolutnie wierzyli.

Kania też wierzył?

Wierzył.

Po świętach Bożego Narodzenia odbył się Nadzwyczajny Walny Zjazd Związku Literatów Polskich. Z ramienia wydziału kultury KC wystąpiłem w roli obserwatora. Stefan Kisielewski obchodził mnie dookoła z ogromnym zaciekawieniem. Jego zawsze interesowali ludzie władzy. Nawiązałem kontakt z nowo wybranym prezesem ZLP Janem Józefem Szczepańskim. Podszedłem do Igora Newerlego, przedstawiłem się. Powiedział: obserwuję pana. Wyjaśniłem swoją rolę, rzucając hasło Janek Strzelecki

i socjalizm humanistyczny. Z Jankiem przyjaźniłem się od wielu lat, też kochał góry, przez długie lata był moim guru. Newerly pokiwał głową: niech pan próbuje. Ale z sympatią.

W kuluarach Andrzej Drawicz przestrzegał przed Związkiem Radzieckim. Uważajcie – powstrzymywał kolegów – żeby na tego konia nie wskakiwać za szybko, bo może nas zrzucić. Ładne, prawda? On próbował tonować emocje.

A podgrzewał je Andrzej Wasilewski, twój poprzedni szef z PIW-u, sekretarz organizacji partyjnej literatów, prawda?

Z przerażenia! Andrzej był przerażony skalą społecznego wybuchu. Jemu przecież nie chodziło ani o pieniądze, ani o karierę. Był świetnym wydawcą, mądrym szefem PIW-u. W latach siedemdziesiątych wydawał „Bibliotekę Myśli Współczesnej” z tekstami zachodnich intelektualistów, które po to, by przeszły przez cenzurę, obudowywał wstępami. We wstępie umieszczało się rytualne zaklęcia, pisało się, że autor, na przykład, nie ma racji albo nieprawdą jest, co przekazuje, ale dalej był tekst autora in extenso. Dzięki temu zabiegowi Wasilewski wpuszczał w polski obieg intelektualny najbardziej niepokorne teksty. I nagle, w 1981 roku, zaczął się bać. On bał się, że kultura polska za tę chwilę wolności zapłaci! Że zostanie zmiażdżona jak czechosłowacka po Praskiej Wiośnie. Niczego nie można mu było wytłumaczyć.

I wiesz, chyba nastąpiła jakaś prawidłowość. Wielu ludzi dla polskiej kultury zasłużonych, którzy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych uchodzili za świetnych liberałów, bo drobnymi kroczkami wydreptywali dla niej większą niezależność, nagle zaczęło się cofać. Ruchu solidarnościowego nie tylko nie wspierając, ale czasami wręcz innym utrudniając z nim dialog. Nie chcę wymieniać nazwisk.

Ja wymienię: Krzysztof Teodor Toeplitz, Kazimierz Dejmek, Roman Bratny. Mówili: trzeba doprowadzić do jasnego określenia, którzy pisarze i artyści są nasi, a którzy nasi nie są. Bo nadszedł czas polaryzacji i wszyscy powinni się opowiedzieć, kto jest po której stronie. Nie, nie – zastrzegał na przykład Koźniewski – nie po to, by nie naszych eliminować, ale po to, by przestać udawać, że wszyscy popierają socjalizm. Oraz że trzeba jeszcze wyraźnie określić, jaki socjalizm kto popiera.

Po zjeździe ZLP napisałem oficjalne sprawozdanie, w sumie pozytywne, podkreślając, że nie było przemówień konfrontacyjnych i nikt nie krzyczał „precz ze Związkiem Radzieckim i z Układem Warszawskim”. Zostało ono ostro zaatakowane.

Przez kogo?

Przez „grupę warszawską”. Bo były dwie: „warszawska” i „krakowska”, ja byłem w „krakowskiej”. „Grupę warszawską” z wydziału kultury KC popierali partyjni ideolodzy – Stanisław Kociołek i Stefan Olszowski.

Ideolodzy zawsze są groźni. Olszowski był bardzo silną osobowością i między jego pionem ideologicznym a kulturą bez przerwy dochodziło do wojny. A Kociotka wielu towarzyszy traktowało jak swego idola, uważając za prawdziwie walczącego o socjalizm bojownika.

Powiedziałem Mietkowi Wojtczakowi: ja tu jestem robotnik sezonowy. A Józek Klasa potwierdził: Michał jest kaskader. I dodał, że jeśli chce się w Polsce dokonać autentycznych zmian, to takich jak ja do KC powinno przyjść ze dwudziestu. Oświadczyłem Wojtczakowi, że będę robił, co uważam za stosowne, a w razie awantury winę wezmę na siebie.

Co chciałeś robić?

Kłajstrować. Zawiązywać porozumienia, dogadywać się, zszywać pęknięcia, gdy dochodziło do konfliktu, i dogłaskiwać obrażonych. Z racji obowiązków zajmowałem się filmem, teatrem i muzyką. Rozmawiałem z każdym, kto chciał ze mną rozmawiać. Z Jerzym Turowiczem, Jackiem Woźniakowskim, z filmowcami. Dobre kontakty miałem z Wytwórnią Filmów Dokumentalnych, gdzie pracował Krzysztof Kieślowski, Marcel Łoziński, Bohdan Kosiński.

Poznałem też Witolda Lutosławskiego, zaprosił mnie do siebie do domu. Pretekstem był spychacz, który huczał mu dniami i nocami pod domem i on nie mógł się skupić. Do komponowania potrzebował absolutnej ciszy.

Zatelefonowała jego żona, zastrzegając, że dzwoni do mnie jako do byłego szefa pogotowia, bo po ratunek, a ośmiela ją to, że kiedyś chodziła po górach. Może byśmy się spotkali? Mógłby pan nas odwiedzić? – Oczywiście. – Przy okazji zobaczy pan ten spychacz.

Bardzo długa rozmowa z Witoldem Lutosławskim. Wychodząc, powiedziałem: nie śmiem prosić, ale czy mógłbym czasem zapytać pana o radę? Oczywiście. I potem Lutosławski, z przeproszającym jakby uśmiechem, powiedział: a jeśli już naprawdę nie będziemy mogli się porozumieć, to poprosimy moją żonę, by wprowadziła do rozmowy wątek górski, wtedy i ja dołączę. To był wspañiały sygnał. Że jest z twórcami porozumienie, partia nie jest w izolacji. Chwytałiśmy się złudzeń.

Mietek Wojtczak o moich rozmowach wiedział, dawał mi wolną rękę.

Józef Tejchma, minister kultury, też?

Swemu zastępcy, Eugeniuszowi Mielcarkowi, szefowi kinematografii, pozwalał na więcej, niż miał on przypisane do statusu wiceministra.

Sekretarz KC od kultury, Jerzy Waszczuk?

Siedział okrakiem na barykadzie i nie przeszkadzał.

Kazimierz Barcikowski, członek Biura Politycznego?

Milczał. Raz pojawił się na spotkaniu naszej „grupy krakowskiej”. Nieformalnym. Był Zbyszek Regucki, Hieronim Kubiak i jego szef gabinetu Rysio Juchniewicz, mój kolega z polonistyki, oraz Maciek Szumowski, który dojechał z Krakowa, i chyba Andrzej Kurz, nowy prezes Radiokomiteu, który często wpadał do nas do gmachu. Barcikowski wszedł do pokoju, zobaczył, kto jest, machnął ręką i wyszedł.

A Kania?

Dla Kani najważniejszy był spokój. Żeby nikt w Polsce nie krzyczał „precz z Ruskimi”. W domu powieszono, wiesz, nie rozmawia się o sznurze.

I żeby środowiska twórcze nie głośiły publicznie: mamy dość realnego socjalizmu i dominacji ZSRR. On do tego przywiązywał mityczne wręcz znaczenie. I dopóki takie zdania nie padały, a nie padały, to Kania był zadowolony i dlatego tak zdumiewająco wiele można było zrobić.

W marcu, w czasie apogeum konfliktu bydgoskiego, czyli w jednym z tych momentów, gdy Polska wstrzymała oddech, byłem w Związku Radzieckim. Na najwyższych szczeblach uzgodniono, że delegacja wydziału kultury KC PZPR pojedzie do wydziału kultury KC KPZR i spróbuje nawiązać z nimi kontakty.

Nie było?

Prawie nie było, za czasów „Solidarności” zostały zamrożone.

Niesamowity wyjazd. Etażowa w hotelu daje mi klucz i mówi: my Polski nie opuścimy w biedzie.

„I nie damy jej skrzywdzić” – powiedział Breżniew dwa tygodnie wcześniej na zjeździe KPZR-u.

Zmroziło mnie.

Przeszkolona?

Najprawdopodobniej.

Prowadzą nas do sali, która wyglądała jak czytelnia w bibliotece. Stolik, lampka i ze czterdzieści osób. Każdy coś pilnie studiuje. Zerknąłem jednemu przez ramię, zerknąłem drugiemu i ze zdumieniem odkryłem, że analizują oni polskie wydawnictwa drugoobiegowe oraz biuletyny wewnętrzne komisji zakładowych „Solidarności”. Mróz jednak przeszedł mi po plecach, gdy zobaczyłem, że jeden z biuletynów był wydany w Stoczni Szczecińskiej trzy dni wcześniej. Nigdy nie przypuszczałem, że tak poważnie nas traktują i że mają tak sprawną agenturę.

Nie jesteś ciekawy, co z nią teraz?

Jestem.

Bo przecież z dnia na dzień nie znikła.

Na pewno nie.

Kolacja. Oni nas przepytują – no jak tam, chtëpaki, *w Polsce?* Bardzo się czujecie zagrożeni, siedząc w KC?

Jest alkohol, dużo alkoholu, ja prawie nie piję, bo nie lubię, i gdzieś grubo po północy pozwalam sobie na żart. Wykorzystując mój status, że byłem alpinistą, ratownikiem, pisarzem, człowiekiem z zewnątrz, nie z aparatu. Często grałem tym statusem. Nie mam się czego bać – zaśmiałem się – ja przecież jestem *alpinist, skatolaz, gornoj spasatiel'* i trzymam u siebie w biurku plecak, a w plecaku *wierowkę* – linę alpinistyczną, więc jak będzie szturm na KC, to przywiązuję *wierowkę* do kaloryfera i fru – zjeżdżam z czwartego piętra.

Nikt się nie zaśmiał. Ani z mojej, ani z ich strony. Grobowe milczenie.

Potem spotkanie z kimś ważnym od kinematografii. Mówi: nie bój się, Michał, nie zostawimy twojej żony i twoich córeczek bez opieki.

Kasia miała dziewięć lat, Dominisia cztery. Zadrzałem.

Skąd wiedział?

Był, skurczybyk, przygotowany. Oni wszyscy, zauważyłem, znali nasze życiorysy i naszą sytuację rodzinną mieli dokładnie przestudiowaną. Spytałem: co ty mówisz!

A on: ściągniemy je tutaj w razie czego, no, wiesz, nie będzie problemu.

W razie – czego?

Zrozumiałem, że w razie zawieruchy. Jeśli my z Moskwy nie zdążymy do Polski wrócić. Nie – powiedziałem – dziękuję, nie, błagam.

Straszył?

Była to prawdopodobnie jakaś forma preparowania nas. Forma skuteczna. Poczułem całą grozę wynikającą z zamknięcia i oddzielenia od rodziny. I może to śmieszne – tak, nawet na pewno śmieszne – ale pomyślałem wtedy, że za bezdurno, bo przez fakt podjęcia pracy w KC, mogę powielić jakiś fragment z polskiej przeszłości.

Jaki?

Że fizycznie, po prostu fizycznie nie będę miał szans powrotu.

Jak polscy komuniści w 1937 roku. Tak?

No, właśnie.

Tylko, wiesz, oni do partii wstąpili z fanatycznej wiary, a ty?

A ja bardzo w socjalizm realny chciałem uwierzyć. Mam ci wytłumaczyć dlaczego?

Ważne?

Więc brutalnie. Z pomocą starych PPS-owców próbowałem zacządzić się „humani-

zmem socjalistycznym” po to, żeby otrzymać paszport na wyprawę alpinistyczną do Francji. Bo już raz mi nie dano. I poinformowano o tym na chwilę przed wyjazdem. Na dworcu.

Jak na chwilę?

Normalnie. Byłem studentem polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, już się wspiąłem, chodziłem po grotach i Zrzeszenie Studentów Polskich zakwalifikowało mnie na wyjazd w Alpy austriackie. Zjawiłem się więc z plecakiem na dworcu w Warszawie i jakiś dziwny osobnik oświadczył głośno, przy całej grupie, że niejaki Michał Jagiełło nie pojedzie, bo nie dostał paszportu „z uwagi na ważny interes państwowy”. Wróciłem do Krakowa. Kafkowska sytuacja, niedocieczona: Michał, powiedz, coś ty takiego zrobisz? Dziwna atmosfera wokół mnie.

Wracamy do Moskwy?

Spotkanie z jednym z sekretarzy KC KPZR, Michałem Zimianinem. Na biurku leżą przed nim wyciągi z solidarnościowych pisemek. Mówi o kontrrewolucji w Polsce. Mietek Wojtczak, głowa naszej delegacji, próbuje z nim dyskutować. Nie, żadnej kontrrewolucji w Polsce nie ma – powtarza co chwilę. Wtrącam jakieś wspierające Mietka zdania, że były wypaczenia i trzeba je teraz wyprostować. Mietek tłumaczy, że Wałęsa nie jest kontrrewolucjonistą, tylko robotnikiem, że polscy intelektualiści też zachowują się bardzo odpowiedzialnie. Rzucam przykład prezesa ZLP Jana Józefa Szczepańskiego. I nagle Zimianin nie wytrzymuje: co wy mi opowiadacie! – Podnosi głos. – Co wy mi tu gadacie! W Polsce jest próba obalenia ustroju, w Polsce jest kontrrewolucja!

Siedzieliśmy przy długim lśniąącym stole, my z jednej strony, on z drugiej, i Zimianin, bijąc w stół, prawie na nas krzyczał: nie mówicie mi prawdy, to jest kontrrewolucja! Tu nie wańki siedzą – to zdanie zapamiętałem dokładnie – tylko przedstawiciele wielkiego narodu, ten naród nie da się tak traktować.

Milczeliśmy. Patrzyłem w okno. A za oknem cerkiewki. Jedna, dwie, trzy, cztery kopuły białych cerkiewek.

Ktoś wszedł do gabinetu, podał mu jakieś papiery. Zimianin przeczytał i zmienił ton.

Teatr?

Może. Ale ty, rozmawiając z nimi, nie wiesz, czy ich reakcja jest wynikiem autentycznych emocji, bo Polska i „Solidarność” emocje musiały u nich wywoływać, i to potężne, czy to jest tylko teatr dla wywołania określonego psychologicznego efektu.

Wstajemy. On mówi: przekażcie pozdrowienia towarzyszowi generałowi Jaruzelskiemu.

Generał Jaruzelski był wtedy, jak pamiętasz, tylko premierem, bo pierwszym sekretarzem dalej był Stanisław Kania. Dodałem więc półgłosem: i chyba towarzyszowi Kani.

Da, gospodin Jagiełło – zaakcentował moje nazwisko – *no i Kani toże.*

Czyli sygnał, że Kania się już nie liczy.

Wyraźny, już w marcu, że będzie zmiana. A na koniec sakramentalne: bratniej Polski nie opuścimy w biedzie.

Ten karnawał, powiedziałem kolegom z wydziału po powrocie, niedługo się skończy. Trzeba więc wykreować możliwie dużo faktów psychologiczno-artystycznych, których nie da się odwołać, zostaną u ludzi w pamięci i będą pracować w przyszłości.

Jakich faktów?

Wszystkich nie wymienię, było ich co najmniej kilkadziesiąt. Wydać Miłosza, wcześniej w Polsce zakazanego. Wydać pisma Stanisława Vincenza, w Polsce nieznane, o co zabiegał Andrzej Ziemiński, pisarz, alpinista, urodzony we Lwowie. Wypuścić do kin kilkanaście filmów zatrzymanych przez cenzurę w latach poprzednich, takich jak *Indeks Kijowskiego*, *Pielgrzym* Trzosa-Rastawieckiego o pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II do Polski, *Ręce do góry* Skolimowskiego. Skierować do produkcji *Był jazz* Falka, *Dreszcze* Marczewskiego, *Matkę Królów* Zaorskiego, *Przesłuchanie* Bugajskiego. A jeszcze *Gorączkę* Agnieszki Holland wypchnąć na festiwal do Berlina i *Człowieka z żelaza* do Cannes.

O każdą pozycję trzeba było się użerać. I to nie tylko z cenzurą. Dzwoni na przykład jeden z wiceministrów spraw wewnętrznych i proponuje: towarzyszu kierowniku, dobrze by było, żebyśmy sobie razem w spokoju obejrzeni *Diabła* Żuławskiego. My policja – oni siebie nazywali policją nie milicją – nic do tego filmu nie mamy, nas Katarzyna Wielka nie interesuje, ale tam są okropieństwa, które biskupom się nie spodobają. Czyli mały szantażyk.

Albo cała epopeja, związana z *Człowiekiem z żelaza*. Czy wystać film do Cannes, czy nie wystać. Gardłowałem, że koniecznie. Odpowiadano, że nie znam się na polityce, nie wiem, czym jest polityka.

Kto odpowiadał?

Między innymi moi towarzysze z wydziału kultury. Wydział był już podzielony. Stanisław Kociotek, pamiętam, spotkał mnie na korytarzu i powiedział: a ja myślałem, że pan z takim pięknym górskim życiorysem będzie walczył, a pan... – machnął ręką i poszedł.

Dla niego ja byłem ten mięczak, który bez przerwy ustępuje „Solidarności”. Albo krakowską plasteliną. Bo tak o nas mówiono, wymiennie. Ci od klajstrowania. I jeszcze mówili: lepiej być warszawskim betonem niż krakowską plasteliną. My, ta maleńka grupa krakowska, praktycznie nie mieliśmy z nimi żadnych kontaktów. Do znacznej części KC w ogóle nie byłem zapraszany i nie chodziłem. Nie przekroczyłem progu gabinetu Olszowskiego czy Kociołka. A jak spotykaliśmy się na korytarzu, to widziałem, że z największą niechęcią odpowiadają na moje dzień dobry.

A Kania?

Kania bał się, że Wajda w Cannes będzie skarżyć się dziennikarzom zachodnim, że mu cenzura ileś tam scen wycięła z filmu, bo wycięła, oraz będzie narzekał, jak to partia nie chce jego filmu wypuścić na ekrany polskich kin, bo nie chciała.

Narzekał?

No, skąd! Przecież to poważny facet.

I nagle przychodzi wiadomość, że *Człowiek z żelaza* zdobył Złotą Palmę. I wyobraź sobie, że ci sami ludzie, którzy mnie krytykowali, nagle zaczęli mi gratulować: no, młody człowieku, udało się wam. I gdy im przy kotlecie mielonym w bufecie przypominałem: a tydzień wcześniej coście mówili? Dobra, dobra, nie wycofujemy się. Polityczna ocena, młody towarzyszu ratowniku, jest bez zmian. Tylko wiecie, rozumiecie, Złota Palma dla Polski jest Palmą, i za 50 lat nikt nie będzie pamiętał, że Zachód dał nam ją ze względów politycznych, by nam dopieprzyć.

Rozdwojenie jaźni?

Nie, mieszanka zdumiewających uczuć. Jakaś resztką, nie wiem, dumy, poczucia narodowego z jednej strony i z drugiej – serwilizmu wobec Moskwy, bo film zdobył międzynarodową nagrodę, a nadal nie miał swojej premiery w Polsce. W końcu wywalczyliśmy, by szedł jako „spektakl zarezerwowany”.

Jak wywalczyliście?

Przekonaliśmy Kanię, że i tak trzeba go będzie pokazać, pod naporem ludzi, więc lepiej szybciej niż później. Zgodził się, by szedł w kinach bez podawania tytułu w gazetach.

Czyli jak dokumentalny film Robotnicy 80, o sierpniowym strajku w Stoczni Gdańskiej.

Wszyscy więc wiedzieli, na co idą do kina, tylko publicznie nie było to zaznaczone.

Śmieszne?

Smutne.

Kania czego się bał?

Betonu. Bo oni w wypadku wielkich wydarzeń muzycznych, teatralnych, ale głównie

filmowych, uruchamiali ogromne akcje protestacyjne. Nagle przychodzą do pierwszego sekretarza setki telegramów. Najpierw z Huty Warszawa, a potem z całej Polski. Pisali w nich: wystawienie tej sztuki, wydanie tej książki czy wyemitowanie tego filmu jest przejawem burżuazyjnego liberalizmu, utratą ideowo-politycznej i programowej busoli w walce o socjalizm i że fakt ten podważa naszą wiarę w socjalistyczną ojczyznę. Ci Polacy, nie wiem – komuniści, oportuniści, a może po prostu cwaniacy, łapiący, z której strony wieje wiatr – wysyłali te telegramy także do wydziału ideologicznego. Olszowski miał podkładkę i mówił: zaraz, zaraz, tu wyprzedaje się wartości socjalizmu, to jest rozbijanie partii.

Z Huty Warszawa, mówisz?

Tak.

A tam aktywistą partyjnym był wtedy Zbigniew Sobotka, minister spraw wewnętrznych w rządzie Leszka Millera.

Przekazywaliśmy Kani dwa razy dziennie raporty, co dzieje się w kinach na pokazach *Człowieka z żelaza*. Nikt nie krzychał „precz ze Związkiem Radzieckim” i „precz z bezpieką”. Wszędzie – wzruszenie, powaga, łzy, ani jednej wybitej szyby, nieprawdopodobne zdyscyplinowanie.

Kani bardzo zależało, by elity, a szczególnie twórcy nie demonstrowali jawnie swej krytycznej postawy wobec partii, nie manifestowali antysowietyzmu. Bo myśleć mogli. Niech myślą, co chcą. On zresztą należał do pokolenia, które miało jakiś rodzaj nabożeństwa do artystów, do pisarzy, do słowa drukowanego. Co było czasami bulwersujące, bo z jednej strony drukowało się ewidentne kłamstwa, a z drugiej – strasznie pragnęło, by ci artyści na te kłamstwa nie reagowali.

Pamiętam, jak Kania ucieszył się, gdy przekazaliśmy mu informację, że Jerzy Andrzejewski przyjmie prawdopodobnie naszą propozycję i będzie przewodniczył jury na Festiwalu Filmów Polskich w Gdyni.

Tak? To wspaniale! – powiedział. – I nie będzie krzychał „precz”? – zapytał.

Nie, nie będzie.

Bardzo dobrze, mądry jest.

Choć wcześniej, jak wiesz, Andrzejewskiemu wstrzymywano druk jego książek i latami obowiązywał zakaz drukowania jego nazwiska w prasie.

Kania żył w psychozie interwencji radzieckiej. Nieustannie powtarzał, że zegar już nastawiony i bije.

I nerwowo tego napięcia nie wytrzymał. Wiem od Zbyszka Reguckiego. Zbyszek był jego osobistym sekretarzem. Kania chciał pozostać u władzy, być akceptowanym

przez Moskwę, bo bez jej pieczęci nie wyobrażał sobie rządzenia i równocześnie nie chciał strzelać, i nawet nie chciał nikogo wsadzać do więzienia.

Po raz drugi pojechałem do Moskwy. Z okazji festiwalu filmowego. Tym razem wszyscy, dokładnie wszyscy, począwszy od etażowej, a na wysokich urzędnikach KC KPZR kończąc, do każdej – nawet zdawkowej – rozmowy dodawali: nie zostawimy was w biedzie.

Jeden tylko człowiek tego zwrotu nie użył. Był to wysoki urzędnik KC KPZR, zajmujący się kinematografią, jeden (*uśmiech*) z Afanasjewów. Pochodził ze starej inteligentkiej rodziny z Petersburga. Dla niego KPZR – jak dla wielu Rosjan, których znałem wcześniej – była jednym z instrumentów budowania wielkości Rosji. Wybornie znał polskie realia i rozmowę ze mną prowadził bez cienia ideologizowania. Chciałem od niego uzyskać kopie filmów Andrieja Tarkowskiego, bo z Gienkiem Mielcarkiem, szefem kinematografii, mieliśmy ochotę zrobić retrospektywę jego twórczości.

Rozmawialiśmy, spacerując nad rzeką Moskwą. To była *progułka* – przechadzka, jak z *Domu nad rzeką Moskwą* Trifonowa. Prawdopodobnie chciał mieć pewność, że jeśli on tej rozmowy nie nagrywa, to nikt jej nie nagrywa.

A myślisz, że nagrywał?

Nie wiem. Nagle stanął metr od mojej twarzy i rzekł:

Jeśli wy teraz, ta mała grupka z PZPR-u, dopuście do tego, że PZPR – cytuję dosłownie – zerwie i straci kontakt z czołówką inteligencji polskiej, my nigdy wam tego nie wybaczymy.

Kto my? – zapytałem.

Rosjanie.

Dlaczego?

Jak to dlaczego – zdziwił się – przecież do nas, do Rosji, każdy prąd idący z Zachodu przechodzi przez Polskę, wy go polonizujecie i sławizujecie. Wszystkie zachodnie idee, od średniowiecza począwszy, docierały do naszego narodu, w naszą głębinkę wpadały, przetworzone przez polskość, oswojone na tyle, że mogliśmy je do siebie wpuścić i naszemu narodowi przekazać. Bo gdyby weszły bezpośrednio, groza – powiedział. – Byłby nadmiar idei i lud by nasz zwariował. I byłaby nowa rewolucja. A rewolucja w Rosji, to wiesz, każdy różnie każdego. W was więc nadzieja.

Byłem wstrząśnięty. – Polska jako poligon? – zacząłem go drażnić.

A co – zapytał – zły pomysł? Nie podoba ci się? Tak, Polska jako poligon.

Do zmiany systemu? – przyciskałem go.

Nie odpowiedział.

A Tarkowskiego dał?

Nie dał.

Zobaczyłem go potem w otoczeniu Michaiła Gorbaczowa i pomyślałem sobie, że nie była to przypadkowa rozmowa i nie był to przypadkowy facet, bo Gorbaczow też przecież w sowieckim aparacie nie wziął się znikąd i w tym aparacie dyskusje, jak przeprowadzić reformę systemu, zachowując jednocześnie spójność obozu socjalistycznego, już trwały.

A dlaczego rozmawiał akurat z tobą?

Nie wiem. Bo w tym samym mniej więcej czasie był w Sojuszu na leczeniu Andrzej Wasilewski, szef PIW-u, i z nim zapewne rozmawiano zupełnie inaczej, bo wrócił stamtąd absolutnie przerażony i straszliwie zindoktrynowany. Rzucił się na mnie: co wy tu z Hieronimem wyrabiacie?! Mówił o Kubiaku, który właśnie został członkiem Biura Politycznego. Dramatyczna, dwugodzinna rozmowa. Próbowałem mu tłumaczyć, że chodzi o poszerzenie wolności dla sztuki, o zagwarantowanie większej niezależności twórcom. Ale on zrobił mi dziką awanturę.

A ta wartość, jaką są wydawnictwa: PIW-u, „Czytelnika”, Wydawnictwa Literackiego – denerwował się – nie jest dla ciebie wartością? Dlaczego ty to rozpieprzasz! Zobaczysz – krzyczą – czołówka polskich kompozytorów, pisarzy, filozofów zostanie dozorcami, będą musieli uczyć się palić w kotłowniach. I ty przykładasz do tego rękę, ty!

Zwariował?

Nie. Popenił błąd fatwej analogii do sytuacji Czechosłowaków po 1968 roku. Uważał, że w Związku Radzieckim nic przez ostatnie dwadzieścia lat się nie zmieniło. I zgniotą nas jak Czechosłowację.

Więc ruki po szwam?

On nie był jedyny, który tak myślał. Takich w KC z każdym tygodniem przybywało. Słuchałem ich rozmów w bufecie.

Aha, żadnego sklepu za złotymi firankami w tym czasie w gmachu nie było. Tylko bufet. I w tym bufecie w kolejce po kaszankę czy kiełbasę, najzwyczajniejszą, stał raz przede mną Jerzy Wojtecki, ówczesny minister rolnictwa, a za mną ustawił się Barcikowski, wieloletni sekretarz rolny KC. Uznałem, że to dobra okazja, by się trochę z nich ponoigrywać, i teatralnym szeptem, by wszyscy słyszeli, powiedziałem: ot i proszę, jak my, chłopscy synowie, kończymy, zamiast mieć własną masarnię i wędzarnię, to my tu stoimy po jakiejś ochłapy. I oni ponuro się do mnie uśmiechnęli.

Co dawano na obiad?

Zupa, jakieś mielone kotlety, kompot. Jedząc te kotlety, rozmawiano. Padły teksty: kie-

rownictwo popełniło błąd, w sierpniu nie trzeba było podpisywać żadnych porozumień, tylko od razu wyprowadzić czołgi i Stocznę Gdańską rozjechać. Na moje: no, ale zginęliby ludzie, usłyszałem: to co? zginąłby może tysiąc, a tak zginie kilkaset tysięcy. Brali kawałek kotleta na widelec i mówili: krew tutaj i tak się przecież poleje, bo polać się musi. Potem był tyk kompotu i kolejne zdanie, że to, co w Polsce wyprawia „Solidarność”, to jasno trzeba sobie powiedzieć, iż jest rozwalaniem ustroju, rozwalaniem państwa. I za tym kto stoi, no?

Mnie pytasz?

Tak, ciebie, bo oni wiedzieli.

CIA?

W podtekście. Przy kotlecie padało określenie – siły, wiadomo jakie.

Nie widzieli, że to walka o wolność?

Nie. A ci, którzy widzieli, uważali, że szans na wyzwolenie nie ma, bo realia geopolityczne są takie, że Radzianie nas nie wypuszczą. I jedni mówili: niestety, nas nie wypuszczą; a drudzy: na szczęście, nas nie wypuszczą. Różnica tkwiła tylko w partykule.

Nie próbowałeś dyskutować?

Raz. Ci, którzy naprawdę chcą przechować tradycję lewicową – powiedziałem im – idee Kelles-Krauza, Abramowskiego, Brzozowskiego czy Janka Strzeleckiego, powinni się jak najszybciej rozwiązać, zejść do podziemia i może po dwudziestu latach w normalnej grze wyborczej uzyskają 18–20 procent.

I widzisz (*uśmiech*), sprawdziło się. Prawie. Bo raz jest mniej, a raz więcej.

Klasa próbował?

Znowu go szurnięto. Wysłano na kolejną placówkę, tym razem do Maroka.

Barcikowski?

Zrzucono go z sekretariatu KC. Później.

Tejchma?

Milczał. W cztery oczy dawał do zrozumienia, że akceptuje to, co starałem się robić. Potem wysłano go na ambasadora do Grecji.

Trzeciego sierpnia 1981 roku „Solidarność” zorganizowała manifestacyjny przejazd samochodów przez centrum Warszawy. Kolumnę autobusów i ciężarówek milicja zatrzymała na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich.

Po co zatrzymała?

Bez sensu. Nie chciano, by dojechały pod KC. Bano się demonstracji antypartyjnej. Rozpoczęła się blokada ronda, trwała trzy dni. To był festyn. Na ciężarówkach występowali artyści. Recytowali naszych wieszczów i razem z tłumem śpiewali patriotyczne pieśni. I nagle sobie uprzytomniłem, że nikt tego nie kontroluje.

Gmach opustoszał. Z korytarzy gmachu – one były porażająco długie, słabo oświetlone, wyłożone czerwonym chodnikiem – wyparowali towarzyski i towarzysze, którzy zazwyczaj snuli się po nich dostojnie z papierami pod pachą, poubierani w garnitury i krawaty.

Ludzie z gmachu mieli w ogóle przedziwną zdolność znikania. To był efekt tresury przez wiele dziesięcioleci. Nagle, gdy coś się działo, co mogłoby im zaszkodzić w osobistej karierze lub zmusić do zajęcia stanowiska, zapadali w chorobę i przestawali przychodzić do pracy.

Mój naczelny redaktor szedł do szpitala na obserwację.

A oni mieli albo telepanie serca, albo masowo nagle chorowali na gripę. Na dworze piękna pogoda, świeci słońce, a tu dziesiątki ludzi ze średnich i wyższych szczebli złożonych gorączką.

Nagle na ulicach zobaczyłem krzepkie sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatki z chlebaczkami, które jako młode dziewczyny konspirowały prawdopodobnie w AK i w powstaniu warszawskim musiały być sanitariuszkami. Przeraziłem się.

Jestem obrońcą – pomyślałem – całkowicie przegranej sprawy. Siedzę w gmachu otoczonym przez żywioł. Jak na wyspie, która musi zostać zmyta. I gdyby tłum chciał zaatakować, nie ma nawet, jak uciec.

Jak zaatakować?

Przodem pójdą kobiety z dziećmi. A za nimi uzbrojeni mężczyźni. Przecież mają broń – mówiono w bufecie – na pewno mają.

Szturmu na KC się bałem.

A ja esbeckich prowokatorów w tłumie.

Wystarczyłoby stu ludzi. Rozumiesz? Stu. Cały gmach by zajęli.

Ale widzisz, nie weszli.

I nikt ich nie sprowokował. Nawet partyjne betony.

Byliśmy w kilku w gabinecie Hieronima Kubiaka. Zadałem im pytanie, bardzo serio: co zrobimy, każdy z nas z osobna, jeśli Radzianie naprawdę wejdą. Bo tego faktu wyinterpretować by się już nie dało, w żaden sposób by się nie dało. I ze ściśniętym gardłem oświadczyłem im, że ja decyzję już podjąłem. Jaka? – zainteresowali się. Powiedziałem: wolę zginąć ze swoim narodem, niż przeżyć przeciwko swojemu narodowi. Takie zdanie powiedziałem, wyobrażasz sobie!

Zapadła cisza i wyszedłem. Zdałem sobie sprawę, że powielam pewien wzorec. Cholera! Jak te klisze romantyczne w nas siedzą. Nie pisz tego, ten stan napięcia dziś może wydawać się śmieszny.

Dlatego trzeba.

Bo wiesz, o czym wtedy myślałem? O powstaniu warszawskim. Że gdybym w 1944 roku miał osiemnaście lat, też bym walczył, nie miałbym wyboru. Chociaż powstanie oceniam jako ciężki błąd i do dzisiaj nie rozumiem, jak można było podjąć decyzję o jego wybuchu.

Boże, że nie zaczęła się wtedy strzelanina! Były przecież dziesiątki powodów, głupich, najprostszych. Wystarczyłoby, żeby jakiś milicjant czy prowokator zaczął strzelać. I to, że nie strzelił, świadczyło o ogromnej dojrzałości i odpowiedzialności, wszystkich. Wszystkich generalnie.

Oraz strachu, że jak się lawinę uruchomi, to się jej już nie zatrzyma.

Być może ten strach przed kolejnym powstaniem warszawskim uchronił nas wszystkich przed powtórką. Bo tamten strach w nas został. Tamta groza. Ona zapisana jest w genach.

Narastała niechęć do Kani. W części aparatu. Że mięczak, nie panuje nad sytuacją i dla świętego spokoju, aby żaden strzał nie padł, wyprzedaje władzę. Kania z dnia na dzień tracił autorytet i praktycznie nad nikim już nie panował. Docierało do mnie, że jego partyjna opozycja, czyli Tadeusz Grabski, Olszowski, Kociotek mogą wykonać jakiś ruch, i że aparat nie będzie go nawet żałować.

Krążyłem po różnych zebraniach środowisk twórczych z pasterskimi – jak śmiał się Kubiak – wykładami i mówiłem: jest jak jest, ale róbmy coś, próbujmy coś jeszcze zrobić.

Pojechałem na festiwal filmowy do Gdyni. Nawiązałem tam kontakt z sekretarzem KW Tadeuszem Fiszbachem i z wojewodą gdańskim Jerzym Kołodziejskim. Oni myśleli podobnie jak „grupa krakowska”. Oddać „Solidarności” wiele, dużo. Po to, żeby coś zachować. Oddać nawet prawie wszystko. Zachowując trzy rzeczy: wojsko, MSW i prawo istnienia PZPR. Z Fiszbacha więc zrobiono defetystę.

Z Kubiaka agenta.

Krakowiaczek CljA szło w Polskę, bo Kubiak był znanym socjologiem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i ze dwa – trzy razy otrzymał stypendia naukowe od Amerykanów. O Maćku Szumowskim, naczelnym „Gazety Krakowskiej”, mówiono, że prowokator.

O Stefanie Bratkowskim, prezesie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, że Żyd, a co o tobie?

O mnie? Że jakiś podejrzany, może katolik, bo utrzymuje kontakty z „Tygodnikiem Powszechnym”.

Przyjmowałem Zenona Laskowika u siebie w gabinecie. Prosiłem go: niech pan tylko, na litość boską, nie przedrzeźnia Breżniewa. A on, pokazując mi niedźwiedzia w różnych pozach, pytał, czy to już jest antyradzieckie, czy jeszcze nie, niech pan mi powie.

I zarykiwaliśmy się ze śmiechu. Ja na granicy płaczu. Co ja tu robię?

Gdzie?

W tym gmachu!

Więc dlaczego?

Bo zawsze wydawało mi się, że coś jest do zrobienia. Jakiś spektakl, jakaś książka, jakiś film. Zawsze coś było do wypchnięcia. Ta pajęczyna decyzyjna wciąga.

Władza po prostu.

System! Tamten system wciągał, bardzo głęboko.

Każdy wciąga.

Ale tamten opłatywał człowieka jak pajęczyna i wsysał w sieć.

Lepsze mieszkanie ci zaproponowali?

Raz. Pół żartem, pół serio. Nigdy oficjalnie. Zastępca kierownika wydziału KC nie powinien mieszkać w bloku na Targówku – ktoś powiedział.

Kto?

Jakaś dobra dusza. Wiesz, to było dla mnie zadziwiające. Gmach się rozsypuje, towarzysze, zdawałoby się, zajęci są obroną pryncypiów ustrojowych i w tym bałaganie i zdenerwowaniu nagle pojawia się dobra dusza i pyta:

Towarzyszu, jak to? Wy nie macie w domu telefonu?

No, nie mam.

Cóż to za problem? Założymy wam linię napowietrzną.

W blokach na Targówku, gdzie mieszkałem, nie było kabla telefonicznego.

A może, towarzyszu, i mieszkanko wymienić na coś bliżej, żeby ten kabelek był?

Za mieszkanie podziękowałem i złożyłem podanie o telefon. Nagle otrzymuję od służb technicznych informację, że jest jakiś problem z założeniem na Targówku linii napowietrznej i byłoby dobrze, gdybym spotkał się z wiceministrem spraw wewnętrznych. W sprawie telefonu? – Tak. Zjeżyło się coś we mnie i powiedziałem: nie.

Chyba przesadziliś. Telefon w domu potrzebny.

Wiem, bo nie miałem do 1990 roku. Ale ostrożności nauczyli mnie moi ratownicy. Jak odwiedzał GOPR w Zakopanem szef Bezpieczeństwa z Krakowa, bo czasami odwiedzał, to starzy górale nigdy nie zostawiali mnie samego.

Misiu – mówili – ja sobie z wami posiedzę i będę dolewać gościowi góralskiej herbatki.

I gdy bezpieczniak na przykład pytał, czy przy 20 stopniach mrozu można przejść przez Rysy z plecakiem, to mój górął odpowiadał: e, picnęlibyście, towarzyszu, na progu Czarnego Stawu.

Ale wiesz, może to paranoiczne, ta propozycja spotkania z wiceministrem spraw wewnętrznych w sprawie jednego telefonu i dziś wydaje mi się podejrzana. Bo w końcu tego telefonu mi nie założono i gdy pilnie potrzebny byłem w wydziale, przyjeżdżał umyślny – stuk, stuk, i mnie zabierał.

Po kilku miesiącach, pamiętam, ktoś mnie zaczepił i spytał, co z moim telefonem. Odpowiedziałem, że nic, dalej nie mam. I więcej nie pytano.

Była też śmieszna sytuacja z benzyną. Jechałem z rodziną do Mielna na wakacje.

Maluchem?

Tak, Hania w domu była kierowczynią. Pół nocy odstała w kolejce po benzynę, dostała 20 litrów. Rano mówię w wydziale: cholera, na 20 litrach nie dojedziemy, a oni: co za problem! Powiedz tylko, gdzie będziesz, to zawiadomimy KW i benzyna będzie na ciebie czekać. Cholera – pomyślałem sobie – jakie to łatwe. A głośno: nie, dziękuję. I natychmiast wyobraziłem sobie sytuację, że jakaś przypadkowa winda wyciąga młodego człowieka w górę, umieszcza go na stanowisku. Czas jest zwyczajny, nierewolucyjny, młyny partyjne miały spokojnie, realny socjalizm kwitnie i młody człowiek naprawdę może się uwikłać w to budownictwo socjalistyczne i z niego nie wyjdzie.

Dochodzimy do końcówki. Jesień 1981 roku. Przychodzę do gmachu i słyszę:

Byli u ciebie, chcieli ci sejf zamontować.

Mnie? Po co?

Żebyś miał gdzie pistolet chować.

Jaki pistolet?

No wiesz, coraz więcej osób z gmachu chce mieć broń.

Zareagowałem ostro: nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Po godzinie sekretarka pyta: przyszli panowie od sejfu, mogą wejść? – Nie. I proszę więcej na ten temat ze mną nie rozmawiać.

Kto wziął pistolet?

Nie wiem. Nie chciałem tego drażnić. Wolałem być bezbronny i przynajmniej w ten sposób demonstrować im, że jestem za dialogiem, a nie siłowym rozwiązaniem.

Pojawił się Andrzej Chodakowski. Przyszedł do mnie do KC. Powiedział: proszę pana, jestem współautorem filmu *Robotnicy 80* i nie mam go.

Wtedy gotowych filmów nie dawano twórcom do ręki, trzymano w wytwórniach, w sejfach.

Natychmiast zorientowałem się, o co mu chodzi, wyszliśmy z gmachu. Powiedział, że wyjeżdża na festiwal za granicę i: nie wiem, cholera, co tu się zdarzy. Nie mam pewności – rzekł – czy ten film nie zostanie zniszczony, więc muszę go mieć, na wszelki wypadek.

Udało się, wyjechał z filmem.

Odszedł Kania. Napisałem do niego list. Miałem wewnętrzną potrzebę podziękować mu za to, że lawirował, nie podejmował ostrych decyzji, nie strzelał. Że całą swoją postawą nie dawał przyzwolenia na strzelanie. Że całym sobą mówił – tonował, nie ryzykował, strzec się prowokacji.

A nie strzelał według ciebie dlaczego?

Zadałem to pytanie paru osobom. Najciekawszą odpowiedź uzyskałem od Stanisława Bębenka, prezesa „Czytelnika”, mądrego faceta, który znał wielu towarzyszy. On mi powiedział tak: nie zapominaj, Michał, że to jest chłopski syn, jego ojciec był małorolnym chłopem. A chłopski syn nosi w sobie porządek moralny.

Kania przez dwadzieścia lat odpowiadał w KC za bezpieczeństwo.

I na tym polega paradoks. Odpowiadał, bo partia go tam postawiła. A chciał funkcjonować, chciał być w systemie, w który na początku z pewnością wierzył. Ale równocześnie on, nadzorca siłowych i najbardziej tajnych spraw, prowadził ponoć po cichu ważne rozmowy z Kościołem, szukając porozumienia. I jeśli nie było awantur z Kościołem, a nie było – przekonywał mnie Bębenek – spora w tym zasługa tego aparatczyka, tego chłopskiego syna, który w młodości był kowalem. On wie, co to Dekalog, i do końca sterować sobą nie da. Przychodzi moment graniczny i mówi: nie. Zapowiedział, że nie będzie strzelaniny, więc się zapał i zdania nie zmienił.

A dlaczego na stanowisko sekretarza Warszawy forsował Kociołka, a do Biura Politycznego wprowadził Albina Siwaka?

To była gra na dwóch fortepianach. Kolebanie się od Kubiaka do Siwaka.

Dlaczego nie chciał reform systemowych?

Bo uwięziony był w strukturach partyjnych, w swoim aparatowym myśleniu. Że dogmatyzm jest grypą, jak mówił Gomułka, a rewizjonizm gruźlicą. Reformowanie więc było gruźlicą i, popatrz, w każdym starciu betonu z reformatorami w ostatecznym rachunku przegrywali reformatorzy. Cała podstawowa partyjna masa była centrowo-

-autorytarna, a struktura aparatu działała na zasadzie gumowego muru. Pod naciskiem ulegał, a potem szybko wracał do swojej poprzedniej formy.

Nagle dowiaduję się, że z ramienia KC jestem odpowiedzialny za Zamech w Elblągu. Wyższym pracownikom KC przydzielano jakieś duże zakłady pracy pod opiekę. Jadę. Wielka hala fabryczna wypełniona rozwścieczonymi ludźmi, wszedłem. Sam, bez żadnej obstawy. Ładowali we mnie jak w bęben. Aż jakiś działacz z „Solidarności” im przerwał: ludzie, opanujcie się – krzyknął – ten chłopak jest ratownikiem, znam jego książkę *Wotanie w górach*, on w KC jest od niespełna roku.

Następnym razem było więc lepiej. Nie atakowano mnie osobiście, ale mówiono: do ciebie nic nie mamy, ale do Biura Politycznego, KC, partii.

Ile razy tam byłeś?

Kilka. Jak głupi jeździłem do tego Elbląga.

Dlaczego jak głupi?

Bo to była fikcja. W KC chyba już nikomu nie zależało na rozmowach z „Solidarnością”.

Raz leciałem rządowym samolotem z Jagielskim. Na jakąś konferencję partyjną. Pytał, co myślę. Powiedziałem, że to robotnicze hasło „socjalizm tak, wypaczenia nie” nie jest taktyczną grą, ale wyrazem autentycznych uczuć. Spojrzał na mnie zdziwiony: tak? Tak – odpowiedziałem – bo my jesteśmy społeczeństwem niezsowie-tyzowanym, ale głęboko zsocjalizowanym.

I miałem rację. Teraz to widać wyraźnie.

Zsowiecizowanym też.

Myślisz?

Gorzej: zbolszewizowanym.

Nagle dowiaduję się nieoficjalnie, że w wydziale ideologicznym u Olszowskiego przygotowano listę pracowników KC, którzy za zgodą pierwszego sekretarza, czyli generała Jaruzelskiego, wyjadą na jakiś czas z Warszawy. Mnie na tej liście nie ma, ale dowiaduję się, że są na niej moi pracownicy, o czym nikt oficjalnie mnie nie poinformował. Mają się spakować i wyjechać – ktoś do Katowic, ktoś inny do Wałbrzycha, ktoś do mojego Elbląga. Po co? No, żeby być bliżej ludu – styszę tłumaczenie – bliżej problemów ludzi świata pracy.

Chyba miesiąc wcześniej wprowadzono w KC dyżury nocne, najpierw dla niższych, a potem dla wyższych urzędników KC. Mieli siedzieć przy konsolce i pilnować guzików na górcie rozrządowej.

Jakich guzików?

Nie wiem. Nie zdążyłem poznać.

Pierwszy dyżur wyznaczono mi na 12 grudnia. Ale mój kolega brał ślub, poprosił mnie na świadka, więc poszedłem do Kubiaka.

Hieronim – mówię – ja tę nockę postaram się z kimś zamienić, ale powiedz mi, uczciwie, żebym wiedział, czy dzieje się coś złego?

Nie wiem – odpowiedział – ale chyba nic, bo pan generał pozwolił mi wyjechać na dwa dni do Krakowa, właśnie się pakuję.

Z kim się zamienisz?

Nie pamiętam.

Tego samego dnia, 12 grudnia, odwiedził mnie w KC reżyser i operator Andrzej Kostenko. Powiedział: ty chyba czekasz tylko na moment, żeby stąd wyjść.

Tak – odrzekłem. – I nie wiem, czy nie popełniam błędu, nie odchodząc.

Trzynastego grudnia obudziły mnie córeczki, powiedziały: tatusiu, nie ma „Teleranka”.

Zobaczyłem występ pana Jaruzelskiego, usiadłem do maszyny do pisania i napisałem do Hieronima – jako mego bezpośredniego przełożonego – rezygnację ze stanowiska i wystąpienie z partii.

Co żona?

Dlaczego pytasz?

Bo żony wtedy często decydowały.

Była całym sercem za.

Wsadziliśmy córeczki do „malucha” i Hania podwiozła mnie do KC.

KC było obstawione wojskiem. Pustym korytarzem przemknął Barcikowski. W wydziale kultury dyżurował Krzysztof Kostyrko. Powiadomiłem go o swojej decyzji, zasępił się. Może się jeszcze zastanowisz? – zapytał. Nie. Zszedłem na dół.

W holu stało kilku kierowców, znali mnie i darzyli sympatią. Dawąłem im często bilety, a to do cyrku dla dzieci, a to na kabaret Laskowika, byłem więc przez nich poważany i chętnie mnie wozili.

Niestety, uciekł nam – rzekł jeden z nich. „Nam” – powiedział.

Kto uciekł?

Bujak.

Już nie „nam” – odrzekłem – właśnie złożyłem rezygnację.

Grobowe milczenie. I po chwili: pan tu nie pasował – powiedział kierowca. – Nie pasował pan – przytaknął drugi.

Od razu „pan”?

Zawsze pan. Od początku mówiłem: proszę pana, proszę pani. Ostentacyjnie wręcz narzucając im tę formę.

Wróciłem do domu i po dwóch – trzech godzinach – puk, puk, zjawia się oficer i mówi, że jestem proszony do KC.

Mam się spakować?

A on, bezradnie: nie wiem, chyba nie.

Hieronim był zły. Co ty robisz, Michał! Tu – mówi – ludzi trzeba ratować, zawiezyłem generałowi, nie było wyjścia, a ty?!

Czyli wiedziałeś? Wiedziałeś i nie powiedziałeś.

A on: przysięgam, że nie wiedziałem! Wyrwano mnie w środku nocy, przywieziono do Warszawy.

Kogo aresztowano? – pytam.

Cała rakieta. – I wylicza: Klemens Szaniawski, Tadeusz Mazowiecki, Janek Strzelecki, Władysław Bartoszewski.

Pytam o pisarzy. Szczypiorski, Kijowski, Woroszyłski.

Skąd wiedział?

Dostał listy. Poprosił i dostał. Wręcza mi jedną z nich, mówi: Michał, rób coś, błagam, idź do siebie do pokoju, dzwoń. I daje mi telefon jakiegoś generała. – Porozmawiamy za dwie – trzy godziny – dorzucą.

I ja idę. Rozumiesz, idę!

Trudno, bardzo trudno jest wyjść ze struktury, w której tkwisz.

Siadam do telefonu, dzwonię do jakichś generałów, przedstawiam się jako ten towarzysz z wydziału kultury KC i proszę ich o zwolnienie jednego, drugiego, trzeciego. Gadam z nimi chyba z półtorej godziny, oni do mnie „towarzyszu kierowniku” i w pewnym momencie z przerażeniem stwierdzam, że ja – zaraz, zaraz, ale co ja tu właściwie robię, ja przecież – kurwa mać – funkcjonuję!

Wracam do Kubiaka. Jest ciemno, skoty na ulicach, ten przerażający gmach.

Hieronim – mówię – ja nie mogę, ja zacznę się wciągać.

A Kubiak do mnie z pretensją: to co dla ciebie znaczy partnerstwo? – I dalej: Umawiałeś się ze mną, że idziemy razem, że związujesz się ze mną liną i teraz co, wychodzisz?

On nie chciał?

Nie. Nikt z wydziału kultury nie chciał rzucić legitymacji partyjnej. Ale po nich tego nie oczekiwałem. Liczyłem na Kubiaka.

Zapytałem go wprost: dlaczego ty tego nie zrobisz? Po cichu liczyłem, że zrobi. Byłoby to ważne, w tamtej chwili bardzo ważne.

Odpowiedział mi: trzeba ratować.

Co?

Nie dopytywałem. Więc nie wiem, jaka myśl załęgła się w tym profesorskim łbie. Szlachetnym, ale zatrutym socjaldemokracją.

To nie ja, Hieronim – tłumaczyłem się przed nim – zerwałem tę umowę, nie ja!

Kubiak był uczciwym człowiekiem, miałem do niego ogromne zaufanie. Kubiakowi nie chodziło o pieniądze, nie chodziło o stanowisko, wiem. I ja tego Kubiaka, z którym czułem się bardzo związany – opuszczałem. Czułem się...

Jak?

Okropnie.

Hieronim, przepraszam cię, ale nie mogę! Po prostu, nie mogę, przepraszam.

Wróciłem do domu. Chyba prosząc jeszcze tych kierowców z KC, żeby mnie podwieźli.

A w domu tłum ludzi. Zachodnie stacje już podały, że wyszedłem z KC. Andrzej Mencwel przybiegł, Edek Żebrowski, Wojtek Marczewski.

A potem jakieś telegramy zaczęły nadchodzić. Od znajomych z Paryża, gratulujących mi decyzji. Od Jurka Milewskiego, którego stan wojenny zastał w USA. Jurek pisał, że jest ze mnie dumny. Jacyś dziennikarze z prasy zachodniej zaczęli mnie nachodzić po wywiad.

Powiedziałem: nie, żadnych wywiadów. Do partii wstąpiłem z własnej woli, nikt mnie do zapisania się nie przymuszał. Tkwiłem w niej, w tym zapętleniu, przez siedemnaście lat. Nie byłem niczym zakładnikiem. A jeśli, to własnej głupoty. I może jeszcze zwyczajnego oportunistu.

Spotkałem się z Józkiem Klasą, generałem Kuropieską, panem Tejchmą. Moją decyzję przyjęli z szacunkiem.

Sami nie mieli zamiaru?

Nie, nie. Nie dziw się.

Ja w pierwszych miesiącach stanu wojennego spotykałem trochę ludzi z aparatu. Gdzieś w mieszkaniach, czasem na spacerze w parku. Tam przecież nie byli sami skurwysyni, ale dużo nieszczęśliwych, uwikłanych.

Ale wiesz, to ciekawe, że mną szukali kontaktu głównie ci, którzy swoją karierę partyjną zaczynali w „Wiciach” i PPS-ie. Oni chcieli się ze mną spotkać, aby mi powiedzieć, że są ze mną, że zrobiłem to, co oni też chcieliby zrobić. Ale na moje pytanie,

dłaczego nie robią, mówili: za późno. Za późno. Niektórzy tłumaczyli, że „nie będę zaprzeczał całemu swojemu życiu”; inni, że „teraz nie wypada uciekać”. A byli i tacy, starsi, którzy patrząc na mnie wzrokiem zranionej łani, mówili wprost: „dokąd pójde, przecież ja nic nie umiem”. Rozumiesz, dokąd?!

Hieronim załatwił, że dostałem glejt podpisany przez generała Mirosława Milewskiego, iż mogę oddalić się z Warszawy. Z Hanią i córami pojechałem do Zakopanego. Ratownicy przyjęli mnie wspaniale. Dyżurowałem z nimi na Kasprowym Wierchu. Pusto, nikt się więc nie łamał, nie było kogo zwozić.

Schizofreniczne uczucie. Gdzieś tam w dole zawierucha, a tu śnieg, słońce i my jeździmy na nartach. O tym, co jest na dole, przypominali mi tylko żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza. Przychodzili mnie sprawdzać. Młodzi, zażenowani sytuacją. Wiedzieli, kim jestem. Sprawdzimy panu meble, panie Michale – próbowali żartować.

Co za meble?

Mój plecak. Mieli takie powiedzonko: jaki pokój, takie meble.

Zawiadomiono mnie, że o tej i o tej godzinie zadzwoni do mnie Kubiak. Schodzę do Zakopanego, idę do Komitetu Miejskiego. W komitecie pełno starych ludzi, dziwnych jakichś, zaperzonych, agresywnych.

Idę do sekretarza. Kim są? – pytam. Starzy PPR-owcy i byli pracownicy UB, wyrzuceni z resortu po 1956 roku. Czyli relikty przeszłości, polityczne mumie, w Zakopanem dożywający swoich dni.

I ci ludzie, niefunkcjonujący przez lata w życiu publicznym, nagle – po wprowadzeniu stanu wojennego – odżyli. Poczuli się ważni, potrzebni. Zjawili się w Komitecie Miejskim gromadą, żądali pistoletów, chcieli bronić socjalizmu.

Przerażające. Dla mnie było to przerażające. Sekretarz był całkowicie pod ich presją.

Co chciał Kubiak?

Zapytał: pojeździłeś na nartach? Zrelaksowałeś się? Przeszło ci?

Zdenerwował mnie.

Hieronim – powiedziałem zirytowany – nie tak się umawialiśmy, ja swojej decyzji nie zmienię.

Wróciłem do Warszawy i okazało się, że w KC jestem i nie jestem. I nikt nie chce oficjalnie przyjąć mojej rezygnacji. Hieronim moje oświadczenie o rezygnacji z pracy w KC i wystąpieniu z partii schował do biurka. Lojalnie zresztą wcześniej mnie o tym powiadomił, mówiąc: widzisz, co się teraz dzieje, jestem atakowany. Rzeczywiście był

atakowany. Że zbyt liberalny, a tu trzeba zdecydowanie. Ale obiecał, że ujawni je, czeka tylko na odpowiedni dla siebie moment. Odpowiedziałem mu wtedy: nie chcę ci szkodzić, możesz to zrobić jutro lub za tydzień, na czasie mi nie zależy, proszę cię tylko, żebyś uszanował moją decyzję, ufam, że ją uszanujesz, bo ja członkiem partii już nie jestem. Nie jestem!

W różnych głowach zaczęły powstawać różne pomysły. Ktoś na przykład wykombinował, by wysłać mnie gdzieś na placówkę: Na przykład do Moskwy. Jak to nie przyjmie? Co to znaczy nie przyjmie!

Ja temu wysłannikowi mówię – won. Jak ośmielacie się coś takiego mi proponować!

A on do mnie takim tekstem: słuchaj, kierownictwo myśli, że dobrze ci zrobi, jak wyjedziesz na parę lat, przeczekaś i zarobisz.

W ZSRR był dobry przelicznik.

Wtedy świetny! Postawiłem sprawę na ostrzu noża.

Co wy macie do mnie? – zapytałem.

Jak to co, przecież jesteś członkiem partii – usłyszałem. – I pracownikiem KC, w kasie masz pieniądze za trzy miesiące.

Uznałem, że je wezmę, bo z czegoś muszę żyć. I poszedłem. To nie były zresztą duże pieniądze, ja na przejściu z telewizji do KC straciłem. Poszedłem do kasy. Zabrałem Dominisję, moją młodszą córeczkę. Córcia miała cztery latka i była na etapie bardzo silnej religijności. Posadziłem ją na oknie, poszedłem do kasy, wychodzę, a moja pobożnisia klęczy na parapecie i odmawia *Ojcze nasz*.

Tatusiu – woła do mnie. – Jaki piękny jest ten kościółek!

Co za kościółek?

Komitet Centralny. Nie zrozumiałaś? Kandelabry, posadzki, przestrzenie.

Widowisko pan urzęda – ktoś zwrócił mi uwagę – żeby nas skompromitować. Pan nie powinien nas tak lekceważyć – usłyszałem.

Ludzie, co wy! Dla dziecka to kościółek. No, rodzaj kościółka. Dziecko nie wie, że to jest antykościół.

W końcu partia zaprosiła mnie na rozmowę. Komisja dyscyplinarna, trzech towarzyszy. Próbowałem z nimi negocjować.

Mówiłem: przyjmijcie moją rezygnację z pracy w KC, uznajcie moje wypisanie się z partii, nie stawiajcie mnie pod ścianą.

Ale oni, że nie, oni muszą to przeprowadzić formalnie.

Co mnie się w partii nie podoba? – zapytali.

To powiedziałem: Nie akceptuję systemu, nie akceptuję wyprowadzenia wojsk na ulice, socjalizm w Polsce jest nie do uratowania.

Więc mnie z partii wyrzucili, w marcu 1982 roku, za prezentowanie „solidarnościowej postawy”. Pięknie. Zostałem wolnym człowiekiem.

I wyszło, że Tejchma miał rację. Kiedy cię poznał rok wcześniej, napisał w swoim dzienniku: „Nie jest człowiekiem aparatu i nie zostanie przez aparat zaakceptowany. Nie sądzę, by zdołał i chciał się przystosować do biurokracji partyjnej, która jest głównym wrogiem socjalizmu”.

Miał rację.

Jak Anna Micińska, prawda?

Dunia! Świętej pamięci, moja przyjaciółka, polonistka, wspaniała twórczy edytor. Kiedy w 1966 roku postanowiłem zapisać się do partii: nie rób tego – prosła. – Przecież cię znam – mówiła – ty się do partii nie nadajesz, ty jesteś nie z tej parafii.

Nagle usłyszałam: Michał czyści kominy...

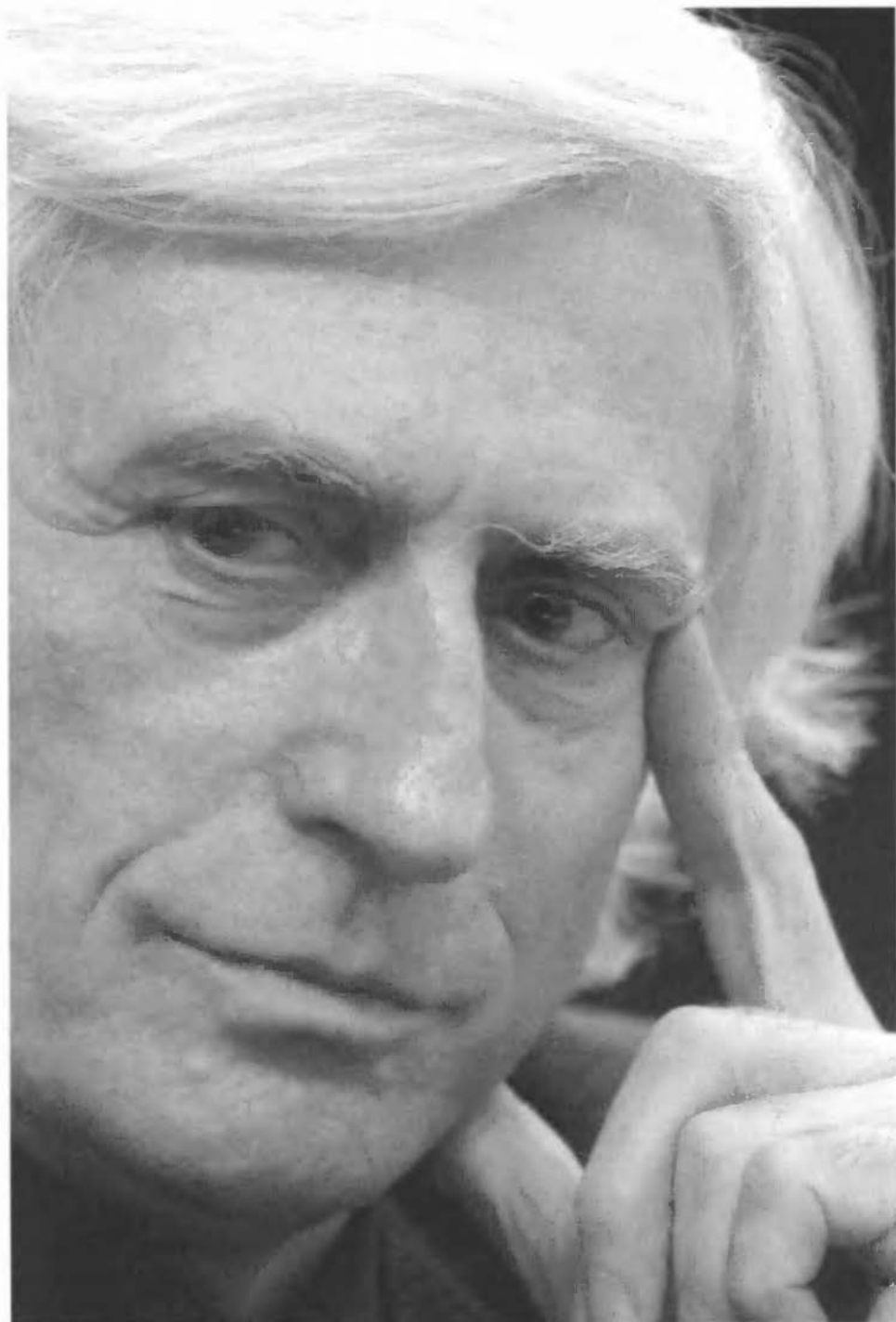
Łatałem warszawskie dachy. Z przyjacielem socjologiem, wykorzystując nasze kwalifikacje alpinistyczne, założyliśmy firmę do wykonywania robót wysokościowych.

...stoi na dachu KC.

Nie, nie. *(Śmiech)* Pracowałem któregoś razu, ale na budynku obok KC. Komitet Centralny łatania swego dachu już mi nie powierzył.

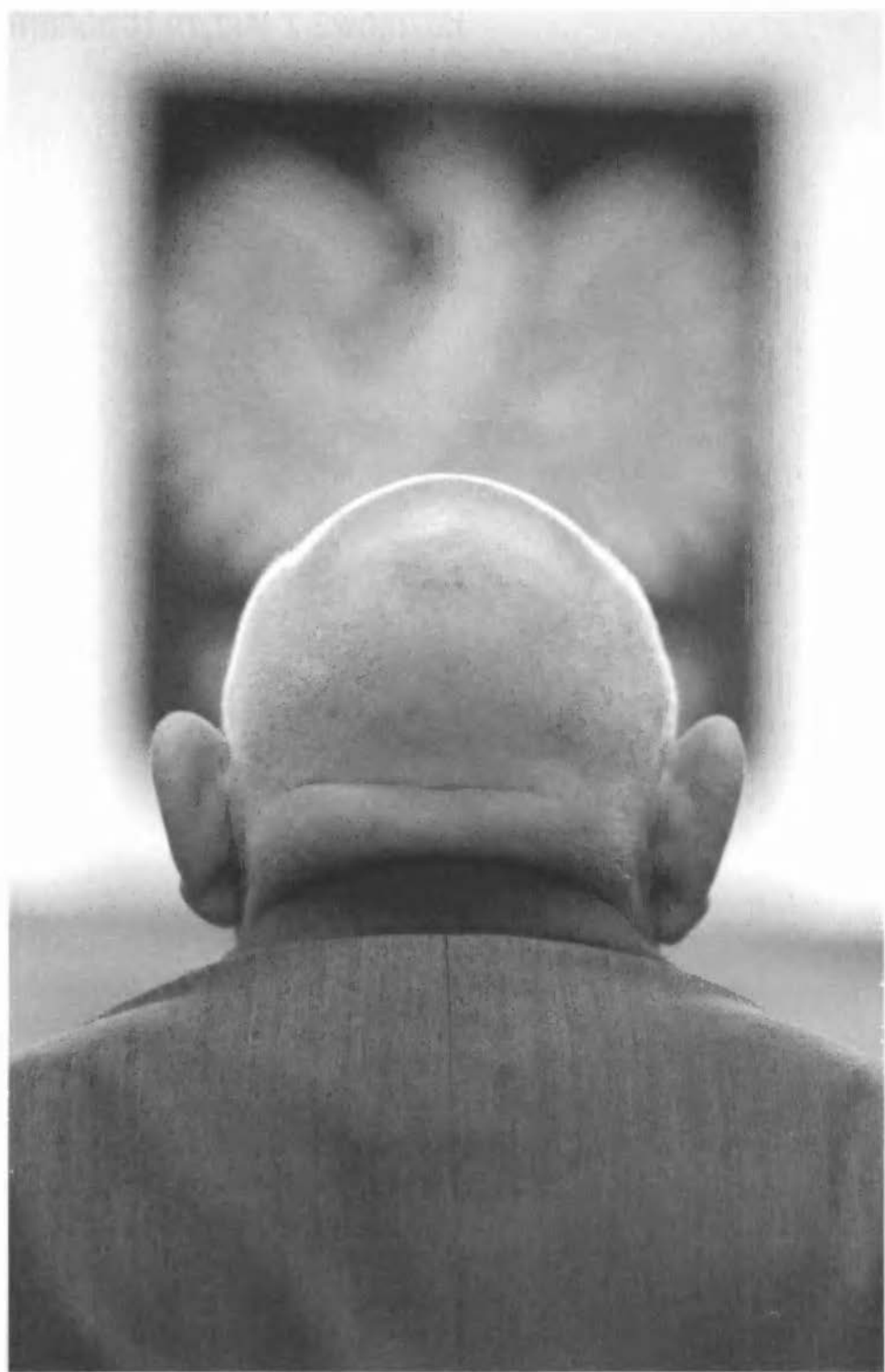
(2003)

Zamiast dopisku Michała Jagiełły



Rozmowa z Jerzym Urbanem

ON



Zaraz po północy, 13 grudnia, zadzwonił do mnie Rakowski.

Przecież wyłączono telefony.

Rządówką, proszę pani. Rządówka działała cały czas. W niektórych domach, oczywiście.

W ilu?

Nie wiem. W dwudziestu, trzydziestu. Mietek powiedział, żebym natychmiast przyjechał do Urzędu Rady Ministrów.

Po co?

Och, proszę pani, ja już od sierpnia, od kiedy zostałem rzecznikiem prasowym rządu, chodziłem po salonach władzy i pyskowałem, że kierownictwo „Solidarności” coraz mniej panuje nad masami i coraz bardziej – mówiąc po marksistowsku – wlecze się w ogonie nastrojów, a Jaruzelski zachowuje się jak mięczak, bo powinien doprowadzić do przesilenia.

Czyli zrobić stan wojenny?

Tak. Choć tego określenia wtedy nie znałem. Ja najbardziej się bałem, że jakiś milijant na motocyklu przejedzie dziecko, co statystycznie mogło się zdarzyć. Albo jakiś ubek wyrzuci przez okno sąsiada. I wtedy się zacznie.

Co się zacznie, przepraszam?

Rzeź! Historia uczy, że drobny incydent wywołuje lawinę zdarzeń.

I wejdą Radzianie, jak ich nazywał Rakowski?

Tak jest!

A co żona?

Już spała, na szczęście.

A żona Rakowskiego?

Też. Ona by dopiero teatr mu urządziła, gdyby wiedziała, co się dzieje!

Do swojej zadzwoniłem rano i tylko „włącz radio” powiedziałem, niczego nie tłumacząc. No, wie pani, ta moja ówczesna żona była bardzo nerwowa i strasznie histeryzowała.

I bał się pan, że wrzaśnie, a ktoś usłyszy: ty skurwysynie, coście zrobili?

Do pani tak powiedziała?

Nie, do pana, w niedzielę w południe, gdy z URM-u wrócił pan do domu zadowolony i roześmiany. A pan jej na to odpowiedział: my zrobiliśmy wam to, co wy chcieliście zrobić nam!

Nie pamiętam, może.

Ona była roztrzęsiona od kilku miesięcy. Mieszkaliśmy wtedy na niskim parterze i co noc walili nam w szyby, wykrzykując: Urban, ty chuju. Poskarżyłem się Jaruzelskiemu. Zadzwoił do Kiszczaka, żeby mnie chronił.

A ten dał panu nowe mieszkanie?

Nie od razu i nie on, a Urząd Rady Ministrów. Wtedy przystał jakiegoś dzielnicowego.

To co, skargę pisać? – zapytał.

A coś pomoże?

Wzruszył ramionami. To młodzież – wyjaśnił – która pije w sąsiedztwie.

Przestałem się przejmować.

W sobotę żona była w pełnej hysterii, bo na dodatek zadzwonił do nas po południu mój kolega z MSW i poradził, byśmy nie nocowali w domu. Umówiłem się z nim na poufną rozmowę na stacji benzynowej. Żona w krzyk, że boi się zostać sama w mieszkaniu. Położyłem ją więc na tylnym siedzeniu samochodu, taki folklor, żeby on jej nie zobaczył, i pojechaliśmy.

Kolega roztrzęsiony. Pytam: o co chodzi?



Na Piotrkowskiej 134 w Łodzi, gdzie mieszkał przed wojną.

A on, że nie wie, nic nie wie, ale całe MSW jest zgrupowane, więc tej nocy będą chyba wielkie aresztowania.

Kogo będą aresztować? – zapytałem. – Nas?

Nie wiedział. Pomyślałem – rzekł – że trzeba ciebie na wszelki wypadek ostrzec, bo możesz być narażony na niebezpieczeństwo.

Wróciłem do domu. W grę wchodziły dwa warianty: albo kontrzamach „Solidarności”, albo pucz partyjnego betonu przeciw ekipie Jaruzelskiego.

Zadzwoiłem do Rakowskiego. Bo jak ja, to i on. Mietek się zdenerwował.

Natychmiast jedź do Kiszczaka – nakazał – i podaj nazwisko faceta, bo trzeba go zamknąć.

Takie dictum. No, to przerwałem rozmowę i postanowiłem siedzieć cicho, nigdzie nie jechać i nocować w domu.

Czyli jak pana sąsiad, Stanisław Ciosek.

Z Cioskiem było inaczej. Kiedy go zapytałem trzy dni wcześniej, o czym rozmawiano na posiedzeniu Biura Politycznego, bo w nim uczestniczył, był członkiem Biura, a ja nie, to on nie zdradził mi, że coś się szykuje, no, skąd! Stwierdził tylko, że niczego nie może powiedzieć, bo Kiszczak zagroził, że każdego, kto puści parę z gęby, wsadzi do pierdła.

No, wreszcie – pomyślałem.

W nocy, po telefonie Mietka Rakowskiego, przejechałem przez puste, ciemne miasto. Nie widziałem ani czołgów, ani milicyjnych samochodów. Zajechałem przed Urząd Rady Ministrów. Przy drzwiach potknąłem się o coś włochoatego. Przestraszyłem się...

Że trup?

Nie przesadzajmy. Psa się przestraszyłem. Było ciemno. Leżał na progu.

Od razu poszedłem do Rakowskiego. Był sam.

I co się działo?

Nic. No, właśnie, nic. Siedzieliśmy i czekaliśmy.

Trzęsąc się ze strachu?

Napięcie było duże, tak, bardzo duże. Pusta gadanina, żeby zabić czas. Prognozy, jak na stan wojenny zareaguje Ameryka, na pewno sankcjami ekonomicznymi, więc pogłębi się kryzys gospodarczy. Że należy rozwiązać nie tylko „Solidarność”, ale także partię.

Mietek dzwonił kilka razy do Jaruzelskiego. Szukał zajęcia. Każdy w takim momencie chce być przydatny.

Jaruzelski mówił mu: zadzwoni do Fiszbacha do Gdańska, żeby już wzięli tego Wałęsę.

To Rakowski dzwonił do Fiszbacha i pytał: no, co jest?

A Fiszbach odpowiadał: Wałęsa nie wpuścił nas do mieszkania.

To Rakowski do niego: idźcie jeszcze raz.

Potem Mietek przypomniał sobie, że potrzebny jest Tejchma, bo odbywa się Kongres Kultury Polskiej, rano znowu się zbiorą, i trzeba ten kongres jakoś odwołać. Józef Tejchma był wtedy ministrem kultury i sztuki. Ale Tejchma nie miał w domu rządówki, to szukanie wolnego samochodu, który mógłby po niego pojechać.

W swoim dzienniku pod datą 3 grudnia, czyli dziesięć dni wcześniej, napisał: „Czy Boże Narodzenie spędzimy przy polskiej choince”?

Och, ten Tejchma zawsze lubił hamletyzować.

Pojawił się nad ranem, zaspany, stroskany, że rzeczywiście, w tej sytuacji, zaraz coś zorganizuje, pośle kogoś, żeby przykleił kartkę na drzwiach Teatru Dramatycznego z informacją o zawieszeniu obrad. Tylko kogo? Nikogo nie ma i są trudności techniczne. To przecież była epoka sprzed telefonów komórkowych.

Czego się baliście?

Reakcji. Byliśmy ciężko przerażeni, co się zdarzy jutro, pojutrze, w następnych trzech dniach.

Co?

Cholera was wie! Strajk generalny zrobicie i kolejne powstanie.

I wtedy was powiesimy. Prawda?

Może nie od razu. Ale ten wariant wydawał mi się bardzo prawdopodobny.

No, no. Niech pan opowie.

Nie ma nic do opowiadania. Mechanizm jest prosty. Najpierw się robi strajk generalny, a później ten strajk wylewa się na ulice.

W sierpniu 1980 roku się nie wylał.

Ale tamten nie był generalny!

Nie? 700 tysięcy strajkujących.

Generalny jest wtedy, kiedy stają wszystkie zakłady w całej Polsce.

Baliśmy się, że robotnicy zaczną tworzyć pochody i ławą wychodzić na ulicę.

Jak na Wybrzeżu w 1970 roku?

Tak, tylko w większej skali. Zawsze w wyobraźni ma się scenariusz, który już był.

I wtedy następuje palenie komitetów partii, szturmowanie komend milicji i posterunków wojskowych.

To w 1956 roku w Poznaniu.

No, dobrze.

Niedobrze. Nie znaliście tego społeczeństwa.

Proszę pani, każde zdarzenie ma swoją dramaturgię. Rozwścieczone masy kierują się własną logiką i są niesterowalne.

To społeczeństwo w 1981 roku było już o cztery zrywy wolnościowe mądrzejsze.

Och, proszę pani, to przecież wiedzieliśmy, że ani Geremek, ani Mazowiecki nie będą ich wyprowadzać na ulicę. Ale także wiedzieliśmy, że masy – jak ruszą – to żaden Geremek czy Mazowiecki ich nie powstrzyma.

Bo te masy to dla pana była hołota, tak?

Wafęzę poznałem z opowieści redakcyjnego kolegi, który na zebraniu w „Polityce” pokazał nam, jak się ten prostak zachowuje. Z wielkim kabaretowym talentem odegrał przed nami rozwalonego na fotelu chama. A potem poznałem Jurczyka. Poczuję obrzydzenie.

Pan jest estetą?

Tak, proszę pani. Kanapki jadam nożem i widelcem, bo brzydzę się także żywności. I codziennie zmieniam koszulę.

Jurczyka poznałem osobiście. Pod koniec września „Polityka” zaprosiła do Warszawy na redakcyjną dyskusję działaczy szczecińskiej „Solidarności”. Co drugi z nich był agentem.

A pan...?

Co ja?

A pan skąd to wie?

Proste, od Kiszczaka, przez Rakowskiego. Różne wiadomości zdobyłem, jak się to wszystko rypło.

Wtedy w 1980 roku podjęliśmy ich kolacją i gadaliśmy pół nocy. Straszne. Ten Jurczyk to był nadęty ćwierćinteligent.

Więc jak wytłumaczyć, że stanęli oni na czele „Solidarności”?

Naród zwariował.

Dziesięć milionów?

A to pierwszy raz w naszej historii? Miałem obrzydzenie, nic na to nie poradzę. Nabożeństwa, tłumy księży i żółty charakter tego ruchu. Żółty jak przed wojną chrześcijańskie związki zawodowe. Bałem się też jego rewindykacji ekonomicznych. Mieszkanie dla każdego w pięć lat – przecież to zupełnie idiotyczny postulat, ogłupiały, ślepy ekonomicznie. Trzyletni urlop macierzyński, podwyżka płac dla wszystkich.

I jeszcze – dorzucę panu do listy – trochę więcej wolności, wypuszczenie więźniów politycznych i gdzieś daleko, w marzeniach – niepodległość, czyli inteligenckie fanaberie.

W każdym ruchu, jak się chce, widzi się piękne utopijne idee, bo każdy masowy ruch jest emanacją niespełnionych marzeń ludzkości o równości i sprawiedliwości. Komunizm też je głosił. Proszę nie zaprzeczać. A „Solidarność” nie podobata mi się, bo godziła w organizacyjno-porządkowy kościec państwa, grała na jego upadek, ona na nim położyła lachę i gdyby nie istnienie Związku Radzieckiego nasza władza by upadła i to państwo by upadło, o!

Totalitarne, o ograniczonej suwerenności.

Represyjne. Z totalitaryzmem nie przesadzajmy. „Solidarność” cały czas dążyła do konfrontacji, naciskała, działała w uderzeniu. I nie spoczęłaby, jestem tego pewien, dopóki by tego państwa nie rozwalila.

Jak, bez broni?

Broń można zdobyć, szturmując komendy milicji.

Ale chyba trzeba mieć jakąś na początek. A broń miało wojsko, milicja i zaufani partyjniacy, bo im rozdano, miesiąc przed stanem wojennym. Nie wiedział pan?

Wiedziałem o jednym wypadku. Ktoś z redakcji „Argumentów” doniósł mi, że kilku tamtejszych dziennikarzy ma pistolety w biurkach i odgrają się, że zrobią porządek. Byłem przerażony. Prasa to przecież moje gospodarstwo, a tam – do jasnej cholery! – albo zawiązała się jakaś konspiracja – myślałem – albo ktoś szykuje wielką prowokację.

Zadzwoiłem do szefa SB. Spławił mnie, żebym się nie przejmował, bo to głupie gadanie. Zrozumiałem więc, że broń rozdają oni i że się wygtupiłem.

Dlaczego „wygtupiłem”?

Bo zareagowałem donosem, nie przypuszczając, że jest to broń ze źródeł urzędowych.

A skąd mogła być!

No, proszę pani, w Polsce cały czas się coś kotłowało i niektóre redakcje były powiązane z różnymi ambasadami. Wiedzieliśmy na przykład, że beton partyjny ze Stowarzyszenia „Grunwald” i z tygodnika „Rzeczywistość” korzysta prawdopodobnie z pieniędzy syryjskich.

Broń rozdawano między innymi w komitetach dzielnicowych PZPR. Według pana po co?

Dla samoobrony.



Rodzice – Jan i Maria Urbanowie.

Z matką...



Z psem...



*Z rodzicami i Mirą.
Zakopane, 1939 rok.*

A nie po to, by wystrzeliła 17 grudnia na wiecu organizowanym w Warszawie przez „Solidarność”?

Pani mnie pyta, czy była szykowana prowokacja esbecka. A ja skąd mogę o tym wiedzieć?

Z myślenia.

Racjonalnie myśląc, to szykując prowokację, by ktoś wystrzelił na wiecu, broni nie rozdaje się szeroko. Broń rozdaje się albo dlatego, że się wierzy w zagrożenie, iż „na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści”, albo rozdaje się ją po to, by w aparacie partyjnym tworzyć psychozę strachu i wzmacniać jego niechęć do „Solidarności”.

Nie wierzę, by takie rzeczy działy się bez wiedzy Jaruzelskiego. Rozdawanie broni to zbyt poważna decyzja, łączy się z niebezpieczeństwem przejścia jej przez drugą stronę.

Pamiętam wystawę rekwizytów znalezionych w biurach „Solidarności”. Nazwijmy – umownie – niebezpiecznych rekwizytów. Wystawę urządziło MSW z wielkim szumem w stanie wojennym, dla wybranej publiczności i wożono na nią wycieczki aktywu partyjnego z całego kraju. Były tam jakieś zaostrzone pręty, kije, łańcuchy, typowo strajkowe akcesoria. Broni nie było, choć wiem, że strasznie jej szukano. Ta wystawa w swoim plonie była dosyć żalosna. Dlatego uznałem, że jest prawdziwa.

Więc dlaczego nie pokazano jej wszystkim?

No, wie pani, wizualnie ona nie była efektowna, a chodziło o wzbudzenie poczucia zagrożenia w ludziach władzy.

I oni w to zagrożenie wierzyli?

Oczywiście, że wierzyli. Ja i dzisiaj nie wiem, kto wysyłał listy z pogroźkami do członków partii czy znaczył drzwi ich mieszkań obelżywymi napisami. I czy prawdą jest, o czym gorączkowo rozprawiano na zebraniach aktywu partyjnego, że „Solidarność” miała przygotowane listy proskrypcyjne z nazwiskami partyjnych, którzy po jej zwycięstwie zostaną fizycznie eksterminowani wraz z dziećmi, o! Jedna przecież strona obciążała drugą, a ja własnego instrumentarium sprawdzania nie miałem. Może była to operacja esbecka, a może nie.

Naprawdę pan nie wie?

Oczywiście, że nie. Bo skąd?

Od Marka Barańskiego, pana wieloletniego pracownika w redakcji tygodnika „Nie”, a potem naczelnego redaktora „Trybuny”. To on między innymi serwował nam w telewizji te banialuki.

Z Barańskim wtedy, po pierwsze, nie miałem styczności, a po drugie, wcale nie jestem pewien, czy coś wiedział. Przecież jego też zapewne w tajniki prac operacyjnych

SB nie wtajemniczano i nie mówiono mu, że SB szykuje prowokację i coś tam komuś podrzuca. Kazali, żeby jechał, to jechał, filmował i komentował w telewizji. Przecież reporterzy TV wysyłani są z określonym zadaniem.

Jak to kazali?

To ja mam pani tłumaczyć?

Panu też kazali?

Nie, mnie nikt niczego nie nakazywał.

Czyli wszystkie świństwa robił pan sam z siebie?

Dziennikarzy z pracy nie zwalniałem, jeśli o to pani chodzi. Ich weryfikacją i rozwiązaniem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich dyrygował Stefan Olszowski. Ja uważałem, że jakakolwiek weryfikacja nie jest potrzebna, bo większość dziennikarzy, nie akceptując stanu wojennego, sama by z redakcji odeszła. Załatwiłem tylko powołanie komisji odwoławczej, żeby ci rozgoryczeni mogli się bronić, i interweniowałem w sprawie przywrócenia do pracy jednej dziennikarki z telewizji. Której? Nieważne, znajomej. Proszę nawet nie pytać, bo powiem: nie pamiętam.

Chodziłem z jej sprawą nawet do Jaruzelskiego, bo rzeczywiście było to oburzające, że nagle ją wylano, bez żadnej rozmowy, po dwudziestu latach pracy.

Wyrzucono ponad dwa tysiące.

Ale ona do mnie przyszła i jej przypadek szczególnie mnie zirytował.

Zaprosiłem też na rozmowę Rysia Kapuścińskiego, bo i jego wylano. Zaproponowałem mu, że otrzyma etat w redakcji, jaką wybierze, i może na korespondenta jechać, gdzie chce. Do jakiegoś kraju Trzeciego Świata, oczywiście. Ale odmówił.

Jak odmówił?

Grzecznie wysłuchał, jak to Rysio, i powiedział, że nie, że dziękuje. Jak nie, to nie. Jego sprawa.

A z Geremkiem czy z Mazowieckim nie chciał pan nigdy porozmawiać?

Po wprowadzeniu stanu wojennego siedzieli, więc było to niemożliwe. A wcześniej to oni przede wszystkim by ze mną nie rozmawiali. No, skąd! Oni przecież mieli okupacyjną mentalność! Oni uważali, że można rozmawiać z urzędnikiem niemieckim. Można, choć trudno, z szefem gestapo. Ale z kimś, kto dobrowolnie – bo bezpartyjny, jak ja – poszedł na służbę do wrednej sily – nie. Dla nich ja byłem kolaborantem.

Nigdy pan nie próbował?

Nie. Geremek swoim zachowaniem cały czas wzbudzał moją żywą nienawiść.

Widziałem, jak rozmawiał z Rakowskim – pycha, arogancja, pouczanie. A Mazowiecki to był arogant! Ryczał na mnie przez telefon, że dostaje za mały przydział papieru na „Tygodnik Solidarność”.

To może warto było spróbować z Jerzym Turowiczem?

Niczego nie rozumiał.

Pojechałem do „Tygodnika Powszechnego” pod koniec lat osiemdziesiątych, żeby go przekonać, by nie drukował artykułu, godzącego w pozycję Rakowskiego. Bo Rakowski – próbowałem mu wytłumaczyć – jest w partii liberałem i chce z opozycją porozumienia.

I wie pani, co odpowiedział mi ten wielki niby polityk i dyplomata?!

Turowicz rzekł: ja się partią nie zajmuję, mnie przestało już interesować, kto jest w niej liberałem, a kto nie jest.

A potem, jak szedłem do samochodu, to cała redakcja ustawiła się szpalerem na ulicy, żeby ochronić mnie przed rozwścieczonym niby tłumem, takie cyrki.

Dlaczego cyrki?

No, to zagrania.

Zresztą, jak pani taką moją otwartą rozmowę z nimi sobie wyobraża? Bez zgody przełożonych? Na własną rękę? Przecież ktoś natychmiast by doniósł Jaruzelskiemu. I wyszłoby, że na boku uprawiam pozarządową politykę. Niech pani nie kręci głową. Oczywiście, że donieśliiby.

Andrzej Krzysztof Wróblewski, Ernest Skalski czy Kazimierz Dziwanowski – pana przyjaciele oraz dziesiątki innych osób nie doniosłoby.

Pani chyba oszalała.

Oni już nie byli moimi przyjaciółmi, oni już byli z opozycją. A z opozycji nikt mi nawet ręki nie podawał. Przez to po dziś dzień wielu osobom na wszelki wypadek się nie kłaniam, nie chcąc się narażać na despekt. Bo jedni na pewno ostentacyjnie mi się nie odklonią, a drudzy dyskretnie udadzą, że mnie nie widzą.

Nie rozumie pan dlaczego?

Nie.

A czy może mi pan coś powiedzieć, szczerze?

Oczywiście. Przecież napisałem do pani, że potrzebuję akuszerki.

Za co pan nienawidzi tego społeczeństwa?

Trzymajmy się faktów. To mnie tutaj zaczęto nienawidzić. Ja byłem znenawidzony od początku.

Nieprawda. W 1980 roku był pan bardzo cenionym publicystą „Polityki” i uwielbianym przez czytelników Kibicem z „Kulis”, tygodniowego dodatku do „Expressu Wieczornego” oraz znakomitym felietonistą „Szpilek”.

Ale po strajkach sierpniowych przestałem.

Od razu? Z niczego?

Prawie od razu. W lipcu z ramienia „Polityki” pojechałem do Lublina. Odbывał się tam strajk kolejarzy i na wiec z robotnikami przybył do parowozowni wiceminister komunikacji w białym garniturze. Bardzo to było komiczne. Dżentelmen i awanturująca się smoluchy. Powiedział im, że jak będziecie strajkować, to my wam wyłączymy z ruchu całą wschodni węzeł kolejowy.

Rozumie pani ten absurd? My wam za karę, bo jesteście niegrzeczni, całą Polskę odetniemy od surowców importowanych ze Związku Radzieckiego. Zawytem!

Szkoda, że nie głośno.

Napisałem: nie wysyłajcie idiotów.

Nie napisał pan.

Widocznie tego nie wydrukowali.

Podjęto decyzję, żeby tym kolejarzom za przerwanie strajku dać podwyżki. Kompletne szaleństwo! Przecież to było zachęcanie ludzi do organizowania kolejnych strajków. Słusznych – uważałem wtedy – bo u nas dekadowe wstrząsy były motorem rozwoju i przemian. I byłem za ich powtórką, w znaczeniu politycznego impulsu. Napisałem więc w swoim artykule do „Polityki”: żądania polityczne – tak, trzeba je rozważyć, a żądania ekonomiczne – nie. Bo wyrwocą gospodarkę, która – jak ocenialiśmy w „Polityce” – była w stanie głębokiego kryzysu, obciążona na dodatek ogromnym zadłużeniem zagranicznym.

Wtedy wezwano mnie do KC. Jakiś idiota, kierownik wydziału prasy, nie pamiętam nazwiska, coś na „ski”...

Kazimierz Rokoszewski.

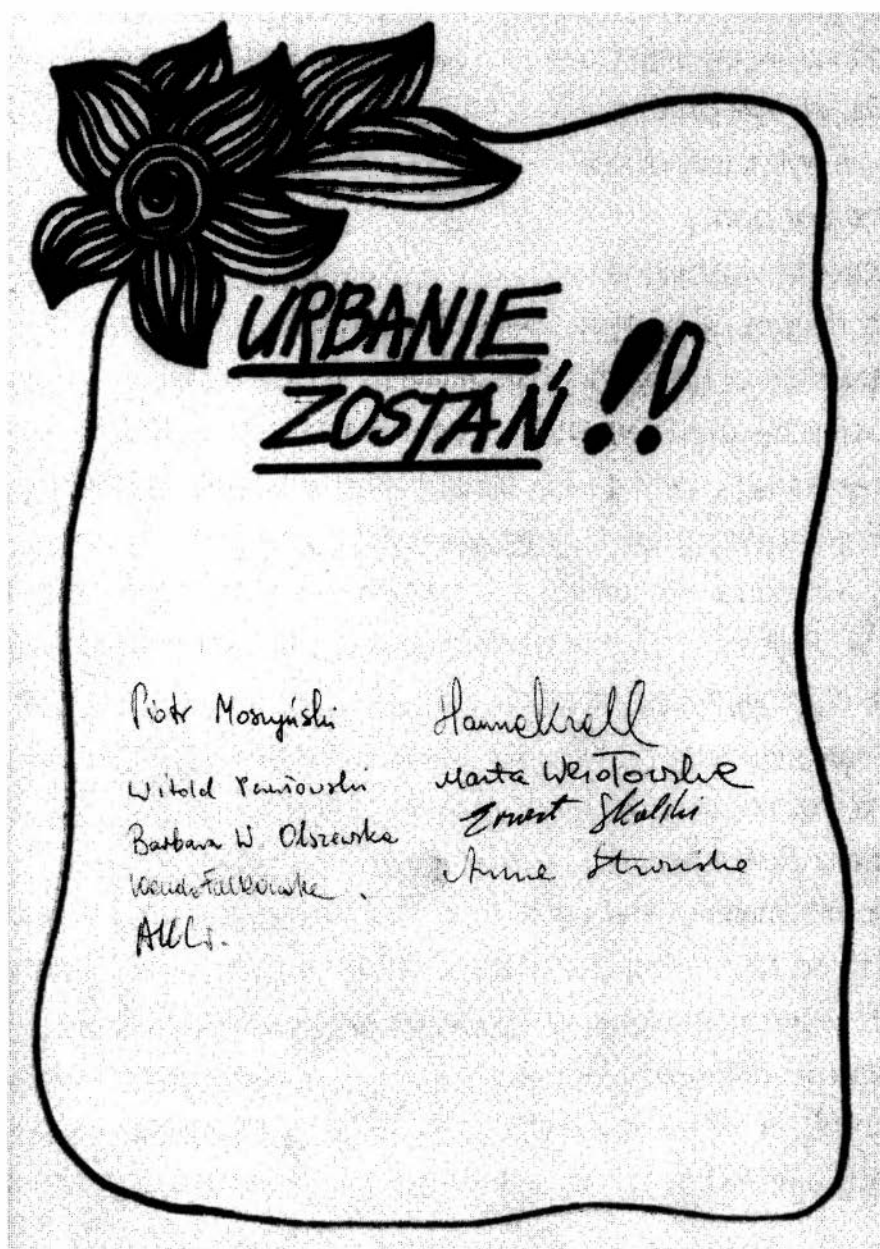
Wcześniej go nie znałem, ja w ogóle tego aparatu nie znałem, powiedział, że mój artykuł dostali do zatwierdzenia z cenzury, bardzo im się podoba i puszcza go, jak skreślę w nim jedno sformułowanie – poparcie żądań politycznych.

Nie puścicie tego zdania? – zapytałem. – Trudno. I jednym machnięciem pióra je wykreśliłem. W rezultacie wyszło, że jestem zdecydowanie przeciwko strajkom, co nie było prawdą, i w tym społecznym konflikcie zgłaszam akces po stronie władzy.

Cała scena trwała może minutę, dwie i od razu ustawiła mnie po drugiej stronie barykady.

Czyli przez Rokoszewskiego?

W „Polityce” koledzy artykuł skrytykowali i stało się tak, że zespół „Polityki”, który przez całe lata był grupą ludzi podobnie myślących, jednorodny w dobieraniu celów i metod ich osiągnięcia, razem wojujący na różnych etapach i wygimnastykowany w godzeniu pryncypiów ustrojowych z pokręconą rzeczywistością – nagle się rozpadł. W redakcji nie było już żadnych rozmów. Te dawne, duszne, całonocne, przy wódce, skończyły się. A ja, który kierowałem reporterami i publicystami i byłem jednym z naturalnych liderów tej grupy, utraciłem status przywódcy. Źle się z nimi czułem. Raziło mnie, że koledzy trochę należą tu, trochę tam.



A wie pani, dlaczego tak się stało? Dlatego, że ja w artykułach do „Polityki” i potem w komentarzach do dziennika telewizyjnego atakowałem i krytykowałem „Solidarność”. A „Solidarność” od chwili powstania nie znosiła żadnej krytyki.

Nie za to.

Za to. Bo pamiętam, że potem odbyło się jakieś forum dyskusyjne w SDP-ie, to był styczeń 1981 roku. Zostałem tam oficjalnie zaproszony, by wziąć udział w dyskusji. Już nie pamiętam na jaki temat.

„Strach jako towarzysz pracy dziennikarza”.

I co mówiłem?

Że dziennikarza trapią dwa rodzaje strachu. Jeden jawny, by inni go nie przekrzyczeli i nie stali się bardziej bojowi. A drugi tajny, żeby nie wylecieć za to z pracy – teraz albo potem.

Tak jest. Pasuje i dziś. Są te same strachy.

I wtedy wszyscy rzucili się na mnie, dlaczego nie podpisuję nazwiskiem swoich komentarzy telewizyjnych. Ostupiałem. Bo ja je pisałem na prośbę i za radą Rakowskiego, a nie podpisywano ich dlatego – pytałem o to w telewizji – że uważano moje nazwisko za zbyt kontrowersyjne, by je umieszczać w napisach końcowych.

Wściekłem się. Tak, piszę. A co, nie wolno mi?!

I wtedy część sali zawyła: on się przyznaje, on ma czelność się przyznać!

I wówczas Michnik powiedział, że szanuje pana odwagę, bo broni pan aresztowanego za malwersacje finansowe prezesa telewizji Macieja Szczepańskiego, choć to niemodne, ale dlaczego – zapytał pana – odwagi tej nie wykazał pan wcześniej, by bronić uwięzionych opozycjonistów.

Michnik zwrócił się do mnie: Urban, mój stary przyjacielu. Odpowiedziałem, żeby nie przesadzał, nie jestem jego przyjacielem. A on wyjąkał: już teraz nie musisz się bać.

Ja się nie boję – zdystansowałem się – ja się nie przyjaźnię.

Nie? Bo wiele lat wcześniej prosił pan Jerzego Ambroziewicza, swego dawnego kolegę z „Po prostu”, by pomógł młodemu-zdolnemu zarobić i wydrukował w swoim piśmie kilka recenzji Michnika pod pseudonimem.
Możliwe, nie pamiętam.

I kiedy wezwało go SB, pytając, czy coś drukował i czy zna Michnika, a on się wypierał, pokazali mu fragmenty pana zeznań.

Moich?

Pan im to opowiedział.

Nieprawda. O Michnika proszę, ale Głowczyka, szefa „Życia Gospodarczego”. I jak mnie przesłuchiowano, to ani mnie o niego nie pytali, ani ja go nie sypnąłem. Głowczyka też nikt nie przesłuchiwał. W sprawie Michnika przesłuchiwany byłem raz, tuż po Marcu. Dlatego że w jego notesie znaleziono moje nazwisko. Pytano mnie, kiedy ostatnio go widziałem. Odpowiedziałem, że na jakiejś imprezie u młodego Nieszporka, studenta, syna ówczesnego wojewody katowickiego, i tyle.

Co pani kombinuje? Że byłem agentem? (*Śmiech*) Przecież ja się do żadnej agentury nie nadaję!

To po co nagadał pan na Dziwanowskiego?

Potrzebne to pani? Stara historia.

Może przyda się innym.

W 1954 roku zadzwoniła do mnie do „Nowej Wsi”, gdzie pracowałem, przedstawicielka Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i pod pretekstem prowadzonego śledztwa w sprawie głośnego wtedy morderstwa umówiła się ze mną w kawiarni. Zapytała mnie o kontakty moich kolegów z ambasadą amerykańską. Niewiele miałem do powiedzenia, to popisywałem się różnymi opowieściami. O Dziwanowskim powtórzyłem, co sam mi mówił. Że był w ambasadzie amerykańskiej na jakimś filmie i że raz zatrzymał się przed nim na ulicy samochód z ambasady i gdzieś go podwieźli. Ona pytała mnie, z kim się Dziwanowski przyjaźni, z kim kłóci, jakie ma poglądy oraz o jego babcię hrabinę. Po trzech, czterech rozmowach tête-à-tête zorientowałem się, że nie chodzi o żadne śledztwo, tylko o działania wciągające mnie w dwuznaczną rolę i ja zaczynam być kapusiem. Miałem 21 lat i nie zdawałem sobie sprawy, że gdybym miał coś ciekawego im do powiedzenia, to by mnie zamknęli.

Nie wiedział pan, czym jest MBP?

No, niby wiedziałem, że to poważna, groźna instytucja, ale wydawało mi się, że powinienem jej lojalnie pomóc w sprawie realnego morderstwa. Nie przypuszczałem, że ona może być groźna także dla mnie.

A dla Dziwanowskiego?

Bagatelizowałem. Napięcie ze mnie opadło dopiero wtedy, gdy owa dama z MBP zapytała: podobno u was w prasie młodzieżowej organizuje się wycieczkę do Bułgarii, czy mógłby mnie pan na nią zapisać? Doznałem odprężenia. To ta mityczna potęga chce taką drobnostkę załatwić przeze mnie?! Pobiegłem poinformować o tym moją redaktor naczelną i samego Dziwanowskiego.

Nie miał pretensji?

No skąd! Ona przestała do mnie dzwonić, a z Kaziem przeżywaliśmy wspaniałe chwile po Październiku w Zakopanem. Wszyscy latali na narty, a my zdobyliśmy gdzieś *Czarodziejską górę* Tomasa Manna i leżąc w łózkach, czytaliśmy – jak sztubaki – zachwyceni. A potem Kazio poszedł do opozycji. Nie wiem, czy sam z siebie, czy go zwerbowali.

Jak zwerbowali?

A tak! Oni też przecież werbowali. Pani o tym nie wie? Mnie też próbowali. Opowiedzieć?

Dzwoni do mnie raptem Jan Józef Lipski i mówi: profesor Stanisław Ossowski umarł. Czy podpiszesz list kondolencyjny do wdowy?

Dla mnie to zaszczyt – odpowiedziałem – podpisać list do pani Marii Ossowskiej, która była moim profesorem na wydziale dziennikarstwa. – Bardzo mi ta propozycja zaimponowała.

1963 rok.

Przychodzę do klubu pracowników na uniwersytet. Siedzą: Paweł Jasienica, Lipski i ktoś jeszcze. Czytam ten list i widzę, że to nie żadne kondolencje, ale manifest polityczny. Z hasłami: wolność dla Polski, wolność słowa. Szlag mnie trafia. Co to za metody, kurwa, stosuje się wobec mnie! Gdyby powiedzieli wcześniej, co jest w tym liście, to nie wiem, może bym z nimi podyskutował albo powiedział, że przyjdę i nie przyszedł, a tu... oni patrzą, jak się zachowam.

Co robić? Jak podpiszę, pogorszę swoją sytuację zawodową – a już po kilkuletnim zakazie pisania zaczynałem stawiać na nogi i na statusie wolnego strzelca zarabiałem całkiem niezłe pieniądze. A jak nie podpiszę, to oni – Bóg wie – jaką ideologię do tego dorobią i puszczą w miasto.

Podpisałem wściekły i postanowiłem trzymać się od nich z daleka.

Bał się pan?

Niepotrzebnie. Wolna Europa listu tego nie nadała, więc żadnego śladu zdarzenia nie było. Nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego.

Czyli jak w styczniu 1981 roku ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich, które partii wymówiło posłuszeństwo.

Zgadza się.

Po tym forum dyskusyjnym w SDP napisałem na świstku papieru, że występuję z SDP-u, bo jest organizacją polityczną, wobec której odczuwam emocjonalną wrogość. Darek Fikus ze Stefanem Bratkowskim byli zaskoczeni. Dobrze im tak.

Lubię wykonać jakiś numer i czekać na reakcję otoczenia. Bardzo byłem z siebie dumny.

Z czego?

Bo jeden z nich zaczął wokół mnie biegać, żebym tego nie robił, że po co ten skandal.

Bo po co?

To była dobra zagrywka. Dałem im po nosie. Jak powiedziałem, lubię wykonać jakiś numer i czekać na reakcję otoczenia.

Lubi pan po prostu wyjść na podwórko i trzasnąć kamieniem w okno mieszkania komendanta policji ukraińskiej, tak?

Było to bardzo niefortunne walnięcie. W czasie okupacji, na wsi koło Tarnopola, gdzie mieszkaliśmy. Pierwszy i ostatni raz dostałem wtedy od ojca pasem w dupę. Nie wiem, po co to zrobitem, może dla efektu.

A może, by zakrzyknąć: patrzcie, jestem! Jak we Lwowie.

To wcześniej. Po wejściu Niemców rodzice powiedzieli mi, że nie wolno nikomu mówić, iż jestem Żydem, bo grozi to śmiercią całej rodziny, a ja natychmiast poleciałem podzielić się tą rewelacją z kolegami z podwórka. Musieliśmy się przeprowadzić. Miałem – ile? – chyba osiem lat.

A jak 48?

Zacząłem doradzać rządowi.



Nie, napisał pan jeszcze list do Kani.

Napisałem. Wie pani, co wówczas znaczyło napisać list do pierwszego sekretarza PZPR-u, którego wcześniej na oczy się nie widziło? To jakby – szukam trafnej analogii – napisała pani nagle list do papieża.

Napisałam. Wysyłając mu swoją książkę Oni.

No to do Busha! Ten na pewno o pani nie słyszał.

A Kania o panu? Niech się pan nie irytuje.

Słyszał na pewno. Prawdopodobnie była to zbitka różnych donosów, z których wynikało, że Urban jest dzikim stworzeniem, które raz pisze mądre i poważne artykuły, a innym razem skandalizujący reportaż o biurze matrymonialnym czy frywolny felieton o działaczu antyalkoholowym. Przecież Kania i w ogóle tamta władza wyobrażenia o Urbanie, Michniku czy Kuroniu kształtowała na podstawie ubeckich raportów.

Pan je natychmiast wyprostował, mam nadzieję.

Broń Boże. W tym liście, mówiąc skrótowo, zaproponowałem władzom partyjnym utworzenie rządu koalicyjnego z katolikami typu Mazowiecki i przeciwstawienie go „Solidarności”.

Myślałem, jak się uda, by ten list do Kani dotarł i jak Kania z moimi przemyśleniami się zapozna, to odniosę sukces. Nagle dostaję wiadomość, że Kania zaprasza mnie do KC. Długa, merytoryczna rozmowa. Wyszedłem z cienia. Mówi,



że mój wariant rozwiązania konfliktu jest bardzo ciekawy i wart uwagi, ale niemożliwy do zastosowania i wręcz nieprawdopodobny. Bo tych ludzi nie da się, niestety, wysuptać z „Solidarności” i namówić do przejścia na naszą stronę.

Rozmowa się przeciąga, jest już bardzo późno, Kania cały czas popija wino mozelskie i próbuje mnie częstować. Ja nie piję, bo nie znoszę wina mozelskiego i jestem samochodem, a przede mną siedzi człowiek kompletnie zalany i rozdarty wątpliwościami, czy kontynuować politykę porozumienia i kompromisów z „Solidarnością”, czy ulec naciskom radzieckim. I który proponuje mi nagle, byśmy z piciem przenieśli się do jego domu. Świat mi się wali na głowę.

To jakby pani poszła z oficjalną wizytą do Mitterranda, a ten zaproponował pani wspólny wyjazd na weekend.

Pojechatabym.

Ja nie! Kania był pijany jak bela i ja już tej degrengolady wolałem nie oglądać. Odmówiłem. Zresztą żony się też trochę bałem, bo było bardzo późno.

A potem, trzymając się chronologii, nastąpił kryzys bydgoski i zostałem doradcą wicepremiera Rakowskiego.

Za ile?

Co za ile?

Ile panu za to doradzanie płacili?

Ani grosza. Nawet obiadu nie dawali. Wtedy nikomu nie przychodziło do głowy, że doradzanie ma jakikolwiek związek z pieniędzmi.

I pan, który zawsze podkreśla, że lubi pieniądze, chciał za darmo?

O rany! Przecież to rajc! Jest kryzys, a ja mogę siedzieć w gronie decydentów, jestem



wciągany do drużyny i gram z nią na boisku. I to nie o jakąś głupią piłkę, która czy wpadnie do bramki, czy nie wpadnie, o niczym – poza wynikiem meczu – nie przesądza. Ja gram w drużynie o sprawy decydujące o losach milionów ludzi. Bardzo to było podniecające.

Zacząłem bywać w Urzędzie Rady Ministrów, poznawać ludzi z aparatu władzy i coraz większą więź czułem z moją drużyną.

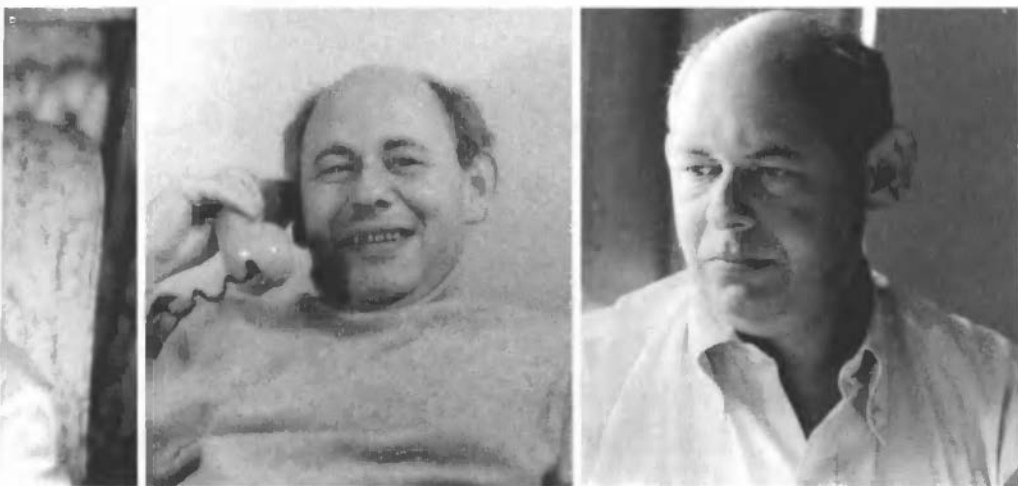
A kilka miesięcy później oszukaliście, że „Solidarność” rozmowy z rządem zerwała, choć ich nie zerwała, pamięta pan? Po to, by zdemontować przed społeczeństwem, że związek spotyka się z rządem, udając tylko, iż rozmawia, ale tak naprawdę nie chce żadnego porozumienia i wyłącznie dąży do konfrontacji.

Pamiętam. W nocy z 6 na 7 sierpnia. Nie skłamałszy, natomiast ubiegliśmy ich w wydaniu komunikatu. Po słynnych rozmowach z Ciosek. Co wreszcie odwróciło bieg wydarzeń na naszą korzyść i przeszliśmy do ataku. Uważam to za swoją historyczną zasługę.

Pan się śmieje?

Bo to było bardzo zabawne. Późną nocą skończyliśmy rozmowy bez podpisania wspólnego komunikatu. Ciosek i Rakowski chcieli iść spać, a ja – i na tym poległa moja historyczna zasługa – powiedziałem: nie, kto pierwszy, ten lepszy, natychmiast napiszmy komunikat o zerwaniu przez nich rozmów. I kiedy Onyszkiewicz, bo on był wtedy rzecznikiem prasowym „Solidarności”, będzie słodko spał, my to nadamy w dzienniku radiowym.

Napisaliśmy więc komunikat i poszliśmy do Jaruzelskiego, żeby zatwierdził. Spał w saloniku wypoczynkowym za swoim gabinetem, on tam sypiał przed stanem wo-



jennym i po stanie wojennym, na kanapce, pod kocem, w strasznie nędznych warunkach, całymi miesiącami do domu nie jeździł.

Wyszedł do nas w koszuli, w spodniach z szelkami i w rannych pantoflach. Wtedy go poznałem.

Nasz komunikat odczytywany był w radiu co godzinę i stał się przełomowym momentem w relacjach z „Solidarnością”. Władza, działająca dotąd w defensywie, złapała oddech i przystąpiła do kontrofensywy.

A pan, dzięki temu, został rzecznikiem prasowym rządu.

Kania mnie zaproponował, Rakowski skwapliwie poparł, a Jaruzelski powołał.

Nasze dokumenty rządowe – powiedział – towarzyszu redaktorze, są drętwe, a wy tak ładnie potraficie pisać dla ludzi.

Jak było przy rządowym biurku?

No, wie pani, kiedy się przychodzi do pracy w rządzie, to człowiek na początku wstydzi się prosić sekretarkę, by z kimś tam połączyła. Bo przecież mam palec i kręć. Żadna fatyga. Potem człowiek nie umie już kręcić i jak nie ma sekretarki, to nie dzwoni i czeka, aż ona wróci.

Papierosów, jak mu zabraknie, też nie pali?

Od przynoszenia papierosów jest kierowca lub, później, gdy go miałem, oficer ochrony. Ja nie wysyłałem, bo jestem pod tym względem powściągliwy, ale oni sami pytali, czy czegoś nie trzeba. Nie tyle nawet ze służalczości, co z nudów. Bo ile godzin można siedzieć beczynnienie?

Kiedy natomiast gdzieś wyjeżdżałem za granicę, wstawałem od biurka, prowadzili mnie i wieźli. Na lotnisku ktoś mi mówił: proszę tędy, szedłem, paszportu swego nie widziałem, bagaże były dowieszone, siadałem na wskazanym miejscu. Potem w jakimś Paryżu wysiadałem, wieziono mnie do hotelu, później na oficjalne rozmowy. Podróżowałem jak paczka nadana na poczcie i ze świadomością paczki.

Na Nowy Rok zaś cały gabinet miałem zastawiony butelkami z ambasad. Wina, wódki, whisky. Za pierwszym razem, jak przynoszą, to człowiek myśli – a co ja z taką ilością zrobię? Potem ogląda – mówię nie o sobie, ale o mechanizmie – i widzi: o, za dużo koniaków, a za mało whisky. I wchodzi się w automatyzm.

Potrzebne ubranie? No to z fabryki odzieżowej w Bytomiu. Za trzy dni przyjeżdża krawiec. Koszule? No to z Wólczanki.

Potem przychodził jakiś rachunek, niezbyt dolegliwy. Na pewno po cenie kosztów.

O! przyjeżdżał jeszcze szef kancelarii ówczesnego pierwszego sekretarza w Poznaniu i przywoził w prezencie kielbasę.



1507V IIRRA

Czego oczekując w zamian?

Ode mnie? Niczego. Może życzliwości i przychylności dla swego szefa, jak zjedzie coś załatwiać do Warszawy.

On te wędliny woził zresztą nie tylko do mnie. Miał ich cały samochód i obchodził wszystkie gabinety.

Był też prywaciarz, producent konfekcji, który mówił, że nie, on nie sprzedaje, szyje tylko na Zachód. No, to w porządku. Żonie powiedziałem: jedź, wybierz, tylko płać. On się krzywił, ale jak się uparła, dał jej jakiś rachunek.

Czy to była korupcja? Nie. Raczej system przywilejów i osaczania, biegnący od dołu do góry. Ówczesne przekręty niektórych ministrów z dzisiejszej perspektywy są po prostu śmieszne. Polegały na tym, że boazerię I klasy kupowało się po cenie II klasy.

Niecały miesiąc od wprowadzenia stanu wojennego, 9 stycznia 1982 roku, powiedział pan na konferencji prasowej dla zagranicznych dziennikarzy, że wprowadzone przez Reagana sankcje gospodarcze uderzą nie w rząd, ale w społeczeństwo. Bo władza – oświadczył pan – zawsze się jakoś wyżywi.

Święta prawda.

Pan się śmieje? Przecież to było okrutne. Bo rząd wtedy wprowadził również podwyżki cen żywności o 300, 400 procent.

Moje konferencje prasowe były najlepszym politycznym show, jaki kiedykolwiek miała telewizja w PRL-u. 60 procent oglądalności! One stały się instytucją!

Wymyśliłem, że w każdy wtorek, w południe, spotykam się z dziennikarzami zagranicznymi, akredytowanymi w Polsce i odpowiadam na ich pytania. Potem telewizja komponuje z tego swój program, eliminując co dla niej niewygodne, a „Rzeczpospolita” drukuje.

Na tych konferencjach zawsze miałem pełną salę. A wie pani, dlaczego był taki szalony skup tych konferencji? Bo ja dbałem, żeby na każdą przynieść żer. I kiedy Senat USA uchwalił dla zrównoważenia sankcji gospodarczych pomoc dla polskiego społeczeństwa w śmiesznej kwocie jednego miliona dolarów, ja na przykład wymyśliłem, że rząd polski będzie wysyłać śpiwory i koce dla bezdomnych w Nowym Jorku. Śmiałem się wtedy tak, że telewizja nie mogła tego puścić i musiała po zakończeniu konferencji nakręcić moją wypowiedź jeszcze raz, już na poważnie, i podmienić obraz.

Proszę pana, pan został zniechęcony za naigrywanie się z ludźmi. Stojących w kolejkach po kawałek mięsa, wyrzucanych z pracy, bitych i aresztowanych. Oraz za to, że naigrywanie się z nich pana bawiło.

I dzisiaj mam prawdziwą przyjemność, jak komuś dopieprzę. Widocznie takie są paskudne motory mego funkcjonowania.

A nie kompleksy?

Nie.

Nie?

Nie. A wie pani, co mnie najbardziej w „Solidarności” wściekało i jaka była przyczyna mojej nienawiści nie tylko do „Solidarności”, ale do całej w ogóle opozycji? I co

zresztą irtuje mnie do dzisiaj w Unii Wolności? Wykluczenie z racji moralnych. Oni autorytatywnie i w sposób absolutnie arogancki twierdzili, że racja moralna jest wyłącznie po ich stronie, na każdym kroku demonstrowali swoją wyższość moralną i nie chcieli uznać podziału ról, że ja – jako rzecznik rządu – funkcjonuję w systemie walki polemicznej, że rzecznik jest od przekazywania poglądów swoich mocodawców, że trwa mecz i obowiązuje mnie logika gry sportowej.

To nie był mecz, bo mecz jest zabawą. A tu stały czołgi na ulicach i ginęli ludzie.

Zginęło niewielu. Wprowadzenie stanu wojennego było operacją perfekcyjnie przeprowadzoną. Jestem pełen uznania dla Jaruzelskiego.

Mówił o panu „ścichapek”.

Zapewne chciał wyrazić to, że jestem układny w rozmowie, spokojny w rozważaniach, po czym publicznie eksploduję.

Pana konferencje oglądał?

Ach, tak.

Podobały mu się?

Tak. Choć dostawał listy protestacyjne od aktywu partyjnego, który straszliwie się na te konferencje oburzał. Że okropne rzeczy wygaduję i daję trybunę wrogowi.

A co Jaruzelskiemu się w nich nie podobało?

Na początku raziło go, że jestem mały, gruby, łysy, macham nogami i na wizji prezentuję się niezbyt atrakcyjnie. Oczywiście nie powiedział mi tego wprost, jest na to za delikatny. Potem jednak uznał, że na ekranie telewizyjnym ważna jest nie fizyczność, ale osobowość, i że dzięki mnie nastąpił podział ról. On – ugodowy polityk, dążący do porozumienia, łagodzący napięcia, bo na takim image'u mu zależało, a ja dla kontrastu jestem od gromienia i rzucania złościwości.

W tej roli sam się ustawiłem. Ona przez nikogo nie została mi narzucona. Odpowiadała mojemu temperamentowi, pasji i emocjom politycznym oraz skłonnościom do popisywania się.

Ale przed kim się pan popisywał? Nie rozumiem.

Na moje konferencje przychodzili dziennikarze z całego świata. Niektórzy wybitni. Michael Kaufman i John Darnton z „New York Timesa” – ten ostatni dostał nagrodę Pulitzera – oraz Andrew Nagorski z „Newsweeka” i Bernard Guetta z „Le Monde”. Przyjeżdżały też gwiazdy telewizyjne – Barbara Walters z ABC i Walter Cronkite – bardzo przystojny, z którego zdaniem liczył się Biały Dom i który dla całej Ameryki był wyrocznią. Ale Cronkite bardziej był aktorem niż dziennikarzem, dawał twarz i głos,

i kiedy na przykład przeprowadzał ze mną wywiad, siedział obok niego – zapewne dla kontrastu – niski intelektualista żydowski w okularkach, z żółtymi zębami i z grubych notesów podszeptował mu, o co pytać.

Do Polski na korespondentów nie przysyłano zresztą złych dziennikarzy. Niektórzy byli bardzo dobrze wprowadzeni w sprawy polskie. Renate Marsch z niemieckiej agencji DPA, Bernard Margueritte z francuskiej AFP, Jan Krauze z „Le Monde” czy Krzysztof Bobiński z „The Financial Times” znali język i byli rzeczywiście fachowcami. Ten ostatni zamęczał mnie bez przerwy o reformy gospodarcze, jak przebiega pierwszy etap, drugi. Oni codziennie rejestrowali układy we władzy, mieli kontakt z opozycją i odgrywali rolę pośredniczącą między władzą a opozycją.

Oni z pana kpili.

Nie. O przykład, proszę.

Zapytali pana, czy jest w Polsce lecznica rządowa.

Była, dzisiaj też jest.

A pan powiedział, że nie ma. I że rząd nie ma żadnego kurortu w Bułgarii.

Bo nie miał. Była tam pani? Skromny pensjonat, żaden kurort.

Zapytali też, dlaczego w PRL-u frekwencja wyborcza sięga 90 procent.

I co im odpowiedziałem?

„Bo u nas jest większy zakres zainteresowania sprawami politycznymi niż w USA”. I dodał pan, że w Australii na przykład jest przymus głosowania, a „u nas pod tym względem jest większa swoboda”.

To już wszystko?

Nie. Zapytali też pana, niech się pan nie zżyma, kto podjął decyzję o bojkocie igrzysk olimpijskich w Los Angeles, pamięta pan?

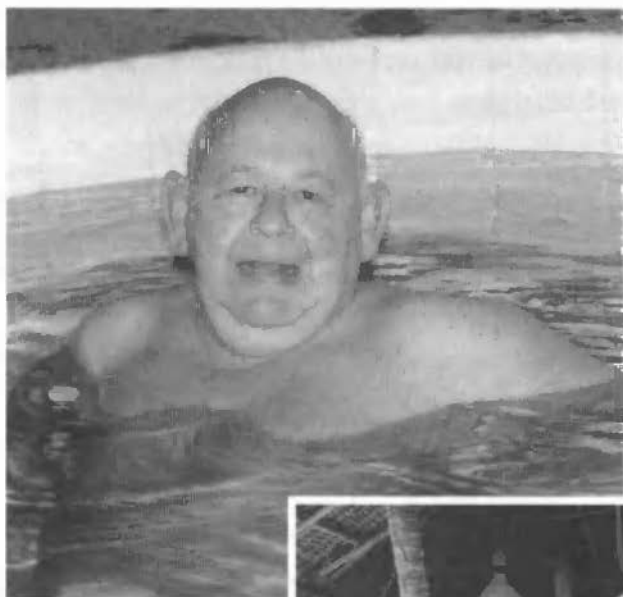
Nie.

Że Polski Komitet Olimpijski, odpowiedział pan...

Bardzo dobrze. Na szczeblu rządowym nie przygotowuje się imprez sportowych.

...który jest w swoich decyzjach suwerenny.

Och, proszę pani, oni przecież wiedzieli, że Biuro Polityczne. Na dodatek nie nasze. Nie widzę nic zdrożnego ani w ich pytaniach, ani w moich odpowiedziach. To normalna taktyka władzy, że spycha niewygodne dla siebie decyzje na niezależne formalnie organy. W ten sposób postępuje każdy rząd, w każdej epoce i w każdym kraju.



A jak pan dzisiaj myśli, czy polskie społeczeństwo interesowała transmisja z odbioru Nagrody Nobla dla Wałęsy w Oslo przez jego żonę i syna, czy nie interesowała?

Przypuszczam, że bardzo interesowała.

Bo powiedział pan, że nie.

To głupio.

I jeszcze wytłumaczył pan, dlaczego tej transmisji nie było. Bo Telewizja Polska jest w swoich decyzjach suwerenna i rządowi nic do niej.

Telewizja miała gówny do powiedzenia w tej sprawie.

No, właśnie, pana słów nie można było traktować poważnie.

Oni traktowali mnie bardzo poważnie. Ja byłem dla nich przedstawicielem władzy i wyrażałem jej oficjalne stanowisko, a że były w tej prezentacji elementy show, to inna sprawa. To był nasz wspólny show, w którym odgrywaliśmy antagonistyczne role, karmiąc się nawzajem gagami. I oni doskonale wiedzieli, że to dzięki mnie stawali się tutaj gwiazdorami i że beze mnie w ogóle by nie istnieli. Nikt we Francji nie słyszałby o żadnym Margueritte czy w Niemczech o Renate Marsch. A tutaj oglądała ich w telewizji cała Polska, stawali się ludźmi ogólnie znanymi, rozpoznawanymi na ulicy. Ich prestiż i znaczenie wynikały z roli, jaką odgrywali w polskiej polityce wewnętrznej, i z tego, że oni na tych moich konferencjach wstawali, zadawali rozbudowane pytania oraz wypowiadali się w imieniu polskiej opozycji, z którą się konspiracyjnie spotykali, a ja – pokrzykując na opozycję – dawałem jej jednocześnie trybunę oficjalną.

A potem za to z Polski wylatywali, prawda?

Za mojej pamięci usunięto tylko jedną Amerykankę – Ruth Gruber. Po jakiejś prowokacji.

Tak? Bo pan mówił na konferencji, że żadnej nie było.

No, wie pani, jak mi MSW powiedziało, że ona otrzymała paczkę ze szpiegowskimi zdjęciami przystanymi LOT-em z Gdańska do Warszawy, to skąd, cholera, miałem wiedzieć, o co chodzi. Mnie przecież nie mówiono, że te zdjęcia jej podłożono, tylko że je u niej znaleźiono. Tym bardziej że właśnie złapano też dwóch Duńczyków, którzy szpiegowali.

Jak?

Robili zdjęcia obiektów wojskowych.

A Ruth Gruber?

Bardzo agresywna. Lubiałem dziennikarzy agresywnych, bo wtedy miałem okazję agresywnie odpowiedzieć, dochodziło do spięcia i był show. Ale ci agresywni prze-

ważnie niewiele wiedzieli i własną niekompetencję pokrywali słownymi popisami. Ruth Gruber kiedyś krzyknęła: pan kłamie! Może nie dosłownie, ale coś w tym rodzaju. Więc jej odpowiedziałem: pani może wyjść, nikt pani tu nie każe przychodzić. Ot, taka pyskówka.

Usunięto też Henryka Kurtę z „La Libre Belgique”.

Tłumaczono mi, że za jakieś powiązania z opozycją. Dziwne, że w ogóle dostał akredytację. Emigranci z Polski w zasadzie jej nie dostawali.

Był jeden z prasy polonijnej.

Pamiętam, kompletny idiota.

Usunięto też między innymi Kevina Ruane’a z BBC, Bogustawa Turka z UPI i Dana Fishera z „Los Angeles Times”. Do mieszkania Fishera wcześniej włamali się „nieznani sprawcy”. Pan oczywiście temu zaprzeczył.

Zawsze byłem przeciwko wydalaniu. Mówiłem, że to bez sensu, to nastawia przeciwko nam wszystkich zagranicznych dziennikarzy i pobudza ich do zawodowej solidarności. Poza tym wydalanie w ogóle nie jest dla nas optymalne, bo w miejsce wyrzuczonego dziennikarza agencja przyśle następnego, który nie będzie lepszy, a może być gorszy, bo przyślą na złość.

I są retorsje.

To już mnie nie interesowało. Bo co za różnica, kto tam z Polski siedzi.

Mechanizm był taki, że wydalanie przeprowadzało Ministerstwo Spraw Zagranicznych jako organ wykonawczy, siłą sprawczą było Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a decydował generał Jaruzelski.

Jaruzelski?

No, to były przecież ważne decyzje. Rzutowały na obraz Polski w świecie.

A pan jak manipulował dziennikarzami?

Nie było żadnej manipulacji. Chociaż niektóre pytania wywoływałem. Każdy rzecznik to robi. Kazałem po cichu przekazać jakiemuś dziennikarzowi: zadaj takie i takie pytanie, dostaniesz odpowiedź.

Komu?

Każdemu z polskich można było podsunąć.

Z Michaelem Kaufmanem z „New York Timesa”, który tu siedział kilka lat, zagrałem natomiast va banque. Zaprosiłem do domu na kolację i wyłożyłem karty na stół. Chodziło o pułkownika Kuklińskiego. Powiedziałem mu, że w moim interesie politycznym jest zdemaskowanie Reagana, iż wiedział o zamiarach wprowadzenia

stanu wojennego w Polsce od Kuklińskiego i nie uprzedził sojuszników w Polsce, a w interesie „New York Timesa” jest zapytać administrację waszyngtońską o powody zatajenia ucieczki Kuklińskiego.

Zapytał?

Nie. Centrala prawdopodobnie nie chciała kompromitować urzędującego prezydenta. Ale zasada rozmowy *off the record* została uszanowana. Żaden z nich zresztą jej nie łamał.

To po co zamontował pan podsłuch w swoim gabinecie?

Rzeczywiście kazałem założyć.

Spotykałem się z dziennikarzami prawie codziennie, jak nie z jednym, to z drugim, i w pewnym momencie zacząłem się bać, że oni dla efektu włożą mi w gębę coś, czego nie powiedziałem – i co wtedy? Zarzuci mi się nielojalność czy popełnienie politycznej gafy i będę bezradny. Pomyślałem więc, że będzie lepiej, jak te wszystkie moje rozmowy będą nagrywane przez techników MSW.

Zadzwoiłem, przyszli i pozakładali jakieś pluskwy. Rakowski był na mnie obrażony. No, ale Rakowski traktował swoje kontakty z MSW bardzo ambicjonalnie.

Miał podsłuch?

On uważał, że ma, i w przeciwieństwie do mnie strasznie się tym przejmował.

Głupi jesteś – powiedział mi. – Ułatwiasz im robotę.

Miał rację. Sam przecież mogłem postawić mikrofon na stole i wszystkie rozmowy nagrywać. W końcu miałem prawo dokumentować swoje wypowiedzi w imieniu rządu. Albo nic nie mówiąc, mogłem włączać magnetofon schowany w biurku.

Po tej reprimendzie Rakowskiego kazałem te pluskwy rozwalić.

Rozwalili?

Nie sprawdzałem. Wiem tylko, że członkowie ekipy rządzącej chodzili odbywać poufne rozmowy do Łazienek. I spacerując alejkami, omijali dróżki, po których chodziła poprzednia ekipa rządząca. Ale to normalne. Niedawno, w III Rzeczypospolitej, byłem u ministra spraw wewnętrznych, rządzącego policją, UOP-em i wszystkimi służbami wywiadowczymi, i on mi mówi: poczekaj, odprowadzę cię do windy.

Wsiada ze mną do windy, zatrzymuje między piętrami i zaczyna ze mną rozmawiać. Nie wytrzymałem.

No to, kurwa – zapytałem go – kto tu teraz kogo podsłuchuje?

Nic nie odpowiedział. Bo pytanie było głupie. Pokusa, żeby wiedzieć, o czym przyjaciele i wrogowie gadają w prywatnych rozmowach, jest ponad wszelkie prawa i zasady.

Pamięta pan pielęgniarkę, chyba z Podkarpacia?

Pielęgniarkę? Coś sobie przypominam. Chodziło o to, że rzecznikowi rządu nie wszystko wypadło oświadczać ex cathedra. I nie wypadło na przykład nagle powiedzieć, że w Pcimiu Dolnym aresztowano pielęgniarkę – bo cóż to za sprawa rządowa – ponieważ pomyliła w szpitalu lekarstwa i kilka noworodków zmarto.

Więc zapytajcie o tę pielęgniarkę – przekazałem któremuś dziennikarzowi – bo ja coś mam.



Z Czestawem Kiszczakiem.

A do czego była ona panu potrzebna?

Nie rozumiem. Albo nie pamiętam.

Przypomnę, do stworzenia atmosfery, sprzyjającej skazaniu lekarki i sanitariuszy po zamordowaniu Grzegorza Przemyka.

Nie zamordowaniu, tylko pobiciu. Dziś także uważam, że był to nieszczęśliwy wypadek przy pracy.

Sekwencja zdarzeń była taka, że opozycja podniosła krzyk, iż milicja zgarnęła i pobita Przemyka, aby zrobić przykrość Sadowskiej. Nie wierzyłem w to i dalej nie wierzę. Barbara Sadowska nie była aż tak ważną osobą w opozycji, by zasadzić się akurat na jej syna. Ot, myślałem, banalny przypadek, zdarzający się na całym

świecie, że milicja zgarnia rozrabiającego chłopaka, dosuwa mu za mocno na komisariacie i nieszczęście gotowe. Jasne, że nie wolno bić na komisariacie, ale wszystkie policje świata biją.

W PRL-u bezkarnie, nie widzi pan tej różnicy?

No, w końcu doszło tam do jakiegoś procesu.

No, właśnie. Skazano nie milicjantów, którzy śmiertelnie pobili, ale niewinnych: lekarkę i sanitariuszy z pogotowia ratunkowego.

Trzeba było skazać tych funkcjonariuszy, to oczywiste. Ale wie pani, Kiszczak bał się tego aparatu, tej milicji.

Bał się kilku szeregowych milicjantów z komisariatu na Jezuickiej?

Zupełnie idiotyczne, ale się bał. Że ujawnienie ich źle wpłynie na resort.

W którymś momencie całego tego zamieszania poszedłem do Jaruzelskiego. Byłem z nim zresztą w codziennym kontakcie, jak nie osobistym, to telefonicznym, mieliśmy bezpośrednią linię i przed każdą konferencją spotykaliśmy się, by ustalać, co mam mówić.

Powiedziałem mu, że wprawdzie nie wiem, jak było, ale tych funkcjonariuszy milicji należy w pracy zawiesić i że w ogóle dla mnie cała ta sprawa śmierdzi. Wysłuchał i powiedział, że porozmawia z Kiszczakiem.

Co śmierdzi?

Gorliwość Kiszczaka.

Bo czy to normalne, by szef resortu osobiście interesował się jakąś lekarką z pogotowia, która – twierdził – okrada przewożonych do szpitala pacjentów? Może i okradała, nie wiem, zdarzenie prawdopodobne, dzisiaj bym w nie także uwierzył. Ale czy to normalne, by szef resortu zajmował się dokumentacją fotograficzną sprawy? Przecież to jedna z wielu, a nie żadna sprawa wagi państwowej. A on przysyłał do mnie oficera z albumem zdjęć, ilustrujących bestialstwo sanitariuszy i zapraszał na narady w MSW, gdzie omawiano postępy w śledztwie. Wychodziło z niego, że pobili sanitariusze, a lekarka z pogotowia ratunkowego to pobicie tuszowała. On strasznie chciał mnie do tej wersji przekonać.

Pana? Po co!

No, żebym mówił, jak on chciał, na konferencjach prasowych.

Pan by przecież i tak mówił.

Rakowski często mnie za to atakował. Mówił: nie bądź rzecznikiem policji politycznej oraz rzecznikiem MSW, nie gadaj za nich, niech MSW samo gada o swoich sprawach. I przestrzegał mnie przed angażowaniem się w mactwa esbeckie.

Jednego pełnomocnika Barbary Sadowskiej – pamięta pan? – mecenasa Siłę-Nowickiego, szybko pozbawiono prawa wykonywania zawodu, uchwalając ustawę, że po skończeniu siedemdziesiątego roku życia nie wolno.

Nie była to mądra polityka, bo uchwalanie ustawy, by utracić jednego emeryta, jest strzelaniem z armaty do muchy. Albo ujawnianiem manipulacyjnego charakteru państwa.

A drugiego pełnomocnika, mecenasa Macieja Bednarkiewicza, za-aresztowano i zabrano mu notatki. A pan usiłował zrobić z niego pospolitego kryminalistę. Że Bednarkiewicz ukrywał dezertera z ZOMO, że dał mu 250 tysięcy zł, które nie wiadomo skąd wziął, że namawiał go do kradzieży radiostacji. I że trzymał w domu antypaństwowe publikacje.

W aresztowanie adwokata nie powinienem się angażować, niewątpliwie źle zrobiłem. Rakowski miał, oczywiście, rację.

A pan gadał dlaczego?

Może z próżności. Trzy czwarte pytań, zadawanych przez dziennikarzy, dotyczyło przecież spraw związanych z działalnością MSW. A ja lubiłem być dobrze poinformowany, więc takomie łapałem wszystkie szczegóły. Lubiłem kamery, tłumy na sali i lubiłem swoimi odpowiedziami bulwersować moją klientelę.

A rzetelność dziennikarska gdzie?

Nie byłem już dziennikarzem. Występowałem w innej roli.

To przyzwoitość? Albo zwyczajny instyngt samozachowawczy.

Gdy zostawałem rzecznikiem, powiedziałem Rakowskiemu, że dla mnie warunkiem pracy w rządzie – to à propos kłamstw, które mi pani zarzuca – jest postugiwanie się prawdziwymi dowodami. Że jeśli walczymy z opozycją i walczymy przy użyciu represji karnych, to jeżeli ktoś weźmie udział w strajku, który jest zakazany, złapią go i dostanie wyrok, to proszę bardzo, ja ten wyrok poprę, bo jestem w drużynie walczącej z opozycją. Ale jeśli zacznie się podstawiać fałszywych świadków, by komuś udowodnić popełnienie zmyślnego przestępstwa, czyli stosować metody znane z epoki stalinowskiej – odmówię. Tej granicy nie przekroczę.

Ale ją pan przekraczał.

To nie wiedząc, jak w wypadku Przemyka, że ją przekraczam.

Bo pan tylko manipulował dziennikarzami i opinią publiczną.

Nie manipulowałem.

To kto panem?

MSW.

Kiszczak konkretnie?

Jako instytucja.

A kto manipulował MSW?

To była autonomia manipulacyjna, dotycząca nie tylko zresztą MSW, ale także służb wojskowych czy aparatu partyjnego. Każdy w swoich raportach pisał to, czego od niego oczekiwał jego dysponent polityczny. Była to jedna z kardynalnych wad ustroju, ponieważ wtórnie za tymi informacjami biegły różne decyzje. Te informacje kształtowały politykę, a polityka kształtowała informacje i powstawało błędne koło.

Jaruzelski?

Jaruzelski był manipulowany innymi sposobami. Przez dobór informacji, jakie dostawał z MSW. Klasyczny przykład – obraz Michnika i Kuronia jako demonów był efektem raportów MSW, które wydawało codzienną gazetkę. Czytając ją, często się widziało, że nie podaje się w niej ścisłych, zweryfikowanych informacji, ale oceny sytuacji drukowane w postaci wstępniaków.

Więc kto rządził PRL-em?

Nie jestem badaczem ustroju. Ja byłem tylko urzędnikiem państwowym, podlegającym określonym reżymom. Rzecznik prasowy mówi prawdę na tyle, na ile władza mówi prawdę.

Problem prawdomówności każdego aparatu jest problemem związanym z jakością władzy i zasadami jej funkcjonowania. Rzecznik ma do wyboru: albo chce z nią współpracować, albo nie chce, uznając, że posiada ona różne wady, w tym nieprawdomówność. Ja chciałem ją reprezentować, uznając, że władza jest w zasadzie prawdomówna. Czasami uzyskiwałem pozwolenie, żeby jeden czy drugi resort zgromić publicznie za jakieś kłamstwo. Ministerstwo Handlu Wewnętrznego na przykład. Z czego zawsze skwapliwie korzystałem. Z jednej strony pokazując, że rząd jest ponad ministrami, a z drugiej, bawiło mnie, że minister ode mnie się dowiadyuje, co zostało wykryte. Dzięki temu zaspokajałem moje małe ambicje i nieformalnie budowałem swoją pozycję w rządzie.

Dzisiaj mogę żałować i żałuję poszczególnych swoich posunięć czy braku dystansu do brzydko pachnących zdarzeń, ale generalnie uważam, że mieliśmy rację i moje zaangażowanie emocjonalne i intelektualne w walce z opozycją było słuszne.

I nie żałuje pan, że zabito księdza Popietuszkę?

Nie ja go zabiłem, jeśli o to pani chodzi. Nie czuję się za jego śmierć odpowiedzialny.

A kto zabił?

Przecież wiadomo. Trzej ówcześni funkcjonariusze MSW.

Pan szkaluje polski rząd.

Nie wiem, o czym pani mówi.

Cytuję pana. W cztery dni po porwaniu powiedział pan na konferencji prasowej: „Uważam za podłe, że niektóre gazety, zwłaszcza francuskie, niemające zielonego pojęcia, kto to zrobił, wysuwają absurdalne hipotezy, szkalujące polskie władze”.

No, ale kiedy to powiedziałem? Od razu po porwaniu.

Proszę pana, pan najpierw tę zbrodnię chciał ukryć przed opinią publiczną, a potem pomagał SB zacierać jej ślady. Nie rozumie pan tego?

Ja przekazywałem informacje, które otrzymywałem z MSW. Że Popietuszko żyje, bo jakaś kobieta widziała go w Łodzi, i że trwają poszukiwania.

Tego zdarzenia nie można odrywać od kontekstu. A kontekst był taki, że ja bez przerwy, wręcz seryjnie, miałem do czynienia z jakimiś księżmi. Albo zaginał i nie można go było odnaleźć, albo się upił i zmarł. A opozycja i Wolna Europa od razu kwalifikowały to jako morderstwa popełnione przez SB i maszynką szła w ruch.

Bo były. Także ksiądz Popietuszko został zamordowany naprawdę.

No, w tym wypadku opozycja miała rację, ale w stu innych za to nie miała.

Ja wiedziałem, że jak ktoś z opozycji, nie wiem, popełni samobójstwo, umrze na atak serca, utopi się, spali, to od razu – bez zastanawiania się, czy to przypadkiem nie był nieszczęśliwy wypadek, bo przecież w statystycznej masie się zdarzają – opozycja podniesie krzyk, że to SB, zbrodnicza władza. Bez czekania, co wykaże śledztwo.

Bo śledztw nie było.

Były, proszę pani, bez przerwy były. MSW cały czas próbowało coś tam wyjaśniać. I dostawałem jakieś umorzenia z powodu niewykrycia sprawców.

Z drugiej strony rzeczywiście koło Torunia jakiś genius loci działał, bo ja ciągle słyszałem, że kogoś tam uprowadzono do lasu, przywiązywano do drzew, straszono.

Za co nienawidził pan księdza Popietuszki?

Traktowałem go jako naszego przeciwnika politycznego. Był to działacz opozycyjny, bardzo radykalny, o dwoistym zresztą sposobie funkcjonowania.

Na czym ta dwoistość polegała?

No, miał na przykład dwa mieszkania.

Nie wolno?

Wolno, ale nam chodziło o pokazanie, że nie taki on święty. Że jedno mieszkanie służyło do jednego, a drugie do drugiego. Mieszkał na plebanii, a kawalerkę ukrywał.



Od lewej: Wojciech Jaruzelski, Jerzy Urban, Dariusz Szymczycha, Józef Oleksy.

Nie ukrywał. Był w niej zameldowany, miał pieczętkę w dowodzie osobistym.

Szczegółów nie pamiętam. Ta kawalerka służyła mu do jakichś konspiracyjnych spotkań i w tej kawalerce milicja znalazła naboje, gazy łzawiące, ładunki wybuchowe. Takie informacje dostałem z MSW, więc jak mnie pytano, przekazałem je. Służyły mi widocznie do malowania negatywnego portretu Popietuszki.

Czyli najpierw była manipulacja, dotycząca osoby.

Mieszcząca się w ramach błędów, które wytykał mi Rakowski, że dają się wciągać w różne kombinacje czy szwindle Służby Bezpieczeństwa, co nie służy rządowi, który powinien posiadać wyższą wiarygodność niż siły policyjne.

Napisał pan na miesiąc przed zabiciem księdza Popietuszki, że jest on „organizatorem sesji politycznej wściekliczny”.

I seansów nienawiści. W tygodniku „Tu i teraz”, pod pseudonimem Jan Rem. Zgadza się, bo urządał.

Na czym to polegało?

Grał na emocjach.

MSW miało spis czarnych owiec w Kościele, księży prowadzących walkę polityczną, których śledziło. Ksiądz Henryk Jankowski, Popietuszko, Kazimierz Jancarz w Nowej Hucie i ksiądz Mieczysław Nowak w Ursusie. Był jeszcze Kantorski z Podkowy Leśnej, ale on był łżejszym przypadkiem.

Miałem więc dokładne informacje, co się działo w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Śpiewy, różańce, msze „za ojczyznę”, jak je nazywano, na które zjeżdżała cała Warszawa. Czyli ośrodek do egzaltowania tłumów. Szczegółów oczywiście, nie pamiętam.

Przypomnę. „Wolność – mówił ksiądz Popietuszko – jest rzeczywistością, którą Bóg wszczepił w człowieka, stwarzając go na swój obraz i podobieństwo. Naród z tysiącletnią tradycją chrześcijańską zawsze będzie dążył do pełnej wolności. Człowieka można przemocą ugiąć, ale nie można zniewolić (...). Potrzebna nam Maryja – jako matka, która nie pozwoli utracić nadziei (...), gdy bracia nasi pozostający ciągle symbolem walki o podstawowe prawa ludzi nadal przebywają w więzieniach...”. Gdzie w tym nienawiść?

Przypuszczalnie otrzymywałem inne fragmenty jego kazań. Albo błędnie klasyfikowałem jego wypowiedzi.

Więc kawałek z kazania umieszczony jako dowód przestępstwa w akcie oskarżenia, który mu pana koledzy z rządu spreparowali na trzy miesiące przed zabiciem. „Nie da się – cytował prokurator księdza Popietuszkę – zniszczyć patriotycznego zrywu ku prawdziwej wolności. Nie da się zniszczyć dekretami, ustawami – tu bardzo skracam – lawiną kłamstwa i oszczerstwa, biciem bezbronnym, wyrzucaniem z pracy”.

W porządku. Jeśli pani chce, żebym powiedział, iż moje oskarżenia wobec Popietuszki były nieuzasadnione, to potwierdzam, były nieuzasadnione i mówiłem nieprawdzwie.

Tylko tyle?

A co mam jeszcze powiedzieć?

Jaruzelski powiedział, że przeprasza, a pan?

Nie mam za co. Postawa Jaruzelskiego i jego kajanie się bardzo mi nie odpowiadają.

Za to opowiem pani swoją rozmowę z Kiszczakiem. W dniu aresztowania Grzegorza Piotrowskiego Kiszczak wezwał mnie do siebie do gabinetu. Nigdy go w takim stanie nie widziałem – ani przedtem, ani potem. Był w najwyższym stopniu zdenerwowany. On, zawsze spokojny i opanowany, krzyczał: dla kogo oni mieli te kajdanki w szafie! Bo u Piotrowskiego w jego pokoju znaleziono kajdanki.

I krzyczał, że to spisek i te kajdanki na pewno trzymano na niego. Widziałem przed sobą człowieka autentycznie poruszonego, przejętego własną sytuacją. Człowieka, który się boi i miota.

Po co pana wezwał?

Musiał ustalić, co mam powiedzieć na konferencji prasowej. Jakie przedstawić stanowisko rządu.

Podyktował?

No, może niedostojnie. Że w MSW ujawniła się grupa zbrodnicza, którą rząd potępia, że już ją aresztowano. I że jej działalności nie można rozciągać na cały resort, bo rząd wyraża uznanie dla MSW i jego aparatu za to, że szybko i energicznie doprowadziły do ujawnienia przypuszczalnych sprawców i że stało się to dzięki ofiarnej pracy i szczególnym staraniom funkcjonariuszy MO i SB.

Według Kiszczaka porwanie Popiełuszki było jednym z elementów zaplanowanego zamachu stanu. Logicznie ta koncepcja brzmiała. Zabić, sprowokować tłumy i na plenum KC, które miało się odbyć za kilka dni, wystąpić o obalenie kierownictwa partii – Jaruzelskiego, Kiszczaka, wszystkich. Czyli zrobić pucz.

Kto był głównym mafioso?

Wskazywał na Milewskiego. Nie pamiętam, czy wprost, czy aluzjami, dając mi do zrozumienia. Na zasadzie – komu ta zbrodnia służy i w czyim interesie mogłaby zostać dokonana. Bo żadnych śladów czy tropów, z tego, co wiem, nie znaleziono.

Milewski był powiązany z radzieckimi służbami i dlatego nadawał się do roli czarnego charakteru. Oraz ludzie Milewskiego, czyli beton partyjny.

Na dowód tej tezy Kiszczak mówił mi o rozróbach w Jednostkach Nadwiślańskich MSW, precyzyjnie opowiadając, że ktoś tam przyszedł – dzisiaj szczegółów już nie pamiętam – coś tam mówił, do czegoś namawiał, ot, jakieś tam prowokacje w jego aparacie. Uważał, że ten pucz zagrażał jemu fizycznie i absolutnie w ten pucz wierzył.

Ja w ten pucz także uwierzyłem. Jego scenariusz wydawał mi się bardzo przekonujący.

Wiem, że wcześniej Kiszczak rozmawiał z Piotrowskim, krzyczał na Piotrowskiego, żądał od niego, by wydał mocodawców.

Gdzie rozmawiał, w więzieniu?

Nie, to się odbywało jeszcze w budynku MSW. Ale z tego, co wiem, do więzienia też chodził, nawet po wyroku, obiecując, że Piotrowski uzyska złagodzenie kary, gdy ujawni, kto mu zabójstwo zlecił. Niczego się nie dowiedział i jestem pewny, że jeśli Piotrowski nie przekazał niczego do dzisiaj, to widocznie przekazać nie ma czego.

Czyli Milewskiego wyrzucono z Biura Politycznego niestusznie?

Nie wiem. W interesie Jaruzelskiego było ujawnienie, że w partii istnieje frakcja be-tonowa. Więc jak się ma morderstwo, to nie ma lepszego pretekstu, żeby wszystkich powyrzucać i mieć święty spokój.

Bo puczu żadnego nie było?

Nie było. Popiełuszkę – według mnie – porwano z nadgorliwością, bo taka widocznie panowała atmosfera w resorcie, a intencją tej grupy nie było zabicie, tylko nastraszenie.

To może lepiej było tę zbrodnię ukryć?

Za gruba sprawa.

Bo przeżył kierowca księdza Popiełuszki, Waldemar Chrostowski, który wyskoczył z pędzącego samochodu?

Dziwne, że go nie gonili. Normalny odruch – gonić świadka. Kompletna partanina, dla mnie zresztą świadcząca o tym, że nie instytucja tę zbrodnię zaplanowała, tylko kilku urzędasów, niemających pojęcia o pracy operacyjnej.

Bo gdyby Chrostowskiego też zabili?

To być może o niczym byśmy się nie dowiedzieli. Sprawę by zamazano i śledztwo, jeśli by w ogóle się toczyło, to tylko wewnątrz aparatu. Przecież żadna policja sama z siebie nie ujawnia własnych błędów czy przewinień, gdy nie ma mechanizmów do ich wykrywania.

A nie było dlaczego?

Rozmawiałem o tym z Kiszczakiem. Po jakiejś konferencji prasowej, na której powiedziałem, zgodnie z raportami MSW, że nieprawdą jest, iż na jakimś strajku kogokolwiek pobito. Cała sala zaczęła huczeć, że pobito i Wolna Europa podała prawdę, bo myśmy tam – mówili dziennikarze – byli i widzieli. Wyszedłem na idiotę.

Powiedziałem Kiszczakowi, bardzo ostro, że zostałem wprowadzony w błąd i jak jego służby biją na oczach zagranicznych dziennikarzy, to niechże nie dają mi fałszy-

wych informacji, bo ja angażuję autorytet rządu i tracę wiarygodność. Kiszczak mi na to, że on też takie informacje otrzymał.

Więc jest gorzej, niż myślałem – oświadczyłem mu – bo jeśli oni wprowadzają was w błąd, oznacza to, że wy nie panujecie nad swoimi służbami i jest to naprawdę niebezpieczne.

Kiszczak zmienił wtedy temat i zaczął uważać się nad swoją sytuacją. Że dramatyczna. Przyszedł z wojska, jest w MSW obcy i nie może zadzierać z aparatem, bo potem nikt mu nie pójdzie rozładowywać strajku.

To była jego racja, której nie bronię, ale szanuję. Ale jak ktoś nie dyscyplinuje własnego aparatu, to ten aparat zabija potem Popietuszkę.

Bał się pan?

Nie.

Bo dostał pan wtedy ochronę?

Rzeczywiście dostałem, ale nie skojarzyłem dlaczego. Przekazano mi, że damy wam samochód z naszym kierowcą i jeszcze jednego oficera do ochrony, bo należy mi się to z racji stanowiska. Czyli zostałem wpisany na listę osób chronionych.

A broń?

Też dano.

Strzelać pan umie?

Broń Boże! Ale myśleli, że się nauczę i zawieźli na strzelnicę. Ja jednak nie potrafiłem trafić w tarczę, więc mój oficer z BOR-u powiedział: panie ministrze, niech pan dobrze schowa pistolet w domu i nie daj Boże, aby pan go nosił przy sobie, bo jakiś łobuz zabierze i pana zastrzeli.

Stałem się wtedy prawdziwym dygnitarzem, czyli VIP-em. I przyznano mi nawet uprawnienie do kupowania żywności w specjalnych sklepach BOR-u, czyli w bazie, gdzie żywność sprawdzano.

Co sprawdzano?

Nie wiem, widocznie, czy zdrowa i niezatruta. Więc gdyby – hipotetycznie – ktoś mnie chciał otruć, to by mu się już nie udało. Szczegółów działania tej bazy nie znam, nie interesowałem się tym.

Niech się pani nie dziwi.

Wie pani, władza to ogromny aparat, pełen różnych interesów – resortowych, osobistych, często sprzecznych ze sobą, i w najdoskonalej działającym systemie też się kłamie. Kłamie się swoim przełożonym, kłamie, by ukryć swoje wpadki lub niekompetencję, kłamie, by upiększyć rzeczywistość.



Z Matgorzatą Daniszewską.

To pan kłamał!

Świadomie nie chciałem. Choć oczywiście świadomie kłamałem, mówiąc i o Komitecie Olimpijskim, i o Nagrodzie Nobla, ale przecież ani ja, ani nikt, kto tego słuchał, nie wierzył w to, co mówiłem, więc szkodliwość tych kłamstw była żadna.

A jaki zysk?

Że władza była słyszalna.

W swojej niewiarygodności?

W ograniczonej wiarygodności, bo przeprowadziliśmy badania socjologiczne. Pułkownik Kwiatkowski je zrobił – ojciec prezesa telewizji publicznej – który w latach osiemdziesiątych kierował Centrum Badania Opinii Społecznej. Odpowiedzi były zróżnicowane i wyszło mu, że rzecznikowi rządu nie ufa wprawdzie 48 procent, ale jednak 38 procent ufa.

Bardzo prawdopodobny wynik, bo ja – czego pani nie chce dostrzec – dla kierowniczkii kina, żony milicjanta czy ekspedientki w sklepie byłem gladiatorem, który publicznie o coś tam wojuje.

Pan w to wierzy?

Oczywiście. Te badania były bardzo szczegółowe.

A ja nie. Bo mnie CBOS też w pewnym momencie wylosował do ankiety o religijności Polaków i na pytanie, jak często chodzę do kościoła, odpowiedziałam, że codziennie.

Czyli pani też kłamała.

Tak, z premedytacją. Dlatego nie wierzę w badania, z których panu Kwiatkowskiemu wychodziło na przykład, że Wolnej Europy regularnie słucha jeden procent dorosłych Polaków, okazjonalnie cztery, a bardzo rzadko siedem.

Prawdopodobny wynik. Uwzględniając stopień zainteresowania polityką i trudności z odbiorem, bo przecież Wolna Europa była straszliwie zagłuszana.

No, skąd! Żadnego zagłuszania nie było, ani Wolnej Europy, ani Głosu Ameryki, ani Sekcji Polskiej BBC.

Jak to nie było! Było.

Tak? Bo mówił pan, że nie było.

Ja? Przecież każdy słyszał, wystarczyło włączyć radio.

Dać cytat?

Nie trzeba. Głupoty, kompletne idiotyzmy. Widocznie coś mi tam kazano.

Kto kazał?

Oficjalna wersja – tę przedstawiłem – była taka, że my nie zagłuszamy i że w Polsce nie ma żadnych urządzeń zagłuszających. Co zresztą częściowo było prawdą, bo rzeczywiście urządzenia zagłuszające rozmieszczone były albo w NRD, albo w Czechosłowacji, dokładnie nie pamiętam. I o tym, że zagłuszano na nasze zlecenie i że Polska za to zagłuszanie płaciła, dowiedziałem się dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych.

Szczegóły. Dzisiaj nieważne. Proszę pana, czy jest pan człowiekiem inteligentnym?

Nie mnie oceniać. Uważa się, że tak.

A w czym się pana inteligencja przejawia?

W umiejętności rozumowania.

A ta umiejętność dotyczy czego? Diagnozowania rzeczywistości?

Też.

Jest sztuką przewidywania zdarzeń?

Również.

To dlaczego pan mówi, że „Solidarność” należy do historii?

No, dobrze, ale kiedy mówiłem? W latach 1984–86, kiedy zastanawialiśmy się nad wprowadzeniem amnestii dla więźniów politycznych i kombinowaliśmy, co zrobić, by wypuszczeni działacze rozjechali się spokojnie do domów, a nie próbowali odbudowywać struktur związkowych.

Mówił pan, że „nie będzie dialogu z przeciwnikami ustroju socjalistycznego. Nie będzie dialogu z byłym kierownictwem politycznym «Solidarności»”.

Taka była wówczas linia polityczna.

„Nie będzie żadnego dialogu z konspiracyjnym podziemiem. Nie będzie żadnego dialogu z tymi, którzy nie uznają (...) kierowniczej roli partii (...) i kwestionują ustanowiony konstytucyjnie system własności w Polsce”.

Pani wyrywa zdania z kontekstu historycznego.

Więc o ostatnim pana występie. W 1987 roku, kiedy wasze miesiące były policzone, publicznie oskarżył pan profesorów Bronisława Geremka, Klemensa Szaniawskiego i Magdalenę Sokotowską, że są amerykańskimi szpiegami.

Szaniawskiego też? Mówiono mi chyba, żeby Szaniawskiego nie wymieniać.

Ale pan wymienił.

Możliwe. Mówiłem też, z tego, co pamiętam, że oni przez własną nieostrożność odbywali konwentykle ze szpiegiem, ale nie mówiłem, że są szpiegami.

Mówił pan, nieważne. Wie pan, co to było?

Zostałem po prostu użyty do kłamstwa...

To była głupota!

Zgadzam się z panią. MSW dokonało fałszerstwa dokumentów. I to nie – jak poprzednio – żeby okłamać opinię publiczną, ale konkretnie mnie. Czyli był to zupełny skandal z punktu widzenia zasad funkcjonowania władzy.

Oni mnie zaprosili na Rakowiecką i po raz pierwszy – bo wcześniej w różnych sprawach przysyłali tylko oficjalne stanowisko resortu – dali do czytania materiały operacyjne. Było w nich, że porucznik Jan Pipściński udał się za Geremkiem, ten skręcił w kierunku kawiarni, zniknął mu z oczu itd., czyli pokazali mi normalne raporty agentów dla zobrazowania kontaktów Geremka ze szpiegiem amerykańskim,

który oficjalnie występował w ambasadzie amerykańskiej jako urzędnik do spraw naukowych. Na konferencji prasowej więc o nich opowiedziałem. Ale to jeszcze nie koniec.

Bo Geremek, Szaniawski i Sokółowska podali pana do sądu o znieważenie.

To nieistotne.

Rozpoczął się Okrągły Stół i Kiszczak do mnie, że on z Geremkiem właśnie doszedł do porozumienia i że wycofają sprawę z sądu, a Kiszczak ich za niesłuszne pomówienie publicznie przeprosi. Czyli odszczeka.

Wy przeprosicie? – zdziwiłem się – a za co tu przeproszać?

No wiecie – on na to – macie proces, po co wam ten proces sądowy?

Więc mówię: wygram, są przecież świadkowie, którzy ich widzieli, jak oni się spotykali.

Świadkowie przed sądem pogubią się i poplącą – odpowiada Kiszczak.

Wtedy zrozumiałem, że MSW i konkretnie Kiszczak – aby utłuc efekt propagandowy, antyopozycyjny – spreparowali raporty śledcze tylko po to, żeby mnie okłamać i przekonać do swojej wersji. Bo tylko ja byłem ich odbiorcą.

Widocznie przestał pan być im potrzebny.

Może.

I postanowiono pana wydmuchać.

Nieprawda. Nikt mnie nie wydmuchiwał. Mnie awansowano na prezesa radia i telewizji.

Proszę tylko nie pytać, co tam robiłem. Bo nic. Usiadłem za biurkiem i dosłownie nie wiedziałem, od czego zacząć.

Prezesurę wymyślił Rakowski, który był wtedy premierem. Powiedział: potrzebny jesteś na nowym stanowisku.

Zbliżyły się wybory do parlamentu, te z 1989 roku, które przetrzęśliśmy. Na co ja mu odpowiedziałem: dobrze, ale muszę w zamian zostać konstytucyjnym ministrem.

Zależało panu na tytule?

Nie. Ale nie chciałem, by moje przejście odczytywane było jako odsunięcie.

Czyli na władzy?

Chciałem nadal publicznie występować w imieniu rządu.

Zapadło milczenie, z którego zrozumiałem, że nie jestem osobą pożądaną. Ale odczekałem i dano mi tytuł ministra informacji, czyli bez teki.

Sam pan wymyślił swoje kandydowanie do Sejmu?

Sam. Chciałem pokazać, że wygram wolne wybory do Sejmu.

Pan liczył, że wygra?

Tak. Liczyłem, że wygram. Ponieważ z moich kalkulacji wynikało, że 96 procent ludzi zna moje nazwisko, czyli spełniam pierwszy warunek kandydowania – nie jestem postacią anonimową. I wiedziałem, że popiera mnie 38 procent obywateli.

Z tych wiarygodnych, przepraszam, że się uśmiecham, badań pułkownika Kwiatkowskiego z CBOS-u?

Tak jest. Do wygrania wyborów 38 procent jest wystarczającym potencjałem. Oraz wystąpiła trzecia pozytywna dla mnie okoliczność – przydzielono mi okręg wyborczy Warszawa-Śródmieście, w którym głosują także Polacy przebywający za granicą, czyli kilkudziesięcioletnia populacja w większości partyjnych pracowników polskich budów oraz aparaczyków z ambasad i placówek zagranicznych. Zakładałem, że przynajmniej ci wybrańcy losu z Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej czy z Mongolii, którzy mieli posadki wyłącznie dzięki partii, zagłosują na mnie.

A oni... mogą się pośmiać?

Proszę bardzo. Inni kandydaci wypadli gorzej.

Podfatszować się nie dało?

Nie. Ten wynik przewidział tylko jeden z macherów, który stale jeździł po budowach w Libii, NRD czy ZSRR.

Szkoda zachodu – powiedział mojej żonie, gdy próbowała się go radzić, jak prowadzić moją kampanię wyborczą – ludzie są wkurwieni na władzę i nikt nie będzie głosował na PZPR.

Nie uwierzyłem. Wydawało mi się to nieprawdopodobne.

Popełniliśmy błąd. Przy Okrągłym Stole. Polegał on na tym, że partia nie zgodziła się z pomysłem opozycji, by obrady trwały trzy dni i zakończyły się ceremonialnym zawarciem paktu politycznego. Wymyślono, że należy je rozciągnąć w czasie.

Czyli ich znaczenie rozmyć?

Tak jest. I punkt po punkcie pokazać opozycji, jak trudną sztuką jest rządzenie. Proszę – macie konkretne sprawy i spróbujcie je rozwiązać. Propagandowo okazało się to fatalne, bo zainteresowanie społeczeństwa Okrągłym Stołem nie spadło, na co liczone, a opozycja otrzymała możliwość krytykowania rządu przez bite trzy miesiące, dzień po dniu.

Rano po wyborach zaproszono mnie na posiedzenie Biura Politycznego. Czarzasty, nasz orzeł od kampanii wyborczej, który jeszcze poprzedniego dnia mart-

wił się, by zwycięstwo PZPR-u nie było zbyt przytłaczające, zreferował wyniki – masyakra.

Napisałem na kartce papieru oświadczenie o przegranych wyborach oraz zaakceptowaniu ich wyników przez partię i kartkę tę podałem Jaruzelskiemu.

Jaruzelski głośno ją odczytał i wtedy przeżyłem największy wstrząs. Jaruzelski zapytał, czy są uwagi. I nikt nie miał żadnych.

Oddanie władzy nastąpiło więc bez dyskusji. Choć niektórzy wariowali. Mój zastępca na przykład zupełnie oszalał. Jechał któregoś razu ze mną samochodem Alejami Ujazdowskimi i mijając budynek URM-u, powiedział: ja tu jeszcze wrócę. I gdyby nie umarł na zawał serca z przepicia, to by prawdopodobnie wrócił. Był przyjaciелеm Kwaśniewskiego.

Co dalej?

Upatrzyłem sobie posadę redaktora naczelnego „Szpilek” i już rok wcześniej, kiedy chciało tam zmienić redaktora, mówiłem: poczekajcie, zachowajcie tę posadę dla mnie.

Powiedzieli mi, że nie żadne tam „Szpilki”, mamy współwładzę, parlamentarną większość, udział w rządzie, zostaniesz redaktorem naczelnym „Rzeczpospolitej”.

Nie chciałem, premierem był już Mazowiecki, a to była gazeta rządowa.

Wymyśliłem więc, że na bazie istniejącej Krajowej Agencji Wydawniczej zbuduję prasowy koncern lewicowy, alternatywny do Polskiej Agencji Prasowej, przejętej przez opozycję. Wtedy rząd Mazowieckiego zdecydował o likwidacji RSW Prasa, której KAW podlegał. Odszedłem. Jednego dnia, nie czekając, aż mnie wyrzucą.

Dokąd?

W pustkę. Już wiedziałem, że na etat żadna redakcja mnie nie przyjmie, nawet „Trybuna Ludu”. Ale byłem jeszcze przekonany, że świetnie dam sobie radę i nadal będę funkcjonować w zawodzie. Jestem przecież dobrym fachowcem i w każdym systemie prasowym potrafię zarobić. Myślałem, że będę pisał książki, scenariusze, opracowania.

Nagle się okazało, że to złudzenia. Że nie tylko nie znajdę żadnego „Niewidomego Spółdzielcy”, który mnie przygarnie, ale nawet żadne wydawnictwo nie zaryzykuje wydania mojej książki, bo walczą o przetrwanie, a moje nazwisko jest dla nich obciążeniem. Zaniepokoiłem się.

Z pracy wyrzucono też moją żonę.

Trzecią?

Tak, choć była zwykłym depeszowcem w „Teleexpressie”, czyli kompletnie anonimową osobą. Wszyscy ją kochali i płakali, gdy odchodziła. Ona zresztą też płakała.



*Ślub z Małgorzatą
Daniszewską.*



Z córką Magdą.



Z wnukami Marysią i Adamem.

Będzie gorzej niż za Gomułki – pomyślałem. Bo za Gomułki miałem wprowadzić zakaz pisania, ale wszyscy chcieli mi pomóc, a teraz – broń Boże – nikt.

Poczułem się tyso. Koledzy ministrowie od gospodarki ze swoimi dyrektorami zaczęli się lokować w różnych spółkach nomenklaturowych i brali posady w wielkich strukturach gospodarczych, jeszcze państwowych. Byli tam bez konkurencji, znali się na zarządzaniu, organizacji pracy, mieli kontakty.

Ludowcy natychmiast PZPR zdradzili, chytrze wstąpili do Wałęsy, zmienili nazwę partii, wyrzucając ze swojej historii 40 lat kolaboracji z komunistami, i dzięki temu uratowali swój partyjny majątek. Oglądałem ich na moim osiedlu w „zatoce czerwonych świrń”. Prawie od razu przesiedli się do mercedesów jako szefowie jakichś spółek i banków.

Zacząłem kombinować, co robić.

Poszedłem się radzić Sekuły. Sekuła miał już własny biznes, był moim sąsiadem i naiwnie sądziłem, że ma on wybitny łeb do interesów.

Nie miał?

No, skąd! On mi bez przerwy opowiadał o swoich planach. Że za sześć miliardów dolarów zagospodaruje Wybrzeże Gdańskie, ma już japońskich inwestorów, właśnie wydał na ich cześć bankiet. Że otworzy sieć sklepów spożywczych i za ileś miliardów zagospodaruje „ścianę wschodnią” Polski.

Po chyba dwóch miesiącach przesiadywania u niego zorientowałem się, że całe jego gadanie jest samooszukiwaniem się byłego dygnitarza, który przed sobą i rodziną udaje, że jest nim nadal. Znudziło mnie to i powiedziałem mu, jak się potem okazało, proroczo: wiesz, Irek, zarób ty najpierw dziesięć tysięcy dolarów, zamiast mi w kółko gadać o tych miliardach. Mroczna postać.

Dlaczego?

Jak był wicepremierem, ujawnił mi, że za dwa dni w bankach spadnie kurs dolara.

I pan poleciał?

Z czym? Takie operacje opłaca się robić na dużej sumie pieniędzy. Nie miałem.

Pożyczyć.

Czyli tajemnicę państwową zdradzić kolejnym osobom i zrobić aferę? O, nie! I choć bardzo lubię pieniądze, uważam, że, po pierwsze, nie należy jakiegokolwiek funkcji rządowej łączyć z korzyściami osobistymi, a po drugie, ja osobiście do żadnych finansowych afer się nie nadaję.

A piwo?

Rzeczywiście sprowadziłem całą ciężarówkę piwa z Berlina. Z głupoty. Nie zdając sobie sprawy, że na sprzedaż alkoholu trzeba mieć koncesję.

Poznałem jakiegoś – mówiąc umownie – menedżera, on roztoczył przede mną wizję wspaniałych interesów. Tanie tam kupić, drogo tu sprzedać i może być z tego pięć tysięcy dolarów tygodniowo. A może i 50 tysięcy, nie pamiętam.

Proszę bardzo – powiedziałem – mam na zakup, robimy próbę.

Ciężarówka pojechała do Berlina, przyjechała, piwo zostało sprzedane i jak doszło do rozliczeń, bardzo skomplikowanych – wyszedłem na zero. Mój „menedżer” wytłumaczył mi, że pierwsza transakcja była, trudno, bez zarobku, ale następne, to ho, ho!

Miałem dość. Powiedziałem: dziękuję, interesy z piwem nie dla mnie. I przez kilka tygodni miotalem się przy użyciu zaprzyjaźnionych macherów, żeby poprzerać dokumenty przewozowe – jakieś straszne machloje, których nie lubię – bo się bałem, że zrobią mi sprawę karną i wciągną na listę aferzystów alkoholowych.

Wtedy wpadł mi niespodziewany zarobek na *Alfabecie Urbana*. Zarobiłem prawie 120 tysięcy dolarów. Za trzy tygodnie pisania! I ruszyłem. Wziąłem jeszcze pożyczkę z RSW Prasa, nie w pieniądzech, bo tych nie mieli, ale w papierze, i zacząłem wydawać tygodnik „Nie”. Wylczyłem, że jak uda mi się drukować „Nie” przez trzy miesiące w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy, to zyskam, a jak nie, to stracę. Pierwszy numer rozszedł się w całości. Podniosłem nakład.

I teraz skandalami obyczajowymi walczy pan o istnienie?

Tak jest.

Bo może pana inteligencja przejawia się tylko w umiejętności spadania na cztery łapy?

To pani diagnoza.

Bo dzisiaj jest pan bogatym człowiekiem, prawda?

Bogatym.

Ale brakuje panu czego?

Niczego.

Więc ten list do mnie, zapraszający do rozmów i rozmowa ze mną po co?

Samemu trudno odtworzyć racje wyborów, a ja mam poczucie pewnego samozakłamywania się. Od dwunastu lat zastanawiam się, czy mój jednoznaczny wybór przeciw „Solidarności”, a za PZPR-em, był w swoim politycznym impecie wynikiem przemyślanych decyzji, czy raczej podyktowany emocjami. Ja tego nie rozumiem.

Czego pan nie rozumie?

Bo ja, proszę pani, tę władzę znałem i do 1980 roku nie miałem z nią serdecznych stosunków. Znałem wszystkie wady systemu, w którym tkwiliśmy, nie gorzej niż opozycja. Często je opisywałem. Dlaczego więc stałem się jego oknem wystawowym?

Z cynizmu, proszę pana.

Nieprawda. Moje uczucia niechęci do „Solidarności” były jak najbardziej szczerze.

To ze złej kalkulacji.

Nie, nie, żadnej kalkulacji nie robiłem. Ja mogłem powiedzieć: pierdolę jednych i drugich. Ja przecież nie byłem służbowym człowiekiem, jakimś sekretarzem Komitetu Centralnego, wojewódzkiego czy powiatowego, który jak wskoczył w partyjną koleinę, to specjalnej siły i odwagi potrzebował, by z niej wyskoczyć. Mój wybór był świadomym wyborem wolnego człowieka.

Bardzo mi przykro.

Pani przykro?

Tak. Bo swój talent zaprzedał pan złej sprawie.

Nikomu niczego nie zaprzedawałem! Ja zawsze czułem się lewicowcem.

Dlatego ze zdziwieniem czytam dzisiaj różne wynurzenia – głównie młodszych – kolegów, dotyczące przeszłości, w których dominuje tonacja przypadkowości ich uczestnictwa we władzach PZPR-u. Myślę o Oleksym, Millerze, Kwaśniewskim. Oni nie mówią, że znaleźli się w partii z powodów ideowych, no, skąd! Oni wręcz chwalą się tym, że do PZPR-u przystąpili albo siłą bezwładu, albo dlatego, że tak złożyły się im okoliczności życiowe i towarzyskie. Albo mówią – jak swego czasu tłumaczył Miller – że do partii wstąpili z czysto pragmatycznych pobudek, co wydaje mi się szczególnie zabawne.

Miller szukał instrumentów, by działać na rzecz otoczenia, które zaczynało mu zawierać swoje życiowe sprawy do załatwienia, i uznał, że partia będzie tym instrumentem najskuteczniejszym.

Przeszkadza to panu?

Oczywiście, bo jak czytam wywiad z takim Longinem Pastusiakiem, na przykład, który mówi, że funkcjonował w PZPR-ze, nie robiąc nic złego, to odnoszę wrażenie, że czytam spowiedź złodzieja, który tłumaczy, że kradł, ale tylko bogatym, i że inni kradli więcej.

Moje życie nie toczyło się tak indolentnie. Ja, w odróżnieniu od nich, wyborów dokonywałem samodzielnie i świadomie.

I co z tego ma wynikać?

Że ja tych swoich wyborów w pełni nie rozumiem. Marzyłem kiedyś, by być politykiem, grającym w demokracji parlamentarnej. A kiedy nim zostałem – demokracji parlamentarnej nie tylko nie poparłem, ale wręcz przeciwnie, robiłem wszystko, by utrudnić jej zaistnienie.

Jest gorzej. Bo teraz robi pan wszystko, żeby ją ośmieszyć i zwulgaryzować.

Nic podobnego.

Więc czym jest pismo „Nie”?

Jedynym miejscem, gdzie często jako pierwsi ujawniamy afery, demaskujemy korupcję...

Zgadza się, ale w prostackim myśleniu i języku! Bo jaką rolę w pana piśmie pełnią słowa k... ch... p...?

Demonstracyjną. Że nie ulegamy tradycyjnym konwenansom, że mamy je gdzieś. Że mówimy językiem, jakiego używa społeczeństwo.

Nie. Pan ten rysztockowy język w swoim piśmie w ten sposób nobilituje. W błoto sypchając uczciwych i nieuczciwych. Nie rozumie pan tego?

Nie.

Napisał pan o papieżu, który był w Polsce chyba ostatnim autorytetem i po prostu porządnym człowiekiem, że brzydki, stary i chory, i dlatego powinien być odejść. W rysztockowym stylu.

Napisałem.

Po co? Żeby zaistnieć?

Żeby przeciwstawić się obowiązującemu kultowi.

Żeby o panu mówiono, prawda?

Tak jest, nie wolno? A dziś dla równowagi zamierzam dopierdolić prezydentowi. Chcę napisać, że...

Nie ciekawi mnie. Czy pan dobrze się czuje, panie Urban?

Doskonale.

PS Historia mojej rozmowy z Jerzym Urbanem jest następująca.

Najpierw udzieliłam wywiadu gazecie „Dzień dobry”. Na pytanie Jakuba Janiszewskiego o Urbana odpowiedziałam: „Świetne pióro, świetny warsztat. I absolutny cynizm”. I tłumacząc, dlaczego dotąd z nim nie rozmawiałam, wyjaśniłam: „Bo trudno się z nim zmierzyć, a to, co ma do powiedzenia – sam pisze. Nie jest mu potrzebna akuszerka”.

Po tej wypowiedzi otrzymałam od Jerzego Urbana list.

„Szanowna Pani

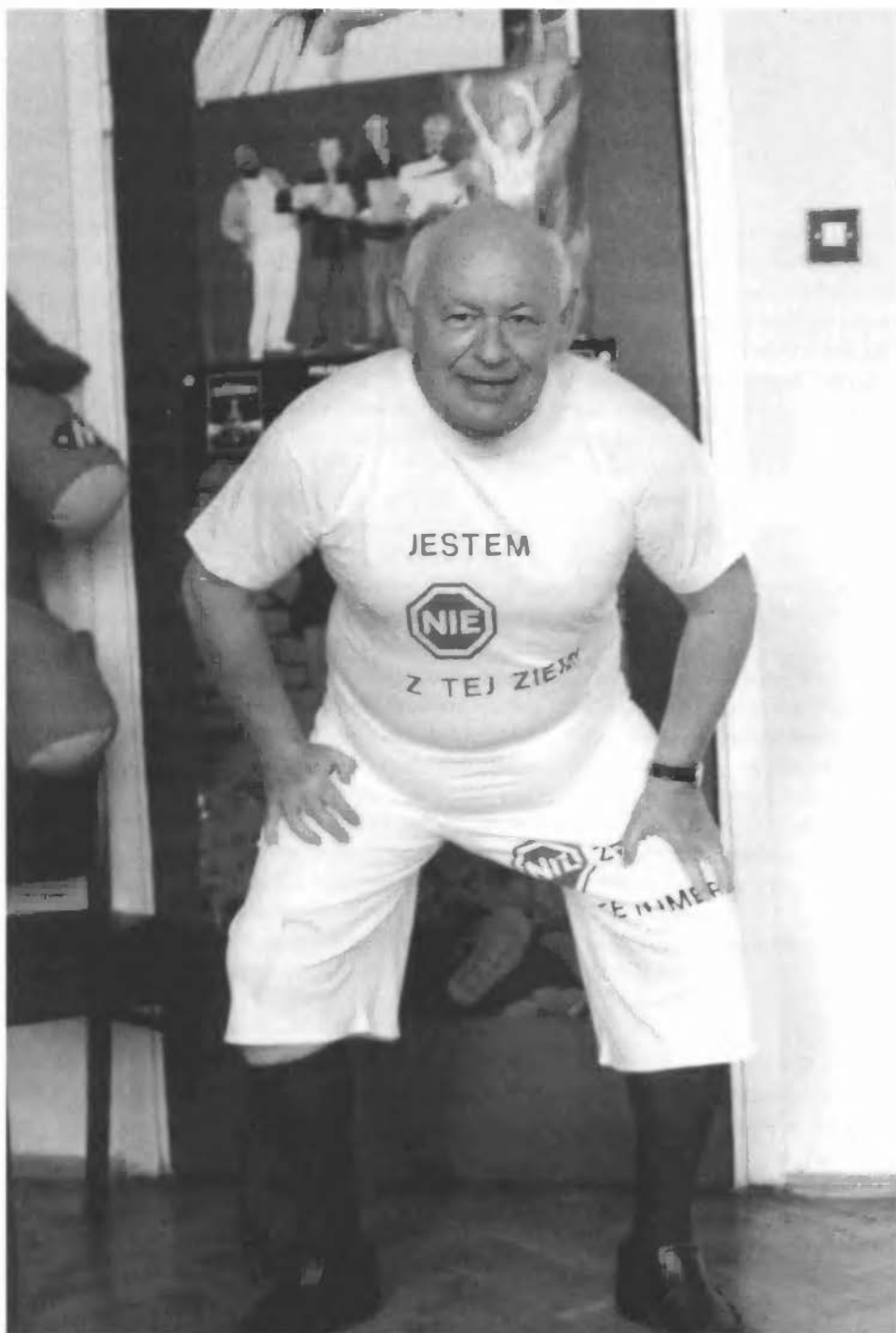
(...) Jeśli rzeczywiście ma Pani ochotę zrobić rozmowę ze mną, to wyrażam wielką ochotę. Nie powoduje mną apetyt na rozgłos ani przekonanie, że mam coś jeszcze do powiedzenia. Są cztery o mnie książki, w tym wywiad-rzeka, grube teki rozmów, drukowanych w gazetach i czasopismach. Mam też za sobą sporo rozmów telewizyjnych, w tym film Bugajskiego dla TVP.

Jako temat i jako rozmówca jestem więc zgrany. Odczuwam natomiast właśnie, jak się Pani wyraziła, potrzebę akuszerki. Dla mnie, nie wiem, czy dla publiczności, byłoby ciekawe zmuszenie mnie, w dwanaście lat po upadku PRL i nim przyjdzie skleroza, do uświadomienia sobie wstecz motywów różnych wyborów i postępów, których nie umie się odtworzyć sobie samemu ani z udziałem dziennikarzy, mało wiedzących o czasach minionych lub nadmiernie przyjaznych. (Wywiad-rzekę *Jajakobyty* robili np. moi współpracownicy z «Nie»).

Z tej chęci podrażnienia rzeczy, tkwiących dotąd poza samoświadomością albo załganych, bierze się mój apetyt na Panią jako rozmówczynię.

Jeżeli więc ma Pani ochotę i poczucie celowości oraz możliwość publikacji gdziekolwiek, ogłaszam gorliwą gotowość w przyszłym roku, który oby był dla Pani udany”.

Zamiast dopisku Jerzego Urbana



KALENDARIUM

1945

19 stycznia

Rozkazem gen. Leopolda Okulickiego Armia Krajowa została rozwiązana.

4–11 lutego

Odbyła się konferencja w Jaltcie z udziałem Franklina D. Roosevelta, prezydenta USA, Winstona Churchilla, premiera Wielkiej Brytanii oraz Józefa Stalina, na której ustalono podział stref wpływów na świecie pomiędzy aliantami zachodnimi a ZSRR. Wschodnią granicę Polski ustalono wzdłuż linii Curzona, w zamian Polska miała dostać tereny niemieckie na północy i zachodzie. Ustalono też, że w skład Rządu Tymczasowego (utworzonego z PKWN 31 grudnia 1944 r.) mają wejść przedstawiciele ugrupowań demokratycznych.

27–28 marca

NKWD aresztowało i osadziło na Łubiance w Moskwie 16 przywódców podziemia, w tym Delegata Rządu RP na Kraj Jana Stanisława Jankowskiego, komendanta Sił Zbrojnych na Kraj, gen. Leopolda Okulickiego i przywódców stronnictw politycznych. Sąd Najwyższy ZSRR 3 miesiące później skazał aresztowanych na wieloletnie wyroki więzienia.

8 maja

Kapitulacja Niemiec została podpisana.

26 czerwca

Powstała Organizacja Narodów Zjednoczonych w San Francisco.

28 czerwca

Bolesław Bierut powołał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. Premierem został Edward Osóbka-Morawski z PPS-u, wicepremierami Władysław Gomułka z PPR-u i Stanisław Mikołajczyk z PSL-u, który na emigracji do listopada 1944 r. był premierem rządu w Londynie. W czasie pierwszego posiedzenia Gomułka zwrócił się do Mikołajczyka ze słowami: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy. Zniszczymy wszystkich bandziorów bez skrępowań. Możecie krzyknąć, jeszcze krzyknąć, że leje się krew narodu polskiego, że NKWD rządzi Polską, lecz to nie zawróci nas z drogi”.

17 lipca – 2 sierpnia

Odbyła się konferencja w Poczdamie, która przypieczętowała postanowienia jaltańskie.

1946

5 marca

Winston Churchill w przemówieniu w amerykańskim mieście Fulton wezwał do powstrzymania komunizmu. Powiedział m.in.: „Od Szczecina nad Bałtykiem do Triestu nad Adriatykiem zapadła żelazna kurtyna w poprzek kontynentu”.

30 czerwca

W Polsce przeprowadzono referendum pod hasłem „3 razy tak”, które odpowiadało na pytania: 1) Czy jesteś za zniesieniem senatu; 2) Czy jesteś za reformą rolną i nacjonalizacją podstawowych gałęzi przemysłu; 3) Czy jesteś za granicą zachodnią na Odrze i Nysie Łużyckiej. Stanisław Mikołajczyk złożył oficjalny protest przeciw sfałszowaniu wyników. To samo zrobili ambasadorzy USA i Wielkiej Brytanii.

1947

- 19 stycznia Odbyły się wybory do Sejmu Ustawodawczego. Według oficjalnych danych frekwencja wyniosła prawie 90 %. Na blok wyborczy PPR-u i PPS-u oddano 80% głosów, PSL zdobyło 10,3 %. Protesty PSL-u i zachodnich obserwatorów przeciw jawnemu fałszowaniu wyborów przez komunistów zostały zignorowane.
- 22 lutego Sejm ogłosił amnestię: 26 tys. więźniów politycznych zostało zwolnionych, 30 tys. członków podziemia ujawniło się.
- 21 października Stanisław Mikołajczyk uciekł z Polski w obawie przed aresztowaniem.

1948

- 15 maja Na mocy uchwały Zgromadzenia Ogólnego ONZ powstało państwo Izrael. W momencie ogłoszenia Egipt, Irak, Liban, Syria i Transjordania napadły na Izrael.
- 22 lipca Powstał Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), jednoczący polityczne organizacje młodzieżowe w Polsce.
- 31 sierpnia Po oskarżeniu Władysława Gomułka o „odchylenie nacjonalistyczno-prawicowe” sekretarzem generalnym KC PPR został Bolesław Bierut.
- 15–21 grudnia Odbył się kongres „zjednoczeniowy” PPR-u i PPS-u. Powołano Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą.

1949

- 25 stycznia W Moskwie powołano Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG).
- 4 kwietnia 10 państw Europy Zachodniej, USA i Kanada utworzyły Organizację Paktu Północnoatlantyckiego (NATO).
- 7 września Powstała Niemiecka Republika Federalna ze stolicą w Bonn.
- 7 października Powstała Niemiecka Republika Demokratyczna (NRD) ze stolicą w Berlinie.
- 6 listopada Radziecki marszałek Konstanty Rokossowski został ministrem obrony narodowej Polski.

1950

- 14 kwietnia Episkopat i władze podpisały porozumienie, pierwsze tego typu w kraju komunistycznym. W zamian za uznanie przemian ustrojowych w Polsce Kościół otrzymał gwarancję swobody działania, w tym nauczania religii w szkołach.
- 6 lipca W Zgorzelcu został podpisany układ między Polską i NRD, który ustalał granicę zachodnią Polski.

1951

- 20 stycznia Biskup diecezjalny Kielc, Czesław Kaczmarek, został zaaresztowany. We wrześniu 1953 r. został skazany w pokazowym procesie na 12 lat.
- 15 maja Czesław Miłosz, attaché kulturalny w Paryżu, ogłosił, że zostaje na Zachodzie.
- 31 lipca Władysław Gomułka i jego bliscy współpracownicy zostali aresztowani i osadzeni w Miedzeszynie pod nadzorem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Gomułka w areszcie przebywał do 13 grudnia 1954 r. Rozpoczął się proces 9 wysokich oficerów Wojska Polskiego, w tym gen. Stanisława Tatara. Oskarżeni zostali skazani na wieloletnie więzienie

pod zarzutem szpiegostwa. Procesy innych oficerów były niejawne. W 1952 r. skazano na karę śmierci gen. Józefa Kuropieskę i Franciszka Skibińskiego (wyroków nie wykonano)). W sumie aresztowano 129 oficerów, skazano 91, wykonano 19 wyroków śmierci.

1952

- 3 maja Rozpoczęła nadawanie z Monachium Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa, której dyrektorem został Jan Nowak-Jeziorański.
- 22 grudnia Kongres USA ogłosił raport w sprawie Katynia. Stwierdził, że wina ZSRR nie ulega wątpliwości i zalecił wniesienie skargi do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze.

1953

- 21 stycznia Rozpoczął się proces księży i pracowników kurii krakowskiej, oskarżonych o szpiegostwo na rzecz USA.
- 5 marca W Moskwie zmarł Józef Stalin.
- 17 czerwca W Berlinie wybuchł strajk powszechny w związku z podniesieniem norm pracy o 10 %. Hasła demonstrantów szybko zmieniły się w żądania wolnych wyborów i zmiany rządu. Zaczęto podpalać komitety partyjne. Następnego dnia bunt ogarnął całe NRD. Wprowadzono stan wyjątkowy. Władze radzieckie przy pomocy wojska stłumiły rozruchy. Zginęło, według oficjalnych danych, 25 osób, 378 zostało rannych.
- 12 września Plenum KC KPZR wybrało Nikitę Chruszczowa na sekretarza generalnego partii.
- 25 września Prymas Stefan Wyszyński został aresztowany. Na jego miejsce jako przewodniczącego episkopatu władze wymusiły powołanie biskupa Michała Klepacza.

1954

- 31 marca ZSRR wyraził chęć przystąpienia do NATO, ale 5 maja prośba ta została odrzucona.
- 28 września Radio Wolna Europa zaczęło nadawanie relacji Józefa Światły, zastępcy dyrektora X departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, który w grudniu poprzedniego roku uciekł z Polski. Światło osobiście m.in. aresztował Władysława Gomułkę i Mariana Spychalskiego. Cykl audycji nosił tytuł *Za kulisami bezpieki i partii*. Jego rewelacje wywołały burzę w aparacie partyjnym.
- 7 grudnia Zlikwidowano MBP i na to miejsce powołano Komitet do spraw Bezpieczeństwa oraz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

1955

- 5 maja NRF została członkiem NATO.
- 14 maja Powstał Układ Warszawski.
- 21 lipca W Warszawie przekazano do użytku Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina.
- 31 lipca – 14 sierpnia W Warszawie odbył się V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Przybyło 30 tys. gości ze 114 krajów.

1956

- 14–25 lutego W Moskwie odbył się XX Zjazd KPZR, na którym Nikita Chruszczow wygłosił referat pt. *O kulcie jednostki i jego następstwach*, ujawniający zbrodniczy charakter rządów Stalina.
- 12 marca W Moskwie zmarł Bolesław Bierut. I sekretarzem KC PZPR został Edward Ochab.
- 27 kwietnia W Polsce ogłoszono amnestię, na mocy której zgodnie z oficjalnymi danymi z więzień wyszło 35 tys. osób, zrehabilitowano 200 oraz umorzono toczące się śledztwa w sprawach politycznych.
- 28 kwietnia Najwyższy Sąd Wojskowy uchylił wyroki, wydane na oficerów w sprawie Tatara i innych oraz w procesach odpryskowych z powodu braku dowodów winy.
- 28 czerwca Pierwsze masowe wystąpienie robotników w PRL-u rozpoczął strajk w Zakładach im. Stalina (H. Cegielskiego) w Poznaniu. Do strajku przyłączyli się robotnicy z innych fabryk. Żądano obniżki cen i podwyżki płac. Strajki przerodziły się w potyczki robotników z oddziałami MO, UB i wojska. W ciągu dwudniowych zajęć zginęło od kul kilkadziesiąt osób, kilkaset zostało rannych i ponad 600 aresztowano. W słynnym przemówieniu następnego dnia premier Józef Cyrankiewicz powiedział m.in.: „Każdy (...), który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewien, że mu tę rękę władza odrąbie w interesie klasy robotniczej (...)”.
- 26 lipca Gamal Naser ogłosił nacjonalizację Kanału Sueskiego, który należał do francusko-brytyjskiej firmy, oraz zakazał okrętom izraelskim korzystania z kanału. Po trzech miesiącach wojska izraelskie, brytyjskie i francuskie zaatakowały Egipt, który w starciach poniósł klęskę. W tym samym czasie do Egiptu płynęły polskie okręty handlowe z radzieckim uzbrojeniem. Na rozkaz dowództwa radzieckiego zostały nieomal w ostatniej chwili zawrócone.
- 19–21 października Odbyło się VIII Plenum KC, na którym Władysław Gomułka został wybrany I sekretarzem KC PZPR. W dniu otwarcia obrad plenum do Warszawy przybyła delegacja KC KPZR na czele z Nikitą Chruszczowem, który już na lotnisku oświadczył: „Jesteśmy zdecydowani na brutalną interwencję w wasze sprawy i nie dopuścimy do realizacji waszych zamiarów”. Rozmowy były kontynuowane w Belwederze. W tym samym czasie, stacjonujące w Polsce radzieckie jednostki wojskowe zaczęły przesuwac się w kierunku Warszawy, a na polskie wody terytorialne wpłynęły radzieckie okręty wojenne. Po zapewnieniach ze strony polskiej o wierności wobec ZSRR i lojalnej polityce w ramach bloku państw socjalistycznych delegacja radziecka wróciła do Moskwy, a wojsko powróciło do baz.
- 23 października W Budapeszcie wybuchło powstanie przeciw rządowi komunistów. Tej samej nocy do stolicy Węgier wjechały czołgi radzieckie. Walki trwały do 28 października. Po ogłoszeniu przez nowego premiera Imre Nagy'a wystąpienia Węgier z Układu Warszawskiego 4 listopada ponownie Armia Radziecka wkroczyła do Budapesztu i krwawo stłumiła bunt. Na czele rządu stanął Janos Kadar. Imre Nagy wraz ze współpracownikami został aresztowany przez KGB. W 1957 roku skazano go na śmierć i stracono w 1958 r.
- 28 października Kardynał Stefan Wyszyński po 4-letnim uwięzieniu powrócił do Warszawy.

1957

- 3 stycznia Powstał Związek Młodzieży Socjalistycznej w miejsce ZMP, który rozpadł się w 1956 r.
- 20 stycznia Odbyły się wybory do Sejmu, w których po raz pierwszy było więcej kandydatów niż miejsc poselskich. Władysław Gomułka zaapelował o „głosowanie bez skreśleń”, co poparł w swych kazaniach kardynał Wyszyński. W Sejmie powstało katolickie koło poselskie Znak.
- 11 lutego Powstał Związek Młodzieży Wiejskiej.
- 25 marca Rozpoczęła się masowa repatriacja Polaków ze Związku Radzieckiego.
- 15–18 maja Na IX Plenum KC PZPR Władysław Gomułka wystąpił z ostrą krytyką dogmatyzmu i rewizjonizmu. Do rewizjonistów zaliczył Leszka Kołakowskiego, Romana Zimanda i Wiktora Woroszyłskiego.
- 2 października Władze zamknęły pismo młodych inteligentów „Po prostu” za rewizjonistyczne poglądy. Następnego dnia w Warszawie rozpoczęły się demonstracje studentów i potyczki z milicją, trwające 3 dni.

1958

- 27 marca Nikita Chruszczow objął również stanowisko premiera rządu radzieckiego.
- 27 października W czasie rozmów polsko-radzieckich Władysław Gomułka zaprotestował przeciw przekazaniu przez stronę radziecką urządzeń dla Huty im. Lenina bez dokładnych opisów technicznych, co utrudniało ich montaż.

1959

- 31 lipca W związku z „trudnościami w zaopatrzeniu” poniedziałki uczyniono dniami bezmięsnymi.

1960

- 13 października Wystąpienie Nikity Chruszczowa na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku odznaczyło się tym, że zdenerwowany uwagami prowadzącego obrady zdjął but i zaczął walić nim w mównicę.
- 9 listopada John F. Kennedy został wybrany prezydentem Stanów Zjednoczonych.

1961

- 12 kwietnia Jurij Gagarin został pierwszym człowiekiem, który wyleciał w Kosmos i powrócił, okrążywszy Ziemię.
- 17 kwietnia Oddziały emigrantów kubańskich, szkolonych i wspieranych przez armię amerykańską, dokonały nieudanego desantu na Kubę w rejonie Zatoki Świń.
- 13 sierpnia Zaczęto budowę muru berlińskiego, oddzielającego Berlin Wschodni od Zachodniego.

1962

- 14 września W ramach dalszego zaostrzenia polityki wobec Kościoła na posiedzeniu komisji KC ds. kleru Zenon Kliszko zaproponował m.in., by podsuwać księżom konkretne tematy do kazań, „np. wydajność pracy robotników w PGR-ach”.
- 11 października Rozpoczęła się I sesja Soboru Watykańskiego II pod przewodnictwem papieża

Jana XXIII. W czasie sesji odbyła się „Wystawa Kościoła Milczącego” poświęcona Polsce.

22 października Tzw. Kryzys kubański osiągnął apogeum. ZSRR w ramach pomocy wojskowej dla Kuby dostarczył na wyspę rakiety średniego zasięgu. W odpowiedzi prezydent USA John F. Kennedy zarządził blokadę Kuby. Przez 48 godzin istniało niebezpieczeństwo atomowej konfrontacji między USA a ZSRR.

1963

10 sierpnia Ministerstwo Oświaty nakazało zamknięcie jedynej w Polsce Średniej Szkoły Organistowskiej w Przemyślu, prowadzonej przez księży salezjanów. 2 października władze dokonały eksmisji szkoły przy pomocy milicji. Starcia z milicją w obronie szkoły trwały 3 dni, w czasie których zatrzymano 70 osób.

30 sierpnia Zainstalowano teleksową „gorącą linię”, łączącą Waszyngton i Moskwę.

9 października Prezydent John F. Kennedy zezwolił na sprzedaż zboża amerykańskiego do ZSRR.

22 listopada W Dallas zamordowano prezydenta Johna F. Kennedy'ego.

28 grudnia Rozpoczęto eksploatację rurociągu naftowego „Przyjaźń”, dostarczającego ropę do Bratysławy, Płocka i Schwedt (NRD).

1964

14 marca Antoni Słonimski złożył na ręce premiera, podpisany przez 34 czołowych pisarzy tzw. List 34, w którym sygnatariusze protestowali przeciw zaostrzającej się cenzurze i ograniczeniu papieru na publikacje ważne dla kultury polskiej.

26 marca Polskie Radio i Telewizja wydały zakaz współpracy z sygnatariuszami Listu 34.

4 października Wskutek nacisków Nikita Chruszczow złożył rezygnację z pełnionych funkcji. Leonid Breżniew został I sekretarzem KC KPZR, a Aleksiej Kosygin premierem rządu ZSRR.

30 października W tajnej notatce, dołączonej do listu Władysława Gomułki i Józefa Cyrankiewicza do Leonida Breżniewa i Aleksieja Kosygina, strona polska przedstawiła dramatyczną sytuację gospodarczą Polski. Podano w niej m.in., że w 1962 r. jedynie w Bułgarii i Rumunii spożycie na jednego mieszkańca było niższe od polskiego; liczba mieszkań oddanych do użytku była najniższa w Polsce, tak samo liczba łóżek szpitalnych, przypadająca na 10 tys. mieszkańców.

12 grudnia Mieczysław Moczar został ministrem spraw wewnętrznych.

1965

19 lipca Jacek Kuroń i Karol Modzelewski zostali skazani na kilkuletnie wyroki więzienia za rozpowszechnianie listu otwartego do partii, w którym krytykowali system polityczno-gospodarczy w Polsce.

18 listopada Episkopat Polski ogłosił *Orędzie biskupów polskich do ich niemieckich Braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim*, które kończyło się wezwaniem: „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”. Po ogłoszeniu orędzia przewodniczący wojewódzkich rad narodowych w okresie od 27 grudnia 1965 r. do 15 lutego 1966 r. przeprowadzili rozmowy z 49 biskupami. Jedynie bp Edmund Nowicki

z Gdańska potępił orędzie. Z proboszczami i administratorami diecezji rozmowy w tym samym czasie przeprowadzali przewodniczący powiatowych rad narodowych. W sumie rozmawiano z 4560 osobami, w tym krytycznie wobec orędzia wypowiedziało się 2416 pytanym. Wydział administracyjny KC polecił, by lojalnym wobec władz księżom przyznawać ulgi podatkowe, unikać represjonowania ich i rozwijać różne formy współpracy.

1966

19 marca

Rada Państwa poinformowała kard. Stefana Wyszyńskiego o odmowie wydania zgody na przyjazd do Polski na obchody milenijne papieża Pawła VI.

29 marca –
8 kwietnia

Odbył się XXIII Zjazd KPZR, na którym zrehabilitowano częściowo Stalina.

22 czerwca

W ramach kościelnych obchodów tysiąclecia chrztu Polski odbywała peregrynację kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Przed dotarciem do Warszawy obraz został „aresztowany”, co wywołało manifestacje uliczne.

21 października

W dziesiątą rocznicę polskiego Października na wydziale historii Uniwersytetu Warszawskiego Leszek Kołakowski i Krzysztof Pomian wygłosili krytyczne wobec władz i socjalizmu referaty, za co zostali usunięci z PZPR-u. W pracach studenckich zawieszono kilku studentów, organizatorów spotkania, członków grupy tzw. komandosów, w tym Adama Michnika.

1967

14 lutego

Do rektora UW został skierowany apel o umorzenie postępowania dyscyplinarnego wobec Adama Michnika, który podpisało ponad tysiąc studentów oraz 150 pracowników nauki.

15 maja

Egipt skierował oddziały wojskowe na granicę z Izraelem na Synaju. 3 dni później powszechną mobilizację i skoncentrowanie wojsk na wzgórzach Golan przeprowadziła Syria. 22 maja Gamal Naser ogłosił zamknięcie zatoki Akaba dla okrętów izraelskich. W odwecie 5 czerwca Izrael zbombardował lotniska wojskowe w Egipcie, w zasadzie likwidując siły powietrzne Egiptu. Tak rozpoczęła się tzw. wojna sześciodniowa Izraela z Egiptem, Syrią i Jordanią, w wyniku której Izrael zdobył terytorium trzy razy większe od dotychczasowej powierzchni państwa, w tym wschodnią część Jerozolimy. 10 czerwca został podpisany rozejm między walczącymi stronami. Na znak poparcia dla krajów arabskich 11 czerwca ZSRR zerwał stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Następnego dnia uczyniła to samo Polska oraz inne kraje socjalistyczne z wyjątkiem Rumunii.

19 czerwca

Władysław Gomułka na Kongresie Związków Zawodowych w Warszawie powiedział m.in.: „każdy obywatel Polski powinien mieć tylko jedną ojczyznę – Polskę Ludową. (...) agresja Izraela spotkała się z aplauzem w syjonistycznych środowiskach Żydów – obywateli polskich. (...) Nie możemy pozostać obojętni wobec ludzi, którzy w obliczu zagrożenia pokoju światowego, a więc również bezpieczeństwa Polski, opowiadają się za agresorem”.

1968

5 stycznia

I sekretarzem KC KPCz został Aleksander Dubczek.

30 stycznia

W Warszawie w Teatrze Narodowym odbyło się ostatnie przedstawienie

- zdjętych przez cenzurę za antyradzieckie akcenty *Dziadów* w inscenizacji Kazimierza Dejmka.
- 29 lutego Na zebraniu oddziału warszawskiego Związku Literatów Polskich pisarze bardzo ostro skrytykowali politykę kulturalną władz. Stefan Kisielewski użył sformułowania „dyktatura ciemniaków”.
- 8 marca Na Uniwersytecie Warszawskim zwołano wiec w obronie relegowanych ze studiów Adama Michnika i Henryka Szlajfera oraz w obronie *Dziadów*. Milicja i oddziały ORMO brutalnie rozpędziły demonstrantów. Wieczorem aresztowano wiele osób, w tym ponownie Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego (zwolnionych z więzienia w maju i w lipcu 1967). Tak rozpoczęły się „wydarzenia marcowe”, które w następnych dniach przeniosły się do innych miast w Polsce. Wszędzie milicja gwałtownie rozprawiała się z demonstrantami. W sumie zatrzymano ponad 2700 osób, w tym prawie 900 robotników. Od marca 1968 do lutego 1969 r. skierowano do sądów akty oskarżenia przeciwko 262 osobom. Jednocześnie w prasie i w zakładach pracy rozpoczęto kampanię antyinteligentką i antysemicką.
- 10 marca W Sejmie poselskie koto Znak złożyło interpelację w sprawie pobicia studentów 8 marca. Na znak protestu Jerzy Zawieyski zrezygnował później z zasiadania w Radzie Państwa.
- 19 marca Na spotkaniu z aktywem warszawskiej organizacji PZPR Władysław Gomułka wezwał do walki z „kosmopolityzmem i syjonizmem”. Przemówienie to zostało bardzo pozytywnie ocenione przez członków Biura Politycznego KC KPZR.
- 25 marca Z Uniwersytetu Warszawskiego zostali usunięci profesorowie, którzy poparli studentów: Leszek Kołakowski, Włodzimierz Brus, Zygmunt Bauman, Maria Hirszowicz i Stefan Morawski.
- 29 marca Rektor UW rozwiązał osiem kierunków studiów na wydziałach ekonomii, socjologii i filozofii, psychologii i matematyki oraz fizyki i zarządził ponowny nabór. Prawa studenckie straciło ponad 1600 studentów. Podobnie, już 22 marca, postąpiono na Politechnice Wrocławskiej, gdzie zawieszono 1553 studentów. Zajęcia zostały wznowione 7 maja.
- 9 kwietnia KC KPCz ogłosił program reform w Czechosłowacji, którego celem była demokratyzacja, złagodzenie cenzury, nieograniczona współpraca z krajami kapitalistycznymi.
- 2 maja Studenci Uniwersytetu Nanterre w Paryżu rozpoczęli okupację uczelni pod hasłami antyimperialistycznymi. Dołączyli do nich studenci Sorbony, wychodząc na ulice i gwałtownie walcząc z policją. Zamieszki rozszerzyły się na całą Francję. Do studentów dołączyły związki zawodowe, domagając się podwyżek płac i skrócenia tygodnia pracy. 20 maja strajkowało już 5 mln Francuzów.
- 27 czerwca Czechosłowacki parlament uchwalił zniesienie cenzury i rehabilitację wszystkich więźniów politycznych.
- 21 sierpnia Oddziały Układu Warszawskiego (z wyjątkiem Rumunii) wkroczyły do Czechosłowacji.
- 26 sierpnia W Moskwie, gdzie przewieziono przywódców partyjnych i państwowych Czechosłowacji, podpisano porozumienie między KPZR-em a KPCz, na mocy którego w zamian za „normalizację” wojska obce mają być wycofa-

ne z terytorium Czechosłowacji. Wszystkie zachodnie partie komunistyczne potępiły inwazję, a z krajów socjalistycznych protestowały partie rumuńska, chińska i jugosłowiańska.

5 listopada

W wyborach prezydenckich w USA zwyciężył Richard Nixon.

11–16 listopada

Odbył się V Zjazd PZPR, na którym zatwierdzono zmiany w kierownictwie partii, m.in. rezygnację ze wszystkich funkcji partyjnych i państwowych Edwarda Ochaba, który protestował przeciw kampanii antysemitkiej. Obecny na zjeździe Leonid Breżniew po raz pierwszy ogłosił tzw. doktrynę Breżniewa, wedle której socjalizm nie jest „prywatną sprawą” poszczególnych partii i państw, ale całego obozu socjalistycznego.

1969

16 stycznia

Czeski student Jan Palach dokonał samospalenia na placu Waclawa w Pradze na znak protestu przeciw antydemokratycznej polityce władz czechosłowackich. Jego pogrzeb przekształcił się w masową demonstrację przeciw „normalizacji”.

28 marca

Po wygraniu meczu z ZSRR w hokeja o mistrzostwo świata w Sztokholmie przez drużynę Czechosłowacji doszło w Pradze do gwałtownych demonstracji antyradzieckich. W czasie transmisji telewizyjnej, gdy wciągana była na maszt flaga radziecka, obraz nagle zniknął, a głos był ledwo słyszalny. Władze radzieckie ostrzegły, że w razie następnych tego typu demonstracji antyradzieckich wojska radzieckie siłą je stłumią.

17 kwietnia

Aleksander Dubczek podał się do dymisji. I sekretarzem KC KPCz został Gustaw Husak.

10 czerwca

PAP poinformował, że w okresie od 1 lipca 1967 r. do 30 maja 1969 r. wyjechało z Polski prawie 5300 obywateli polskich pochodzenia żydowskiego.

21 lipca

Załoga amerykańskiego Apollo 11 odbyła pierwszy w dziejach ludzkości 2-godzinny „spacer” po Księżycu.

1970

24 lutego

Zapadły wyroki w procesie „taterników” oskarżonych o przemykanie na Zachód materiałów „szkalujących Polskę Ludową” oraz sprowadzanie do Polski paryskiej „Kultury”. Najwyższe wyroki dostali Maciej Kozłowski (4,5 roku) i Jakub Karpiński (4 lata).

5–6 maja

Leonid Breżniew i Aleksiej Kosygin złożyli wizytę w Czechosłowacji. Breżniew tak ją ocenił: „podczas spotkań z ludnością, mówili, dziękujemy za pomoc, za uratowanie naszej rewolucji. Mówiły nie pojedyncze osoby, ale tysięczne masy krzychały te słowa na wiecu i na lotnisku”.

13 maja

W trakcie sesji RWPG w Warszawie Władysław Gomułka poprosił Aleksieja Kosygina o zwiększenie dostaw m.in. gazu i zboża z powodu złej sytuacji gospodarczej Polski.

20 maja

Aresztowano prawie 150 członków grupy Ruch, która planowała wysadzenie pomnika Lenina w Poroninie. Za próbę „obalenia ustroju” skazano 32 osoby. Najwyższe wyroki otrzymali Andrzej i Benedykt Czumowie (po 7 lat) oraz Stefan Niesiołowski (6 lat).

12 sierpnia

W Moskwie podpisano traktat między NRF-em a ZSRR, zawierający uznanie

- politycznego status quo w Europie i wyrzeczenie się stosowania siły we wzajemnych stosunkach.
- 17 sierpnia Notatka departamentu IV MSW na temat przebiegu uroczystości kościelnych donosiła, że po rozmowach ostrzegawczych z biskupami oraz proboszczami i administratorami parafii hierarchia kościelna zastosowała się do zaleceń PZPR-u i list episkopatu w okazji „cudu nad Wisłą” nie został odczytany w kościołach.
- 30 października Biuro Polityczne KC PZPR podjęło decyzję o podwyżce cen żywności, ale bez ustalenia daty jej wprowadzenia.
- 7 grudnia Podpisano traktat między Polską a Republiką Federalną Niemiec o „normalizacji wzajemnych stosunków” oraz potwierdzający trwały charakter granicy na Odrze i Nysie.
- 9 grudnia Pod kierownictwem gen. Tadeusza Pietrzaka (komendanta głównego MO) w MSW został powołany sztab kryzysowy, do którego oddelegowano przedstawicieli KC i MON-u. Postawiono w stan gotowości siły porządkowe we wszystkich województwach.
- 13 grudnia Ogłoszono podwyżkę cen żywności przeciętnie o 18% i obniżkę cen na niektóre artykuły przemysłowe.
- 14 grudnia Strajk w Stoczni im. Lenina w Gdańsku rozpoczął tzw. wydarzenia grudniowe, obejmujące całe Wybrzeże.
- 15 grudnia Władysław Gomułka w obecności ministra obrony narodowej Wojciecha Jaruzelskiego, ministra spraw wewnętrznych Kazimierza Świątły oraz komendanta głównego MO Tadeusza Pietrzaka, podjął decyzję o użyciu broni w czasie tłumienia strajków i demonstracji. Według oficjalnych danych w dniach 15–18 grudnia na Wybrzeżu zginęło 45 osób, ranne zostały 1164 osoby, zatrzymano 3161 osób.
- 18 grudnia KC KPZR wystosował list do Biura Politycznego KC PZPR z wyrazami zaniepokojenia sytuacją w Polsce.
- 19–20 grudnia Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR na I sekretarza KC wybrano Edwarda Gierka. W swoim wystąpieniu Wojciech Jaruzelski powiedział, że „w całym kraju zostały rozdysponowane i uruchomione prawie wszystkie wojska lądowe” oraz że „wojsko nie jest w stanie w wypadku poważniejszych wydarzeń zagwarantować bezpieczeństwa stolicy”. Nie poinformował o swoich kontaktach z ministrem obrony ZSRR, marszałkiem Andriejem Grieczeko, który oświadczył, że w razie rozruchów w całej Polsce wojska radzieckie nie mają zamiaru podjąć interwencji.
- 23 grudnia Sejm powołał Piotra Jaroszewicza na premiera, a dotychczasowy prezes Rady Ministrów, Józef Cyrankiewicz, został przewodniczącym Rady Państwa.
- 1971**
- 5 stycznia Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz w czasie wizyty w Moskwie zwrócili się do ZSRR o zwiększoną pomoc gospodarczą. Tydzień później dostali obietnicę nowego kredytu w wysokości 100 mln dolarów.
- 22 stycznia Zaczął się strajk okupacyjny w Stoczni im. Warskiego w Szczecinie. Dwa dni później ze strajkującymi spotkał się Edward Gierek.

- 28 stycznia W kościołach odczytano list episkopatu, zatytułowany *Głos biskupów w obronie zagrożonego bytu narodu*.
- 11 lutego Rozpoczął się strajk w łódzkich zakładach włókienniczych.
- 1 marca Przywrócono ceny mięsa i przetworów mięsnych do poziomu sprzed grudnia 1970 r.
- 3 marca W gmachu Rady Ministrów odbyła się trzygodzinna rozmowa Piotra Jaroszewicza z kardynałem Stefanem Wyszyńskim.
- 29 maja Władze PRL-u wezwały Bonn do zamknięcia RWE.
- 24 czerwca Na plenum KC PZPR odwołano Mieczysława Moczara ze stanowiska sekretarza KC i powołano na przewodniczącego Najwyższej Izby Kontroli.
- 17 lipca Zwolniono z więzienia Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, skazanych za udział w wydarzeniach marcowych.
- 5 października W Opolu w auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej, w której miała odbyć się akademie z okazji święta MO i SB, wybuchła domowej roboty bomba. Mimo że nikt nie odniósł obrażeń bracia Jerzy i Ryszard Kowalczykowie zostali skazani na karę śmierci i 25 lat więzienia. Na skutek apeli inteligencji i Kościoła władze zamieniły wyrok śmierci na karę dożywotniego więzienia.
- 7 października Zespół KC ds. polityki wyznaniowej podjął decyzję, by w rozmowach z przedstawicielami Stolicy Apostolskiej nie godzić się na mianowanie nuncjusza papieskiego w Polsce oraz domagać się wymierzenia kar kanonicznych duszpasterstwom akademickim z powodu zaangażowanie w działalność organizacji Ruch.
- 26 października Polska zakupiła licencję na produkcję fiata 126.

1972

- 20 marca Leonid Breżniew uznał oficjalnie po 15 latach istnienie EWG.
- 28 marca Po przyśpieszonych wyborach (19 marca) Sejm powołał Henryka Jabłońskiego na przewodniczącego Rady Państwa w miejsce Józefa Cyrankiewicza, który został przewodniczącym Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju.
- 12 lipca Kuba została członkiem RWPG.
- 31 października W wyniku strajków pod hasłami podwyżki płac, niekiedy o 25%, która przeszła przez Polskę pod koniec października, ogłoszono zamrożenie cen na rok 1973.

1973

- 26 stycznia Międzynarodowy Komitet Obrony Praw Człowieka ogłosił, że na terenie ZSRR istnieje około 1000 obozów koncentracyjnych, w których jest przetrzymywanych prawie milion ludzi, w tym około 10 tys. więźniów politycznych.
- 9 grudnia Odbyły się wybory do rad narodowych. Frekwencja wyborcza, według oficjalnych danych, wyniosła 97%. Przewodniczącymi rad zostali sekretarze organizacji partyjnych odpowiedniego szczebla.

1974

- 26 września Na naradzie, dotyczącej stanu zagrożenia kraju dywersją ideologiczno-polityczną i politycznych sposobów przeciwdziałania im, MSW przedstawiło raport o Kościele katolickim w Polsce, w którym m.in. stwierdzono, że „kard. Wyszyński, kard. Wojtyła i kilku innych przedstawicieli hierarchii podejmują

akcje na rzecz przeciwstawiania się tendencjom przyspieszenia porozumień Watykanu z krajami socjalistycznymi, w tym z Polską. Kreują się na jedynych i wyłącznych interpretatorów sytuacji wyznaniowej, polityki państw i partii komunistycznych do religii i Kościoła”.

12–13 grudnia Na IX Zjeździe Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich sekretarz KC PZPR Jerzy Łukaszewicz ogłosił jako obowiązującą media wytyczną „propagandę sukcesu”.

1975

1 stycznia Wszedł w życie nowy kodeks karny, który m.in. wprowadzał kary za udział w strajku.

12 marca W przekazanym rządowi memoriale Konferencja Episkopatu Polski stwierdziła, że „katolicy wbrew Konstytucji PRL są pozbawieni prawa czynnego udziału w życiu politycznym własnej ojczyzny”. A przecież „Kościół nie podejmuje żadnej walki ani z ustrojem, ani z rządem, nie pretenduje do odgrywania jakiegóż roli politycznej”.

20–27 kwietnia Po raz pierwszy po wojnie odbył się Tydzień Kultury Chrześcijańskiej.

28 maja Sejm przyjął ustawę o nowym podziale administracyjnym Polski – liczba województw zwiększyła się z 17 do 49.

1 sierpnia W Helsinkach przedstawiciele 37 państw (w tym USA i ZSRR) podpisali Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE).

9 października Zawarto układ między PRL-em a RFN-em o przyznaniu Ślązakom, Mazurom i mieszkańcom Warmii prawa do emigracji w zamian za wypłacenie odszkodowań Polakom, wywiezionym na roboty przymusowe do Niemiec w czasie II wojny światowej.

5 grudnia 59, a właściwie 66 intelektualistów wystosowało list, w którym protestowali przeciwko projektom zmian w konstytucji PRL-u. W styczniu następnego roku dołączyły do nich następne 161 osoby. Sygnatariusze listów zostali ukarani m.in. zakazem druku i niewydawaniem paszportów.

1976

26 stycznia W piśmie episkopatu Polski do przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego biskupi zaprotestowali przeciw proponowanym zmianom w konstytucji.

10 lutego Sejm, z jednym głosem wstrzymującym się (Stanisława Stommy), przyjął poprawki do konstytucji, mówiące o sojuszu z ZSRR, kierowniczej roli partii w państwie i o tym, że „prawa obywateli są nieodłącznie związane z rzetelnym i sumiennym wypełnianiem obowiązków wobec Ojczyzny”.

24 czerwca Sejm przyjął uchwałę o podwyżce cen żywności: cukru o 100, mięsa o 69, mleka i wyrobów mlecznych o 50 %.

25 czerwca Wybuchły strajki w Radomiu, Ursusie, Płocku i na znacznie mniejszą skalę w innych miastach, dając początek „wydarzeniom czerwcowym”. Wieczorem premier Piotr Jaroszewicz odwołał decyzję o podwyżce cen żywności.

27 czerwca – 2 lipca Nastąpiły masowe aresztowania robotników, wyrzucenia z pracy oraz brutalne pobicia przez milicję. Przed sądami stanęło około 500 osób.

28 czerwca W Berlinie odbyła się narada partii komunistycznych i robotniczych, w czasie której zaniepokojony wydarzeniami w Polsce Leonid Breżniew poradził Edwardowi Gierkowi jak najszybsze uporanie się z niepokojami społecznymi.

- 13 sierpnia Wprowadzono kartki na cukier.
- 23 września W Warszawie powstał Komitet Obrony Robotników (KOR), celem działania którego była pomoc prawna i finansowa represjonowanym po zajęciach w czerwcu. Lista członków komitetu wraz z adresami i numerami telefonu została podana do wiadomości publicznej.
- 2 listopada Jimmy Carter został wybrany prezydentem USA.
- 1977**
- 26 marca Powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO).
- 7 maja Stanisław Pyjas, współpracownik KOR-u, został zamordowany przez SB w Krakowie.
- 15 maja W Krakowie zawiązał się Studencki Komitet Solidarności (SKS).
- 16 maja Aresztowano 10 członków KOR-u.
- 22 lipca Na mocy amnestii wyszli z więzienia wszyscy skazani za udział w wydarzeniach Czerwca 76 i uwięzieni członkowie KOR-u.
- 26 września KOR przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”. Powstała Niezależna Oficyna Wydawnicza (NOWA).
- 18 listopada Biennale 77 w Wenecji zostało poświęcone nieoficjalnej kulturze krajów komunistycznych. Zorganizowano też wystawę „Polska bez cenzury”, na której eksponowano wydawnictwa podziemne.
- 29–31 grudnia Prezydent Jimmy Carter przebywał w Polsce. Towarzyszył mu doradca ds. bezpieczeństwa Zbigniew Brzeziński.
- 1978**
- 29 kwietnia W Gdańsku powstał Komitet Wolnych Związków Zawodowych, którego członkami zostali m.in. Lech Wałęsa i Anna Walentynowicz.
- 27 czerwca – 5 lipca Mirosław Hermaszewski odbył lot w kosmos na pokładzie statku Sojuz 30.
- 16 października Kardynał Karol Wojtyła został wybrany papieżem i przyjął imię Jana Pawła II.
- 31 grudnia – 1 stycznia Fala wielkich mrozów sparaliżowała Polskę.
- 1979**
- 20–28 lutego W Berlinie Zachodnim na festiwalu filmowym delegacje z państw socjalistycznych wycofały się na znak protestu przeciw projekcji filmu amerykańskiego *Łowca jeleni*.
- 19 kwietnia W Nowej Hucie próbowano wysadzić w powietrze pomnik Lenina. Aresztowano ponad 200 osób.
- 2–10 czerwca Odbyła się pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski.
- 29 lipca W Gdańsku powstała organizacja Ruch Młodej Polski.
- 1 września W Warszawie założono partię Konfederacja Polski Niepodległej (KPN).
- 27 grudnia Związek Radziecki napadł na Afganistan.
- 1980**
- 1 stycznia Jimmy Carter ogłosił sankcje gospodarcze i polityczne wobec ZSRR oraz zapowiedział (20 stycznia) bojkot olimpiady w Moskwie.
- 23 marca Odbyły się wybory do Sejmu i rad narodowych. Według oficjalnych danych

- frekwencja wyniosła 98,9%, według KOR-u była w granicach 75–85%, a wśród studentów o połowę niższa. Decyzją Sejmu Edward Babiuch zastąpił Piotra Jaroszewicza na stanowisku premiera.
- 24 marca Wydział administracyjny KC PZPR poinformował o udziale duchowieństwa w wyborach. Z 77 biskupów głosowało 41. Nie wzięli udziału w wyborach m.in. kardynał Stefan Wyszyński oraz biskupi Józef Glemp i Ignacy Tokarczuk.
- 1 lipca Ogłoszono podwyżkę cen mięsa i wędlin oraz wprowadzono tzw. ceny komercyjne w stołówkach i bufetach zakładowych, co spowodowało falę strajków w różnych przedsiębiorstwach w całej Polsce, które trwały prawie cały miesiąc. W Lublinie po raz pierwszy obok żądań placowych pojawiły się postulaty nowych wyborów do władz związkowych.
- 31 lipca Na Krymie Edward Gierek spotkał się z Leonidem Breżniewem. W rozmowie chyba doszło do rozbieżności w sprawie strajków w Polsce, gdyż w ogłoszonym końcowym komunikacie zabrakło zwyczajowej formuły „o całkowitej zgodności poglądów”.
- 14 sierpnia Rozpoczął się strajk w Stoczni im. Lenina w Gdańsku. Lech Wałęsa został przewodniczącym komitetu strajkowego. Następnego dnia zastrajkowały inne zakłady w Gdańsku oraz w Warszawie i Łodzi – początek Sierpnia 80.
- 17 sierpnia Powstały w nocy Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (MKS) w Gdańsku ogłosił 21 postulatów, w których m.in. żądano wolnych i niezależnych związków zawodowych, prawa do strajku, podwyżki płac i wprowadzenia kartek na mięso. Zastrajkowały też zakłady pracy w Szczecinie i na Śląsku.
- 31 sierpnia W Gdańsku podpisano porozumienie między Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym i komisją rządową – której przewodniczył Mieczysław Jagielski – na mocy którego możliwe stało się utworzenie niezależnego od władz ogólnopolskiego związku zawodowego. Podobne porozumienia podpisano w Szczecinie i Jastrzębiu. W sumie w sierpniu strajkowało 1,2 mln zatrudnionych w 2 tys. zakładów pracy.
- 5 września Edward Gierek dostał zawału serca. Dzień później na funkcję I sekretarza KC PZPR został powołany Stanisław Kania.
- 17 września Delegaci z całej Polski w Gdańsku podjęli decyzję o utworzeniu NSZZ „Solidarność”. Powołano Krajową Komisję Porozumiewawczą z Lechem Wałęsą na czele.
- 21 września Pierwszy raz od czterdziestu lat Polskie Radio transmitowało Mszę świętą.
- 24 września Wznowiono posiedzenia Komisji Wspólnej rządu i episkopatu.
- 26 listopada Stanisław Kania na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR polecił rozpatrzyć sprawę przygotowań do wydania dekretu o stanie wojennym.
- 28 listopada Rządy państw NATO ostrzegły, że radziecka interwencja w Polsce spotka się z bardzo poważnymi sankcjami gospodarczymi i politycznymi.
- 3 grudnia Jimmy Carter w rozmowie telefonicznej przez „czerwoną linię” z Leonidem Breżniewem ostrzegł przed wkroczeniem wojsk radzieckich do Polski. Kilka dni później rząd USA poinformował państwa NATO o zgrupowaniu oddziałów Armii Radzieckiej przy granicach z Polską i uzgodnił reakcję na ewentualność agresji ZSRR.
- 13–15 grudnia Źródła zachodnie podały o wycofaniu oddziałów radzieckich znad granicy polskiej.

16 grudnia W Gdańsku uroczyście odsłonięto pomnik stoczniovców poległych w czasie wydarzeń grudniowych w 1970 r.

1981

- 16 stycznia Wielu korespondentów zagranicznych dostało nakaz opuszczenia Polski bez podania przyczyn.
- 20 stycznia Ronald Reagan objął stanowisko prezydenta USA.
- 11 lutego Sejm powołał Wojciecha Jaruzelskiego na premiera, wicepremierem został Mieczysław Rakowski. Premier zwrócił się do społeczeństwa o „90 spokojnych dni”.
- 23 lutego – 4 marca Odbył się XXVI Zjazd KPZR. W referacie Leonid Breżniew dużo miejsca poświęcił sytuacji w Polsce i powiedział m.in., że „socjalistycznej Polski, bratniej Polski nie opuścimy w potrzebie...”.
- 19 marca Milicja pobiła czołowego działacza „Solidarności” Jana Rulewskiego podczas sesji WRN-u w Bydgoszczy, co dało początek tzw. kryzysowi bydgoskiemu.
- 27 marca Wojciech Jaruzelski i Stanisław Kania zaakceptowali założenia wprowadzenia stanu wojennego, a dwa dni później przyjęto harmonogram internowania „osób niepożądanych”.
- 30 marca Rząd i „Solidarność” podpisały porozumienie, tzw. kompromis warszawski.
- 13 maja Jan Paweł II został ciężko ranny w wyniku zamachu na placu św. Piotra w Rzymie.
- 16 maja W Moskwie odbyła się narada Ericha Honeckera i Gustawa Husaka z Leonidem Breżniewem, Andriejem Gromyką (ministrem spraw zagranicznych), Jurijem Andropowem (szefem KGB) i Dmitrijem Ustinowem (ministrem obrony ZSRR). Zebrani postanowili szybko doprowadzić do zmiany I sekretarza KC PZPR i premiera Polski.
- 28 maja Zmarł prymas Stefan Wyszyński.
- 5 czerwca Został ogłoszony bardzo ostry list KC KPZR do kierownictwa PZPR-u.
- 5–6 lipca W Moskwie odbyły się rozmowy Wojciecha Jaruzelskiego i Stanisława Kania z Leonidem Breżniewem, w czasie których Kania oświadczył, że „obronić socjalizm w Polsce musimy własnymi siłami”.
- 7 lipca Prymasem został Józef Glemp.
- 3–4 sierpnia Nastąpiła 50-godzinna blokada ronda przy Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich w Warszawie przez protestujących przeciwko pogarszającemu się zaopatrzeniu. W kilku województwach ogłoszono pogotowie strajkowe.
- 8 sierpnia Wiktor Kulikow (głównodowodzący wojsk Układu Warszawskiego) rozmawiał w Warszawie z Wojciechem Jaruzelskim o gotowości bojowej Wojska Polskiego.
- 21 sierpnia Rzecznikiem rządu został Jerzy Urban.
- 5–10 września Obradowała I tura zjazdu „Solidarności” w Gdańsku. Drugiego dnia obrad delegaci uchwalili *Postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*. TASS określił zjazd jako „antysocjalistyczną i antyradziecką orgię”.
- 13 września Na posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju (KOK) dyskutowano szczegóły wprowadzenia stanu wojennego.
- 26 września – 7 października Odbyła się II tura zjazdu „Solidarności”. Trzeciego dnia obrad KOR ogłosił na zjeździe samorozwiązanie. Lech Wałęsa został wybrany przewodniczącym „Solidarności”.

- 18 października Na plenum KC Stanisław Kania złożył rezygnację. I sekretarzem KC PZPR został Wojciech Jaruzelski.
- 10 listopada Zmarł Leonid Breżniew.
- 19 listopada Przywództwo „Solidarności” zaapelowało do społeczeństwa o zaprzestanie wszelkich akcji strajkowych.
- 7 grudnia Na posiedzeniu Rady Ministrów poinformowano, że dostawy ropy naftowej z ZSRR do Polski ustały pod koniec listopada.
- 11–12 grudnia W Gdańsku obradowała Komisja Krajowa „Solidarności”.
- 13 grudnia Wprowadzono stan wojenny. Zdelegalizowano „Solidarność” oraz wiele organizacji. Internowano lub aresztowano ponad 10 tys. osób.
- 15 grudnia Przeprowadzono pacyfikację strajku w kopalni „Manifest Lipcowy”, postrzelonych zostało 4 górników.
- 16 grudnia Oddziały ZOMO zastrzeliły 9 górników z kopalni „Wujek” podczas szturmów na strajkujących.
- 23 grudnia Prezydent USA Ronald Reagan ogłosił wprowadzenie sankcji wobec Polski i ZSRR. W styczniu następnego roku zrobiły to samo pozostałe kraje NATO.
- 1982**
- 1 stycznia Zdewaluowano złotówkę (1\$ = 80 zł).
- 1 lutego Ogłoszono podwyżkę cen żywności o 241% i energii o 171%.
- 26 marca Sejm ustanowił Trybunał Stanu i Trybunał Konstytucyjny.
- 12 kwietnia W Warszawie nadano pierwszą, 5-minutową, audycję podziemnego radia „Solidarność”.
- 3 maja Oddziały ZOMO rozbiły wielotysięczne demonstracje w wielu miastach Polski.
- 31 sierpnia Miały miejsce liczne demonstracje w całym kraju. W Lubinie zastrzelono 3 demonstrantów, 11 zostało rannych.
- 12 listopada Lech Wałęsa został zwolniony z internowania.
- 31 grudnia Ogłoszono zawieszenie stanu wojennego.
- 1983**
- 16–23 czerwca Odbędzie się druga pielgrzymka Jana Pawła II do Polski.
- 22 lipca Ogłoszono zniesienie stanu wojennego i amnestię dla więźniów politycznych.
- 5 października Lechowi Wałęsie przyznano Pokojową Nagrodę Nobla. Nagrodę w Oslo odebrała w grudniu Danuta Wałęsowa.
- 1984**
- 10 stycznia Jerzy Urban na konferencji prasowej podał, że tzw. jedenastka (7 członków KK „Solidarności” i 4 KOR-u), która pozostaje w areszcie, może czasowo opuścić Polskę.
- 19 stycznia USA zapowiedziały złagodzenie sankcji wobec Polski.
- 27 stycznia Episkopat zwrócił się z apelem do społeczeństwa o czynne zaangażowanie w poprawę gospodarczą i protestowanie przeciw zachodnim sankcjom.
- 4 lutego Zdewaluowano złotówkę wobec innych walut RWPG o 28% i wobec dolara (1\$ = 106 zł).
- 28 kwietnia Elton John był z wizytą u Lecha Wałęsy w Gdańsku.

- 15 czerwca Odbyły się wybory do rad narodowych. Według danych oficjalnych frekwencja wyniosła 67, a według „Solidarności” – 57,4 %.
- 21 lipca Ogłoszono amnestię, która objęła około 600 więźniów politycznych i 35 tys. kryminalnych.
- 9 sierpnia Zwolniono z więzienia „jedenastkę”.
- 16 września Po raz pierwszy od 13 grudnia 1981 r. przyjechał polityk z Zachodu w randze ministra – minister spraw zagranicznych Austrii.
- 19 października Porwano ks. Jerzego Popiełuszkę.
- 30 października MSW poinformowało o znalezieniu ciała ks. Jerzego Popiełuszki.
- 3 listopada W pogrzebie ks. Jerzego Popiełuszki wzięło udział około 250 tys. ludzi. Na ręce kardynała Józefa Glempa napłynęły liczne kondolencje, w tym od przywódcy Włoskiej Partii Komunistycznej.
- 17 listopada Polska ogłosiła wycofanie się z Międzynarodowej Organizacji Pracy z powodu przyjęcia krytycznego raportu o łamaniu praw pracowniczych.
- 24 listopada Pod auspicjami PZPR-u powstało Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych (OPZZ).
- 27 grudnia W Toruniu rozpoczął się proces morderców ks. Jerzego Popiełuszki.

1985

- 7 lutego Wydano wyroki w sprawie morderców ks. Popiełuszki.
- 13 lutego W Gdańsku podczas spotkania z Lechem Wałęsą zostali aresztowani Władysław Frasyniuk, Bogdan Lis i Adam Michnik.
- 4 marca Ogłoszono kolejny wzrost cen: mąka drożeje o 40, chleb o 30, mleko i produkty mleczne o 45 %. Natomiast zniesiono kartki na mąkę i kasze.
- 10 marca Sekretarzem generalnym KC KPZR został Michaił Gorbaczow.
- 25 marca Według banku PKO od 1 marca, kiedy wprowadzono konto dla walut zachodnich, na które można wpłacać pieniądze bez udokumentowania pochodzenia, depozyty wzrosły o 60 mln dolarów. Wartość oficjalna 1 dolara równa jest 140 zł, na czarnym rynku wynosi 700 zł.
- 3 czerwca Ponieważ wielu przedstawicieli rządów zachodnich odwoływało swoje wizyty z powodu toczącego się procesu Bogdana Lisa, Adama Michnika i Władysława Frasyniuka (14 czerwca zapadły kilkuletnie wyroki), minister spraw zagranicznych Stefan Olszowski z satysfakcją ogłosił, że szef MSZ Hiszpanii jest „wzorowym” politykiem, który zaakceptował warunki polskie (żadnych kontaktów z opozycją itp.). W odpowiedzi Hiszpan w ostatniej chwili odwołał przyjazd.
- 1 lipca Weszła w życie zapowiadana podwyżka cen mięsa o 10%.
- 13 sierpnia Rządowa gazeta „Rzeczpospolita” oskarżyła OPZZ o brak działań powstrzymujących żądania płacowe i niepodejmowanie starań o zwiększenie wydajności pracy.
- 17 września Wojciech Jaruzelski wygłosił przemówienie na Zgromadzeniu Ogólnym Narodów Zjednoczonych wobec półpustej sali. W wywiadzie dla „New York Timesa” i „Washington Post” generał zasugerował, że „jeśli frekwencja w wyborach do Sejmu będzie w granicach 75–80%, to możliwa jest amnestia dla więźniów politycznych”.
- 9 października W czasie projekcji japońskiego filmu w TV w niektórych regionach Polski

- na ekranie pojawiły się napisy: „Solidarność” i „Polacy! Nie bierzcie udziału w wyborach”.
- 15 października Ogłoszono oficjalne wyniki wyborów do Sejmu: frekwencja wyniosła prawie 79%; według obserwatorów „Solidarność” – 66 %.
- 1 listopada Zniesiono kartki na cukier, którego cena wzrosła około 20 %.
- 6 listopada Na pierwszym posiedzeniu Sejm powołał Zbigniewa Messnera na stanowisko premiera, Wojciecha Jaruzelskiego wybrano przewodniczącym Rady Państwa.
- 19 listopada W Waszyngtonie ogłoszono powołanie The Solidarity Endowment Fund. Fundusz planował zdobycie 20 mln dolarów na działalność mającą zachować i rozwijać ideę „Solidarność”.
- 4 grudnia Wojciech Jaruzelski „prywatnie” odwiedził Paryż. Wprowadzony do Pałacu Elizejskiego bocznymi drzwiami, został przyjęty przez François Mitterranda mimo licznych protestów, łącznie ze złożeniem dymisji przez premiera Laurenta Fabiusa, ale nieprzyjętej przez prezydenta.
- 23 grudnia Rada Państwa pozbawiła polskiego obywatelstwa Zdzisława Rurarza (b. ambasadora PRL-u w Tokio, który poprosił o azyl w USA), Romualda Spasowskiego (b. ambasadora w USA, który też wystąpił o azyl) i Zdzisława Najdera (szefa Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa). Wcześniej wszyscy trzej zaocznie zostali skazani na karę śmierci.

1986

- 7 lutego W wywiadzie dla „Wall Street Journal” minister finansów Stanisław Nieckarz powiedział, że Polska potrzebuje ponad miliarda dolarów nowych kredytów, by móc zacząć spłacać stare zadłużenie.
- 22 lutego Pierwszy strajk, zorganizowany przez OPZZ, wybuchł w kopalni miedzi w Polkowicach. Górnicy domagali się respektowania porozumienia podpisanego w Jastrzębiu między stroną rządową a MKS-em we wrześniu 1980 r.
- 16 marca Ogłoszono następną podwyżkę cen podstawowych artykułów spożywczych.
- 5 kwietnia Podwyższono opłaty za gaz, elektryczność i centralne ogrzewanie o 30%, a 10 dni później o 100% wzrosły ceny biletów tramwajowych i autobusowych.
- 28 kwietnia Polskie media doniosły o katastrofie w elektrowni atomowej w Czarnobylu z dwudniowym opóźnieniem.
- 22 maja Brytyjskie przedstawienie *Folwarku zwierzęcego* George’a Orwella pod naciskiem Polski, Bułgarii, Węgier i Czechosłowacji zostało wycofane z festiwalu UNESCO w Baltimore.
- 4 czerwca W „Washington Post” ukazał się artykuł, w którym stwierdza się, że rząd USA wiedział od płk. Ryszarda Kuklińskiego o planach wprowadzenia stanu wojennego w Polsce.
- 17 lipca Sejm uchwalił amnestię, na mocy której według prokuratora generalnego mieli zostać zwolnieni wszyscy więźniowie polityczni.
- 26 sierpnia Opłaty telefoniczne zdrożały średnio o 35 %. Założenie nowego telefonu miało kosztować 36 tys. (wzrost o 50%), czyli prawie dwumiesięczną pensję. Jedynie w Albanii była mniejsza ilość telefonów na 100 mieszkańców.
- 1 września Zdevaluowano złotówkę wobec dolara o 17,6 %.
- 26 września Kongresmen Stephen Solarz napisał w „International Herald Tribune”, że USA winny znieść bojkot ekonomiczny Polski.

- 29 września Lech Wałęsa spotkał się z 11 przywódcami „Solidarności”. Następnego dnia ogłosił powołanie Tymczasowej Komisji „Solidarności”, która ma działać jawnie, choć nielegalnie.
- 15 października Lech Wałęsa i 9 intelektualistów wysłało list do Ronalda Reagana w sprawie zniesienia sankcji wobec Polski.
- 19 listopada „Solidarność” została członkiem Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych i Światowej Konfederacji Pracy.
- 24 listopada Francuska gazeta „Le Matin” ujawniła tajny dokument, w którym m.in. jest mowa, że na 22 tys. księży w Polsce tylko 500 deklaruje poparcie dla opozycji, 16 tys. nie ma stosunku do polityki, a 5000 (w tym tysiąc aktywnie) wspiera rząd.
- 16 grudnia Około 40 osób zostało zatrzymanych przez milicję w czasie uroczystości, upamiętniających zabicie 9 górników w kopalni „Wujek” pięć lat wcześniej. Zatrzymanych skazano na 50 tys. grzywny.
- 24 grudnia Po raz pierwszy pasterka z Bazyliki św. Piotra, celebrowana przez Jana Pawła II, była transmitowana przez polską telewizję.

1987

- 13 stycznia Wojciech Jaruzelski został przyjęty w Rzymie przez Jana Pawła II.
- 19 lutego USA oficjalnie potwierdziły, że znoszą sankcje wobec Polski.
- 21 lutego W wywiadzie dla prasy portugalskiej Wojciech Jaruzelski przyznał, że stosunki państwo – Kościół ciągle nie są najlepsze. O „Solidarności” powiedział, że jest to jedynie kilkuset ludzi, którzy są tolerowani przez władze, i że przyzwolenia na tzw. pluralizm związkowy nigdy nie będzie.
- 4 marca Sąd w Krakowie orzekł, że milicjanci, którzy poturbowali w czasie zatrzymania członka grupy Wolność i Pokój Jana Rokitę mają wpłacić 5 tys. zł na Czerwony Krzyż za „naruszenie wolności osobistej i fizycznej nietykalności”.
- 8–14 czerwca Papież Jan Paweł II odbył trzecią pielgrzymkę do Polski. W całej Polsce zatrzymano wiele osób i przeprowadzono liczne rewizje w domach działaczy opozycji (w samym Gdańsku ponad 90 osób zatrzymano na kilka godzin).
- 15 lipca Na wniosek senatora Edwarda Kennedy’ego Senat USA przyznał pomoc finansową i rzeczową, w tym 1 mln dolarów na działalność „Solidarności”.
- 27 sierpnia Janusz Onyszkiewicz, rzecznik „Solidarności”, spotkał się z zastępcą przewodniczącego OPZZ Jerzym Uziębło.
- 30 sierpnia Spiker Polskiego Radia, zapowiadając już regularną transmisję niedzielnej Mszy świętej, powiedział: „Z okazji 7-ej rocznicy podpisania porozumień społecznych, módlmy się za zgodą narodową, opartą na respektowaniu praw człowieka wszystkich obywateli”.
- 14 września Nastąpiła kolejna dewaluacja złotego wobec dolara. Oficjalny kurs dolara to 287 zł.
- 26 września Wiceprezydent George Bush przybył do Warszawy. Jest najwyższym rangą amerykańskim gościem od czasu wizyty Jimmy’ego Cartera w 1977 r.
- 4 października Minister spraw zagranicznych Marian Orzechowski udzielił wywiadu Głosowi Ameryki.
- 21 października Rozpoczęła się rozprawa z powództwa cywilnego przeciw Jerzemu Urbanowi, wytoczona przez Bronisława Geremka, Janusza Onyszkiewicza, Klemensa

- Szaniawskiego i Magdalenę Sokolowską o obrazę dóbr osobistych przez pomówienie ich o szpiegostwo.
- 23 października Sejm przyjął projekt narodowego referendum w sprawie programu gospodarczego, które ma się odbyć 29 listopada.
- 25 października Na spotkaniu TKK (podziemnej struktury) i Tymczasowej Komisji „Solidarności” (naziemnej) postanowiono połączyć oba ciała w Krajową Komisję Wykonawczą „Solidarności” (KKW). Przewodniczącym KKW został Lech Wałęsa. KKW wezwało do bojkotu referendum w sprawie reformy gospodarczej.
- 27 października EWG przeznaczyła 2,3 mln dolarów na pomoc gospodarczą dla Polski.
- 19 listopada Na mocy ustawy z 15 lipca 1987 r. Sejm powołał prof. Ewę Łętowską na stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich.
- 29 listopada Odbyło się referendum w sprawie reformy gospodarczej. Frekwencja wyniosła 68 %. Tylko 44 % głosujących powiedziało „tak” na pytanie o reformy gospodarcze i 46% na pytanie o zmiany polityczne.

1988

- 1 stycznia ZSRR zakończył zagłuszanie Sekcji Polskiej BBC, Głosu Ameryki i RWE.
- 31 stycznia W Warszawie i w Gdańsku odbyły się kilkutygodniowe demonstracje przeciwko podwyżce cen, która wchodziła w życie z dniem 1 lutego.
- 5 lutego Na zakończenie wizyty w Polsce zastępca sekretarza stanu USA John Whitehead powiedział na konferencji prasowej, że jest pod wrażeniem postępów w przestrzeganiu praw człowieka w Polsce, choć ma pewne zastrzeżenia z powodu przetrzymywania w więzieniu osób za poglądy polityczne.
- 27 marca Zlikwidowano kartki na czekoladę.
- 25 kwietnia Strajk komunikacji miejskiej w Bydgoszczy rozpoczął falę protestów w kraju, która trwała do 10 maja. Strajkujący żądali podwyżek płac oraz legalizacji „Solidarności”. W Gdańsku 4 maja milicja przepuściła na teren Stoczni im. Lenina, gdzie trwał strajk okupacyjny, kilku intelektualistów z Warszawy, m.in. Tadeusza Mazowieckiego.
- 1 maja W Warszawie milicja użyła armatek wodnych, by rozprężyć kilkutygodniową demonstrację. Podobnie ostra reakcja sił porządkowych była w Poznaniu, Łodzi, Wrocławiu i Krakowie. Według Jerzego Urbana 12 tys. osób wzięło udział w nielegalnych demonstracjach.
- Na antenie BBC wicepremier Zdzisław Sadowski oświadczył, że jest gotów do nieformalnych rozmów z Lechem Wałęsą pod warunkiem przerwania nielegalnego strajku.
- 7 maja W Waszyngtonie John Whitehead, zastępca sekretarza stanu, oświadczył, że użycie siły wobec strajkujących grozi wycofaniem poparcia USA w sprawie starania Polski o uzyskanie pomocy finansowej.
- 10 maja Wieczorem zakończył się strajk w Stoczni im. Lenina. Biskup Tadeusz Gocłowski poprosił siły porządkowe o usunięcie zapory sprzed bramy stoczni.
- 11 maja Sejm przyjął ustawę, dającą władzom specjalne prerogatywy dla ograniczenia działalności związków zawodowych i prawa do strajku.
- 16 czerwca Sąd Najwyższy nakazał rewizję wyroku, odmawiającego rejestracji organizacji „Solidarności” na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ponieważ prawo

- dopuszcza istnienie organizacji związkowej w zakładzie pracy pod warunkiem, że jest to jedyna organizacja.
- 19 maja Odbyły się wybory do rad narodowych. Frekwencja wyniosła 56 %.
- 8 lipca OPZZ wezwał do krótkiego strajku o wyższe płace w kopalni miedzi „Rudna” na Dolnym Śląsku. Strajkujący żądali m.in. zalegalizowania „Solidarności”. Do strajku dołączyły dwie inne kopalnie.
- 14 lipca W Warszawie Wojciech Jaruzelski odbył długą rozmowę w cztery oczy z Michaiłem Gorbaczowem. Gorbaczow „udzielił błogosławieństwa” przy wprowadzaniu zmian ustrojowych w Polsce oraz zapewne powiedział, że Polska sama musi rozwiązywać swoje problemy gospodarcze i nie może liczyć na pomoc ZSRR.
- 17 sierpnia Rozpoczął się strajk w Stoczni Szczecińskiej. Wybuchły strajki w innych miastach. W sumie stanęło 11 kopalń oraz zakłady pracy w Poznaniu, Wrocławiu, Gdańsku i w Warszawie. KKW wydało oświadczenie, wzywające do poparcia strajkujących.
- 23 sierpnia Centrałe związkowe z USA, Wielkiej Brytanii i Niemiec wezwały władze do podjęcia dialogu z e strajkującymi.
- 26 sierpnia W programie telewizyjnym minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak napomknął o możliwości zwołania Okrągłego Stołu i dyskusji z przedstawicielami różnych grup pracowniczych.
- 31 sierpnia Odbyło się spotkanie Lecha Wałęsy z Czesławem Kiszczakiem.
- 11 września Lech Wałęsa i czołowi działacze „Solidarności” spotkali się z grupą około 100 intelektualistów w celu przedyskutowania propozycji obrad Okrągłego Stołu.
- 14 września Lech Wałęsa po raz drugi odbył rozmowę z Czesławem Kiszczakiem z udziałem Stanisława Cioska, ks. Alojzego Orszulika i Andrzeja Stelmachowskiego.
- 19 września Premier Zbigniew Messner podał się do dymisji. Prezesem Rady Ministrów został Mieczysław Rakowski.
- 12 października Obrady Okrągłego Stołu zostały odroczone, ponieważ strona rządowa nie zgodziła się na udział w nich Jacka Kuronia i Adama Michnika.
- 30 listopada Odbyła się na żywo debata telewizyjna między Alfredem Miodowiczem i Lechem Wałęsą.
- 23 grudnia Sejm przyjął ustawę, zrównującą w prawach przedsiębiorstwa prywatne z państwowymi.

1989

- 1 stycznia Po ośmiu latach zniesione zostały kartki na benzynę i węgiel, choć kartki na mięso zostały utrzymane.
- 4 stycznia W „Polityce” ukazał się długi wywiad z Lechem Wałęsą.
- 6 lutego Rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu. Na antenie Polskiego Radia Lech Wałęsa zaapelował o powstrzymanie się od strajków w czasie rozmów, by nie zaprzepaścić szansy osiągnięcia porozumienia.
- 24 lutego Sejm zatwierdził specjalne uprawnienia dla rządu, na mocy których będzie można zamykać nierentowne przedsiębiorstwa lub zmieniać ich dykcję.
- 12 marca Niedawno powstały Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie z pewną rezerwą przyjął sprawozdanie z obrad Okrągłego Stołu.

- W NRD wstrzymano sprzedaż radzieckiego pisma „Nowoje Wriemia”, w którym zamieszczono wywiad z Lechem Wałęsą.
- 15 marca Ogłoszono niemal pełne uwolnienie złotówki. Bank PKO płacił za 1 dolara 3000 zł, czyli prawie tyle samo, co na czarnym rynku.
- 19 marca Rząd zwrócił się do Rady Państwa o przywrócenie obywatelstwa polskiego generałowi Władysławowi Andersowi i Stanisławowi Mikołajczykowi.
- 24 marca Powstało Stowarzyszenie Rodzin Katyńskich.
- 1 kwietnia W Warszawie rozpoczęła się konferencja Niezależnego Forum Kultury.
- 5 kwietnia Zakończyły się obrady Okrągłego Stołu. KKW upoważniło Lecha Wałęsę do podpisania porozumienia.
- 7 kwietnia Sejm zatwierdził wyniki obrad Okrągłego Stołu i przyjął nową ordynację wyborczą oraz postanowił powołać prezydenta, jak również zmienił prawo o związkach zawodowych.
- 13 kwietnia W różnych miastach zaczęły powstawać filie regionalne Komitetu Obywatelskiego.
- 17 kwietnia NSZZ „Solidarność” została ponownie zarejestrowana w warszawskim sądzie rejonowym.
- Prezydent Bush ogłosił specjalny pakiet pomocy dla Polski, w tym gwarantowane pożyczki dla sektora prywatnego, pomoc przy przełożeniu spłaty długów wobec Klubu Paryskiego. Według ekspertów oferta była warta około 1 mld dolarów.
- Jerzy Urban zrezygnował z funkcji rzecznika rządu.
- 18 kwietnia Odbyło się pierwsze od 1981 r. spotkanie Lecha Wałęsy z Wojciechem Jaruzelskim.
- 23 kwietnia Komitet Obywatelski wystosował apel o masowy udział w wyborach parlamentarnych.
- 8 maja Ukazał się pierwszy numer ogólnopolskiego dziennika „Gazeta Wyborcza” w nakładzie 150 tys. egzemplarzy (prasa codzienna, kontrolowana przez PZPR, miała w sumie nakład 10 mln egzemplarzy). Redaktorem naczelnym został Adam Michnik.
- 9 maja Telewizja nadała pierwszą audycję wyborczą Komitetu Obywatelskiego.
- 10 maja Serwis Informacyjny „Solidarności” podał, że na fundusz wyborczy Komitetu Obywatelskiego zebrano 120 mln zł i 30 tys. dolarów.
- 23 maja Sąd rejonowy w Warszawie odmówił rejestracji NZS-u. Studenci Politechniki Warszawskiej ogłosili strajk, który niebawem rozszerzył się na całym kraju.
- 29 maja Biuro Prasowe Rządu oświadczyło, że suwerenność Polski jest zagrożona z powodu udziału w naradach opozycji różnych zachodnich dyplomatów, którzy czasami nawet instruują, jak organizować akcję wyborczą. Taką samą nieprzyjazną działalnością jest zbieranie pieniędzy na kampanię wyborczą za granicą, dostarczanie sprzętu do drukowania materiałów propagandowych czy przysyłanie gotowych plakatów i nalepek.
- 31 maja Ukazał się ponownie „Tygodnik Solidarność”. Redaktorem naczelnym został znowu Tadeusz Mazowiecki.
- 2 czerwca W „Gazecie Wyborczej” Lech Wałęsa zaapelował o udział w wyborach.
- 4 czerwca Odbyła się pierwsza runda wyborów. Frekwencja wyniosła 62,7% (w II turze jedynie 25%). W obu turach kandydaci „Solidarności” zdobyli 99 na 100

- miejsc w Senacie i 160 na 161 w Sejmie przynależnych, zgodnie z uzgodnieniami Okrągłego Stołu, opozycji.
- 23 czerwca Powstał Obywatelski Klub Parlamentarny, którego przewodniczącym został Bronisław Geremek.
- 3 lipca W „Gazecie Wyborczej” ukazał się artykuł Adama Michnika pt. *Wasz prezydent, nasz premier*.
- 17 lipca Polska nawiązała stosunki dyplomatyczne z Watykanem.
- 18 lipca Wojciech Jaruzelski ogłosił, że będzie kandydował w wyborach prezydenckich.
- 19 lipca Zgromadzenie Narodowe przewagą jednego głosu wybrało gen. Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta. 10 dni później zrzekł się on funkcji I sekretarza KC PZPR.
- 24 sierpnia Sejm na wniosek prezydenta powołał Tadeusza Mazowieckiego na stanowisko premiera.
- 11 września Złoty został zdewaluowany wobec dolara o 18,5 %. Była to dziesiąta w tym roku obniżka wartości złotówki.
- 12 września Sejm 402 głosami przy 12 wstrzymujących się zatwierdził gabinet Tadeusza Mazowieckiego.
- Rzecznik radzieckiego MSZ-u Giennadij Gierasimow, oświadczył, że rząd ZSRR jest gotowy do współpracy z nowym rządem polskim.

INDEKS NAZWISK

Indeks nie obejmuje podpisów pod ilustracjami

- Abramowski Edward 216
Afanasjew Wiktor 214
Ambroziewicz Jerzy 175, 176, 180, 182, 189, 245
Anders Władysław 5, 20, 23, 27, 53, 306
Andropow Jurij 299
Andrzejewski Jerzy 49, 185, 213
Arad Icchak 147
Askanas Zdzisław 89
- Babiuch Edward 43, 51, 87, 147, 160, 180, 190, 298
Baczko Bronisław 34
Baczyński Krzysztof Kamil 147
Barański Marek 240
Barcikowski Kazimierz 77, 80, 133, 144, 192, 203, 204, 208, 215, 216, 223
Barszcz Edward 192
Bartoszewski Władysław 128, 129, 224
Bauman Zygmunt 34, 292
Bednarkiewicz Maciej 263
Beria Ławrientij 72
Berling Zygmunt 12, 20
Berman Jakub 57, 100
Bębenek Stanisław 221
Bieńkowski Władysław 99
Bierut Bolesław 113, 160, 285, 286, 288
Bierzanek Remigiusz 53
Bilik Andrzej 189
Bobiński Krzysztof 256
Bolesław II Śmiały 180
Bortnowski Władysław 48
Boruta-Spiechowicz Mieczysław 53
Brandt Willy 79
Bratkowski Stefan 218, 247
Bratny Roman 206
Breżniew Leonid 17, 46, 54, 61, 97–99, 132, 133, 205, 208, 219, 290, 293–296, 298–301
Bron Michał (Bronsztajn) 22
Brus Włodzimierz 34, 292
Brutus 89
Brzeziński Zbigniew 297
Brzozowski Stanisław 216
Bugajski Ryszard 211, 282
Bujak Zbigniew 223
Burdienko Nikołaj 52
Bush George H. 46, 303, 306
Bush George W. 249
- Carter Jimmy 297, 298, 303
Casaroli Agostino 125, 144
Chocha Bolesław 53
Chodakowski Andrzej 221
Chodkiewicz Jan Karol 188
Chomeini Ruhollah 193
Chrostowski Waldemar 269
Chrupek Krystyna 171
Chruszczow Nikita 17, 74, 79, 83, 287–290
Churchill Winston 22, 285
Chyliński Jan 113, 114
Ciosek Stanisław 192, 235, 251, 305
Cronkite Walter 255
Cyrankiewicz Józef 51, 78, 80, 84–86, 89, 90, 93, 112, 123, 135, 136, 288, 290, 294–296
Cywiński Bohdan 110, 111, 132
Czarzasty Zygmunt 275
Czernienko Konstatin 54
Cześnin Stanisław 174, 176, 177, 183–186, 193
Czuma Andrzej 293

- Czuma Benedykt 293
 Czyrek Józef 109, 130, 131, 138
- Daniszewski Tadeusz 34
 Darnton John 255
 Dąbrowski Bronisław 111, 113, 114, 136, 138, 139, 149
 Dejmek Kazimierz 206, 292
 Demianiuk Iwan 147
 Domagała Czesław 201
 Drawicz Andrzej 206
 Dubczek Aleksander 50, 205, 291, 293
 Dziedzic Irena 165
 Dzierżyński Feliks 175
 Dziewanowski Kazimierz 242, 246, 247
 Dziwisz Stanisław 113, 140, 180
 Dźur Martin 50
- Eisenstein Siergiej 71
- Fabius Laurent 302
 Falk Feliks 211
 Fikus Dariusz 247
 Filipowski Ryszard 72
 Fisher Dan 259
 Fiszbach Tadeusz 218, 236
 Floryanowicz Ksawery 36
 Frasyński Władysław 301
 Frelek Ryszard 93, 95, 157, 158
 Fritzhand Marek 34
 Fuksiewicz Jacek 162
- Gagarin Jurij 289
 Gaulle Charles de 40
 Geremek Bronisław 237, 241, 273, 274, 303, 306, 307
 Giedroyc Jerzy 95, 185
 Gierasimow Giennadij 307
 Gierek Edward 5, 7, 51, 72, 77, 79, 83, 85–90, 92, 93, 95–99, 103, 126, 128, 129, 133, 134, 155–158, 160, 166, 170, 171, 173, 175, 176, 180, 182, 184–186, 188–190, 192–195, 201, 294, 296, 298
- Giscard d'Estaing Valéry 96
 Glazur Adam 192, 194
 Glomp Józef 131, 298, 299, 301
 Głowczyk Jan 246
 Gołowski Tadeusz 304
 Gołębiowski Stefan 112, 113, 133
 Gomułka Władysław (Wiesław) 17, 38, 42–44, 46, 47, 49–51, 75, 76, 78–80, 82–90, 93, 97, 99, 102, 120, 124, 129, 135, 136, 158, 162, 221, 278, 285–294
 Gontarz Ryszard 72
 Gorbaczow Michaił 19, 47, 54, 182, 215, 301, 305
 Górnicki Wiesław 56
 Grabski Tadeusz 140, 218
 Grieczko Andriej 53, 87, 294
 Gromyko Andriej 299
 Gruber Ruth 258, 259
 Grudzień Zdzisław 99, 160
 Guetta Bernard 255
 Gulbinowicz Henryk 113, 114
- Hańbowski Jerzy 190
 Hawrylkiewiczowie 17
 Hegel Georg Wilhelm F. 11
 Herbert Zbigniew 99
 Herling-Grudziński Gustaw 56
 Hermaszewski Mirosław 130, 297
 Hernas Czesław 71
 Hirszowicz Maria 292
 Hitler Adolf 22, 48
 Holland Agnieszka 211
 Holuj Tadeusz 99
 Honecker Erich 98, 299
 Hopfer Tomasz 165, 166
 Husak Gustaw 82, 98, 293, 299, 300
- Jabłoński Henryk 133, 134, 139, 295, 296
 Jagielski Mieczysław 222, 298
 Jagiełło Dominika 209, 227
 Jagiełło Hanna 220, 223, 226
 Jagiełło Katarzyna 209
 Jagiełło Michał 6, 197, 200, 202, 207, 209–211, 220, 221, 224, 226, 229

- Jakubowski Iwan 49, 50
Jan Paweł I 113, 131, 136
Jan Paweł II, zob. Wołyła Karol
Jan XXIII 289, 290
Jancarz Kazimierz 267
Janiszewski Jakub 282
Jankowski Henryk 267
Jankowski Jan Stanisław 285
Jaroszewicz Andrzej 103
Jaroszewicz Piotr 72, 89, 94, 97, 98, 102, 103,
123, 124, 128, 133, 134, 140, 141, 145,
146, 160, 186, 294–296, 298, 299
Jaruzelski Wojciech 5, 6, 16, 19, 31, 54, 56, 58,
86, 87, 98, 160, 172, 183, 189, 192–194,
210, 211, 222, 223, 233–236, 240–242,
251, 252, 255, 259, 262, 264, 268, 269,
276, 294, 299–303, 305–307
Jasienica Paweł 247
Jaszczuk Bolesław 79, 102
Jędrzychowski Stefan 93
John Elton 300
Józia, bufetowa 133
Juchniewicz Ryszard 208
Jurczyk Marian 237

Kaczmarek Czesław 286
Kaczyński Jarosław 195
Kaczyński Lech 195
Kadar Janos 133, 288
Kaliski Sylwester 146
Kania Stanisław 5, 43, 46, 51, 84, 87, 109, 110,
112, 113, 122, 123, 126, 128, 130–133,
136, 140, 141, 144, 147, 156, 174–177,
179, 180, 182, 183, 189, 192, 201, 204,
205, 208, 211–213, 218, 221, 249, 250,
252, 298–301
Kantorski Leon 267
Kapuściński Ryszard 241
Karaszewicz-Tokarzewski Michał 53
Karpinski Jakub 293
Katarzyna II Wielka 211
Kaufman Michael 255, 259
Kazimierz III Wielki 90
Kąkol Bronisław 144
Kąkol Kazimierz 5, 6, 107, 109, 114, 120–122,
129, 144, 146, 149
Kelles-Krauz Kazimierz 216
Kennedy Edward 303
Kennedy John F. 289, 290
Kępa Józef 87, 103, 146, 162, 172
Kibic, zob. Urban Jerzy
Kieślowski Krzysztof 102, 207
Kijowski Andrzej 224
Kijowski Janusz 211
Kirchmayer Jerzy 36, 37
Kisielewski Stefan 205, 292
Kiszczałek Czesław 234, 235, 237, 262, 264,
268–270, 274, 305
Klasa Józef 201, 202, 207, 216, 225
Klepacz Michał 287
Kliszko Zenon 78, 83, 87, 102, 112, 124, 289
Kociołek Stanisław 83, 87, 206, 207, 211, 212,
218, 221
Kołakowski Leszek 289, 291, 292
Kollątaj Hugo 175
Kołodziejski Jerzy 218
Konieczny, por. 21
Konwicki Tadeusz 185
Kopernik Mikołaj 170
Korczyński Grzegorz 44
Kord Kazimierz 164
Korotyński Henryk 171
Korzeniewski Andrzej 155, 156, 192
Korzon Tadeusz 71
Kosiński Bohdan 207
Kostenko Andrzej 203, 223
Kostikow Piotr 133
Kostrikow, kpt. 20
Kostyrko Krzysztof 223
Kosygin Aleksiej 290, 293
Kościuszko Tadeusz 174
Kotarbiński Tadeusz 41
Kowalczyk Jerzy 295
Kowalczyk Ryszard 295
Kowalczyk Stanisław 130
Kozłowski Maciej 293

- Koźniewski Kazimierz 206
 Kraśko Wincenty 201, 202
 Krauze Jan 256
 Kruczek Władysław 69, 121, 122, 140
 Kruczkowa, żona Władysława 121
 Kuberski Jerzy 146
 Kubiak Hieronim 208, 215, 217, 218, 221,
 223–226
 Kukliński Ryszard 259, 260, 302
 Kukulowicz Romuald 109, 113
 Kulikow Wiktor 299
 Kurek Mieczysław 189
 Kuroń Jacek 110, 249, 264, 290, 292, 295,
 305, 307
 Kuropieska Józef 36, 225, 287
 Kurta Henryk 259
 Kurz Andrzej 208
 Kwaśniewski Aleksander 195, 276, 280
 Kwiatkowski Stanisław 271, 272, 275
- Landa 23
 Laskowik Zenon 219, 223
 Lenin Włodzimierz 22, 65, 71
 Lipski Jan Józef 110, 247
 Lis Bogdan 301, 303
 Loga-Sowiński Ignacy 78, 87, 90
 Loranc Władysław 162
 Loska Krystyna 160, 165
 Ludendorff Erich 187
 Lutostawski Witold 207
- Łętowska Ewa 304
 Łopaciński, mjr 20
 Łoziński Marcel 207
 Łukaszewicz Jerzy 71, 72, 90, 130, 161, 173–175,
 177, 180, 182, 188, 190, 296
 Łunaczarski Anatolij 71
- Macharski Franciszek 144
 Machejek Władysław 133
 Macierewicz Antoni 110
 Maczek Stanisław 27
 Majewski Jerzy 141, 142
- Makomaski Zygmunt 194
 Małcużyński Karol 171
 Mankiewicz Czesław 48
 Mann Tomasz 247
 Marcinkiewicz Kazimierz 195
 Marczewski Wojciech 211, 225
 Margueritte Bernard 256, 258
 Marks Karol 11, 187
 Marsch Renate 256, 258
 Massu Jacques 40
 Matwin Władysław 22
 Mazowiecki Tadeusz 128, 129, 132, 224, 237,
 241, 242, 249, 276, 304, 306, 307
 Mencwel Andrzej 225
 Merker Aleksander 132
 Messner Zbigniew 302, 305
 Michałek Bolesław 66, 68
 Michnik Adam 110, 245, 246, 249, 264, 291,
 292, 301, 305–307
 Micińska Anna 228
 Mickiewicz Adam 120, 147, 176
 Mielcarek Eugeniusz 207, 214
 Mietkowski Jan 168
 Mikołajczyk Stanisław 26, 27, 52, 285, 286, 306
 Milewski Jerzy 200, 201, 204, 225
 Milewski Mirosław 226, 268, 269
 Miller Leszek 213, 280
 Miłosz Czesław 147, 185, 211, 286, 288
 Miodowicz Alfred 305
 Miroszowa Halina 189
 Mitterrand François 250, 302
 Młynarz Zdenek 50
 Moczar Mieczysław 50, 70, 84, 87, 116, 136,
 162, 173–175, 192, 290, 295
 Modzelewski Karol 290, 292, 295
 Morawski Stefan 292
 Mossor Stefan 36, 37
 Mościcki Ignacy 48
 Motyka Lucjan 93
 Mrożek Sławomir 49, 185
 Mycielski Zygmunt 49
- Nagorski Andrew 255

- Nagy Imre 288
Naimski Piotr 110
Najder Zdzisław 302
Napoleon I 15, 16
Naser Gamal 288, 291
Newerly Igor 205, 206
Nieckarz Stanisław 302
Niesiolowski Stefan 293
Nieszporek, syn Ryszarda 246
Nikołaj, metropolita 52
Nikołajew Wadim 177, 190
Nixon Richard 293
Nowak Franciszek 122
Nowak Mieczysław 267
Nowak Zenon 77
Nowak-Jeziorański Jan 287
Nowicki Czesław (Wicherek) 164
Nowicki Edmund 290
- Ochab Edward 38, 43, 57, 288, 293
Okońska Maria 135, 142
Okoński Włodzimierz 142
Okulicki Leopold 53, 285
Olechowski Tadeusz 177
Oleksy Józef 280
Olszewski Jerzy 192
Olszowski Stefan 87, 94, 98, 103, 121, 125, 130, 172, 206, 207, 212, 213, 218, 222, 241, 301
Onyszkiewicz Janusz 251, 303
Orłowski Witold 195
Orszulik Alojzy 305
Orwell George 302
Orzechowski Marian 303
Osmańczyk Edmund 100, 171
Osóbka-Morawski Edward 285
Ossowska Maria 247
Ossowski Stanisław 247
- Paderewski Ignacy 175
Paetz Juliusz 125
Pajestka Józef 128, 140
Pałach Jan 293
- Panufnik Andrzej 185
Pastusiak Longin 280
Paszkowski Roman 36
Patyk Eugeniusz 171, 172, 190, 193
Paweł VI 126, 128, 291
Pietrzak Tadeusz 294
Pińkowski Józef 190
Piotrowski Grzegorz 268, 269
Poggi Luigi 125, 126, 128
Pohorille Maksymilian 34
Pomian Krzysztof 291
Popieluszko Jerzy 264–270, 301
Popławska Jadwiga 35
Popławski Stanisław 34, 35
Poręba Bohdan 72
Przemysław Grzegorz 261, 263
Pyjas Stanisław 297
Pyka Tadeusz 160
- Rakowski Mieczysław 193, 201, 233, 235–237, 242, 245, 250–252, 260, 262, 263, 267, 274, 299, 305
Rathenau Walter 187
Reagan Ronald 182, 254, 259, 299, 300, 303
Regucki Zbigniew 201, 208, 213
Rejtan Tadeusz 97
Rem Jan, zob. Urban Jerzy
Reynolds Sheldon 173
Rokita Jan 303
Rokossowski Konstanty 26, 35, 38, 286
Rokoszewski Kazimierz 174, 175, 243, 244
Rolicki Janusz 190, 199, 200
Roosevelt Franklin D. 285
Ruane Kevin 259
Rulewski Jan 299
Rurarz Zdzisław 302
Rychlik Ryszard 156, 192, 194
Rydz-Śmigły Edward 48
Rydzyski Tadeusz 147
- Sadłowski Czesław 128, 129
Sadowska Barbara 261, 263
Sadowski Zdzisław 304

- Sadykiewicz Michał 48
 Schaff Adam 34
 Schwoebel Jean 129, 130
 Sekuła Ireneusz 278
 Sienkiewicz Henryk 203
 Siła-Nowicki Władysław 263
 Siwak Albin 221
 Siwicki Florian 53
 Skalski Ernest 242
 Skibiński Franciszek 287
 Skolimowski Jerzy 211
 Slonimski Antoni 121, 290
 Słowacki Juliusz 147
 Smrkowski Josef 50
 Sobotka Zbigniew 213
 Sokolowska Magdalena 273, 274, 304
 Sokorski Włodzimierz 157, 160, 163, 164
 Solarz Stephen 302
 Spasowski Romuald 302
 Spsychalski Marian 31, 35, 37, 38, 43, 44, 46,
 102, 287
 Stalin Józef 22, 30, 36, 53, 72, 74, 118, 203,
 285, 287, 288, 291
 Stanisław ze Szczepanowa 180, 182
 Starszak Hipolit 156
 Steca Ostap 36
 Stefanowicz Witold 184
 Stelmachowski Andrzej 305
 Stomma Stanisław 100, 132, 296
 Strasser Wilhelm 48
 Straszewski Konrad 144
 Strzelecki Jan 205, 206, 216, 224
 Strzelecki Ryszard 87, 102
 Suworow Aleksander 18
 Szaniawski Klemens 224, 273, 274, 303, 304
 Szczepanowski Stanisław, zob. Stanisław
 ze Szczepanowa
 Szczepański Jan 141
 Szczepański Jan Józef 205, 210
 Szczepański Maciej 5, 6, 154, 155, 164, 175,
 176, 182, 183, 190, 193, 194, 199, 245
 Szczypiorski Andrzej 99, 224
 Szlachcic Franciszek 51, 87, 95, 104, 160
 Szlajfer Henryk 292
 Szof Sławomir 175
 Szumowski Maciej 201, 208, 218
 Szydłak Jan 89, 121, 146, 160, 161
 Ścibor-Rylski Aleksander 66, 68, 71
 Śliwiński Marian 134, 146
 Światło Józef 287
 Świtła Kazimierz 294
 Tarkowski Andrzej 214, 215
 Tarnawski Aleksander 174
 Tatar Stanisław 36, 286, 288
 Tejchma Alicja 65
 Tejchma Józef 5, 6, 43, 70, 83, 87, 89, 90,
 100, 105, 203, 207, 216, 225, 228,
 236
 Toeplitz Krzysztof Teodor 206
 Tokarczuk Ignacy 112, 298
 Tokarzewski Michał, zob. Karaszewicz-
 -Tokarzewski Michał
 Tolstoj Aleksy 52
 Torańska Teresa 5, 7, 56–58, 66, 71, 73,
 97, 119, 129, 132, 149, 163, 166, 174,
 179, 183, 185, 187, 193
 Trepczyński Stanisław 76
 Trifonow Jurij 214
 Trzos-Rastawiecki Andrzej 211
 Turek Bogusław 259
 Turlejska Maria 34
 Tumanow 65
 Turowicz Jerzy 132, 207, 242
 Urban Jerzy (Kibic, Rem Jan) 5–7, 51, 170,
 234, 245, 249, 281, 283, 299, 300, 303,
 304, 306
 Urbanowicz Józef 53
 Ustinow Dmitrij 299
 Uziębło Jerzy 303

- Vincenz Stanisław 211
- Wajda Andrzej 63, 64, 66, 68, 71, 72, 102, 203, 212
- Walentynowicz Anna 297
- Walters Barbara 255
- Wałęsa Danuta 300
- Wałęsa Lech 46, 160, 200, 210, 236, 237, 258, 278, 297–301, 303–306
- Wasilewski Andrzej 206, 215
- Waszczuk Jerzy 207
- Ważyk Adam 73
- Werblan Andrzej 130
- Whitehead John 304
- Wilhelmi Janusz 102, 173
- Wirowski Maciej 146
- Witaszewski Kazimierz 121
- Witos Wincenty 203
- Wojtczak Mieczysław 102, 203, 207, 210
- Wojtecki Jerzy 215
- Wojtyła Karol (Jan Paweł II, papież) 109–114, 124, 128–134, 136, 138, 139, 149, 174–177, 180, 182, 211, 295, 297, 299, 300, 303
- Wołk-Łaniewscy 28
- Woroszyński Wiktor 224, 289
- Woźniakowski Jacek 132, 207
- Wróblewski Andrzej Krzysztof 242
- Wróblewski Zenon 87
- Wrzaszczyk Tadeusz 128, 145, 146, 160, 190, 192
- Wyrozembski Jan Zygmunt 34
- Wyszyński Stefan 109, 122, 124, 129, 131, 134–136, 141, 142, 144, 145, 149, 287–289, 291, 295, 296, 298–300
- Zambrowski Roman 75–77
- Zaniewska Xymena 161, 165
- Zanussi Krzysztof 102, 203
- Zaorski Janusz 211
- Zarako-Zarakowski Stanisław 37
- Zawadzki Aleksander 38
- Zawieyski Jerzy 292
- Ziemilski Andrzej 211
- Zimand Roman 289
- Zimianin Michaił 210
- Żabiński Andrzej 160
- Żandarowski Zdzisław 121, 190
- Żebrowski Edward 225
- Żiwkow Todor 98
- Żuławski Andrzej 211

ŹRÓDŁA ILUSTRACJI

Archiwum Wojciecha Jaruzelskiego s. 13, 15, 21, 24, 25, 33, 41, 45, 52, 55
Archiwum Kazimierza Kąkola s. 111, 115, 118 (środek), 119, 123, 131, 137, 138, 143, 148
Archiwum Macieja Szczepańskiego 154, 156, 159, 161, 162 (po lewej), 163, 167 (górze), 169, 187, 191
Archiwum Józefa Tejchmy s. 64, 67, 74, 76 (po prawej), 81, 84, 96, 97
Archiwum Jerzego Urbana s. 234, 239, 244, 248–251, 253, 257 (środek, dół), 261, 266, 271, 277 (górze, środek)
Łukasz Banasik 277 (dół)
CAF s. 81 (górze), 85 (po prawej), 91, 143
Bohdan Czarnecki s. 73
Grzegorz Dymarski s. 257 (górze), 283
Stanisław Gadomski/„Trybuna Robotnicza” Katowice s. 159 (dół)
Witold Jabłonowski s. 118 (po prawej)
Sławomir Kamiński/Agencja Gazeta s. 105, 198, 229, 232
KAW s. 70, 76 (po lewej), 101
Cezary Langda/CAF s. 167 (środek, dół), 181 (dół)
Michał Mutor/Agencja Gazeta s. 57, 108, 152
Józef Piątkowski s. 85
„Przegląd Tygodniowy” s. 127, 135
RSW Prasa-Książka-Ruch s. 58
Ryszard Rzepecki s. 127 (górze i środek)
Kazimierz Seko s. 194
Zygmunt Szarek s. 116, 117
Wilhelm Sz wajnoch/PRI TV Gdańsk s. 162 (środek, po prawej)
Antoni Tejchma s. 62
Włodzimierz Wawrzynkiewicz/„Trybuna Robotnicza” s. 181 (górze)
WAF s. 39, 56, 173
Tomasz Wierzejski/Agencja Gazeta s. 10
T. Zagoździński/CAF s. 76 (środek)
W. Zawadzki/WAF s. 25 (po lewej)
Bernard Ziółkowski s. 118 (po lewej)

Wydawnictwo dołożyło wszelkich starań, żeby ustalić Autorów zdjęć reprodukowanych w książce. Jeśli do któregoś z Autorów jednak nie dotarliśmy, prosimy o kontakt z Wydawnictwem.

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie	5
PIERWSZY	
Rozmowa z gen. Wojciechem Jaruzelskim	9
BREŻNIEW WYCAŁOWAŁ MNIE PRZEZ POMYŁKĘ	
Rozmowa z Józefem Tejchmą	69
NIE WYRZUCAJCIE MNIE Z BIBLI	
Rozmowa z Kazimierzem Kąkolem	107
KRWAWY MACIEK NIE BOLI	
Rozmowa z Maciejem Szczepańskim	151
W GMACHU	
Rozmowa z Michałem Jagiełłą	197
ON	
Rozmowa z Jerzym Urbanem	231
Kalendarium	285
Indeks nazwisk	309
Źródła ilustracji	317